

NOWA KSIĄŻKA
C.J. DAUGHERTY, AUTORKI SAGI WYBRANI



TAJEMNY
OGIEN

C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD





C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD

TAJEMNY OGIEN

TŁUMACZENIE
MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA



KRAKÓW 2015

Dla Jacka i Leo

1

– Skacz!

Głos był równie lodowaty jak ta noc.

Sacha obejrzał się za siebie. Wydawał się bardziej rozbawiony niż przerażony.

– Naprawdę chcesz, żebym to zrobił? – Położył rękę na piersi i udał, że się wzdryga. – Ale przecież... mogę ucierpieć.

– Zamknij się. – Antoine zrobił krok w kierunku Sachy. Pistolet, który trzymał w dłoni, lśnił w blasku księżyca. – Nie trać mojego czasu, dzieciaku. Przegrałeś zakład i sam wybrałeś to rozwiązanie, a teraz... – Wzruszył ramionami. – Musisz skoczyć. Zrób to, Sacha. Miejmy to już z głowy.

– Okej, okej. – Sacha uniósł ręce. Z kpiącym uśmiechem na twarzy wyglądał na młodszego niż był w rzeczywistości. – Nie nakręcaj się tak.

Bez lęku podszedł do krawędzi dachu magazynu. Wiatr zwiewał mu proste brązowe włosy na czoło, więc Sacha je odgarnął, żeby spojrzeć w ciemność.

Antoine wiedział, że stąd nie dało się zobaczyć ziemi. Dach, na którym stali, znajdował się na wysokości piątego piętra – zbyt wysoko, żeby można było przeżyć upadek.

Sacha przykucnął, szykując się do skoku w próżnię.

Antoine mimowolnie wstrzymał oddech. Podziwiał brawurę tego dzieciaka i wcale nie chciał patrzeć, jak umiera. Jednak zakład to zakład, a tym razem chłopak posunął się za daleko. Wziął pieniądze

i ich nie oddał. Zadarł z nim tak, jakby to była zabawa. Na to Antoine nie mógł pozwolić, i to jeszcze na oczach swoich ludzi. Musiał ukarać Sachę dla przykładu. Kiedy jutro znajdą zwłoki, będą wiedzieli, kto za tym stoi. Poczują szacunek dla Antoine'a.

Siedem metrów dalej Sacha zakotłosał rękami. Nagle zamarł i się odwrócił.

– Hej, mam pomysł. – Jego wzrok błędził na wszystkie strony. – Założmy się jeszcze raz.

Antoine zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Nic nie rozumiał. Dlaczego Sacha się nie bał? Dlaczego nie obchodziło go, że zaraz zginie? To było bez sensu, a Antoine nie lubił niczego, co nie miało sensu.

– Co? Teraz? – Przez gniew mówił zbyt piskliwie, więc szybko zniżył głos. – Chcesz negocjować, tuż zanim roztrzaskasz się o bruk?

– Tak – potwierdził Sacha z determinacją. – Teraz.

Mamrocząc pod nosem litanie soczystych przekleństw, Antoine opuścił broń i zapalił latarkę, którą trzymał w lewej dłoni.

Jaskrawe białe światło padło na brudny i zaśmiecony dach. W oddali majaczyły kształty innych magazynów, a także zaparkowanych ciężarówek i koszy na śmieci, których nie brakowało w tej nieciekawej dzielnicy Paryża. Za dnia roiło się tutaj od robotników, o tej porze jednak byli sami, nie licząc szczurów, które zakradały się z portu, ani gołębi gruchających smutno na krokwi pod dachem.

– O co chcesz się założyć na chwilę przed śmiercią? – warknął Antoine.

Sacha sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Przede wszystkim musisz go potrzywać – oznajmił. – Mama kupiła mi komórkę i zabije mnie, jeśli ją uszkodzę.

Antoine zamachał pistoletem.

– W dupie mam twoją...

– Cii. – Sacha postukał palcem wskazującym w usta. – Nie przeklinaj. Jeszcze nie skończyłem. W ramach zakładu weźmiesz telefon. Potem skoczę, skoro naprawdę tego chcesz. Ale nie zginę, tylko wstanę i pójdę do domu. Kiedy to zrobię, oddasz mi telefon, darujesz wszystkie długi i dasz pięćset euro za fatywę. – Zakołysał się na piętach, śmiało patrząc Antoine'owi w oczy. – Umowa stoi?

Antoine parsknął śmiechem, choć wcale go to nie bawiło. Pistolet drgnął w jego dłoni.

– Naprawdę myślisz, że jeszcze kiedykolwiek skorzystasz z telefonu? Twoim zdaniem martwe palce potrafią wystukać numer?

Sacha otrzepał dłonie o nogawki spłowiałych džinsów. Wydawał się coraz bardziej znudzony

– Zakładasz się czy nie? – spytał.

Antoine już się nie śmiał. Wiedział z doświadczenia, że Sacha zakładał się o wszystko i nic sobie nie robił z przegranej. Właśnie dlatego trafił na ten dach. Zadarł z ludźmi, z którymi się nie zadziera, co kosztowało Antoine'a sporo pieniędzy.

Antoine nie miał pojęcia, co jest nie w porządku z Sachą, ale skoro chłopak tak nienawidził życia, może należało mu pomóc się z nim rozstać. Stał się przecież bezużyteczny. Antoine miał nadzieję, że przy okazji ugłaska ludzi, którzy go teraz ścigali z powodu wybryków Sachy.

– Pewnie. – Wzruszył ramionami. – Nic nie stracę, zakładając się z trupozem. Umowa stoi. Będę na dole z telefonem i z pieniędzmi.

Musisz tylko skoczyć, a potem wstać z grobu, żeby odebrać jedno i drugie.

– Super! – Sacha wydawał się zadowolony. – Tak właśnie zrobię.

Wyciągnął przed siebie telefon. Antoine wahał się przez chwilę, wietrząc podstęp. Chłopak mógł złapać go za rękę i zrzucić z dachu. Znał jednak Sachę od ponad roku i wiedział, że to nie leży w jego naturze. W zasadzie był dobrym dzieciakiem, tyle że miał gdzieś to, kogo wkurzał.

Antoine wsunął latarkę do kieszeni, po czym ostrożnie ruszył w jego kierunku.

– No chodź, nie będę tu tkwił aż do rana – oznajmił Sacha, wymachując telefonem.

Gdy Antoine uznał, że jest wystarczająco blisko, wyrwał mu aparat z dłoni i natychmiast się wycofał. Sacha spojrział na niego wymownie. Było oczywiste, że z nich dwóch Antoine bał się znacznie bardziej.

Twarz Antoine'a się zachmurzyła.

– Dość tego gadania. – Cofnął się jeszcze o krok i uniósł broń. – No już, mądralo. Skacz.

– Okej – odparł Sacha i skoczył.

Rzucił się z dachu bez wahania i lęku. Nie krzyknął, nawet nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Skoczył w przerażającym milczeniu. Ostatnim, co widział Antoine, był czubek głowy chłopaka i grzywa jego jasnobrązowych włosów, rozwiewana przez wiatr.

Oszołomiony Antoine aż się zachwiał.

– Merde – zaklął. – Zrobił to.

Gdy wpatrywał się w pustą przestrzeń, gdzie przed chwilą stał Sacha, poczuł dziwne ukłucie żalu. Dzieciak naprawdę był dzielny. Głupi, ale dzielny.

Antoine odwrócił się i pognął przez zaśmiecony dach do klatki schodowej, po czym zbiegł po szerokich, betonowych stopniach, śmiejąc się ze zdenerwowania.

Proponował Sachy rozmaite opcje. Sugerował rozłożenie płatności na raty, chciał się dogadać. Chłopak mógł przeprosić faceta, któremu ukradł i rozbił sportowy samochód. Miał szansę mu to jakoś wynagrodzić, choćby odpracować, oświadczył jednak, że chce umrzeć. Antoine zgodził się przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, co się ostatecznie stanie. Przez cały czas myślał, że Sacha go nabiera, pogrywa z nim i w końcu przyzna, że to kolejny głupi dowcip.

„Nie sądziłem, że to zrobi – pomyślał. – Może uznał, że umie latać”.

Droga na dół była długa, więc Antoine dyszał ciężko, gdy dotarł na parter. Popędził przez pogrążoną w mroku halę, żeby jak najszybciej stąd zniknąć, zanim ktoś odkryje zwłoki.

Sięgnął do klamki, lecz w tej samej chwili drzwi się otworzyły, szarpnięte z drugiej strony. Sylwetkę przed Antoine’em rozjaśniał od tyłu blask latarni w oddali. W drzwiach stał ktoś wysoki, szczupły, potargany, ale żywy i bezczelny jak zawsze.

– Mogę dostać telefon? – Sacha wyciągnął rękę.

Antoine syknął przez zęby, zachwiał się i zrobił krok do tyłu, po czym potknął się o kawał zardzewiałego żelastwa leżący na brudnym betonie. Gdy odzyskał równowagę, wysunął za siebie ręce i znowu się cofnął, nie odrywając oczu od Sachy.

– Non, to niemożliwe! Nie możesz...

Sacha zmarszczył brwi.

– Ale przyniosłeś mój telefon? – zapytał. – Chciałbym już iść do domu, późno jest.

Antoine gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami.

Sacha nie mógł przeżyć tego upadku. To było zupełnie nieprawdopodobne – a jednak poza kilkoma krwawymi zadrapaniami na twarzy i dłoniach wydawał się cały i zdrowy.

To nie było możliwe

Antoine wyminął go i chwiejnym krokiem podszedł do miejsca upadku, gdzie powinna widnieć plama krwi. Nic tam jednak nie było.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że chłopak patrzy na niego z nieskrywanym rozbawieniem.

– Ale... ale... – Antoine nie był w stanie sformułować sensownego zdania.

– Daj spokój. – Sacha przewrócił oczami. – Chcę pieniądze i telefon. Umawialiśmy się.

Antoine drżącą ręką wyciągnął z kieszeni komórkę, a potem odliczył banknoty. Starał się nie dotykać ręki Sachy, gdy mu je wręczał.

Coś z tym chłopakiem było zdecydowanie nie w porządku.

2

– Co włożysz na jutrzejszy wieczór?

Stojąc przed lustrem w szkolnej łazience, Taylor przeczesła szczotką swoje beznadziejnie poskręcane blond włosy.

– Nie wiem. Nawet się nad tym nie zastanawiałam – odparła z roztargnieniem.

Szczotka zaplątała się w lokach i Taylor robiła, co mogła, żeby ją uwolnić, nie wyrywając sobie przy tym garści włosów. To się zdarzało na okrągło – już nieraz musiała wycinać szczotkę z włosów i tygodniami chodzić z dziwną fryzurą. W tej chwili naprawdę nie miała na to ochoty.

W lustrze dostrzegła zdumioną twarz przyjaciółki.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz – oznajmiła Georgie. – Ja już zaplanowałam cały strój, łącznie z lakierem do paznokci. Róż oceanu.

– Róż oceanu? – Taylor wybuchnęła śmiechem. – Przecież to bez sensu. Kto nadaje lakierom takie kretyńskie nazwy?

W końcu udało się jej wyszarpnąć szczotkę i popatrzyła z niesmakiem w lustro. Włosy zdawały się reagować na nieznaną siłę, skręcając się na jej oczach, i to ją wkurzało. Blond włosy powinny być proste i jedwabiste. Jej wyglądały jakby piorun w miotłę strzelił.

Z westchnieniem machnęła ręką na fryzurę i schowała szczotkę do torebki.

– Przecież to tylko Tom – mruknęła. – Dobrze wie, jak wyglądam.

- Wypada dbać o siebie, żeby podobać się chłopakowi – oświadczyła Georgie sztywno.

Taylor nie odpowiedziała. Przez przygotowania do matury, korepetycje i wolontariat nie miała czasu przejmować się ciuchami ani niczym innym. Nawet nie poszłaby na tę durną podwójną randkę, gdyby nie obiecała tego Georgie.

- Coś na siebie włożę, Georgie. Słowo – odezwała się w końcu.

- Możesz iść na golasa – zasugerowała jej przyjaciółka, przyglądając się w lustrze swojej idealnej twarzy – Zyskasz wieczną sławę.

Taylor ruszyła do drzwi.

- Wiesz, właśnie przez takie rady przestałam cię pytać o zdanie, kiedy naprawdę mam problem – powiedziała.

- Och, Tay, ranisz me serce. – Georgie ruszyła za nią. – Poczujemy się razem po obiedzie? Mam napisać wypracowanie na historię...

- I chcesz, żebym zrobiła to za ciebie – dokończyła za nią Taylor.

- Jeśli nie jesteś zbyt zajęta. – Georgie natychmiast się rozpromieniła, pokazując dołeczki w uśmiechu.

Wyszły razem na szkolny korytarz wypełniony uczniami pędzącymi ze stołówki do klas. Mijający Georgie dwaj chłopcy wymienili kilka ciosów, zerkając na nią, by sprawdzić, czy na pewno to widziała. Ona jednak nie zaszczyciła ich spojrzeniem.

- Ty kretynie! – krzyknął jeden.

- Goń się – odparł drugi i obaj pobiegli korytarzem.

Taylor zerknęła na przyjaciółkę. Wiedziała, że tworzą dziwną parę. Lśniący, ciemny koński ogon Georgie podskakiwał przy każdym kroku, a ona sama jak zwykle wyglądała idealnie. Samodzielnie przerobiła szkolny mundurek – miała na sobie białą bluzkę z dużym dekoltem, ściągniętą w talii, co podkreślało jej smukłą figurę i gładką, czarną jak

espresso skórę. W skróconej plisowanej spódniczce długie nogi Georgie prezentowały się fantastycznie.

Strój Taylor był znacznie mniej... skąpy. Prosta spódnica kończyła się pod kolanami, co skracało optycznie jej sylwetkę. I tak nie miała długich nóg, więc nie było się czym chwalić. Workowata bluzka ani trochę nie podkreślała kształtów i Taylor wyglądała w niej jak kloc.

Najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, jak zrobić to, co potrafiła Georgie – sprawić, by ubranie stało się jej przyjacielem, a nie wrogiem – więc po prostu wkładała je, a potem rozpaczała.

Po skończeniu szkoły Georgie planowała zaczepić się w branży odzieżowej, Taylor zaś pragnęła zostać archeologiem. Pozornie nie miały ze sobą wiele wspólnego, jednak nie wiedzieć czemu, kiedy Georgie pojawiła się w mieście na początku dziewiątej klasy, od razu się dogadały.

To właśnie dzięki Georgie Taylor od czasu do czasu wychylała nos zza książek. Z kolei za jej sprawą Georgie nie dostawała samych pał. Ten układ pasował im obu.

– Jasne – przytaknęła z uśmiechem. – Uczymy się dzisiaj.

– Taylor Montclair? Chciałbym zamienić z tobą słowo – rozległ się za nimi nosowy głos pana Finlaya.

Taylor obejrzała się i dostrzegła, że nauczyciel francuskiego zmierza do nich w pośpiechu. Jego sztywne siwe włosy były jak zwykle rozczochrane, a krawat przekrzywiony. Pan Finlay wydawał się podenerwowany i rozkojarzony.

Na twarzy Taylor pojawił się dyskretny grymas. Popatrzyła na Georgie, która odpowiedziała jej identyczną miną i uciekła, zanim pan Finlay zdołał wciągnąć ją w jedną ze swoich mętnych pogawędek.

– Tak, proszę pana? – Taylor odwróciła z przyklejonym do twarzy uprzejmym uśmiechem.

Uczniowie znikali w salach i korytarz pustoszał. Kilka osób, aby uniknąć spóźnienia, przebiegło obok Taylor, dudniąc butami o linoleum.

– Rozumiem, że jesteś zaabsorbowana nauką i innymi godnymi podziwu zajęciami... – Pan Finlay ścisnął w dłoni garść zmiętych papierów. Chyba całkiem o nich zapomniał. – Jednak nadarzyła się okazja do korepetycji.

Taylor z trudem powstrzymała się od westchnienia. I tak utknęła już po uszy w robocie, a nauczyciele dawali jej coraz więcej pracy, całkiem jakby sprzysięgli się przeciwko niej. Nie dała jednak nic po sobie poznać. W końcu lekcje z francuskiego z Finlayem należały do jej ulubionych.

– Czy to nowy uczeń? – zapytała.

– Niezupełnie. – Nie wypuszczając kartek, poprawił okulary w drucianych oprawkach i najwyraźniej przypomniał sobie o papierach, bo pośpiesznie je przejrzał. – Mam to tu... Gdzie to jest? A, tak. – Wyciągnął złożoną kartkę i zamachał nią triumfalnie. – To chłopiec z Francji.

Taylor zmarszczyła brwi.

– Mam uczyć Francuza mówić po francusku? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. – Zmrużył oczy. – To byłby absurd. Będiesz go uczyła angielskiego. – Rozłożył kartkę. – Tu są wszystkie informacje. Poradzicie sobie z tym przez internet, w końcu mamy XXI wiek. – Powiedział to tak, jakby nie miał pojęcia, czym jest ten cały „internet”. – No dobrze, moja droga – dodał poważnym tonem. – Musisz postępować delikatnie. Podobno chłopiec ma problemy, to coś

związanego z jego ojcem. – Odkasznął, jakby krępować go jakakolwiek wzmianka o emocjach. – Tak czy owak, jest mu ciężko i potrzebuje przewodnika oraz wsparcia. Na pewno świetnie dasz sobie radę.

Podał jej kartkę.

Taylor nie miała czasu na lekcje angielskiego z jakimś popapranym Francuzem. Nie potrafiła jednak odmówić. Dobre stopnie z francuskiego były jej potrzebne i chciała mieć Finlaya po swojej stronie. Niechętnie wyjęła pognieciony papier z jego dłoni.

– Skontaktuj się z nim dziś wieczorem. – Po tych słowach pan Finlay, jak zwykle rozkojarzony, ruszył przed siebie. – Jeśli jego stopnie się poprawią, będziesz mogła przypisać sobie zasługę. Oksford spogląda łaskawym okiem na inicjatywy tego typu...

Wszyscy nauczyciele Taylor wiedzieli, że marzy o studiach w Oksfordzie – jej dziadek tam wykładał i od dzieciństwa pragnęła uczyć się u niego.

W tym momencie zadzwonił dzwonek, zagłuszając to, co jeszcze miał do powiedzenia Finlay. Po chwili nauczyciel skręcił za róg i zniknął w głębi szkoły. Taylor stała na pustym korytarzu z kartką w dłoni.

Na samej górze widniało jedno jedyne słowo: Sacha.

Gdy tylko Taylor weszła do domu, podbiegła do niej szaro-biała terierka i wariacko merdając ogonem, otarła się o jej nogi. Taylor pogłaskała ciepłą i miękką sierść psa.

– Cześć, Fizz – mruknęła, biorąc ją na ręce, i ruszyła do zalanej słońcem kuchni. – Ty sierściuchu.

Zachwycona Fizz polizała ją po policzku.

Mama nadal była w pracy, a młodsza siostra Emily jeszcze nie wróciła z zajęć pozalekcyjnych, więc Taylor miała cały dom dla siebie.

Odblokowała zamki w kuchennych drzwiach, otworzyła je szeroko i uśmiechnęła się na widok Fizz, która wystrzeliła do ogródka niczym puchata kula.

Dzień był ciepły, więc Taylor zostawiła otwarte drzwi. Potem nalała sobie szklankę soku pomarańczowego i wysypała książki na stary sosnowy stół. Zmięta kartka wyleciała ostatnia i wylądowała na podręczniku do matematyki.

Taylor rozłożyła papier na blacie, wygładzając zgniecenia, i ze zmarszczonymi brwiami przeczytała nabazgrane przez pana Finlaya słowa. Niewiele tego było, same podstawowe informacje. Nauczyciel wspomniał, że Francuz miał jakieś życiowe trudności – „to coś związanego z ojcem...”. Nieoczekiwanie zalała ją fala współczucia dla nieznanego chłopca, którego na pewno spotkało coś złego.

Zdyszana i zachwycona Fizz wróciła z ogrodu. Otarła się o kostki Taylor, po czym skuliła się w koszyku przy kaloryferze.

Taylor włączyła laptop i bębniąc palcami o blat, czekała, aż urządzenie się rozgrzeje. W końcu na pulpicie pojawiło się zdjęcie latarni morskiej.

Otworzyła nowy mail i przepisała adres z kartki. Przez chwilę wpatrywała się w pusty ekran, a potem pośpiesznie wystukała:

Drogi Sacho,

nazywam się Taylor Montclair i jestem licealistką z Anglii. Dostałam Twoje dane od nauczyciela francuskiego. Podobno mam Cię uczyć angielskiego. Jeśli ci to pasuje, możemy zacząć w niedzielę.

Na początek chyba powinniśmy razem przeczytać książkę po angielsku. Wybierz coś, co Ci się podoba. Oczywiście, nie może to być nic trudnego.

Z pozdrowieniami

Taylor Montclair

Gdy już skończyła, przeczytała list jeszcze raz, postukując palcem w wargę. Następnie wzruszyła ramionami i kliknęła w okienko „wyślij”.

– Georgie i ja umówiliśmy się w piątek na podwójną randkę. Mogę iść? – Taylor podniosła głos, żeby przekrzyczeć skwierczenie chińszczyzny na patelni.

Siostry siedziały przy stole, a ich mama, nadal w biurowej spódnicy i bluzce, krzątała się przy kuchence. Blezer rzuciła na oparcie krzesła, szpilki zaś leżały pod stołem.

– To miło – odparła, sprawdzając, czy ryż jest gotowy. – Z Tomem i kim jeszcze?

– Jego kolegą Paulem, z drużyny rugby.

Taylor skrzywiła się wymownie. Paul ją nudził, ale Georgie była pod ogromnym wrażeniem jego muskułów.

– Ja też chcę iść na podwójną randkę – westchnęła Emily zza stołu i podparła głowę dłonią. Miała trzynaście lat i chciała robić wszystko to co Taylor.

– I pójdziesz – oznajmiła Taylor. – Za trzy lata.

– To za długo – wymamrotała Emily.

Długie jasne włosy opadały jej na ramię. W przeciwieństwie do niesfornych loków Taylor były grube i proste, o złotym odcieniu. niesprawiedliwość tego genetycznego zbiegu okoliczności doprowadzała Taylor do szału.

Mama odłożyła łyżkę, odwróciła się do córek i oparta o blat, wypła łyk białego wina. W kuchni było ciepło, a na kieliszku zebrała się para, tak że szkło wyglądało na oszronione.

– Będziesz mogła iść na podwójną randkę w wieku piętnastu lat, Emily – powiedziała mama. – To tylko dwa lata czekania. – Blondynka

podobnie jak jej córki, miała włosy przycięte do wysokości kołnierzyka i lekko skręcone na końcach. – Taylor, nie mam nic przeciwko waszemu wyjściu. Co u Toma? Ostatnio nie przychodzi się do nas pouczyć.

– Pewnie okej. – Taylor obojętnie wzruszyła ramionami. – Teraz jestem za bardzo zajęta, żeby się z nim uczyć. Spowalnia mnie.

Matka popatrzyła na nią dziwnie.

– Między wami wszystko w porządku?

– Tak. – W głosie Taylor pojawiła nuta niechęci. – W tej chwili sporo się dzieje. Egzamin, życie...

– No tak. – Mama zabrała się do nakładania jedzenia na trzy talerze. – Możesz iść, bylebyś tylko wróciła do domu przed dwunastą.

Telefon Taylor zawibrował. Zerknęła na ekran i zobaczyła, że przyszedł nowy mail, odpowiedź od tego Francuza, Sachy.

– Nie używamy telefonu przy stole, Taylor – powiedziała mama i postawiła przed nią parujący talerz. W powietrzu rozniósł się silny zapach sosu sojowego.

Taylor nie zwróciła na nią uwagi. Wpatrywała się w wiadomość.

Siema. Dzięki za mail i w ogóle, ale doskonale mówię po angielsku i w sumie szkoda mi czasu. Nara, S.

– To bardzo niegrzeczne. – Georgie zmarszczyła brwi. – A dobre wychowanie? Myślałam, że Francuzi są, bo ja wiem... kulturalni.

Siedziały w pokoju Taylor i się uczyły, a konkretnie uczyła się Taylor. Georgie leżała wyciągnięta na łóżku i przeglądała coś na iPadzie. Taylor tkwiła za biurkiem, pisząc za nią na laptopie wypracowanie z historii.

– Wiem! – Nadal nie mogła ochłonąć. – Co za palant. Nie wierzę, że Finlay mi to robi.

Wpatrywała się w ekran, na którym słowa skakały jej przed oczami. Lodowata odpowiedź Sachy ją zabolala, a cała sytuacja wkurzyła.

– I co zamierzasz?

– Nie mam pojęcia. Mogłabym się poskarżyć Finlayowi, ale tylko będzie miał pretensje, że za mało się starałam. – Odetchnęła głęboko. – Chyba znowu napiszę do tego Francuza i będę go błagać, żeby dał sobie pomoc. Nie mogę wpakować się w kłopoty z głupiego francuskiego. – Taylor przycisnęła palce do skroni – Boże, nienawidzę go. Rozwala mi życie.

– Daj telefon. – Georgie wyciągnęła rękę, a jej paznokcie błysnęły jaskrawą fuksją.

– Po co? – Taylor spojrzała na nią podejrzliwie.

Georgie zamachała palcami.

– Daj spokój, Tay. Zaufaj mi.

Taylor z wahaniem wręczyła jej komórkę.

– Doskonale. – Georgie z wprawą weszła do skrzynki i przejrzała maile. – To on? – Pokazała ekran przyjaciółce. – Jak on ma na imię? Sacha?

Taylor niepewnie skinęła głową.

– Co chcesz zrobić? Nie wydaje mi się...

– Wysyłam mu wiadomość – przerwała jej Georgie, marszcząc brwi i stukając w klawisze.

– Och, Georgie... – Taylor przygryzła wargę. Z nich dwóch Georgie była o wiele bardziej wygadana. – Tylko nie rób z tego afery.

Georgie nacisnęła „wyślij”, po czym uniosła telefon ekranem do Taylor, patrząc na nią wyzywająco.

– To on zrobił aferę, kiedy tak chamsko odpisał. Nikt nie będzie traktował w ten sposób mojej przyjaciółki.

Taylor nacisnęła kilka przycisków, żeby otworzyć wiadomość Georgie, i mimo wszystko parsknęła śmiechem.

Hej, Sacha. Spoko. Skoro dalej chcesz być głupi, nie ma kwestii. Nara. T.

– Teraz na pewno się nie zgodzi na korepetycje. – Taylor położyła telefon na biurku.

– No i dobrze. – Georgie wróciła na swoje miejsce na łóżku Taylor. – Niech następnym razem liczy się ze słowami.

Taylor znowu wbiła wzrok w ekran laptopa. Fajnie było postawić się Francuzowi, a przynajmniej pozwolić, by Georgie postawiła się mu w jej imieniu. Taylor wróciła do wypracowania z historii, jednak wciąż zastanawiała się, jak poczuje się Sacha, kiedy dotrze do niego, że został spławiony.

Martwiła się także tym, czy wiadomość Georgie nie trafi do Finlaya.

3

Dzień po skoku z dachu magazynu siniaki i zadrapania na twarzy oraz dłoniach Sachy były jedynymi widocznymi dowodami jego lotu na ziemię. Nadal bolał go nadgarstek, ale kość już się zrosła. Teraz nawet specjalnie nie cierpiał, choć wczoraj w nocy było zupełnie inaczej.

Zrzucił maskę chojraka, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Antoine'a. Oparł się plecami o ścianę magazynu i przygarbił, ściskając złamaną rękę. Z sykiem oddychał przez zęby.

Co prawda skok go nie zabił, ale umieranie bolało jak cholera. Gdyby matka zobaczyła rany na jego twarzy, szlag by ją trafił.

Wyprostował się z wysiłkiem i pokuśtykał do domu. Kiedy był w połowie drogi, zadzwonił jego telefon.

– Nie teraz, Antoine – wymamrotał Sacha do siebie, wyciągając aparat z kieszeni.

To jednak nie był Antoine. Przyszła wiadomość od tej Angielki.

Czytając mail, Sacha skrzywił się z wściekłości, która szybko przerodziła się w pełne niedowierzania rozbawienie. Gdy się zaśmiał, natychmiast rozboleły go żebra, które prawie na pewno również połamał. Trzymając się za boki, wepchnął telefon z powrotem do kieszeni i pokuśtykał dalej.

Angielka miała tupet. Sacha zmienił zdanie i postanowił zgodzić się na korepetycje. Najpierw jednak potrzebował informacji. Jak go znalazła i kto dał jej jego adres?

Miał swoje podejrzenia, ale odpowiedzi mógł znaleźć tylko w jednym miejscu.

Na szczęście w tym tygodniu matka pracowała na nocną zmianę. Kiedy wstał rano, już spała i nie zobaczyła śladów na jego twarzy.

Pod prysznicem oparł się o białe kafelki i czekał, aż gorąca woda zmyje resztki zaschniętej krwi z jego ciała. Mydląc się, dotykał opuszkami palców licznych guzów i rowków. Każda blada blizna była pamiątką po takim czy innym ryzyku. Pamiątką po śmierci.

Długa cienka blizna na lewym ramieniu pozostała mu po tym, jak celowo rozbił skradzione auto na latarni, żeby wygrać zakład. Dzięki temu zarobił sto pięćdziesiąt euro. Głęboka blizna na udzie przypominała mu o pobiciu po grze w pokera. Ludzie, których wtedy pokonał, nie lubili przegrywać.

Zakręcił kurek i przez chwilę stał nieruchomo, ociekając wodą. Następnie sięgnął po ręcznik.

Teraz musiał zrobić coś znacznie gorszego od rozbicia samochodu.

Niedługo później, ubrany w dżinsy i wyblakły czarny podkoszulek, wyszedł z mieszkania i po raz pierwszy od kilku tygodni ruszył do szkoły.

W jasnym słońcu poranka ulice Paryża pełne były zabieganych ludzi. Drzewa kołysały się na wietrze, a tłumy mieszkańców stolicy śpieszyły się do pracy. Ostatnio Sacha przestawił się na nocny tryb życia i zapomniał, jakie przyjemne bywają poranki.

Był już spóźniony, jednak mijając piekarnię, poczuł zapach ciepłego chleba i ślina napłynęła mu do ust. Miał przy sobie część pieniędzy od Antoine'a, więc kupił croissanta i zjadł go po drodze. Wystarczyły cztery kęsy, żeby rozpływające się na języku maślane ciasto zniknęło.

Dotarł do szkoły kilka minut później. Wysoki ceglany budynek roił się od uczniów pędzących na lekcje, ale Sacha szedł powoli, spacerowym krokiem, w okularach przeciwsłonecznych na nosie. Wyglądał jak spokojna wyspa wśród szalejącego morza licealistów. Nie rozglądał się na boki, bo nikogo już tutaj dobrze nie znał. Nie miał żadnych przyjaciół. Po co się z kimś przyjaźnić, skoro wkrótce i tak się go opuści?

Nawet rozmowy tych nastolatków wydawały mu się teraz dziecinne.

– Widziałaś wczoraj Justine? W tamtej sukience?

– Jak nie napiszesz wypracowania, Lanton cię zabije...

– Musisz przyjść! Wszyscy tam będą.

Te ich zmartwienia były śmiechu warte.

Jego obecność nie pozostała niezauważona. Okulary i siniaki na twarzy wyróżniały go z tłumu. Czuł na sobie spojrzenia, słyszał szepty za plecami. Nikt jednak nie przystanął i nie zapytał, co się stało.

Nauczyciele Sachy byli tak zdumieni jego widokiem, że nie kryli szoku. Podczas pierwszej lekcji fizyk nerwowo przyglądał się liście obecności.

– Myślałem, że miesiąc temu przeniosłeś się do innej szkoły – powiedział.

Z kolei matematyk tylko uniósł brew.

– Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt, Sacho? – spytał ironicznie. – Czyżby dzisiaj było święto?

Te komentarze spływały po Sachy jak po kacze. Słowa po prostu do niego nie docierały. Po co miałby uczyć się tego, czego nigdy nie będzie miał okazji wykorzystać?

Nie dziwił się nauczycielom. W zeszłym semestrze właściwie przestał chodzić do szkoły. Teraz mogła go tu sprowadzić jedynie głęboka ciekawość, a także irytacja. Nie podobało mu się, że ktoś rozdaje obcym ludziom jego adres mailowy, i czuł, że wie, czyja to sprawka.

Na lekcji angielskiego domyślił się, że nauczyciele dyskutowali już o jego nagłym powrocie. Pan Deide w żaden sposób nie skomentował pojawienia się Sachy, tylko bez słowa wskazał puste krzesło z tyłu klasy.

Po lekcji uczniowie wyszli, jednak Sacha nawet nie drgnął. Nauczyciel nie wydawał się tym zdziwiony.

– Ostatnio rzadko cię widywałem – oświadczył, zamykając drzwi.

Jego przenikliwe oczy zdawały się widzieć wszystko.

Sacha, który siedział w niedbałej pozie, wyciągając długie nogi w przejściu między ławkami, wzruszył ramionami, ale zdjął okulary.

Deide był jedynym nauczycielem, którego szanował. Niezależnie od tego, co się wydarzyło i na jak długo zniknął Sacha, Deide zawsze przyjmował go z otwartymi ramionami i starał się mu pomóc. Pytał go też o rodzinę. W przeciwieństwie do reszty nauczycieli wydawał się szczerze przejęty. Sacha nie wątpił, że to właśnie pan Deide był pomysłodawcą nowych korepetycji. Zastanawiał się tylko, kiedy to od niego usłyszy.

– Miałem... sprawy do załatwienia – oznajmił wymijająco.

– To oczywiste. – Deide wskazał na jego posiniaczoną twarz. – Co się stało? Zacząłeś trenować boks?

Był niższy od Sachy i muskularny. Sacha często się zastanawiał, czy Deide uprawia jakiś sport. Gęste, ciemne włosy miał starannie

przyczesane, a mocną szczękę gładko ogoloną. Jego okulary w wąskich oprawkach były zdumiewająco modne.

– Można tak powiedzieć. Ostatnio wciągnęły mnie też skoki... – Sacha się uśmiechnął, rozbawiony własnym dowcipem.

– Interesujące – oświadczył Deide, a jego mina świadczyła o całkowitym braku zainteresowania.

Zapadła cisza. Sacha czekał, aż nauczyciel mu wytłumaczy, co się właściwie dzieje. Wiedział, że jeśli zachowa cierpliwość, prawda w końcu wyjdzie na jaw.

Deide przysiadł na blacie pobliskiego biurka i z uwagą wpatrywał się w chłopaka.

– Posłuchaj, wiem, że szkoła to nie twoja działka, jak mawia młodzież. Szkoda, bo moim zdaniem jesteś o wiele bystrzejszy, niżby się wydawało. U mnie powinieneś mieć same celujące. I miałeś, do zeszłego roku. Wtedy po prostu... – Uniósł rękę. – Odpuścisz sobie.

Sacha odwrócił wzrok i zaczął się bawić paskiem od torby.

– Porzuciłeś przyjaciół i naukę. Zniknąłeś. To nie była tylko rezygnacja ze szkoły, ale raczej z życia. – Deide nachylił się ku niemu. – Nie podoba mi się, gdy siedemnastolatek rezygnuje z życia.

Sacha nie mógł się z tym nie zgodzić, ale nie mógł też wyznać prawdy.

– Pewnie ma pan rację i powinienem się postarać – oświadczył nieszczerze. – Obiecuję, że zrobię, co trzeba...

– To nie wystarczy – przerwał mu Deide. – Wiem, że dobrze mówisz po angielsku. Kiedyś uwielbiałeś moje lekcje. Nie wiem, dlaczego już się nie starasz, ale dosyć tego. Musisz nadrobić zaległości, wyjść na prostą.

– Niby jak? – prychnął Sacha. – Jest za późno. Opuściłem za dużo godzin. – Jeszcze bardziej rozparł się na krześle. – A zresztą po co?

– Nie bądź śmieszny. – Nauczyciel przerzucił kilka kartek. – Wcale nie jest za późno. Znalazłem kogoś, kto ci pomoże.

„Bingo”, pomyślał Sacha.

Kiedy Deide znalazł to, czego szukał, zerknął na Sachę i zmarszczył brwi.

– To oznacza dodatkową naukę.

Sacha, który w ogóle nie zaprzętał sobie głowy nauką, omal się nie uśmiechnął.

– Chyba pan żartuje.

– Ani trochę – zapewnił go Deide. – Nadal jesteś uczniem i nie rozumiem, dlaczego miałbyś rezygnować z nauki. Poza tym... Czy twój ojciec nie był Anglikiem?

Sacha już się nie uśmiechał. Nigdy nie mówił o ojcu.

– Hm... Chyba tak. – Wzruszył ramionami, ponownie wycofując się do swojej skorupy.

Ojciec Sachy pochodził z Wielkiej Brytanii. Ta informacja znajdowała się w szkolnych dokumentach, podobnie jak data jego śmierci.

– W takim razie powinieneś uczcić pamięć ojca, ucząc się jego języka – oznajmił Deide. – I nie rezygnując.

Podsunał Sachy zapisaną kartkę. Przez ułamek sekundy Sacha zastanawiał się, czy powiedzieć nauczycielowi, co może zrobić z tym świstkiem. Nie chciał jednak potraktować w ten sposób jedyne go człowieka, któremu nadal na nim zależało.

Westchnął demonstracyjnie i wziął do ręki kartkę. Widniało na niej kilka słów i adres mailowy, a także znajome nazwisko: Taylor

Montclair.

Tak jak podejrzewał, za wszystkim stał Deide.

– To mailowy adres twojej korepetytorki. – Nauczyciel wydawał się bardzo z siebie zadowolony. – Jesteście rówieśnikami. Mieszka w Anglii. Masz się z nią kontaktować przez internet, pisać do niej maile, czatować z nią po angielsku. Pomoże ci z gramatyką i nadrobisz zaległości. – Zebrał książki na stosik. – To przyjemny sposób nauki, non? Nie grożą ci już żadni wrzeszczący nauczyciele.

– Właściwie to już się ze mną skontaktowała – przyznał Sacha.

– Och, doprawdy? – Deide zerknął na niego.

– Kazałem jej spadać. Przy okazji, nie lubię, kiedy ludzie rozdają mój adres mailowy.

Deide z westchnieniem oparł się o biurko.

– Dla odmiany mógłbyś się zachować uprzejmie, Sacha – zauważył.

Sacha popatrzył na niego wyniośle.

– Jestem uprzejmy – odparł.

– Nie zamierzam grać z tobą w żadne gierki – warknął Deide. Sacha natychmiast się wyprostował. To było dziwne. Deide zazwyczaj nie wpadał w złość. – Nie proszę o wiele, po prostu daj jej szansę. Pogadaj z nią. Naprawdę może ci pomóc, jeśli jej pozwolisz.

Sacha ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w kartkę. Deide nieustannie szukał nowych sposobów, żeby mu pomóc. To było miłe z jego strony, choć nie miał pojęcia, że jego wysiłki są skazane na porażkę i to z powodów, których nauczyciel nigdy by nie zrozumiał.

Sacha pomyślał, że może przynajmniej powinien poudawać, że się stara, i tak okazać wdzięczność. To jednak nie było łatwe.

– Zobaczymy – oznajmił w końcu.

Deide westchnął i zabrał się do porządkowania papierów.

– Tobie nie da się pomóc – zauważył.

Nawet nie wiedział, że ma stuprocentową rację.

Kilka minut później Sacha szedł korytarzem, samotny w tłumie, i myślał o tym, że właściwie miał ochotę wyznać nauczycielowi prawdę i wyjaśnić mu, że nie stawia oporu dla zasady, tylko z konkretnego powodu.

„Nie może mi pan pomóc. Nikt nie może”, pomyślał.

Pod koniec lekcji Sacha był już całkiem uleczony. Zostały mu tylko najgorsze siniaki, które zawsze długo schodziły. Nie rozumiał, dlaczego jego kości goją się szybciej niż krwiaki, ale tak właśnie było.

Jak zwykle nieśpiesznie powędrował do domu, w ciemnych okularach na nosie i z głową ukrytą w kapturze, mimo ciepłego, słonecznego dnia. Nie rozmawiał z nikim i nikt nie rozmawiał z nim.

Tak jak lubił.

Budynek, w którym mieszkał z matką i siostrą, był typowy dla Paryża. Wyglądał jak pięciopiętrowy biały tort weselny. Sacha wszedł do znajomego holu, ignorując długie popołudniowe cienie na linoleum, a także zapach kurzu i środka do czyszczenia podłóg.

Wsiadł do niewielkiej windy wyłożonej imitacją drewna i wcisnął przycisk z trójką. Drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem i przez chwilę nic się nie działo. W końcu jednak, skrzypiąc głośno, winda ruszyła.

Mieszkanie było trochę zabałaganione, jak zawsze kiedy matka miała nocne dyżury w szpitalu. W zlewie tkwiło kilka brudnych naczyń, pod drzwiami wałała się niezebrała poczta, a narzuta w niebiesko-białe paski nie była złożona i schowana, tylko leżała zmięta na sofie.

Panowała tu głucha cisza. Drzwi pokoju matki były otwarte, promienie słońca padały na parkiet w przedpokoju. Matka najwyraźniej już wyszła. Młodsza siostra Sachy Laura często nie wracała aż do wieczora z lekcji albo zajęć pozaszkolnych.

Miał całe mieszkanie tylko dla siebie.

Zrobił sobie w kuchni kanapkę, po czym ruszył do swojego pokoju.

Za obopólną zgodą matka nigdy tu nie sprzątała i wygląd pokoju można było obecnie najłagodniej opisać jako postapokaliptyczny. Ubrania leżały na podłodze, podobnie jak piłka do futbolu, łóżko było niepościelone, wszędzie walały się książki i papiery, a także płyty DVD oraz gry komputerowe.

Sacha zignorował bałagan i ruszył do niewielkiego biurka przy oknie. Zrzucił na podłogę stos śmieci z blatu i odsłonił komputer, po czym go włączył.

Gdy urządzenie się uruchomiło, Sacha otworzył list od Angielki i z zamyśloną miną przeczytał go ponownie.

Po chwili wcisnął okienko „odpowiedz” i błyskawicznie wystukał: „Pogadajmy”. Potem dodał swój nick z czatu i wzmiankę o tym, gdzie go szukać. Tyle wystarczyło. W końcu nie znał tej dziewczyny, więc nie musiał wdawać się w szczegóły.

Deide prosił, żeby Sacha dał jej szansę, i tyle musiało wystarczyć.

Ugryzł pokaźny kęs kanapki i jedząc, myślał o tym, że coś w tej Angielce nie daje mu spokoju. Jej nazwisko brzmiało dziwnie znajomo, zupełnie jakby już je gdzieś słyszał.

Odłożył kanapkę, przyciągnął do siebie klawiaturę i wpisał w wyszukiwarkę „Taylor Montclair”.

Większość wyników nie miała z nią nic wspólnego – choćby uniwersytet w Ameryce czy jakaś firma sprzątająca. W wynikach

pojawił się jednak krótki tekst z lokalnej gazety w angielskim mieście Woodbury.

„W piątkowy wieczór miejscowa uczennica Taylor Montclair otrzymała ogólnokrajową nagrodę Młodego Wolontariusza Roku – głosił artykuł. – Nagrodą jest stypendium studenckie oraz dyplom. W ubiegłym roku zaledwie siedemnastoletnia Taylor zebrała kilka tysięcy funtów dla organizacji dobroczynnych, na co poświęciła ponad sto godzin pracy...”

Nie zamieszczono zdjęcia ani żadnych przydatnych informacji, coś jednak podpowiadało Sachy, że to właśnie o nią chodzi. Mail od Taylor był oficjalny i sztywny, jak na Wolontariusza Roku przystało.

Taylor Montclair, specjalistka od zbawiania ludzkości. To nie tłumaczyło, dlaczego jej nazwisko wydało mu się znajome, ale...

Na twarzy Sachy pojawił się złośliwy uśmiech.

„Zapowiada się interesująco”, pomyślał.

4

Gdy po szkole Taylor sprawdziła pocztę, od razu zobaczyła mail od Sachy.

„Pogadajmy”, przeczytała.

Właściwie powinna czuć się obrażona. Dlaczego uznał, że chciałaby z nim rozmawiać po jego idiotycznym mailu? Wpadła jednak w pułapkę. Rano Finlay przywołał ją do porządku, kiedy powiedziała, że Sacha nie chce korepetycji.

– Nie możesz podejmować się zadania i poddawać się przy pierwszych trudnościach – upomniał ją. – Za coś takiego będę zmuszony obniżyć ci ocenę. Jak chcesz się dostać do Oksfordu, skoro w obliczu przeciwności od razu składasz broń? – Popatrzył na nią surowo, wzrokiem zarezerwowanym dla najbardziej nieznośnych uczniów. – Muszę przyznać, że spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

Te słowa dziwnie do niego nie pasowały – zazwyczaj zachowywał się bardzo uprzejmie. Najwyraźniej ogromnie mu zależało na tym, żeby udzielała korepetycji temu francuskiemu palantowi.

Wzdychając, kliknęła link załączony do maila, a wtedy na ekranie otworzyła się strona o nazwie Rewolucyjny Czat. Nigdy o nim nie słyszała.

„No jasne, że musiał wybrać coś takiego”, pomyślała z irytacją.

Strona miała czarne tło ze skromną grafiką i logo w formie krwistoczerwonej pięści. Motto na górze ekranu brzmiało: „Konwersacje bez konsekwencji” i, jak napisano, wszystkie dyskusje na

tej stronie były darmowe i nie podlegały kontroli „żadnej organizacji rządowej ani biznesowej”.

Wydawało się jej to szemrane.

Próbowała obejrzeć profil Sachy, ale na ekranie błysnęła czarna czaszka i kości, a pod spodem pojawił się napis: „Zarejestruj się lub zdychaj!”.

Taylor zmarszczyła brwi i wpisała tylko podstawowe informacje. Okazało się, że imię, adres mailowy i zdjęcie wystarczą.

Wybrała pierwszą lepszą fotografię z katalogu w komputerze i ją załadowała. Georgie zrobiła jej to zdjęcie parę tygodni temu w parku – Taylor siedziała na trawie, śmiejąc się do rozpuku. Jej włosy były tak rozświetlone słońcem, że przypominały białą aureolę.

Na ekranie pojawiła się zielona uśmiechnięta czaszka, a pod nią napis: „Wchodzisz”.

– Straszne – mruknęła Taylor do siebie i wpisała nick Sachy.

Tym razem natychmiast wyskoczył jego profil z czerwonym napisem: „Offline”. Było tam jednak zdjęcie. Taylor pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć.

Chłopak w spłowiałym podkoszulku i dżinsach spoglądał na nią spod grzywy jedwabistych brązowych włosów. Był szczupły, miał wyraziste kości policzkowe i mocną szczękę, a jego szyja wydawała się wręcz krucha. Jednak to jego oczy ją zahipnotyzowały. Były przejrzystobłękitne i zuchwałe, patrzyły na nią wyzywająco.

„No i na co się gapisz? ”, pomyślała.

Musiała przyznać, że był atrakcyjny, nawet do pewnego stopnia fascynujący. Wydawał się też wściekły i zbuntowany. Ręce trzymał w kieszeniach, gdy piorunował wzrokiem obiektyw, zupełnie jakby nienawidził autora zdjęcia.

Strona profilowa nagle zniknęła, a na ekranie pojawiła się prawdziwa twarz Sachy, o wiele większa od tej na zdjęciu.

Zaskoczona Taylor odsunęła się gwałtownie.

Sacha zdawał się równie zdumiony co ona, ale szybko doszedł do siebie. Odchylił się na krześle i popatrzył na nią nieufnie.

Przez chwilę tylko mierzyli się wzrokiem. Sacha odezwał się pierwszy.

– Salut, profesorko. – Jego usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu, co zirytowało Taylor. – Chciałaś ze mną gadać, to jestem.

Miał zdumiewająco głęboki głos i aksamitny francuski akcent. Mówił jednak nieprzyjemnym tonem, w którym wyczuła lekceważenie.

– Ja... Co? – Zbita z tropu, przez chwilę szukała odpowiednich słów. – To ty chciałaś rozmawiać.

– Tylko dlatego że wydawałaś się zdesperowana.

– Zdesperowana? – Taylor od razu się najeżyła. – Wcale nie jestem zdesperowana. Muszę to robić w ramach pracy domowej. W ogóle nie chcę z tobą gadać, ale nauczyciel mnie do tego zmusza.

Sacha uśmiechnął się złośliwie.

– Zawsze robisz to, co ci każą? – spytał pogardliwym tonem, jakby posłuszeństwo było najgorszą wadą, jaka przychodziła mu do głowy.

Na policzkach Taylor pojawiły się rumieńce.

– To, że zależy mi na wykształceniu i przyszłości nie oznacza...

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Taylor wiedziała, że mówi jak typowa angielska kujonka, ale nie mogła się powstrzymać. Dlaczego był taki oporny?

Sacha machnął ręką, która przez chwilę wyglądała jak niewyraźna smuga.

- Daruj sobie i nie praw mi morałów o... - Urwał, szukając angielskiego słowa. - O znaczeniu wykształcenia. Przynudzasz.

Taylor popatrzyła na niego wilkiem. Miała ogromną ochotę walnąć Finlaya. Sacha nie potrzebował nauczyciela, tylko kuratora.

- Wcale nie zamierzałam prawić ci morałów - odezwała się po chwili lodowatym tonem. - Zadałeś mi pytanie, a ja odpowiedziałam. Poza tym skoro nie chcesz ze mną gadać, to po co ze mną gadasz?

Ku jej zdumieniu wybuchnął śmiechem. Szczerym, nie kpiącym.

- Touché - oznajmił i przez ułamek sekundy już nie wydawał się taki wrogi.

Korzystając z tego, Taylor zbliżyła się do monitora.

- Pytam poważnie. To oczywiste, że tego nie chcesz, więc dlaczego w ogóle tu jesteś?

- Bo ja wiem. - Popatrzył na nią uważnie. - Chyba po prostu byłem ciekawy. Poza tym nauczyciel mi kazał.

- Zawsze robisz to, co ci każą? - zacytowała go.

Znowu się roześmiał. Ten śmiech miał w sobie coś rozbrajającego. Był głęboki i przyjemny. Mimo to Taylor patrzyła nieufnie na Sachę, czekając, aż znów na nią naskoczy.

Nie zrobił tego.

- Okej, w porządku. - Uniósł ręce. - Przepraszam, że byłem taki zgryźliwy, po prostu nie jestem... - Zamilkł na chwilę. - Jak to się mówi po angielsku? W tej chwili nie jestem zainteresowany szkołą. Ale to nie twoja wina, że musimy to robić. Nie powinienem wyżywać się na tobie.

Jego huśtawki nastrojów przyprawiały Taylor o zawrót głowy.

- Masz rację, nie powinieneś.

Mówiła oschłym tonem, ale błękitne oczy Sachy wyrażały tak żywe zainteresowanie, że zwyczajnie nie mogła się na niego gniewać. Poza tym był jej potrzebny.

– Twój nauczyciel wydaje się podobny do mojego. Ma obsesję na punkcie tych korepetycji. – Patrzyła na niego z ciekawością. – Ale ty naprawdę dobrze mówisz po angielsku, więc nie wiem, o co mu chodzi.

Te słowa chyba sprawiły mu przyjemność.

– Dziękuję – powiedział.

Nie mogła nie zauważyć, że kiedy się uśmiechał, był bardzo przystojny. Miał niesamowite kości policzkowe.

– Mój nauczyciel ciągle nade mną stoi i chce, żebym więcej się uczył. Nigdy go nie słucham. – Wskazał ręką komputer. – To moja kara.

Zachowywał się nonszalancko i sprawiał wrażenie zbyt rozluźnionego. Nawet gdy podchodził do niej z sympatią, patrzył na nią tak, jakby ją oceniał i zastanawiał się, czy jest dostatecznie fajna. Przez to czuła się niepewnie. Nie wątpiła, że wolałby teraz spoglądać na kogoś w typie Georgie – na dziewczynę o idealnych włosach, makijażu i figurze. Na kogoś kto miał wszystko to, czego brakowało Taylor.

– Podobno prawdziwa Matka Teresa z ciebie – powiedział, jakby czytał w jej myślach i chciał udowodnić, że miała rację.

Taylor zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Taylor Montclair z Woodbury w Anglii, wolontariuszka roku, to ty, prawda? – Najwyraźniej zobaczył na jej twarzy zdumienie, bo dodał: – Prześwietliłem cię.

Oblała się rumieńcem, całkiem jakby nagroda, z której była dumna i która stała na półce nad biurkiem, nagle okazała się żenująca.

Wkurzyło ją, że przez niego tak się czuje. Ciężko pracowała na to wyróżnienie, to nie było byle co.

– Tak, no i co? – Zmusiła się do tego, żeby nie odwrócić wzroku. – Zależy mi i jestem inteligentna. Zazdrościsz?

Jeśli myślała, że ten wybuch go zniechęci, była w błędzie. Sacha nachylił się, oparł brodę na dłoni i przyjrzał się Taylor z zainteresowaniem.

– Chyba cię lubię, Taylor Montclair z Woodbury w Anglii. Gdybym potrzebował korepetycji z angielskiego, wybrałbym cię na korepetytorkę. Tyle że nie potrzebuję. Jak widzisz, dobrze mówię po angielsku.

Z tym nie mogła się nie zgodzić.

– Ale... Dlaczego twój nauczyciel uważa, że potrzebujesz mojej pomocy?

Sacha odwrócił wzrok.

– Nie wiem. Ostatnio niezbyt często chodziłem do szkoły. Po prostu nie jestem zainteresowany. Nauczyciel chyba próbuje mnie znowu zaangażować, ale nic z tego.

Taylor nie potrafiła ukryć zdumienia.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie chodzisz do szkoły?

Uśmiech Sachy znikł.

– Mam swoje powody. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale to dobre powody.

Mówił spokojnie, lecz Taylor zauważyła, że wkroczyli na niebezpieczne terytorium. Znowu wydawał się zgorzkniały, choć teraz wyczuwała pod tą goryczą coś jeszcze: strach i ból.

Odsunęła się od komputera. Przez jej głowę przelatywały tysiące myśli. W zasadzie nie wiedziała, co sądzić o Sachy. Był drażliwy i zdystansowany, zbuntowany i pogubiony. Bystry jak diabli, ale niezainteresowany nauką. Nie przypominał nikogo z jej znajomych.

Intrygował ją. Chciała go lepiej poznać, jednak żeby to było możliwe, musiała go przekonać do korepetycji.

– No cóż, to nie szkoła, tylko rozmowa między dwojgiem ludzi. – Postukała w monitor. – Nie prowadzę teraz lekcji. – Sacha przyglądał się jej z zainteresowaniem, gdy ciągnęła coraz szybciej: – Posłuchaj, obojgu nam się oberwie, jeśli przynajmniej nie będziemy udawali, że coś robimy. To może udawajmy? Nie będę ci udzielała korepetycji, ale pogadamy po angielsku na tej wyjątkowo podejrzanej stronie, albo przeczytamy książkę i ją omówimy. Nauczyciele się od nas odczepią, a przecież tak naprawdę nie musimy się uczyć. – Uniosła rękę. – Wszyscy na tym skorzystają.

Nie odpowiedział od razu, tylko obserwował jej twarz, jakby czegoś w niej szukał. Taylor nie rozumiała, dlaczego, ale z powodów, które nie miały nic wspólnego z Finlayem ani Oksfordem chciała, żeby się zgodził.

– Okej, Taylor Montclair – powiedział w końcu. – Będę twoim uczniem. – Uśmiechnął się zadziornie. – O ile nie będziesz próbowała mnie niczego nauczyć.

5

– Jesz to? – Tom wskazał nietknięte frytki na talerzu Taylor.

W milczeniu pokręciła głową i popchnęła ku niemu talerz.

Widząc, jak niewiele zjadła, siedząca naprzeciwko Georgie rzuciła jej pytające spojrzenie. Taylor umknęła wzrokiem. Nie miała ochoty przekrzykiwać muzyki, żeby zakomunikować, jak beznadziejnie się bawi, choć tak właśnie było.

Najpierw poszli na film, w którym tyle strzelano, że rozboliła ją głowa. Taylor nienawidziła brutalnych filmów, ale wszyscy poza nią chcieli go obejrzeć, więc się poddała.

Teraz siedzieli w restauracji przypominającej amerykańską jadłodajnię w stylu retro, gdzie serwowano wyłącznie hamburgery i koktajle mleczne, a muzyka grzmiała tak głośno, że nie dało się usłyszeć własnych myśli. Hałas tylko nasilał cierpienie Taylor.

Od dwóch miesięcy nawiedzały ją te dziwne bóle głowy. Gdy się zaczynały, mogła jedynie wziąć tabletki, zaszyć się w ciemnym pokoju i przeczekać. Mama twierdziła, że to migreny. Taylor wiedziała jedynie, że boli jak diabli.

Gdy następna piosenka zaczęła się od bębnienia perkusji, Taylor przycisnęła palce do skroni. Miała wrażenie, że ktoś rozwała jej czaszkę od środka młotem pneumatycznym, żeby wydobyć mózg.

Siedzący obok i niczego nieświadomy Tom zjadał jej frytki, śmiejąc się z czegoś, co powiedział Paul. Georgie z uśmiechem położyła rękę na ramieniu Paula, jakby chciała mu przypomnieć o swojej obecności. Już dawno temu wpadł jej w oko, a to była ich pierwsza randka.

Niestety, przez większość wieczoru Paul i Tom dyskutowali o wczorajszym treningu rugby i o przyszłotygodniowym meczu. Mimo to Georgie wydawała się szczęśliwa. W zasadzie wszyscy doskonale się bawili.

Wszyscy poza Taylor.

Nie chciała psuć im wieczoru, ale musiała się stąd wydostać. Kiedy kelnerka podeszła z pytaniem, czy życzą sobie coś jeszcze, Taylor wyprostowała się, zanim ktokolwiek zdołał otworzyć usta.

– Możemy już dostać rachunek? – zapytała.

– Poważnie, Tay? – odezwał się Tom, gdy kelnerka odeszła, kołyszając biodrami w spódniczce mini. – Dopiero dziesiąta. Myślałem, że jeszcze trochę tu posiedzimy.

Georgie też wydawała się rozczarowana.

– Naprawdę jest jeszcze okropnie wcześnie – zauważyła.

Taylor błyskawicznie wymyśliła całkiem sensowną wymówkę.

– Przepraszam, myślałam, że wiecie. Muszę dzisiaj wcześniej wrócić, bo rano mam sprawy do załatwienia z mamą i kazała mi się streszczać. Naprawdę bardzo przepraszam. Ale wy zostańcie.

Gdyby nie słyszała w głowie dudnienia w rytmie perkusyjnego solo dobiegającego z głośników, byłaby całkiem zadowolona ze spontanicznego i wiarygodnego kłamstwa. W zwykłych okolicznościach właściwie nie potrafiła nikogo oszukać, ale dzisiaj była zdesperowana i przyszło jej to bez trudu.

– Daj spokój, nie idź – poprosił Tom.

– Moglibyśmy wpaść do pubu na mojej ulicy – podsunął Paul i popatrzył na Georgie tak, jakby dopiero teraz zauważył, że jest całkiem niebrzydka. – Jest otwarty jeszcze przez godzinę.

Taylor ścisnęło się serce.

– Jesteśmy niepełnoletni – zauważyła. – Wywalą nas.

Paul uśmiechnął się z niezachwianą pewnością siebie.

– Znam właściciela, to przyjaciel mojego wuja. Ciągłe tam chodzę.

– Ale super – rozpromieniła się Georgie. – Prawda, Taylor?

Taylor sięgnęła po torebkę.

– Moim zdaniem będzie z tego problem – powiedziała.

– Ale z ciebie mięczak. – Tom wydawał się zirytowany. – Nigdy nie chcesz się zabawić, tylko się uczysz.

Obolała Taylor zapatrzyła się na niego. Naprawdę nie dostrzegął jej cierpienia? Wspominała mu o bólach głowy, jednak zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Interesowało go wyłącznie rugby.

– Dzięki za wsparcie, Tom – burknęła ironicznie.

Kelnerka wróciła z rachunkiem, a kiedy przyjrzała się towarzystwu, które manifestowało swoje niezadowolenie, krzyżując ręce na piersi i odwracając głowy, położyła go na stole.

– Wróć, kiedy będziecie gotowi – oświadczyła.

Taylor wyciągnęła z portfela banknot i rzuciła go na tacę, nawet nie patrząc na nominał. Miała w nosie, czy płaci za dużo, czy za mało. Liczyło się tylko to, żeby się stąd wydostać.

– Róbcie, co chcecie, ja idę do domu. – Wstała tak nagle, że krzesło wydało okropny dźwięk, rysując płytki podłogowe.

Ten dźwięk znikł jednak w jazgocie piosenki wyśpiewywanej, jak się zdawało, przez tysiące gardeł. Ogluszająca muzyka wirowała w głowie Taylor niczym stado wron, dziobiących jej mózg. Ledwie mogła myśleć i się ruszać. Zasłoniła uszy dłońmi, marząc o tym, żeby to wreszcie ucichło.

Pomieszczeniem nagle wstrząsnął potężny huk. Wszyscy jęknęli. Ktoś upuścił szklankę, która dźwięcznie rozleciała się na kawałki.

Potem zapadła cisza.

Pod sufitem pełzały wąskie smużki siwego dymu. Po sali, w której czuło się teraz lekki swąd palonego plastiku, biegali kelnerzy.

– Cholerne głośniki – rozległ się głos jednego z nich. – Po prostu wybuchły.

Taylor zwolniła dopiero w połowie drogi do domu. Zimne wieczorne powietrze chłodziło jej spocone plecy. Oddychała głęboko, jakby tlen mógł ją uzdrowić.

Nie czekała, żeby się dowiedzieć, jak doszło do eksplozji i co inni o tym myślą. W cudownej ciszy wymamrotała jakąś wymówkę i uciekła.

Nadal dudniło jej w głowie i nawet stukot obcasów na betonie wydawał się za głośny. Musiała jak najszybciej trafić do domu, do łóżka.

Znów przyśpieszyła kroku.

Woodbury było typowym angielskim miasteczkiem, z mnóstwem starych budynków z kamienia i cegły, kościółków i krętych uliczek. Przez środek miasteczka przepływała wąska rzeka, a po obu brzegach rozpościerały się pełne liściastych drzew parki. Taylor prawie nie zwracała uwagi na piękno tego miejsca. Urodziła się tutaj i wychowała. Dla niej to był po prostu dom.

Idąc, rozmyślała o wydarzeniach tego wieczoru, rozważała każdą swoją decyzję. Była pewna, że Georgie zauważyła jej kiepskie samopoczucie i się nie pogniewa, ale Tom? To całkiem inna sprawa.

Kiedy umówili się po raz pierwszy, nie posiadała się z radości. Tom był jednym z najlepszych sportowców w szkole, miał zawodowego trenera i chciał związać swoje życie z rugby. Wysoki i muskularny, wyglądał jak nastoletni jasnowłosy Adonis. Wszystkie dziewczyny

w szkole na niego leciały. Kiedy okazał zainteresowanie Taylor, nie mogła w to uwierzyć, podobnie jak Georgie.

Pewnego dnia podszedł do Taylor i zapytał, czy napisała wypracowanie z angielskiego, które trzeba było oddać przed końcem lekcji.

– Oczywiście – odparła ze zdumieniem.

– Hm... To dobrze. Ja też – oznajmił, dziwnie zdenerwowany, i odszedł w pośpiechu.

– Jasna cholera – mruknęła Georgie, odprowadzając go wzrokiem. – Wpadłaś mu w oko.

Taylor, która tego dnia miała na sobie podkoszulek z napisem „Książki to moje życie” i stare dzinsy, prychnęła z niedowierzaniem.

– Bzdura – skomentowała. – Jest przystojny i wszyscy go lubią.

– Wiem. – Georgie poprawiła idealny kucyk. – I najchętniej by się na ciebie rzucił.

Taylor z początku w to nie wierzyła, ale Tom był konsekwentny. Siadał obok niej w stołówce i na apelach, odrabiał z nią lekcje w bibliotece i przez cały czas próbował podbić jej serce. Miał ładny uśmiech i trudno było się oprzeć jego determinacji. W końcu przekonał Taylor, że to nie jest żaden kawał – wtedy się poddała i poszła z nim na imprezę. Tamtego wieczoru Georgie wybrała jej strój: krótką i podkreślającą kształty czarną sukienkę, w której nogi Taylor wydawały się dłuższe. Taylor zczesła kręcone włosy do góry i użyła nowego wiśniowego błyszczyka do warg. Ledwie mogła się rozpoznać w lustrze. Czuła się jak oszustka.

Zazwyczaj nie chodziła na zabawy, a gdy tamtego wieczoru pojawiła się na imprezie z Tomem, słyszała szeptki innych dziewczyn.

– Patrzcie, to ta kujonka, Taylor Jakaśtam.

- Co ona robi z Tomem?

Tamtego wieczoru Tom nie odstępował jej ani na krok. Nawet nie spojrzał na żadną inną. Taylor cieszyła się z jego obecności. Na tak nieznanym terytorium wydawał się bezpieczną przystanią.

Wtedy pocałowali się po raz pierwszy.

Potem stali się parą, a ich związek był całkiem w porządku. I tylko tyle, przynajmniej dla Taylor – w porządku. Nic więcej.

Nie czuła się komfortowo w tej relacji. Starła się o tym nie myśleć, zaakceptować sytuację, jednak zdarzały się chwile, w których nie mogła zrozumieć, dlaczego są razem. Nie interesował jej sport, a Tom nie lubił się uczyć. Nie miał żadnych zawodowych ambicji, które zaimponowałyby Taylor, gdyż nie uważała gry w rugby za odpowiednią ścieżkę kariery. Wkurzał się, gdy w weekendy nie chciała z nim chodzić na imprezy. Przed ważnym egzaminem schował jej podręcznik do fizyki, bo uznał, że „powinna wyluzować” i mimo błagań Taylor nie chciał go oddać. Tamtego dnia już miała z nim zerwać, ale Georgie jej to wyperswadowała. Wierzyła, że się dogadają.

Taylor nie była tego taka pewna. Odnosiła wrażenie, że nie kocha Toma. Nie miała motylków w brzuchu, gdy dzwonił, choć bohaterki książek i filmów tak właśnie się czuły. Nie brakowało jej tchu, kiedy na nią patrzył. Nie ogarniał jej entuzjazm, gdy pisał SMS-y, i nie wpadała w rozpacz, gdy ich nie pisał. Czasem w ogóle zapominała o jego istnieniu.

W duchu zaczęła podejrzewać, że coś z nią jest nie tak – no bo jeśli dziewczyna nie szaleje z radości, gdy dzwoni do niej muskularny Tom Berenson o błękitnych oczach i blond włosach, to chyba naprawdę wina leży po jej stronie. Tak się przynajmniej wydawało.

A może to wszystko było zupełnie normalne, jak twierdziła Georgie. Tom był pierwszym chłopakiem Taylor, więc zastanawiała się, czy inni w związkach przeżywają to samo: czują się skołowani i lekko zagubieni.

Być może wcale się tak nie czuli. Może powinna z nim zerwać raz na zawsze.

Skręciła z głównej ulicy w długą, spokojną uliczkę, przy której mieszkała razem z rodziną. Stały tu wiktoriańskie szeregowce i nowocześniejsze domy z cegły, każdy z małym frontowym ogródkiem pełnym kremowych róż i dojrzałych hortensji.

O tej porze panowała tu głucha cisza – ulica była pusta i pogrążona w mroku. Taylor była tuż przy domu, gdy nagle poczuła się dziwnie pewna, że ktoś ją śledzi. Włoski na jej karku stanęły dęba, a skóra mrowiła ją tak, jakby ktoś potarł ją w niewłaściwą stronę.

Taylor miała niezachwianą pewność, że nie jest sama. Ktoś ją obserwował.

Odwróciła się gwałtownie i uniosła rękę, przyjmując pozycję obronną, ale ulica była pusta. Taylor odkaszlnęła.

– Ktoś tu jest? – zapytała.

Nic nawet nie drgnęło.

Bardzo szybko ruszyła przed siebie, jednak z każdym krokiem jej niepokój wzrastał. Trudno było opisać to wrażenie – czuła zimno między łopatkami, jakby ktoś położył tam kostkę lodu.

Nie miała pojęcia, co się dzieje, wiedziała jedynie, że musi jak najszybciej dotrzeć do domu.

Kiedy dobiegł ją stukot szybkich kroków, panika chwyciła ją za gardło. Taylor chciała pobiec, ale czuła się tak, jakby uwięzła w sennym koszmarze. Nie mogła zmusić stóp do posłuszeństwa. Serce

waliło jej jak oszalałe, w pewnej chwili zachwiała się, potknęła o krawężnik i omal nie przewróciła.

Ktoś chwycił ją za ramię. Taylor wrzasnęła, usiłując się wyrwać.

– Taylor, co jest, do diabła?

Taylor uniosła wzrok i przez łzy ujrzała znajomą twarz.

– Georgie?

Brązowe oczy Georgie były pełne troski.

– Jasne, że to ja. – Wydawała się kompletnie zbита z tropu. – Taylor, nic ci nie jest? Czy coś się stało?

– Ja tylko... – Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, bo nie miała pojęcia, czy nic jej nie jest. Próbowwała robić wrażenie opanowanej mimo świadomości, że jej wysiłki skazane są na niepowodzenie – Wszystko w porządku, tylko mnie przestraszyłaś. Co ty tu robisz? Zostawiłam cię w restauracji.

Georgie patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Przyszłam sprawdzić, co u ciebie – odparła. – Wybiegłaś tak nagle, martwiłam się.

Taylor natychmiast się odprężyła. Ból głowy wpędzał ją w szaleństwo.

– Och, Georgie... – westchnęła. – Przepraszam, koszmarnie boli mnie głowa. Wydawało mi się, że ktoś za mną idzie... Nie miałam pojęcia, że to ty, i się przestraszyłam. – Uniosła ręce. – Mam nadzieję, że nie popsułam ci randki z Paulem.

Twarz Georgie złagodniała.

– Nie bądź niemądra. Mogę umówić się z Paulem, kiedy zechcę. Dlaczego nie powiedziałaś, że znów cię dopadł ten ból głowy? Chodź. – Objęła Taylor i poprowadziła ją po chodniku. – Odstawię cię do domu.

Gdy weszły do środka, Georgie zajęła mamę Taylor rozmową i przygotowała im po kubku gorącej czekolady.

– Naprawdę wszystko w porządku? – zapytała, gdy zostały same w pokoju Taylor. – Przez cały dzień dziwnie się zachowujesz. Dzieje się coś jeszcze?

– Nic mi nie jest – upierała się Taylor.

Mówiła szczerze. Teraz, gdy znalazła się w domu, z ciepłym kubkiem czekolady w dłoni, ból głowy zaczął ustępować i czuła się prawie normalnie.

Nadal jednak nie rozumiała, co zaszło na ulicy. Była absolutnie pewna, że ktoś ją obserwuje i że to raczej nie Georgie. Dotąd nigdy nie przeżyła niczego w tym rodzaju. To było bez sensu. Może to ból głowy wywołał ten atak paniki, a może stresowała się sytuacją z Tomem. Tak czy owak, nie miała pojęcia, jak to wytłumaczyć przyjaciółce, i dlatego postanowiła zmienić temat.

– Co się stało z chłopakami? – zapytała. – Poważnie, okropnie się czuję, że swoim głupim bólem głowy zepsułam ci superwieczór.

– Zostawiłam ich w restauracji – odparła Georgie, lekceważąco machając dłonią z paznokciami perfekcyjnie pomalowanymi lakierem (w odcieniu róż oceanu). – Jesteś ważniejsza niż jakaś nudna randka.

Taylor skrzywiła się wymownie.

– Georgie, nigdy nie umiałaś kłamać – oświadczyła. – Nawet nie próbuj zostać kryminalistką.

– Mówię poważnie – upierała się Georgie. – Miałaś kiepski wieczór, a moje miejsce jest przy tobie.

Taylor ani trochę jej nie wierzyła. Rozsiadła się wygodniej na łóżku.

– Wydawało mi się, że ty i Paul całkiem dobrze się dogadujecie. A jak ty uważasz? Latały iskry?

– O mój Boże. – Oczy Georgie rozbłysły. – To najbardziej ciachowate ciacho pod słońcem, co nie? – Powachlowała się. – Nawet nie umiem...

Taylor patrzyła na nią pobłaźliwie. To nie było nic nowego – Georgie miała skłonność do częstych i gwałtownych zauroczeń.

– Umówiliście się na następną randkę? Pasujecie do siebie.

– Wymieniliśmy numery telefonów. Powiedział, że zadzwoni. – Mina Georgie nieco zrzędała.

Chłopakom nie można było ufać w kwestii telefonów.

– Zadzwoni – zapewniła ją Taylor. – Przecież nie jest kompletnym idiotą. Poza tym widziałam, jak na ciebie patrzył.

Zanim Georgie zdążyła odpowiedzieć, jej telefon zaćwierkał i natychmiast odebrała wiadomość.

– Jesteś czarownicą? – Jej usta rozciągnęły się w radosnym uśmiechu.

– To on? – domyśliła się Taylor. – O rany, szybko poszło. To na pewno dzięki temu lakierowi do paznokci.

Georgie zignorowała ten komentarz.

– Poszedł z Tomem do pubu i chce wiedzieć, czy się tam z nimi spotkam. – Ledwie mogła usiedzieć z przejęcia. – Chyba naprawdę mu się podobam.

Taylor usiłowała cieszyć się razem z nią, ale była lekko przygnębiona. Nie chciała zostać teraz sama.

Rozczarowanie musiało być widoczne na twarzy Taylor, gdyż uśmiech Georgie zniknął.

– Naturalnie odmówię. Powinnam zostać z tobą – powiedziała. – Upewnić się, że dobrze się czujesz.

Taylor westchnęła ciężko i doszła do wniosku, że zachowuje się samolubnie. Już zepsuła Georgie ważną randkę z Paulem. Nie mogła teraz zniszczyć jej szansy na nielegalne upijanie się i macanki. Przyjaźń miała swoje granice.

– Nie bądź śmieszna – oświadczyła stanowczo. – Absolutnie nic mi nie jest, a poza tym pływam w czekoladzie. Idź i baw się dobrze.

Na twarzy Georgie widniała mieszanina nadziei i wątpliwości.

– Jesteś całkiem pewna?

– Idź. – Taylor zakołysała kubkiem. – Znikaj. Chcę zostać sama z tym gęstym gorącym napojem i stosem książek. Tu czuję się szczęśliwa.

Georgie zerwała się z łóżka i ruszyła do drzwi, ale na chwilę przystanęła.

– Jeśli znów źle się poczujesz, zadzwonisz, prawda? – zapytała.

– Obiecuję – odparła Taylor.

Zastanawiała się jednak, czy rzeczywiście tak zrobi.

Po wyjściu Georgie Taylor zwinęła się na łóżku z książką i próbowała zasnąć, jednak tylko przewracała się z boku na bok, nieustannie odtwarzając w głowie wydarzenia wieczoru.

Poddała się o pierwszej w nocy. Sięgnęła po laptop, który leżał na podłodze obok łóżka, włączyła go i rozparła się na poduszkach.

Od razu sprawdziła pocztę. W skrzynce czekał mail od Georgie, wysłany o północy.

W porządku, Tay? Mam nadzieję, że lepiej się czujesz. Mam ci tyle do powiedzenia o Paulu!! G. xxx

Taylor bez szczególnego zainteresowania przeglądała maile. Gdy dotarła do listu od Sachy, zatrzymała kursor na jego imieniu.

Nie rozmawiali od tamtej pogawędki na czacie, którą odbyli kilka dni wcześniej, ale Taylor nie mogła o nim zapomnieć. Okazał się

zupełnie inny, niż się spodziewała. Poza tym podobał jej się jego śmiech. Przy Sachy czuła podenerwowanie, którego nie rozumiała. Ale pociągało ją to uczucie.

Raz jeszcze przypomniała sobie dziwne, niezrozumiałe spojrzenie, które jej rzucił, gdy rozmowa zrobiła się zbyt poufała. Jego wzrok przepełniony był bólem.

Sacha skrywał w sobie coś więcej, niż można było wywnioskować na pierwszy rzut oka.

Zastukała palcami o brzeg klawiatury, po czym otworzyła pusty dokument.

Drogi Sacho,

miło się z Tobą rozmawiało. Myślałam o tym i przyszło mi do głowy, że moglibyśmy razem przeczytać książkę po angielsku.

Dałbyś radę znaleźć egzemplarz Buszującego w zbożu w oryginale? Myślę, że ci się spodoba.

Może porozmawiamy o tym jutro na tej okropnej stronie?

Z pozdrowieniami

Taylor

Wcisnęła „wyślij”.

6

Sacha przebudził się gwałtownie, wyrwany z głębokiego snu sygnałem telefonu podobnym do brzęczenia owada.

– Mhm? – wymamrotał w ramach powitania, odruchowo podnosząc słuchawkę.

– Sacha, mam pomysł – rozległ się głos Antoine’a.

– Mhm? – powtórzył Sacha i zamknął oczy.

– Sacha, słuchasz mnie? – wrzasnął Antoine.

Jego nosowy głos brzmiał tak irytująco, że Sacha się wzdrygnął.

– Tak, tak, słucham. Merde, Antoine... Czego chcesz, do cholery? I dlaczego dzwonisz tak wcześnie?

– Wcześnie? – Antoine zaśmiał się z niedowierzaniem. – Jest czwarta po południu, a ty jeszcze śpisz?

Sacha usiadł gwałtownie i rozejrzał się dookoła. Przespał cały dzień?

– Już nie – odparł, przecierając oczy. – Jaki masz pomysł, Antoine? Chcesz, żebym zeskoczył z wieży Eiffla?

Po tych słowach zapadła cisza.

– Posłuchaj, Sacha... Co do tamtej nocy... To tylko biznes, sam rozumiesz. Nie sądziłem, że to zrobisz. Chciałem ci tylko pokazać, jak poważnie podchodzą do sprawy ci ludzie. Nie wolno z nimi zadzierać.

To chyba były najszczerze przeprosiny, jakich można się było od niego spodziewać. A skoro w zasadzie to Sacha dla żartu zaproponował skok, właściwie nie mógł obarczyć winą Antoine’a. Co nie znaczyło, że mu ufał.

Przygładził ręką potargane po śnie włosy.

– W porządku, nie gniewam się. No to o co chodzi?

– Ten udawany skok... – W głosie Antoine'a ponownie dał się słyszeć entuzjazm.

– Wcale nie był udawany.

– Nieważne – zbył go Antoine. – Mógłbyś to powtórzyć?

– Chyba nie mówisz poważnie – zachnął się Sacha.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. Nie obchodzi mnie, jak to zrobiłeś, niech to będzie twoja tajemnica, ale... Stary, wiesz, jak to wyglądało? Przecież to niemożliwe. I genialne. Tak sobie pomyślałem – wszyscy ci ludzie, którzy chcą cię dorwać, mogliby ci darować, gdyby to zobaczyli. No i da się na tym nieźle zarobić.

Antoine był graczem. Lubił hazard, narkotyki i całą resztę. Sacha wiedział, że wchodzenie z nim w spółkę to kiepski pomysł – Antoine zadawał się z wyjątkowo nieprzyjemnymi ludźmi.

Usta Sachy rozciągnęły się w niebezpiecznym uśmiechu. Lubił zadzierać z takimi typami.

– Sam nie wiem – odparł z pozorną obojętnością.

– No to posłuchaj. – Antoine mówił szybko, jakby się bał, że Sacha nie pozwoli mu skończyć. – Udało ci się skoczyć z dachu i przeżyć. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale zrobiłeś i to było fantastyczne, kiedy potem zwyczajnie... odszedłeś. Putain... – zaklął, a w jego głosie Sacha usłyszał podziw. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Powinniśmy połączyć siły i przygotować widowisko. Ja ściągnąłbym ludzi, którzy chętnie zobaczą, jak to robisz raz jeszcze. Ludzi z pieniędzmi, lubiących hazard. Postawią pieniądze na twoją pewną śmierć. Będą się denerwować, szukać haczyka, ale i tak się złapią. Ciekawość zawsze zwycięża. Ja podkręcę atmosferę, a potem skoczysz i... Bam! – Krzyknął

tak głośno, że Sacha się wzdrygnął i odsunął telefon od ucha. – Otrzeiesz się i odejdziesz, a cała forsa trafi do nas.

Teraz Sacha już nie spał. Opuścił nogi na podłogę i usiadł na brzegu materaca, w zamyśleniu drapiąc się po nagiej piersi.

Plan był szalony, obaj mogli zginąć z rąk bandytów. No cóż, w zasadzie tylko Antoine mógł zginąć. Z takimi ludźmi nie warto było zadzierać.

Mimo to Antoine miał rację, na tym dałoby się sporo zarobić. Pół roku wcześniej Sacha pomógł mu przy kilku partiach pokera o wysoką stawkę, a za fatygę dostał świetny motocykl Yamaha. Tym razem zarobiliby jeszcze więcej. Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Nie zamierzał jednak zdradzać przed Antoine'em, że podjęcie tej decyzji przyszło mu bez trudu.

– Masz świadomość, że to boli? – zapytał z udawaną niechęcią. – No wiesz, skok z tak wysoka. To niełatwe.

Niemal słyszał, jak Antoine wzrusza ramionami.

– Daj spokój. Co, mam ci dać medal? Przecież nie zginąłeś.

Sacha nie mógł się nie roześmiać. Facet po prostu miał go w nosie.

Wyczuwając wątpliwości Sachy, Antoine zmienił taktykę.

– Posłuchaj, nie musisz tego robić co wieczór – powiedział przymilnym tonem. – Wystarczy, że skoczysz raz. Zgarniemy kasę i będzie po sprawie.

Antoine znał wszystkie gangi po tej stronie Paryża. Ich członkowie uprawiali każdy rodzaj hazardu: obstawiali wyścigi koni, psów, grę w kości... Sacha nie wątpił, że założyliby się o jego śmierć.

Poza tym co miał do stracenia? Zostało mu niespełna osiem tygodni. Dzięki tym pieniądzom mógłby kupić wszystko, czego zapragnie, albo wyjechać z Francji, gdzieś daleko, i uciec od swojego

popapranego życia. Zwiedziłby kawałek świata, zanim będzie po wszystkim.

– Świetnie. Skoczę, ale najwyżej z tej samej wysokości, co ostatnim razem. Umowa stoi?

– Żartujesz sobie? – krzyknął Antoine do telefonu. – Będzie idealnie! Zrobimy to w tym samym miejscu...

– I chcę sześćdziesiąt procent – przerwał mu Sacha.

– Hę? – wymamrotał Antoine. – Co? Dlaczego?

Sacha przeciągnął się leniwie i wstał.

– Bo to ja będę skakał – odparł.

Spotkanie o północy, tam gdzie ostatnio. Przyjdzie siedemnastu gości. Wszyscy obstawiają twoją śmierć. Będziemy bogaci.

Sacha ukradkiem przeczytał wiadomość od Antoine'a. Siedział przy kuchennym stole, naprzeciwko Laury. Matka stała przy zlewie, zmywając po kolacji i rozmawiając z siostrą Sachy. Była ubrana w zielony strój pielęgniarstwa, gotowa do pracy.

Sachę przeszył dreszcz. Siedemnastu hazardzistów. Wiedział, że Antoine naciągnie każdego z nich na co najmniej tysiąc euro – to była minimalna stawka. Część tych szaleńców pewnie zamierzała postawić więcej, żeby się popisać.

To mogło oznaczać nawet dwadzieścia tysięcy.

Dwadzieścia tysięcy! Nawet nie potrafił wyobrazić sobie tej sumy. Jaki rozmiar miałby taki stos banknotów, ile by ważył? Co można by za niego kupić?

Co oznaczałoby to dla rodziny?

Po śmierci ojca Sachy nie radzili sobie najlepiej. Matka ciężko pracowała, często biorąc podwójne dyżury w szpitalu, lecz mimo to po opłaceniu czynszu, rachunków i jedzenia niewiele im zostawało. Starła się ukrywać przed dziećmi powagę sytuacji, jednak Sacha

wiedział, że musieli się przeprowadzić do tego mieszkania, gdyż było tańsze niż dom, który zajmowali za życia ojca.

Popatrzył na matkę. Śmiała się z czegoś, co właśnie powiedziała jego siostra, a jej ciemne włosy lśniły w promieniach słońca wpadających przez okno z tyłu. Widział, jak bardzo się postarzała w ostatnich latach. Ból wrył na jej skórze głębokie zmarszczki. Ścisnęło mu się serce. Zasługiwała na szczęście, życie jej jednak nie rozpieszczało.

Przyszło mu do głowy, że gdyby skoczył, mógłby oszczędzić zarobione pieniądze, dzięki czemu i ona, i Laura byłyby odpowiednio zabezpieczone po jego odejściu. Ta perspektywa go pokrzepiła. Gdyby w swojej sytuacji zdołał pomóc rodzinie, nie wszystko poszłoby na marne.

Po drugiej stronie stołu Laura wyrzucała z siebie potok słów o dniu spędzonym w szkole. Skończyła trzynaście lat, ale ze złocistobrązowymi włosami ściągniętymi w kucyk wydawała się młodsza. I ona, i Sacha byli wysocy, mieli identyczne niebieskie oczy i wystające kości policzkowe. Twarz Laury upstrzona była jednak piegami, w przeciwieństwie do twarzy Sachy. Pomyślał z ulgą, że jako najmłodszemu dziecku i dziewczynce nie groziło jej to, czemu on musiał wkrótce stawić czoło.

Mama, Laura oraz siostra ojca Annie były całą jego rodziną. Nie miał dziadków ani krewnych, nikogo, kto pomógłby matce po jego śmierci. Skoczyłby i z najwyższego wieżowca, byleby tylko mama i Laura miały lepsze życie.

Matka wytarła ręce o ściereczkę i wzdychając niechętnie, popatrzyła na zegarek. Zbliżała się pora wyjścia. Nocne dyżury były lepiej opłacane, jednak bardzo ją wyczerpywały.

– Muszę lecieć – powiedziała i wyszła z kuchni.

Kilka minut później wróciła z torbą na ramieniu.

– Bądź w domu wieczorem, dobrze? – Posłała Sachy ostrzegawcze spojrzenie. – Nie zostawiaj siostry samej.

– Daj spokój, maman. – Laura skrzywiła się z irytacją. – Jestem dość duża, żeby zostawać sama.

– Nie podpuszczaj brata – powiedziała matka ponuro. – Jeśli wieczorem wyjdzie, chcę o tym wiedzieć. To ja ustanawiam tutaj reguły, prawda?

– Tak, maman – odparli chórem, zupełnie bez przekonania.

Matka posłała im po całusie i wyszła.

Za plecami matki Sacha mrugnął do siostry, a ona odpowiedziała tym samym, z dobrze mu znanym uśmiechem współniczki.

Przepastny stary magazyn na skraju portu Pantin zdecydowanie wymagał remontu. Miał pięć pięter i niegdyś składowano w nim dostawy bawełny, kawy oraz gumy w wielkich skrzyniach. Wtedy to miejsce tętniło życiem i panował w nim nieustanny gwar.

Czasy jednak się zmieniły. Wiele okolicznych magazynów zburzono, a w ich miejscu wznosiły się teraz nowoczesne budowle z klimatyzacją, wysokim ogrodzeniem i zaawansowanym systemem ochrony. Ten budynek zdołał ocaleć. Był całkowicie opuszczony, a wiele olbrzymich okien wybito. Nikomu nie chciało się go strzec. Zazwyczaj świecił pustkami, schronienia szukały w nim tylko szczury wodne i gołębie.

Dziś jednak było tu nietypowo tłoczno. Gromada wyglądających na twardzieli mężczyzn stała w bezpiecznej odległości od skraju dachu.

– Bardzo wysoko, non? – wymamrotał jeden z nich.

- Dzieciak upadł na głowę – oznajmił drugi bez cienia współczucia czy choćby zainteresowania w głosie. – Albo wygramy, albo ktoś nas wrabia.

- Nie bardzo wiem, jak miałby nas wrobić – zauważył ten pierwszy i zamachał papierosem. Czerwony żar zamrugał w ciemności. – Mam swoich ludzi na górze, na dole i na schodach... Nic mi nie umknie. Jeśli z nami pogrywa, będę to wiedział.

Antoine zajął się wszystkim – sporządził listę zakładów i nawet dał zaproszonym gościom czas na inspekcję magazynu. Dzięki temu mogli się przekonać, że nie ma tam żadnych drutów ani sznurów, tylko gładkie mury i śmiertelnie twardy beton w dole.

Rozmawiali o najbardziej ponurych szczegółach. A jeśli Sacha przeżyje, lecz będzie sparaliżowany? A jeśli obumrze jego mózg? Każda kwestia została rozpatrzona ze wszystkich stron, a zakłady ustalone.

Na skraju dachu Sacha stał samotnie, całkiem odprężony, mimo że jego stopy częściowo znajdowały się nad przepaścią. Chłodny wiatr poruszał jego włosami i łopotał czarnym podkoszulkiem. Sacha ani razu nie obejrzał się za siebie.

Żaden z mężczyzn nie przyznałby się do niepokoju, jednak wszyscy byli zdenerwowani.

W nadziei na wyższe zakłady Antoine zagrzewał tłumek.

- Pięć pięter. Oto odległość dzieląca nas od ziemi, panowie. Pięć wysokich pięter bez siatki czy materaca. Bez sznura i sztuczek. Ten oto mój przyjaciel... – wskazał na Sachę – ...skoczy na mój znak.

Przez gromadę przetoczyły się rozgorączkowane szepty. Hazardziści uwielbiali ten moment, tuż przed rozpoczęciem gry. Dzięki temu czuli, że żyją i że mają władzę. Mogli wygrać albo

przegrać, jednak najbardziej pociągał ich dreszcz emocji i ryzyko. Dziś jednak mieli pewność, że będą górą i zobaczą, jak chłopak ginie.

Dla wielu z nich to nie był pierwszy raz – przed Sachą inni również próbowali dokonać nieprawdopodobnych wyczynów dla pieniędzy i polegli. Dla kilku mężczyzn było to jednak nowe doświadczenie, gwałtowne i przyprawiające o zawrót głowy zupełnie jak skok, do którego szykował się Sacha. Ci ludzie wydawali się lekko zielonkawi, a ich ręce drżały, gdy odpalali papierosa od papierosa.

Sacha zapatrzył się w ciemność, na skrawek betonu w odległości pięciu pięter. We mgle nie było go dobrze widać, przypominał wytwór sennej wyobraźni.

Ledwie dostrzegał sylwetki zgromadzonych przed budynkiem mężczyzn. Mieli dopilnować, żeby wszystko przebiegło jak należy i żeby Sacha zabił się na ich oczach, a oni zgarnęli wygraną.

Sacha nie słyszał ani słowa z tego, co Antoine mówił do grupki za nim. Skupiony, czekał na sygnał. Nie czuł strachu, bo niby czego miał się bać?

W końcu, jakby w oddali, rozległy się słowa, na które czekał.

– A teraz, panowie, chłopak skoczy. Zobaczycie, co potrafi. Trzy... dwa... jeden...

Sacha skoczył.

Po ostatnim razie wiedział, czego się spodziewać. Świst wiatru w jego uszach wydawał się nienaturalnie głośny i przypominał krzyk. Sacha zacisnął zęby, żeby nie ugryźć się w język. Jego koszulka się zadarła. Podkurczył palce u stóp, żeby nie spadły z nich adidasy.

Ziemia zbliżała się ku niemu tak szybko... Za szybko.

Ścisnęło mu się serce. Odruchowo obrócił się w powietrzu, jakby chciał zwolnić, zatrzymać się.

A potem uderzył w beton.

Jakby z wielkiej oddali usłyszał chrzęst łamanych kości. Krzyczałby, gdyby mógł.

A potem, przez krótką sekundę, nie było nic.

Zapanował spokój.

Sacha zamrugął.

Szorstki beton, przyciśnięty do jego porozdzieranej skóry, był lodowaty.

Wszystko go bolało, każdy fragment ciała. Każdy mięsień i każda kość.

Było gorzej niż ostatnio. Gorzej niż kiedykolwiek.

Stopy Sachy drgnęły. Gdy się poruszył, usłyszał jęki i mamrotania.

– Matko boska, żyje – rozległ się chrapliwy męski głos, w którym słyszeć było strach.

Ten głos przedarł się przez mgłę bólu i przypomniał Sachy, gdzie jest i jak się tu znalazł, i czego od niego chcą. Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny.

Najwyraźniej zbyt krótko.

Wyczuwał na sobie spojrzenia, słyszał szelest, gdy przestraszeni mężczyźni podeszli bliżej. Tłumiąc jęk, powoli uniósł rękę, żeby osłonić oczy.

Początkowo niewiele dostrzegał, wszystko wydawało się zamazane. Kiedy jednak zaczął odzyskiwać ostrość widzenia, ujrzał, że grupka się cofa, całkiem jakby cierpiał na chorobę zakaźną.

Wcale się im nie dziwił. Musiał wyglądać okropnie. Miał ochotę leżeć na betonie, ale wiedział, że pora wstać i zrobić wrażenie na publiczności.

Z ponurą determinacją podźwignął się na nogi, tłumiąc jęk. Starał się nie pokazywać po sobie, jak cierpi.

Każdy ruch był wręcz nie do zniesienia. Sacha jeszcze nigdy nie czuł tak przeraźliwego bólu. Najwyraźniej eksplodowała część organów wewnętrznych. Wiedział, że wiele kości się połamało, a serce na chwilę stanęło – zauważył tę dziwną, wszechogarniającą ciszę.

Wszystko jednak zaczęło się już naprawiać i czuł, jak jego ciało zdrowieje, a strzaskane kości znów się łączą. Organizm odbudowywał to, co Sacha tak lekkomyślnie zniszczył. Dochodził do siebie, czy tego chciał, czy nie.

Tłumek mężczyzn robił się coraz bardziej niespokojny.

– Jak to możliwe? – wymamrotał ktoś.

Opryszek w skórzanej kurtce przeżegnał się pośpiesznie.

– To sztuczka – rozległ się czyjś głos.

– Zgadza się, ale jaka? – Pierwszy mężczyzna ze zdumieniem popatrzył na pozostałych. – Przecież słyszałem, jak walnął o beton, a wy to widzieliście. Tego się nie da przeżyć. – Z bezpiecznej odległości wskazał drżącą ręką na Sachę, który tylko zamrugał. – Chłopak był martwy, a teraz... nie jest.

– To niemożliwe – upierał się ten drugi. – To oszustwo.

Sacha mógł im powiedzieć, że to nie była sztuczka, magia ani iluzja. Tak po prostu się działo. Musiał umrzeć w dniu swoich osiemnastych urodzin i ani dnia wcześniej. To, co później miało go zabić, dziś ocaliło mu życie.

Milczał jednak, bo i tak by nie uwierzyli.

Tłumiąc ból, zmusił się do szyderczego ukłonu przed grupką mężczyzn, którzy patrzyli na niego z pełnym przerażenia zdumieniem.

Jedno wiedział na pewno – będą o tym gadać jeszcze przez długie lata.

Reszta widzów, którzy z dachu obserwowali upadek, wyłoniła się teraz z magazynu. Na ich czele szedł Antoine z twarzą rozpromienioną uśmiechem satysfakcji z ogromnego zysku. Mrugnął do Sachy, po czym odwrócił się do zebranych i zatarł ręce.

– Panowie, a teraz pozwolę sobie zebrać wasze pieniądze...

7

Wczesnym wieczorem następnego dnia Sacha w końcu wygramolił się z łóżka, pojękując przy każdym ruchu. Nie było tak źle jak wczoraj, ale wciąż czuł się obolały i sztywny, całkiem jakby ciało postanowiło go ukarać.

W prześwicie między zasłonami widział, że promienie zachodzącego słońca zalewają ulicę. On sam nie był w słonecznym nastroju. Po tej nocy powinien przepelniać go entuzjazm, tymczasem Sacha czuł się gorzej niż kiedykolwiek. Miał wrażenie, że jest przeklętym i zagubionym dziwadłem. Skok odbił się nie tylko na jego ciele, ale i na psychice.

Sacha poprawił zasłony, żeby złociste promienie nie mogły rozświetlić ciemności pokoju, po czym zamarł pośród bałaganu.

Brudne ubrania leżały na podłodze obok pustych opakowań po chipsach, talerzy z resztkami jedzenia, kartek i opróżnionych butelek po napojach. Sacha bosą stopą popchnął stos książek i patrzył obojętnie, jak osuwają się na wykładzinę.

Kiedyś uwielbiał czytać, jednak im bliżej był kresu, tym bardziej się obawiał, że pewnego dnia trafi na powieść, którą naprawdę pokocha, i nigdy nie będzie miał szansy poznać zakończenia. Z tego samego powodu zrezygnował niemal ze wszystkiego, co kiedyś sprawiało mu radość: z przyjaźni, nauki, miłości.

Wśród chaosu na podłodze leżała otwarta szkolna torba Sacy, z której wysypały się pliki spiętych recepturkami banknotów.

Mężczyźni postawili o wiele większe pieniądze, niż spodziewał się Antoine. W torbie znajdowało się dwadzieścia tysięcy euro. Wystarczy, żeby matka kupiła całkiem niezły samochód, albo mnóstwo jedzenia.

Wiedział, na co sam by je przeznaczył.

Podniósł torbę, usiadł na łóżku i ostrożnie, niemal nabożnie ułożył pieniądze w okazałą stertę. Teraz już miał świadomość, jak to jest dotykać takiej gotówki i ile ona waży.

Chwycił jeden plik i przewertował banknoty kciukiem, czując na twarzy delikatny powiew. Pieniądze pachniały atramentem i starym papierem. Podobał mu się ten zapach.

Coraz trudniej mu było ginać. Coraz bardziej bolało.

Ale warto było, cholera.

Wyobraził sobie, ile by zarobił, gdyby skakał dwa do trzech razy w tygodniu. Cierpienie byłoby nie do wytrzymania, ale pieniądze płynęłyby szerokim strumieniem. Gdyby umarł jeszcze kilka razy, być może matka dałaby radę kupić lepsze mieszkanie.

Te marzenia szybko jednak przysły, odegnane przez rzeczywistość. Pieniądze oznaczały kłopoty. Musiał umieścić tę gotówkę w bezpiecznym miejscu. Gdyby matka ją odkryła, zażądałaby wyjaśnień, a on nie zamierzał opowiadać jej, skąd się wzięły. W mieszkaniu nie było zbyt wiele kryjówek, więc nie mógł zanadto kombinować.

Podszedł do biurka, wysunął jedną z dolnych szuflad, po czym bezceremonialnie wysypał jej zawartość na podłogę. Następnie upchnął wszystkie pieniądze w głębi, przykrył je starymi wypracowaniami i dorzucił jeszcze kilka książek. Potem szybkim ruchem ręki oczyścił blat, posyłając papiery oraz podręczniki na podłogę, i uruchomił komputer.

Automatycznie włączyła się poczta, w której oskarżycielsko migotała ponad setka nieprzeczytanych wiadomości. Przejrzał maile bez otwierania. Listy ze szkoły, reklamy rzeczy, których nie chciał... Nic interesującego. Nagle jedno imię przykuło jego uwagę.

Taylor.

Kliknął na mail, a gdy go przeczytał, usiadł wygodniej na krześle i zapatrzył się na sufit, rozważając możliwości.

Te całe korepetycje go irytowały. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż spełnianie zachcianek Deidego i jakiejś Angielki, która nic o nim nie wiedziała. Mimo to nie zamknął maila.

Wyobraził sobie, jak wyznaje Taylor prawdę o swoim życiu. Co by sobie pomyślała? A gdyby widziała go dziś w nocy?

Uciekłyby z wrzaskiem.

Jego styl życia był wyjątkowo odległy od jej idealnego świata. Była taka czysta, taka... normalna. Mogło się wydawać, że nauczyciele wybrali dwie najmniej dopasowane osoby na świecie i zmusili je do współpracy.

Powinien się skupić na układzie z Antoine'em i zarobić więcej pieniędzy dla rodziny. Powinien korzystać z ostatnich dni życia. Nie mógł jednak nie myśleć o tym, jak Taylor na niego patrzyła. Nie była piękna w hollywoodzkim stylu, ale ładna w nieświadomy sposób, jak dziewczyny, które nie zdają sobie sprawy ze swojej urody. Miała twarz w kształcie serca i niezwykle oczy, zielone jak woda w jeziorze. Pomyślał, że chętnie pogadałby z osobą, która nie miała pojęcia o jego fatalnym stanie - z osobą, która podpisywała maile „z pozdrowieniami”, całkiem jakby uprzejmość przychodziła jej bez najmniejszego trudu.

Poza tym lubił się z nią drażnić. Była urocza, kiedy się wściekała. To przesądziło sprawę. Postanowił dać jej jeszcze jedną szansę, zanim podejmie decyzję.

Wpisał lapidarną odpowiedź:

Spotkajmy się wieczorem, o dziesiątej twojego czasu. Wiesz, gdzie.

Sacha

Gdy skończył, poszedł do kuchni zrobić sobie kanapkę. Tam właśnie wpadł na matkę.

– Zjesz z nami kolację? – zapytała. – Mam wolny wieczór. Byłoby miło dla odmiany usiąść przy rodzinnym posiłku.

– Pewnie – odparł. – Nie mam dziś nic szczególnego do roboty. Muszę tylko pogadać z angielską korepetytorką.

Ujrzał zdumienie na twarzy matki.

– Masz korepetytorkę?

Wzruszył ramionami, jakby to była oczywistość.

– Nie jestem totalnym idiotą – oznajmił z udawaną urazą w głosie. – Naprawdę dbam o swój umysł.

Matka parsknęła śmiechem, a z pokoju gościnnego dobiegł ich chichot Laury.

– Sacha ma korepetytorkę? Świat się kończy? Trzeba się pakować?

Sacha uniósł ręce.

– Śmiejcie się, śmiejcie, ale to prawda – burknął. – Będziemy razem czytali książki po angielsku.

– To fantastycznie – powiedziała matka. – Po prostu jestem trochę zaszokowana.

Sacha ugryzł kęs kanapki.

– Nie wierzę, że powątpiewasz w moje naukowe zaangażowanie – odparł z pełnymi ustami.

Laura stanęła w progu kuchni i oparła się o framugę.

– Przez cały rok nie słyszałam nic śmiesznieszego – oznajmiła.

– Dobra, wystarczy. – Sacha cisnął w nią kromką chleba, jednak Laura zdołała ją złapać.

– Nie rzucać jedzeniem – rozkazała matka, ale uśmiech złagodził jej słowa. – Kim jest ta twoja korepetytorka? To ktoś ze szkoły?

– Nie. – Sacha przełknął kęs kanapki. – Deide wszystko zaaranżował. To dziewczyna z Anglii, ma na imię Taylor. Taylor Montclair.

Szklanka wyśliznęła się z ręki matki i roztrzaskała na terakocie. Kobieta stała przez długą chwilę całkiem nieruchomo, wpatrując się nieobecny wzrokiem w okruchy szkła u swoich stóp.

Rodzeństwo wymieniło zaskoczone spojrzenia.

– Maman? – Laura z lękiem popatrzyła na matkę. – Nic ci się nie stało?

– Ale ze mnie niezdarą – wymamrotała matka, sięgając po szufelkę. – Naprawdę lubiłam tę szklankę.

W jej głosie dało się słyszeć dziwne napięcie.

Sacha milczał, obserwując ją ze zmarszczonymi brwiami. Najwyraźniej nazwisko Taylor wzbudziło jej niepokój – nie miał co do tego wątpliwości.

Zanim jednak zdążył ją o to zapytać, telefon w jego kieszeni gniewnie zabuczał. Sacha zerknął na ekran i zaklął pod nosem, po czym w pośpiechu wrócił do pokoju, przyciskając aparat do ucha.

– Co się stało, Antoine? Jestem teraz zajęty.

Z drugiej strony dobiegło go tylko chrapliwe dyszenie i odgłos szybkich kroków, jakby ktoś biegł.

– Antoine? – Sacha zamarł. – Co się dzieje?

- Sacha, mamy kłopoty. - Głos Antoine'a roznosił się dziwnym echem, jakby dobiegał z dna jaskini.

W tle dało się słyszeć pośpieszne, spanikowane kroki i plusk.

- Jakie kłopoty?

- Ci faceci od zakładów... Ścigają mnie - odparł Antoine z przejęciem. - Musisz szybko się zjawić albo będzie po mnie.

Było źle. Antoine niczego się nie bał, teraz jednak wydawał się przerażony.

- Co się stało, do cholery? - Sacha starał się mówić jak najciszej.

- Myślą, że ich oszukaliśmy. Chcą odzyskać swoje pieniądze, ale ja ich nie mam. Tak czy owak zabiją mnie i mówią, że tobie też dobrać się do skóry. Ja im wierzę. - Antoine odetchnął nerwowo. - Już po nas.

Sacha zamknął oczy i mocniej ścisnął komórkę.

- Gdzie jesteś? - spytał.

Kilka minut później Sacha włożył adidas, czarną bluzę z kapturem i ruszył do drzwi. Na widok kluczy w jego dłoni matka od razu się zachmurzyła.

- Dokąd idziesz?

- Nie przejmuj się - powiedział z wymuszoną nonszalancją. - Ktoś potrzebuje mojej pomocy, ale to drobiazg. Wrócę na kolację.

Matka westchnęła. Już nie wydawała się zaniepokojona tak jak wtedy, gdy wypowiedział nazwisko Taylor. Teraz była tylko rozczarowana.

- Mam nadzieję. - Umilkła, jakby się zastanawiała, czy dodać coś jeszcze. - Sacha... Czasem wydaje mi się, że mnie unikasz, żebym później za tobą nie tęskniła. Jest tak, jakbyś już odszedł. - Przygryzła wargę i spojrzała na niego pytającym wzrokiem. - Proszę, przestań się

tak zachowywać. Chcę, żebyśmy razem spędzili czas, który nam pozostał. Jak rodzina.

Sacha stał w progu, z całej siły ściskając klucze. Matka wybrała sobie najgorszą możliwą chwilę na rozmowę o tej sytuacji. Antoine mógł już nie żyć.

Minął już ponad rok, odkąd mu powiedziała, co go spotka. Początkowo jej nie wierzył. To zakrawało na szaleństwo. Był zdezorientowany i urażony, jednak gdy zginął po raz pierwszy, uświadomił sobie, że to prawda.

Pobił się z jakimiś chłopakami, o wiele większymi od niego. Był zły, szukał kłopotów i chciał przysporzyć komuś bólu, jednak koniec końców to on ucierpiał.

Wystarczył jeden mocny cios w szczękę. Sacha poleciał do tyłu i tak nieszczęśliwie uderzył głową w krawężnik, że złamał sobie kark. Ostatnie, co usłyszał, to trzask pękających kręgów szyjnych. Gdy ocknął się kilka minut później, czuł się tak, jakby przejechała go ciężarówka. Chłopaków już nie było.

Wtedy uwierzył.

Właśnie od tamtego czasu unikał rodziny, rzucił szkołę, zerwał przyjaźnie i przestał spotykać się ze swoją dziewczyną.

W niczym nie widział sensu. Całe jego życie było oszustwem i na dodatek dobiegało końca.

Im bardziej się wycofywał, z tym większą determinacją jego matka starała się zachowywać optymizm. Wszystko w domu stało się supernormalne. Tak rzadko wspominali o losie czekającym Sachę, że czasami zastanawiał się, czy przypadkiem o tym nie zapomniała.

Nie mógł jej wybaczyć tego, że nie próbowała o niego walczyć. Dowiedział się od niej, że ojciec się starał, ale po jego śmierci matka po

prostu... dała za wygraną.

Nie wątpił, że go kocha, ale nie kiwnęła palcem, by go ocalić. To bolało bardziej niż umieranie.

Dlatego jej unikał, tak jak unikał dawnego życia i szkoły. Od wielu miesięcy starał się ukrywać. Dopiero teraz, gdy zbliżał się koniec, zaczynał tego żałować. Skoro dane mu było przeżyć tylko siedemnaście lat z rodziną, mógł przynajmniej zrobić wszystko, żeby to było udanych siedemnaście lat.

– Obiecuję, maman – oznajmił spokojnie. – Przyjdę na kolację.

Widział w jej oczach nieme pytanie i to go bolało. Nie miał jednak czasu.

– Muszę iść – dodał.

Ucałował ją w policzek i pędem wybiegł z mieszkania.

Podziemny parking był cichy i pogrążony w półmroku. Rozjaśniały go tylko nieliczne migotliwe jarzeniówki, upstrzone niezliczonymi zwłokami owadów samobójców.

Sacha zostawił motocykl tam gdzie zawsze, za kubłami na śmieci, z dala od roztargnionych kierowców, którzy wycofywali się z parkingu bez patrzenia w lusterko wsteczne.

Nawet w tak marnym świetle motor lśnił jak czarne złoto. Sacha wygrał go zaledwie kilka miesięcy wcześniej od jednego ze współników Antoine'a, po szczególnie niebezpiecznej nocy hazardu. Kochał tę maszynę bardziej niż wszystko – poza rodziną. Była to Yamaha FJR 1300, najwspanialszy motor pod słońcem.

Płynnym, wyćwiczonym ruchem Sacha włożył kask, wsiadł na motor i uruchomił silnik.

Pod adresem podanym przez Antoine'a stał zrujnowany wieżowiec z lat sześćdziesiątych. To osiedle, oddalone zaledwie o kilka

kilometrów od domu Sachy, było wyjątkowo parszywe.

Większość ludzi spoza Paryża myśli, że całe miasto to jedna wielka turystyczna atrakcja – mlecznobiałe budynki i ulice wysadzone drzewami. W rzeczywistości poza ścisłym centrum to miasto jak każde inne, pełne pasażerów handlowych, brzydkich dużych outletów i parkingów.

Paryż ma nie tylko dobre, ale i kiepskie dzielnice – takie jak ta.

Sacha mijał stłoczone nowoczesne bloki zabazgrane przez grafficiarzy. Zalegające na ulicy śmieci chrzęściły pod oponami.

Pod budynkiem ujrzał niewielką grupkę facetów, którzy bez wątpienia szukali kłopotów. Minął ich bez zatrzymywania, a oni odwrócili za nim głowy. Nie podobało mu się, jak patrzą na jego motor.

Chciał zawrócić i pojechać do domu, ale to nie wchodziło w grę. Choć Antoine nie był jego przyjacielem, to gdyby goście od zakładów postanowili go wykończyć i poszukać jego współnika, równie dobrze mogli skrzywdzić rodzinę Sachy. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Po krótkich poszukiwaniach znalazł odpowiednie miejsce za garażem kilka ulic dalej i ukrył tam motocykl, po czym wrócił do budynku. Z kapturem naciągniętym na głowę przebiegł obok grupki mijanych wcześniej facetów, nawet na nich nie patrząc. Gwizdali na jego widok, ale żaden z nich nie ruszył za nim, gdy Sacha wpadł na prowadzące do piwnicy betonowe schody.

Na dole popchnął ramieniem podwójne metalowe drzwi zabazgrane graffiti. Otworzyły się, skrzypiąc na znak protestu. Po drugiej stronie wszedł w wąski przemysłowy korytarz, kiepsko oświetlony kilkoma migającymi gołymi żarówkami.

Wykonane farbą w sprayu napisy pokrywały betonowe ściany, jednak Sacha nie zdołał odszyfrować słów. Z biegiem czasu jedne bazgroły przysłoniły inne, aż w końcu w powstałym chaosie niczego nie dało się odczytać. Na ścianie po lewej stronie znajdował się rząd drzwi – wyglądało na to, że wszystkie wybito kopniakami.

Dawno, dawno temu były to zapewne piwnice mieszkańców bloku, jednak już nikt nie przechowywał tutaj niczego, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość.

Wkrótce Sacha minął ostatnią żarówkę i otoczył go mrok. Wszędzie śmierdziało moczem i czymś jeszcze – czymś znacznie gorszym.

Początkowo słyszał tylko odgłos własnych kroków, ale nagle dobiegły go pełne złości odległe głosy i przenikliwy krzyk. Sacha wyciągnął z kieszeni telefon. Uniósł go, oświetlając sobie drogę, i przyśpieszył kroku. Przystanął dopiero przed zniszczonymi drewnianymi drzwiami z numerem trzydzieści siedem.

– Antoine? – zawołał cicho.

Odpowiedziało mu jedynie dudnienie własnego serca.

Ostrożnie przyłożył rękę do drzwi i je popchnął. Uchyliły się bez trudu i zobaczył pogrążone w ciemnościach pomieszczenie.

Tu smród był jeszcze silniejszy. Sacha zasłonił dłonią usta i nos, a następnie przekroczył próg i znieruchomiał w oczekiwaniu, aż jego wzrok przywyknie do mroku.

Ekran telefonu rzucał bladoniebieskie światło na niewielkie kwadratowe pomieszczenie. Wilgoć sączyła się z betonowych ścian, a po podłodze walały się śmieci. Sacha dostrzegł na niej również inne kształty, lecz wolał się nie zastanawiać, co to takiego.

Pomyślał, że ta piwnica to idealne miejsce na morderstwo.

Moment później zauważył Antoine'a, który siedział na krześle, przyciskając brodę do piersi. Ogromny mężczyzna trzymał lufę pistoletu przy jego skroni.

Tatuaże i grymas twarzy osiłka idealnie pasowały do otoczenia. Ogarnięty lekką histerią Sacha pomyślał, że facet jest stworzony do tej roboty.

„Tylko spokojnie”, przykazał sobie. Wsunął ręce do kieszeni i przybrał pewny siebie, pogardliwy wyraz twarzy.

– Naprawdę umiecie się bawić, chłopaki – oznajmił.

Osilek błyskawicznie w niego wycelował, a Antoine uniósł głowę. W jego oczach pojawiła się ulga.

– Sacha! – krzyknął. – Przyszedłeś.

Z nosa Antoine'a spływała krew, przez co wyglądał tak, jakby miał dziwacznie czerwone wąsy i brodę. Jedno jego oko było całkiem zapuchnięte.

– No jasne. – Sacha wzruszył ramionami, jakby codziennie był w takich miejscach.

– Widzisz? – Antoine popatrzył na oprycha z pistoletem. – Mówiłem, że przyjdzie. Możemy się już uspokoić, wszystko jest w porządku.

W tym samym momencie drugi mężczyzna, ukryty w ciemności, stanął w słabym świetle z telefonu Sachy. Pod względem fizycznym stanowił przeciwieństwo osiłka, gdyż był niski i chudy. On również idealnie pasował do wilgotnej, śmierdzącej piwnicy.

– Stul pysk – warknął do Antoine'a, który natychmiast się przymknął.

Sacha pomyślał, że to szef. Słyszał kapanie i miał nadzieję, że to tylko woda.

– Muszę przyznać, że dobraliście się, jak w korcu maku. – Przenosił spojrzenie z jednego opryska na drugiego. – Obaj wyglądacie... przerażająco.

– Co on wygaduje, do cholery? – spytał osiłek i wskazał bronią Sachę, który omal się nie wzdrygnął na widok wycelowanej w siebie lufy.

– Taki z ciebie przemądrzały dupek, co? – Drobny facet uśmiechnął się szeroko.

W półmroku jego zęby wydawały się bardzo ostre.

Sacha podszedł bliżej.

– Posłuchajcie, macie mojego partnera, a ja mam trochę pieniędzy. Puśćcie go, to dam wam kasę. – Wskazał na Antoine'a. – Naprawdę nie miał nic wspólnego z tym przekrętem. Oszukałem go. To idiota. Powiedziałem mu, że potrafię przeżyć taki upadek, a on mi uwierzył.

Niski mężczyzna odwrócił się do Antoine'a.

– Czy to prawda?

– Najprawdziwsza – przytaknął gorliwie Antoine. – To wszystko robota tego sukinkota. Zgarnął całą kasę i nic mi nie zostawił.

Niski facet wpatrywał się w Sachę z zainteresowaniem.

– Dawaj forszę, mały, to wypuścimy twojego kumpla – zażądał.

Nagle wykonał niemal niezauważalny gest ręką, a wtedy osiłek rąbnął Antoine'a pistoletem w głowę. Przenikliwy odgłos uderzenia odbił się echem od betonowych ścian.

Głowa Antoine'a odskoczyła, a po jego twarzy spłynęła strużka świeżej krwi.

Sacha przełknął ślinę. To wszystko ani trochę mu się nie podobało. Było całkiem prawdopodobne, że oprychy zabiją ich obu, czy też raczej zabiją Antoine'a, a jego spróbują uśmiercić.

Wiedział, że musi mądrze to rozegrać.

– Zrobimy inaczej – oznajmił, tak jakby nagle coś mu przyszło do głowy, i wskazał Antoine’a. – Najpierw go wypuście, a potem dam wam pieniądze.

Niższy mężczyzna popatrzył na niego, po czym wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Osilek zmarszczył brwi i znowu wycelował w Sachę.

– Wątpię, żeby nam je dał – burknął.

Niski mężczyzna zmrużył oczy, wpatrując się w Sachę, i wsunął papierosa do ust. Rozległ się trzask i nagły błysk płomienia srebrnej zapalniczki rozświetlił półmrok. Mężczyzna zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchnął cienką, bladą smugę dymu. Ani na moment nie spuścił wzroku z Sachy.

– Ja też w to wątpię – mruknął w końcu. – Sami je weźmiemy. – Niedbale machnął ręką z papierosem. – Miejmy to już z głowy.

W kwadratowym pomieszczeniu z betonu huk wystrzału był wręcz ogłuszający. Sacha miał wrażenie, że słyszy czyjś krzyk.

Kula przeszła mu lewą stronę czoła tuż przy linii włosów i przebiła czaszkę oraz mózg.

Sacha najpierw poczuł gorąco, a potem przeszył go niewyobrażalny ból.

Nadeszła ciemność, kojąca niczym ciepły koc. Koszmarna piwnica zniknęła.

Pierwszym, co usłyszał Sacha, gdy odzyskał przytomność, był głos Antoine’a:

– Merde, merde, merde...

Ktoś go popychał, i to bardzo mocno. Dopiero po chwili Sacha uświadomił sobie, że czyjeś ręce bezceremonialnie szperają mu po

kieszeniach, wywracając je na drugą stronę, w pośpiechu i nerwowo.

Nie mógł otworzyć oczu, z trudem zbierał myśli. Było mu niedobrze.

– Gdzie one są? – mamrotał do siebie Antoine. – Muszą tu być...

Sacha oblizał usta, powoli odzyskując pełną świadomość. Czuł koszarne dudnienie w głowie i smród. Wszystko się kleiło.

Uniósł rękę i w końcu otworzył oczy.

– Boże... – jęknął. – Naprawdę musiał mnie zastrzelić?

Antoine zerwał się, jakby coś go użądliło, i zaczął się wycofywać. Jego buty obrzydliwie mlaskały na wilgotnej podłodze. Z przerażeniem wpatrywał się w Sachę.

– Co? Jesteś... To niemożliwe... Żyjesz?

Sacha próbował usiąść, ale miał wrażenie, że pomieszczenie się kołysze. Musiał podeprzeć się łokciami i w tej pozycji poczekać, aż minie fala mdłości.

– Raczej żyję, chyba że rozmawiasz z moim duchem. Tego nie da się wykluczyć. Tak się składa, że wierzę w duchy. A pieniędzy nie znajdziesz, bo ich nie przyniosłem. – Chwycił się za skronie. – Jezu, ale boli.

– Nie, nie, nie... – Antoine gwałtownie pokręcił głową. – Strzelił ci w twarz. Widziałem, jak oberwałeś. Straciłeś mnóstwo krwi...

Na dowód uniósł jego zakrwawioną dłoń.

Sachę łupało w głowie. Zrobiło mu się tak niedobrze, że nie był w stanie kłamać. Zmęczenie nie pozwalało mu nic wymyślić.

– Wiem, wiem... To długa historia. Opowiedziałbym ci, ale potwornie boli mnie łeb.

Bawiło go to, ale doszedł do wniosku, że gdyby się roześmiał, ten koszmarne ból znowu by go zabił.

Z trudem wstał, chwiejąc się lekko, całkiem jak na pokładzie statku. Ostrożnie przesunął palcami po czole. Nie było na nim żadnej dziury po kuli, tylko płaskie, gładkie wgłębienie w miejscu, w którym przeszła czaszkę. Nie miał pojęcia, jakim cudem jego ciało tak... zdrowieje. Regeneruje się za każdym razem.

Tak czy owak musiał wyglądać okropnie – twarz, szyję, czoło i koszulę miał we krwi. To było obrzydliwe.

Antoine skulił się jak zwierzę w potrzasku i patrzył na niego z przerażeniem. Sacha uniósł rękę, żeby go uspokoić.

– Nic mi nie będzie, poważnie. Nie panikuj. – Spojrzał na zegarek. Tym razem trochę to trwało, zanim oprzytomniał, i zrobiło się późno. – Słuchaj, muszę już iść. Obiecałem mamie, że wrócę na kolację. – Rozejrzał się wokół siebie. – Co się stało z tymi facetami? Poszli sobie po tym, jak mnie zabili?

Antoine powoli skinął głową, jakby budził się ze snu.

– Ten większy za szybko pociągnął za spust – odparł. – Chyba chcieli cię tylko nastraszyć, żebyś oddał im gotówkę, a kiedy zobaczyli, że... że nie żyjesz, dali nogę. Nawet nie próbowali szukać kasy.

– Co za dupki. – Sacha spojrzał na swoje zakrwawione ubranie. – Przez nich bluza jest do niczego.

Antoine nadal się cofał, aż wreszcie dotknął plecami wilgotnej ściany.

– Sacha. Putain... Byłeś martwy, prawda?

Sacha zrozumiał, że nie obejdzie się bez tłumaczenia. Antoine zaakceptował skok, bo wmówił sobie, że ma do czynienia z kimś w rodzaju magika, iluzjonisty, ale tym razem... Tym razem był świadomy, że to nie sztuczka.

- Niezupełnie... - Sacha usiłował znaleźć odpowiednie słowa. Dotąd nikomu nie mówił prawdy. Oprócz niego znała ją tylko rodzina. - Trudno to wyjaśnić, ale w zasadzie nie mogę umrzeć. Jeszcze nie.

W obskurnej piwnicy zapadła cisza. Gdy Antoine odezwał się ponownie, jego głos lekko drżał, ale wydawał się stanowczy.

- Dzięki, że przyjechałeś. - Na chwilę zamilkł, po czym chyba poczuł przyływ odwagi, bo dodał: - Ale nie chcę cię więcej widzieć, okej? Rozumiesz? Boję się ciebie jak diabli. Nie wiem, czym jesteś, ale nigdy więcej do mnie nie dzwoń. Zapomnij, że istnieję, a ja zapomnę o tobie. Tak będzie lepiej.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z piwnicy.

Sacha stał bez ruchu, nasłuchując oddalających się kroków. W pewnej chwili rozległo się metaliczne skrzypienie zardzewiałych, powykrzywianych zawiasów, a potem huk zatraskiwanych drzwi.

Został zupełnie sam pośrodku najobrzydliwszego pomieszczenia, jakie kiedykolwiek widział, w kałuży własnej krwi.

8

– Daj spokój, Taylor – odezwała się Georgie jęklwym głosem. – Mama mówi, że nie mogę uczyć się z Paulem w pokoju, chyba że ty też tam będziesz. Tom powiedział, że przyjdzie, jeśli się zjawisz...

Z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha Taylor optukała ostatni talerz i włożyła go do zmywarki. Kilka jasnych kosmyków wysunęło się jej ze spinki. W wilgoci nad wrzątkiem skręciły się i łaskotały ją w policzek.

– Bardzo bym chciała, Georgie – westchnęła, bezskutecznie usiłując odgarnąć włosy. – Ale dzisiaj mam korepetycje z Francuzem. Planujemy to od wieków.

– Daj spokój, Tay. Odwołaj to i tyle. Ten Francuz to i tak kompletny palant. Finlay zrozumie.

Taylor pokręciła głową, omal nie upuszczając telefonu.

– Potrzebuję tego do podania o przyjęcie na Oksford...

– Jezu. – Georgie nawet nie próbowała ukrywać irytacji. – Cholerne podanie. O niczym więcej nie mówisz. To ci niszczy życie.

Taylor odkręciła kurek i przyłożyła telefon do drugiego ucha.

– Wcale nie niszczy mi życia – odparła spokojnie. – To ważne, a poza tym planujemy to od...

– Tak, tak, mówiłaś. Od wieków. – Georgie westchnęła ciężko. – Ale niby jak ma mi się udać z Paulem, skoro nie możemy spędzać razem czasu?

– Przecież dopiero co się spotkaliście – zauważyła Taylor.

Miała świadomość, że zachowuje się nie fair. Georgie była po uszy zadurzona i marzyła o tym, żeby znów zobaczyć się z Paulem. Taylor jednak nie miała ochoty spędzać kolejnego wieczoru na słuchaniu, jak Paul i Tom rozmawiają o sporcie.

– Właśnie dlatego chcę, żeby dzisiaj do mnie przyszedł – wyjaśniła jej Georgie. – Tamtego wieczoru świetnie się dogadywaliśmy. Czuję, że... Sama nie wiem. Że coś mnie z nim łączy i że w końcu mnie zauważył. Ale potem wrócił Tom i...

Taylor domyśliła się, że obaj rozmawiali głównie ze sobą. Aż zbyt dobrze znała tę sytuację.

– Jeżeli przyjdzie Tom, będziesz miała powtórkę z rozrywki. Poważnie – powiedziała. – Czasem mi się wydaje, że ci dwaj powinni ze sobą chodzić.

Wrzuciła tabletkę do zmywarki, zamknęła urządzenie i włączyła je, a potem oparła się o blat. W tle słyszała oklaski i śmiechy z telewizyjnego reality show, które oglądały jej matka i siostra.

– A tak w ogóle, co jest z tobą i z Tomem? – spytała Georgie. – Ostatnio wcale nie chcesz się z nim widywać.

Taylor zwijała wilgotną ściereczkę tak długo, aż ta zaczęła przypominać niebiesko-biały sznur. Potem puściła ją i tkanina powróciła do normalnej postaci.

– Sama nie wiem, Georgie – westchnęła. – Chyba po prostu się nam nie układa.

Gdy to przyznała, od razu poczuła się lepiej. Odniosła wrażenie, że jej mięśnie się rozluźniły i odzyskały naturalną swobodę.

– Mówisz poważnie, Tay? – Georgie wydawała się zaszokowana. – Myślisz, że z nim zerwiesz?

Taylor głęboko odetchnęła. Dotąd jeszcze nigdy z nikim nie zerwała.

Tom był jej pierwszym prawdziwym chłopakiem i nie chciała sprawić mu przykrości. Po prostu już nie miała ochoty być jego dziewczyną.

– Sama nie wiem, Georgie – powtórzyła. – To skomplikowane. Mam wrażenie, że żadne z nas nie jest szczęśliwe i chyba trzeba to wreszcie przyznać, oficjalnie czy nie. Wszystko jedno, jak to się nazywa, kiedy ludzie naprawdę się rozstają. Dlatego nie mogę dzisiaj przyjść i z nim siedzieć. Musimy to najpierw poukładać. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że ułoży ci się z Paulem.

Georgie wiedziała, że sprawa jest przegrana, więc odpuściła.

– Szkoda, że ci nie wyszło z Tomem, Tay, ale przede wszystkim to ty musisz czuć się szczęśliwa – oznajmiła.

Po rozmowie Taylor wyciągnęła z lodówki colę, usiadła i otworzyła laptop. Zegar nad kuchenką wskazywał dziewiątą, więc miała godzinę do planowanej rozmowy z Sachą i mogła zająć się lekcjami. Mimo to od razu wpisała adres szemranej strony, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Francuz nie pojawił się online wcześniej.

Zamarła, słysząc hałas i skomlenie za drzwiami kuchni. W tej samej chwili na ekranie pojawiły się uśmiechnięta zielona czaszka i kości.

– Hej, Fizy – powiedziała Taylor, otwierając drzwi.

Wzięła suczkę na ręce, po czym zaniósła ją do stołu. Fizz usadowiła się na jej kolanach i dysząc, spojrzała na ekran laptopa. Taylor głaskała ją i jednocześnie wpisywała drugą ręką nick Sachy.

Ze strony profilowej wynikało, że się nie logował. Taylor nie zamknęła jednak okna, tylko uważniej przyjrzała się zdjęciu Sachy.

Jego błękitne oczy zdawały się ją hipnotyzować. Fotografie zrobiono na ulicy, chłopak stał przed brudnym szarym murem pokrytym chaotyczną mieszaniną liter i symboli. Taylor zastanawiała się, czy to Sacha jest autorem tego graffiti. Wyglądał na zbuntowanego twardziela, który ma pretensje do całego świata.

Wydawał się niebezpieczny, ale w bardzo pociągający sposób.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, co tak zaskoczyło Taylor, że omal nie upuściła Fizz. Całkiem zapomniała, że pies leżał na jej kolanach.

– Odrabiasz pracę domową czy grasz? – Mama zmarszczyła brwi.

Taylor raz jeszcze spojrzała na zegar, a serce zabiło jej mocniej. Właśnie minęło wpół do dziesiątej.

Naprawdę przez całe pół godziny wpatrywała się w zdjęcie Sachy?

Popatrzyła na komputer. Świeące białe cyfry również wskazywały dwudziestą pierwszą trzydzieści...

To po prostu nie było możliwe. Wcześniej usiadła, wzięła na kolana Fizz, otworzyła komputer...

I pół godziny zniknęło.

Konsternacja przerodziła się w panikę, Taylor zakręciło się w głowie. Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu wyjaśnienia, ale niczego nie znalazła.

Nagle uświadomiła sobie, że mama wpatruje się w nią ze zdumioną, podejrzliwą miną i zmarszczonym czołem.

– Praca domowa... – wydusiła z siebie w końcu Taylor. Jej głos brzmiał piskliwie i niespokojnie. – Właśnie zaczynałam, ale... – „Ale co? Rozproszyłam się i zniknęło pół godziny?” – Zajęłam się czymś innym.

Najwyraźniej nieprzekonana mama wrzuciła torebkę herbaty do kubka i sięgnęła po dzbanek z mlekiem.

– Jestem pewna, że masz inne zajęcia. Nie spędzaj całego wieczoru przy tym czymś. – Z oskarżycielską miną wskazała na laptop.

Mama Taylor uważała, że telefony i komputery mogą uszkodzić ludzki mózg. Czytała o tym w jakimś międzynarodowym czasopiśmie, „Wyczerpanie umysłowe” czy jakoś tak, i nieustannie o tym mówiła. Zważywszy jednak na to, że pół godziny faktycznie przepadło, Taylor wolała nie oponować. Stanowczym kliknięciem zamknęła przeglądarkę.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Nie zamierzam.

Przez następne pół godziny bez przekonania odrabiała pracę domową z fizyki, jednocześnie usiłując przypomnieć sobie, co zaszło. Usiadła, włączyła laptop i straciła poczucie czasu.

I choć bardzo się starała, nie pamiętała nic poza tym.

O dziesiątej, gdy uświadomiła sobie, że gugluje hasło „rak mózgu”, doszła do wniosku, że pora z tym skończyć. Nie była w nastroju na korepetycje, ale przecież obiecała.

Ponownie otworzyła profil Sachy i ujrzała, że nadal się nie zalogował. Zostawiła otwartą stronę i dla zabicia czasu ponownie przeczytała wypracowanie z historii. Co kilka minut podnosiła wzrok, jednak Sachy wciąż nie było.

Po pewnym czasie zaczęła się niepokoić.

„Gdzie się podział? Dlaczego był aż tak nieodpowiedzialny?”

Korepetycje nie miały sensu, skoro nie traktował ich poważnie. Georgie się nie myliła – to była strata czasu.

Taylor otworzyła skrzynkę mailową, żeby raz jeszcze przeczytać list. Sacha zdecydowanie umówił się z nią na dziesiątą i zdecydowanie

się nie pojawił. Zdecydowanie było już wpół do jedenastej.

„Dosyć tego”.

Wiedziała, że Finlay się wścieknie, ale nie musiała tolerować zachowania Sachy. Z irytacją kliknęła okienko „nowa wiadomość” i szybko wystukała mail.

Sacho,

bardzo nie lubię, kiedy się mnie ignoruje. Ze względu na Ciebie nie poszłam dziś na randkę, a potem jak idiotka czekałam na Ciebie pół godziny.

Mogłam się domyślić, że nie potraktujesz korepetycji poważnie.

Wszystko jedno, zapomnijmy o tym. Znajdź sobie inną korepetytorkę. Rezygnuję.

Taylor

Kliknęła „wyślij”, zanim zdążyła zmienić zdanie. Mimo to po zamknięciu skrzynki mailowej wbrew sobie po raz ostatni sprawdziła profil Sachy.

Nadał się nie zalogował.

Gwałtownie zatrzasnęła pokrywę laptopa. W tym samym momencie potworny ból przeszył jej czaszkę z taką siłą, że krzyknęła, osuwając się na podłogę. Fizz zaszczekała ze zdumieniem, ale Taylor nawet tego nie zauważyła, skupiona na potwornym bólu, jakiego jeszcze nigdy nie czuła. Miała wrażenie, że ktoś pchnął ją nożem albo do niej strzelił. Usłyszała jęczenie i zaczęła się zastanawiać, kto wydaje z siebie te dźwięki.

Pies gwałtownie szczekał, a ten odgłos zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Drzwi kuchni się otworzyły.

– Taylor...? – Spanikowany głos matki brzmiał tak, jakby utkwiała na dnie studni.

Taylor usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła. Czuła się tak, jakby umierała.

Miała wrażenie, że ściany zbliżają się ku niej, a potem wszystko okryła ciemność.

A Taylor poczuła ulgę.

9

Taylor próbowała zamrunąć, jednak powieki wydawały się bardzo ciężkie. Przez łupanie w głowie aż ją zemdliło. Wokół siebie słyszała głosy, znajome i przestraszone.

Z ogromnym wysiłkiem otworzyła oczy, a wtedy jaskrawe światło niemal ją oślepiło. Jęknęła cicho i nagle zobaczyła niewyraźną sylwetkę Emily, która klęczała na podłodze obok. Przestraszona i zapłakana, trzymała Taylor za rękę.

„Co ona robi w moim pokoju?”, zastanawiała się Taylor.

Łóżko pod jej policzkiem było zimne i twarde. Przycisnęła do niego rozczapierzone palce, a wtedy uświadomiła sobie, że leży na podłodze. Odwróciła głowę i spojrzała na nogi stołu i krzesła.

Była w kuchni. Przypomniła sobie, co się stało.

– Ocknęłaś się? – zapytała Emily z wyraźną ulgą w głosie.

Zanim Taylor zdążyła odpowiedzieć, jej siostra odwróciła się do mamy, która stała za nią z telefonem przy uchu.

– Mamo!

– Nie. – Taylor usłyszała głos mamy. – Po prostu upadła.

– Mamo! – zawołała Emily bardziej stanowczo. – Już się ocknęła.

– Bogu dzięki. – Przed oczami Taylor pojawiła się blada, zmartwiona twarz mamy, ściskającej w dłoni telefon. – Taylor, słyszysz mnie? Wiesz, kim jestem?

– Jasne, że wiem, kim jesteś, mamo.

Taylor próbowała usiąść, ale ze względu na rozkołysaną podłogę okazało się to zdumiewająco trudne. Emily pomogła, ciągnąc ją za

rękę, i w końcu Taylor zdołała oprzeć się o nogę stołu. Czuła się tak, jakby posiniaczyła każdą część ciała.

– Au – syknęła. – Chyba upadłam.

Mama popatrzyła na nią dziwnie, jakby oczekiwała innego komentarza. Taylor mogła się tylko zastanawiać jakiego. Nadal kręciło się jej w głowie, jakby się upiła i jednocześnie oberwała młotkiem.

– Tak – powiedziała mama do telefonu. – Ocknęła się, ale chyba i tak powinniście przysłać karetkę.

– Karetkę? – Taylor nagle poczuła się całkowicie przytomna. – Nie, mam, poważnie. Nic mi nie jest. Po prostu za mało dzisiaj zjadłam i nie piłam wody. Zakręciło mi się w głowie.

To nie była prawda – zjadła całkiem sporo, ale nie chciała trafić do szpitala z powodu jakiegoś głupiego upadku.

Odsunąwszy telefon od ucha, mama spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Na pewno?

– Nic mi nie jest – upierała się Taylor, starając się wyglądać na zupełnie zdrową. – Daj mi herbatnika, a zaraz dojdę do siebie, słowo.

Mama przez chwilę tylko na nią patrzyła. Taylor słyszała przyciszony głos dyspozytorki pogotowia po drugiej stronie linii. W końcu mama ponownie przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Na razie wstrzymajmy się z karetką. Mówi, że nic nie jadła, mógł jej spaść poziom cukru. To nastolatka – dodała, jakby to wszystko tłumaczyło.

Taylor zdołała samodzielnie wstać. Zawroty szybko mijały. Nadal bolała ją głowa i szczerze mówiąc, herbatnik by się przydał, ale poza tym czuła się dobrze. Była tylko trochę oszołomiona.

Popatrzyła na laptop przed sobą. Pamiętała jedynie, jak zamknęła jego pokrywę, i wtedy poczuła się tak, jakby komputer jej przyłożył.

Mama poszperała po szafkach i w końcu wyciągnęła opakowanie pełnoziarnistych herbatników.

– Siadaj. – Popatrzyła przez ramię na Taylor. – Nie śpiesz się. Zrobię ci herbatę.

– Ja też mogę dostać herbatę i ciastka – zapytała Emily, sadowiąc się naprzeciwko Taylor.

– Oczywiście – odparła mama głośno, żeby przekrzyczeć szum nalewanej do czajnika wody. – Nie chcę, żebyś i ty zemdląła. – Przełożyła ciasteczka na talerz, który postawiła na blacie między córkami. – Jedzcie.

Taylor posłusznie wzięła herbatnik i pochłonęła go w kilku kęsach, po czym chwyciła następny.

„Może naprawdę zgłodniałam”, pomyślała.

W gruncie rzeczy wiedziała, że coś było nie tak. Nie chciała się jednak zastanawiać nad tym, co dokładnie.

Mama przyniosła trzy kubki herbaty z mlekiem i postawiła je na stole, po czym usiadła obok Taylor.

– Opowiedz mi, co się stało – zażądała, patrząc na nią uważnie orzechowymi oczami.

Taylor wahała się tylko przez krótką chwilę. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, świadomie postanowiła okłamać mamę.

– W sumie to nie wiem – odparła, co w zasadzie nie odbiegało od prawdy. – Odrabiałam lekcje. Wcześniej trochę kręciło mi się w głowie i postanowiłam coś zjeść, ale jakoś o tym zapomniałam. Chciałam najpierw skończyć wypracowanie z historii.

Zamrugnęła, starając się, żeby jej twarz wyrażała zarówno niewinność, jak i umiarkowaną udrękę. Mama zmarszczyła brwi.

– I co?

Taylor wypła łyk herbaty, bardzo słodkiej, tak jak lubiła.

– Chyba za szybko wstałam, no i okropnie zakręciło mi się w głowie – odparła. – Chciałam cię zawołać i... Więcej nie pamiętam.

– Hm... – Mama nie spuszczała z niej wzroku. Wyglądała tak, jakby podjęła jakąś decyzję. – Najwyraźniej za mało jesz. Dostyc opuszczania posiłków. Poza tym ograniczę ci czas spędzany przy tym urządzeniu. – Wskazała na laptop.

Taylor poczuła ucisk w żołądku.

– Potrzebuję komputera do odrabiania prac domowych – oświadczyła. – Mam egzaminy.

Jej słowa nie zrobiły na mamie najmniejszego wrażenia.

– Za dużo czasu przed laptopem ci szkodzi. Mówiłam ci o tym artykule, który czytałam. Sprawa została naukowo udowodniona. Musisz teraz mądrzej wykorzystywać swój czas. Odtąd na jeden wieczór przysługują ci dwie godziny z komputerem, i ani minuty dłużej.

Równie dobrze mogłaby powiedzieć córce, żeby dwadzieścia dwie godziny na dobę spędzała w więzieniu.

– Ale mamoo... – Taylor wpatrywała się w nią z przerażeniem. – To zdecydowanie za mało.

– Tyle będzie musiało ci wystarczyć. – Podjąwszy decyzję, matka zabrała laptop i położyła go na kuchennej szafce. – Bo więcej nie dostaniesz.

10

Gdy Sacha wrócił do domu, przekonał się, że matka na niego czeka. Siedziała w ciemnej kuchni, a on niepewnie przystanął w progu. Wiedział, że go usłyszała i była świadoma, że syn stoi w korytarzu, ale nie podniosła wzroku.

– Obiecałeś, Sacha. Obiecałeś – odezwała się przytłumionym głosem. – Prosiłam o jeden rodzinny wieczór. Tylko tyle. Wiedziałam, że nie mogę ci ufać. Niepotrzebnie wypuściłam cię z domu. Trzeba było kazać ci zostać.

Cierpienie w jej głosie bolało Sachę niemal tak samo jak postrzał.

Wyczerpany, oparł się o ścianę, licząc na to, że matka mu się nie przyjrzy. Towarzyszył mu żelazisty odór śmierci. Jego bluza lepiała się od na wpół zaschniętej krwi. W drodze powrotnej Sacha ukrywał krew pod kaskiem, ale zdawał sobie sprawę z tego, że teraz musi wyglądać jak monstrum.

– Daj spokój, maman... – zaczął bez przekonania, jednak natychmiast mu przerwała.

– Wiem, że już nie cenisz sobie życia – oznajmiła ostrym tonem. – Ale mógłbyś przynajmniej dotrzymywać obietnic i w ten sposób okazać mi odrobinę szacunku. Proszę o zbyt wiele?

Sacha się wzdrygnął. Jak mogła tak mówić? Niby dlaczego powinien cenić swoje życie, skoro za kilka tygodni i tak miał je stracić? Nie zamierzał udawać, że wszystko jest w porządku. Nie mógł tak się okłamywać.

W tej chwili zabrakło mu jednak siły na kłótnię.

- Przepraszam, maman - powiedział chrapliwym szeptem. - Dziś sprawy ułożyły się inaczej, niż planowałem. To było...

Umilkł, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Kiedy matka znów się odezwała, w jej głosie nie było już słycać rozczarowania, tylko gniew.

- Przepraszasz? Łatwo powiedzieć „przepraszam”, tyle że to niczego nie zmienia. Laura błagała, żebyśmy zaczekały na ciebie z kolacją. Siedziałyśmy tutaj przez godzinę. - Zabębniła palcami po blacie. Przy każdym stuknięciu Sacha się krzywił. - Obie chciałyśmy w ciebie wierzyć. Obie miałyśmy nadzieję na rodzinny wieczór.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i gniewnie zmrużyła bladoniebieskie oczy. W tym samym momencie Sacha stanął w świetle lampy.

Matka zbladła jak papier i przyłożyła dłoń do ust, żeby stłumić krzyk.

- Mój Boże - wyszeptała. - Co ci się stało?

Szybko podeszła do Sachy, ale kiedy wyciągnęła rękę, by dotknąć jego zakrwawionego ramienia, wzdrygnął się i cofnął. Nie chciał, żeby miała kontakt z krwią i brudem na jego ubraniu i skórze.

- Nic takiego - skłamał. - Spadłem z motocykla w naprawdę paskudnym miejscu.

Było oczywiste, że nie uwierzyła. Okiem wykwalifikowanej pielęgniarki przyjrzała mu się w poszukiwaniu obrażeń.

- Ta cała krew jest twoja? - spytała.

Nie mógł znieść strachu i dezorientacji na jej twarzy. Nie chcąc dłużej kłamać, ze wstydem pokiwał głową.

- Co się naprawdę stało, Sacho?

- Postrzelono mnie - wyznał.

- Co takiego?

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. - Wpatrywał się w mamę, błagając o zrozumienie. - Widzisz? - Wyciągnął pokryte zaschniętą krwią rękę.

Matka jednak patrzyła na niego z przerażeniem, jakby był jej całkiem obcy.

- To nie jest w porządku - powiedziała w końcu.

Sacha poczuł, jak wzbiera w nim gniew. To dało mu siłę.

- Dla mnie jest - warknął. - Skoro nie podoba ci się, jak żyję, może powinnaś spróbować mi pomóc, zamiast udawać, że wszystko jest cudownie. Przyszło ci to kiedyś do głowy?

- Dość tego - oświadczyła nagle. - Wystarczy tych wymówek. Wystarczy tego koszmarnego zachowania - mówiła stanowczo, ale nie ostro. - Mam po dziurki w nosie twoich wybryków. Bez względu na to, jaka przyszłość cię czeka, nadal jesteś dzieckiem i ja za ciebie odpowiadam. Masz szlaban, Sacha. Nie będziesz już wychodził z domu wieczorami i pójdziesz do szkoły jak zwyczajny nastolatek. - Zacisnęła usta. - Pobłażałam ci i to zaszkodziło nam obojgu. - Wskazała na przedpokój. - Idź do siebie.

Od lat nie odzywała się do niego w ten sposób, a właściwie odkąd poznał swoją przyszłość. O dziwo, jej zachowanie zaskakująco go pokrzepiło. Poza tym kłótnia i tak nie miała sensu teraz, kiedy tak naprawdę najbardziej chciał zniknąć w swoim pokoju i zmyć krew.

Nic więcej nie dodała, ale odchodząc, miał wrażenie, że słyszy jej stłumiony szloch.

Kilka minut później stał pod prysznicem, próbując zmyć z siebie ślady nocnego dramatu. Odkręcił tak gorącą wodę, że ledwie mógł

znieść spływający mu po plecach ukrop. To jednak był dobry ból, bo przypominał Sachy, że nadal żyje.

Skrzepnięta krew na skórze rozpuściła się w parujących strumieniach. Woda wirująca u jego stóp przypominała płynną rdzę. Blizny wydawały się bardzo blade na tle opalanej skóry.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę. Był wyczerpany, przede wszystkim po wstrząsie, którego doświadczył tej nocy, ale nie tylko. Był zmęczony wszystkim – tym, że znał dokładną datę swojej śmierci, był wybrykiem natury, przerażał ludzi.

Gdy tylko Antoine zrozumiał, co się dzieje, zareagował obrzydzeniem i lękiem. Dwukrotnie widział, jak Sacha skacze z olbrzymiej wysokości i wychodzi z tego praktycznie bez szwanku. Antoine niewątpliwie się domyślał, że dzieje się coś dziwnego. Dzisiaj jednak...

Sacha przeczesał palcami mokre włosy. Dzisiaj było inaczej.

Antoine widział, jak kula przeszywa czaszkę Sachy, widział, jak szybko przebiegła regeneracja jego ciała, żeby było w idealnej formie przed dniem zero. Nie dało się zapomnieć o czymś takim. To było zbyt wiele nawet dla kogoś pokroju Antoine'a.

Do tego wszystkiego matka chciała, żeby mimo okoliczności Sacha aż do samego końca udawał zwyczajnego nastolatka. Jakby to w ogóle było możliwe.

Szybkim ruchem ręki zakręcił wodę i w samym ręczniku wrócił do pokoju. Z goryczą przyglądał się wszechobecnemu bałaganowi. Może powinien tu zostać już na zawsze, i tak nikt nie chciał dotrzymywać mu towarzystwa podczas długich nocy, gdy flirt ze śmiercią wydawał się jedynym sposobem na zachowanie zdrowych zmysłów.

Sacha nie rozumiał świata, nie rozumiał też, dlaczego to go spotkało. Nie miał jednak wątpliwości, że nikogo nie powinno się zmuszać do takiego życia.

Czuł się bardzo samotny i zupełnie nie wiedział, co teraz robić. W jego żyłach nadal buzowała adrenalina, przez co był rozdrażniony i niespokojny. Po postrzale bolała go głowa i miał kłopoty z trzeźwym myśleniem.

Zauważył fiolkę aspiryny na zaśmieconym biurku i wyciągnął po nią rękę, przy okazji trącając myszkę. Monitor się rozświecił, a Sacha zobaczył otwartą pocztę i migotanie nowej wiadomości – od Taylor.

– Merde. – Chwycił fiolkę i usiadł.

Kompletnie zapomniał o zaplanowanych korepetycjach. Czy była choć jedna osoba, której dzisiaj nie zawiódł?

Wytrząsnął z fiolki dwie tabletki i połknął je bez popijania. Po chwili wziął się w garść, oparł rękę na chłodnym plastiku myszki i otworzył mail.

Tak jak się spodziewał, list był pełen irytacji i rozczarowania. Taylor czekała na niego i w końcu machnęła ręką. Nie chciała mu już pomagać.

Każdej innej nocy jej urażona duma rozbawiłaby Sachę. Nazwałby Taylor nudziarą i jędzą. Teraz jednak, kiedy zbliżała się północ, a wcześniej dostał kulkę w głowę i ujrzał w oczach drugiego człowieka przerażenie wywołane całą sytuacją – teraz się nie śmiał.

Na wiele spraw nie miał wpływu, ale to musiał naprawić. Najpierw sprawdził Rewolucyjny Czat. Z profilu Taylor wynikało, że jest offline. Nic dziwnego, w końcu mieli pogadać ponad godzinę temu.

Wrócił do poczty i odpowiedział na mail.

Droga Taylor,

bardzo mi przykro, że mnie nie było. Zapewniam Cię, że bardzo chciałem, ale coś mnie zatrzymało i nic nie mogłem na to poradzić.

Nie masz powodu mi wierzyć, ale to naprawdę nie moja wina. Chciałem dzisiaj pogadać, tak jak planowaliśmy.

Teraz zaloguję się na czacie i będę tam aż do Twojego powrotu. Proszę, skontaktuj się ze mną. Tym razem mnie zastaniesz.

Buszujący w zbożu to doskonały wybór. Czytałem go po francusku w zeszłym roku. W moim języku tytuł brzmi L'Attrape-cœurs, co znaczy „łapacz serc”. Chyba wolę angielski tytuł. Z wielką przyjemnością przeczytam z Tobą tę książkę po angielsku – jeśli mi wybaczysz.

Sacha

Uniósł palec, żeby kliknąć „wyślij”, jednak coś przyszło mu do głowy i dodał przed swoim imieniem: „Z pozdrowieniami”.

Dopiero wtedy wysłał list, a tuż potem sprawdził profil Taylor. Nagle rozpaczliwie zapragnął, żeby wróciła i z nim porozmawiała. Zrobiła wykład na temat znaczenia nauki w życiu.

Chciał się dowiedzieć, jak żyła. Na pewno zupełnie inaczej niż on. Nie ulegało wątpliwości, że była inteligentna, skoro wybrano ją na jego korepetytorkę. Oprócz tego była zwyczajną dziewczyną, która wiodła zwyczajne życie i miała zwyczajną rodzinę. Teraz Sacha chciał tylko poczuć, że to się dzieje naprawdę. Że ktoś żyje najnormalniej, jak się da.

Chciał odzyskać pewność, że reszta świata bardzo się różni od jego pokręconej rzeczywistości.

11

Taylor leżała w pogrążonym w półmroku pokoju, bezskutecznie usiłując zasnąć. Wypróbowała już wszystkie sztuczki – wyliczyła nazwy planet, przypomniała sobie nazwiska nauczycieli, i to w kolejności alfabetycznej, i odmieniła francuskie czasowniki.

Nic nie poskutkowało, nadal była zupełnie rozbudzona. Budzik na stoliku nocnym wydawał się z niej drwić, pokazując drugą dwadzieścia cztery przez jakąś godzinę, zanim doszedł do drugiej dwadzieścia pięć.

– Dosyć tego – wymamrotała Taylor i usiadła.

Nici ze snu.

Zapaliła lampkę i wyjęła z torby pod ścianą podręcznik do historii. Przez chwilę próbowała nadrobić zaległości w lekturze, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć słowa. Strasznie chciało jej się pić i znowu rozboleła ją głowa, co utrudniało koncentrację.

W końcu wstała z łóżka i ruszyła na dół po coś do picia.

Na korytarzu panowała dziwna, nieziemską cisza, jak zawsze, gdy cały dom śpi. To, co za dnia wydaje się bezpieczne i znajome, nocą staje się całkiem obce.

Taylor na palcach zeszła po schodach, jakby nie chciała niepokoić budynku. W kuchni słychać było warkot lodówki, a tykanie zegara na ścianie brzmiało o tej porze wręcz ogłuszająco głośno. Fizz pochrapywała radośnie w koszyku pod telewizorem.

Taylor naląła sobie wody, błyskawicznie ją wypła i ponownie napełniła szklankę. Była już niemal przy schodach, kiedy coś sobie przypomniała.

Laptop.

Widziała go z korytarza, jeden róg wystawał nad szafkę. Taylor obejrzała się za siebie. W domu nadal panowała głucha cisza, wszyscy spali. Nikt by się nie zorientował.

Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, zdjęła laptop, wsadziła go pod pachę i wbiegła po schodach.

Nigdy w życiu nie zrobiła niczego takiego. Od odejścia ojca zawsze wspierała mamę. Razem zajmowały się domem i Emily. Taylor nie przeszła przez fazę nastoletniego buntu, bo zwyczajnie nie wypadało. Mama tak ciężko pracowała, poza tym doskonale się dogadywały.

Teraz Taylor czuła się jak przestępczyni i oszustka. Znów zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma guza mózgu. W takim wypadku jednak objawy byłyby chyba poważniejsze niż omdlenie, sporadyczne bóle głowy i nieoczekiwana potrzeba sprzeciwu wobec mamy, przejawiająca się chęcią korzystania z laptopa.

Postanowiła, że tylko na chwilę wejdzie do sieci, sprawdzi pocztę, zobaczy, czy Georgie jest online, a potem odłoży komputer na miejsce.

Laptop włączył się z cichym szumem i otworzył na ostatniej przeglądanej stronie, czyli na Rewolucyjnym Czacie. Na profilu Sachy.

Teraz jednak zniknął napis z informacją, że Sacha nie jest zalogowany. Zdjęcie rozzłoszczonego chłopca zastąpił żywy Sacha, który spał przy biurku, z głową opartą na ramieniu.

Oddech uwiązał Taylor w gardle. Nigdy jeszcze nie widziała śpiącego chłopaka.

Przysunęła się do ekranu i z zainteresowaniem przyglądała się Sachy. Jego jedwabiste brązowe włosy były potargane, a oczy zamknięte. Miał niezwykle długie rzęsy, które przypominały czarne pióra. Zaciskał palce w tak dziecięcym, niewinnym geście, że ścisnęło

się jej serce. W tym śpiącym nastolatku nie sposób było doszukać się cynicznego, pełnego złości młodego chłopaka.

Taylor zdawała sobie sprawę z tego, że przyglądanie się śpiącemu Sachy to zwykle podglądactwo. Musiała coś zrobić – obudzić go albo wyłączyć komputer i udawać, że nic nie widziała. Ten pomysł jednak wydał się jej absurdalny. W końcu Sacha był tuż przed nią.

Poza tym musiała przecież udzielić mu korepetycji.

Poszperała w biurku w poszukiwaniu słuchawek i podłączyła je do komputera. W słuchawkach na uszach przysunęła się do ekranu, aż jej usta znalazły się przy samym mikrofonie.

– Hej? Sacha? – wyszeptała.

Nawet nie drgnął.

Dziwnie się czuła w tej sytuacji. Nie mogła podnieść głosu ani nawet zbyt wiele mówić, bo ryzykowała obudzenie mamy śpiącej w pokoju nieopodal. Nagle jednak bardzo zapragnęła porozmawiać z tym niewinnie wyglądającym chłopcem o długich rzęsach i pięknych kościach policzkowych.

– Sacha – syknęła, tym razem ostrzej. – Obudź. Się.

Zerwał się z krzesła, jakby poraziła go prądem. Zaskoczona Taylor odsunęła się od ekranu, obserwując, jak Sacha obraca się ze zdumiewającą szybkością i rozgląda po pokoju, jakby spodziewał się znaleźć w nim potwory.

Zastanawiała się, co zaszło w jego życiu, że tak reagował na zwykły szept.

– Sacha – odezwała się łagodniej. – To ja, Taylor. – Zamachała, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. – Tutaj.

Powoli odwrócił się do komputera i popatrzył na nią szeroko otwartymi błękitnymi oczami. Z wrażenia przestała oddychać.

Teraz Sacha nie wydawał się jej już zblazowany, ale śmiertelnie przerażony. Przez długą chwilę tylko wpatrywali się w siebie.

– Taylor? – zapytał Sacha ze zdumieniem, jakby właśnie zbudził się z głębokiego snu i nie był pewien, co jest prawdziwe: ten świat czy tamten. – Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Nie mogłam cię dobudzić.

Sacha osunął się na krzesło.

– W porządku. – Potarł oczy. – Dostałaś mój mail?

„Jaki znowu mail?”, zastanawiała się Taylor.

– Nie – odparła, pamiętając, żeby mówić szeptem. – Akurat włączyłam komputer i tam byłeś. To znaczy tu.

– O. – Wydawał się rozczarowany. Zapragnęła jak najszybciej zobaczyć tę wiadomość. – Przeprosiłem za nieobecność, była... nieunikniona. Przepraszam, zachowałem się... – umilkł, szukając angielskiego słowa – niewybaczalnie nieuprzejmie.

Przeprosiny wydawały się szczere i po tym wszystkim, co się wydarzyło tej nocy, gniew Taylor całkiem wyparował. Nagle przypomniała sobie swój oschły mail.

– Ja też przepraszam za zgryźliwy mail – powiedziała. – Byłam na ciebie zła.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Co znaczy „zgryźliwy”? – zapytał.

Taylor zastanawiała się przez chwilę, bezskutecznie próbując znaleźć francuski odpowiednik. W końcu wybrała najbliższe znaczeniem słowo, jakie знаła.

– Désagréable – odparła.

Sacha zachichotał.

– Nie, wcale nie był désagréable. Zasłużyłem na to. Nieładnie jest się nie zjawiać, jeśli człowiek się wcześniej umówił i obiecał, że będzie. Ja dotrzymuję obietnic. To... jak to się mówi? Moja specjalność.

Jego śmiech nie trwał długo, ale podobał się jej tak samo jak poprzednio.

– Moja też – wyszeptała z pełnym wahania uśmiechem.

Ten nowy, łagodniejszy Sacha przypadł jej do gustu.

Przysunął się do komputera, żeby ją lepiej widzieć. Jego spojrzenie było tak uważne, że nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Dlaczego nie śpisz o tej porze? – zapytał Sacha. – Tu dochodzi czwarta rano, u ciebie musi być prawie trzecia, non?

Taylor nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie mogłam zasnąć – odparła wymijająco. – Wcześniej coś się wydarzyło i... No i teraz nie mogę spać.

– Co się wydarzyło? – Wydawał się szczerze zainteresowany. – Mnie też się dzisiaj coś przydarzyło.

– Ty pierwszy. – Taylor nie miała ochoty opowiadać mu o omdleniu. Bała się, że Sacha uzna ją za kompletną kretynkę.

Zawahał się, jakby i on nie chciał jej nic mówić.

– To nic takiego – oświadczył w końcu. – Bójka z paroma facetami. Dostałem w głowę.

Machnął niedbale ręką, wskazując czoło nad lewym okiem. Taylor wydało się, że widzi czerwony ślad pod linią włosów, w samym środku krwiaka.

– Dlaczego się białeś? – zapytała, marszcząc brwi.

– To nie było nic ważnego. Poszło o pieniądze. – Sacha wzruszył ramionami. – Teraz już wszystko w porządku.

Na jego twarzy pojawiła się nieufność i Taylor zrozumiała, że to, co wydarzyło się wcześniej, na pewno nie było w porządku.

– Twoja kolej – odezwał się, zanim zdążyła mu zadać więcej pytań. – Co ci się stało?

Może to była kwestia późnej pory, a może tego, że właściwie go nie znała, lub dziwnie intymnej atmosfery, gdy tak siedziała w sypialni, szepcząc do komputera. Ewentualnie jej zachowanie spowodowane było guzem mózgu, o który całkiem poważnie zaczęła się podejrzewać. Niezależnie od przyczyny, Taylor zwyczajnie nie mogła zataić prawdy przed Sachą.

– Czekałam na ciebie, a potem napisałam maila, zamknęłam laptopa i... chyba zemdlałam – westchnęła. – Mama wpadła w panikę i zrobiła się z tego wielka afera. Zdaniem mamy internet pożera mi mózg czy coś w tym rodzaju. I nie wolno mi korzystać z laptopa... – zastanawiała się przez moment, zanim dodała: – Z którego właśnie korzystam.

– Zemdlałaś? – Sacha zmrużył oczy. – Dziewczyny naprawdę mdleją?

– Chyba tak – przyznała, rozkładając ręce w geście skruchy.

– Ale nic ci nie jest?

Popatrzyła mu w oczy. Sprawiał wrażenie przejętego.

– Raczej nie – odparła z lekko zakłopotanym uśmiechem. – To po prostu było dziwne, bo raczej nie mdleję.

Sacha uśmiechnął się do niej.

– Nie wyglądasz na mięczaka. – Oparł brodę na dłoni i przyglądał się Taylor ze szczerym zainteresowaniem, podobnie jak ona jemu. Kiedy siedział tak blisko kamery, widziała cienie pod jego oczami. Wydawał się wyczerpany, ale nic nie wskazywało na to, że chciałby już

skończyć rozmowę. – Opowiedz mi o sobie, Taylor Montclair. Kim jesteś?

Podobało się jej, jak wymawiał to imię.

– Co masz na myśli? – spytała, licząc na to, że je powtórzy.

– Bo ja wiem? Co lubisz, czego nienawidzisz? Kto jest twoją najlepszą przyjaciółką? Jacy są twoi rodzice?

Taylor się zawahała. Czuła, że jeśli powie mu prawdę, Sacha uzna ją za kujonkę. Nie miała jednak ochoty kłamać.

– Lubię... książki – przyznała. – I historię. Chcę zostać archeologiem.

Sacha skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Super, niezły cel – powiedział. – A przyjaciele, chłopak?

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Na policzkach Taylor pojawił się rumieniec. Opuściła wzrok na klawiaturę.

– Moją najlepszą przyjaciółką jest Georgie. Tak naprawdę to ona napisała ten wredny SMS o byciu głupim. – Skrzywiła się. – Jest bezczelna. Ja jestem ta poważna.

Wykręciła się od pytania o chłopaka. W końcu go miała czy nie? Teoretycznie tak, ale przy pierwszej okazji zamierzała z nim zerwać, więc w zasadzie znalazła się w okresie przejściowym. W okresie poprzedzającym następny związek.

Była prawie singielką.

– A rodzina? – zapytał, nie upierając się przy pytaniu o chłopaka.

– Mam dwunastoletnią siostrę – odparła. – Mieszkamy z mamą, tata odszedł parę lat temu. Teraz ma nową piękną rodzinę.

Słyszała gorycz w swoim głosie. Sacha uniósł brwi, ale nie zdążył zapytać o szczegóły, bo Taylor postanowiła kontratakować.

– A ty?

Przygryzł wargę i przez chwilę milczał. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie słychać było wahanie.

– Dawniej interesowałem się historią i nauką języków, ale chyba... – zawiesił głos, jakby szukał właściwych słów. – Chyba się pogubiłem. Przydarzyły mi się różne rzeczy.

Mówił niepewnie, jakby szczerość sprawiała mu ból. Taylor nieświadomie zbliżyła się do ekranu, czekając, aż Sacha coś doda. Po chwili głęboko westchnął.

– Tak czy owak, mieszkam z mamą i trzynastoletnią siostrą. Nie mam wielu przyjaciół ani konkretnych planów. – Ponury uśmiezek, który już tak dobrze znała, znowu pojawił się na jego twarzy. – Nie mam przyszłości. Pewnie twoja matka uznałaby mnie za chłopaka z piekła rodem.

Jego słowa ją zelektryzowały, ale nie dała nic po sobie poznać.

– Jasne, że masz przyszłość – oznajmiła. – Zostało ci mnóstwo czasu na decyzję, co chcesz robić...

Spojrzenie, które jej posłał, było tak pełne pustki i rozpacz, że umilkła.

– Nie rozumiem. – Wpatrywała się w niego w poszukiwaniu wskazówek. – Dlaczego miałbyś nie mieć przyszłości?

Na korytarzu rozległ się cichy dźwięk – jakby szelest kroków – i odciągnął jej uwagę od Sachy. Taylor zdjęła słuchawki z uszu, żeby się upewnić, czy się nie przesłyszała, po czym w panice odwróciła się do komputera.

– Cholera – syknęła. – To mama. Muszę kończyć.

Sacha coś mówił, ale nie miała czasu go wysłuchać. Zatrzasnęła pokrywę laptopa i razem z nim zanurkowała pod kołdrę, po czym zamknęła oczy, pozorując głęboki sen.

Ułamek sekundy później drzwi otworzyły się z cichym szelestem.

– Taylor? – usłyszała głos mamy.

Taylor poruszyła się, żeby lepiej ukryć komputer, po czym otworzyła oczy i zamrugła.

– Mama? – wymamrotała niewyraźnie.

– Wydawało mi się, że słyszę głosy.

– Mmm. – Taylor obróciła się na bok, jakby była zbyt zmęczona na odpowiedź.

Teraz leżała na laptopie, udając, że jest jej niezwykle wygodnie. Po chwili drzwi się zamknęły i znowu zapadła cisza.

Taylor nawet nie drgnęła. Musiała znieść laptop do kuchni przed nadejściem poranka, co oznaczało, że jeszcze sobie poczeka, aby mieć pewność, że mama znów zasnęła.

Podczas czuwania myślała o Sachy, o jego błękitnych oczach i niesamowitych kościach policzkowych.

Twoja mama pewnie uznałaby mnie za chłopaka z piekła rodem.

Nagle uświadomiła sobie, że ból głowy minął. W zasadzie czuła się doskonale.

Mimo złożonej matce obietnicy Sacha nie poszedł następnego dnia do szkoły.

Obudził się dopiero po południu i przekonał, że jest w domu całkiem sam. W spodniach od pizamy przeszedł do kuchni, gdzie znalazł na blacie świeżą bagietkę – matka pewnie wpadła do piekarni, zanim wyszła do pracy. Sacha nastawił kawę, odkroił sobie sporą kromkę pieczywa, a następnie posmarował ją grubo masłem i przykrył plastrem sera. Z kanapką i mocną kawą w rękach wrócił do siebie.

Tępy ból nad lewym okiem był jedyną oczywistą pamiątką po wczorajszym wieczorze. Przed pójściem spać Sacha wepchnął zakrwawione ubrania do koszów na śmieci na dole i sprzątnął łazienkę, żeby Laura nie natrafiła na żaden ślad po tym, co zaszło.

Teraz, siedząc przy biurku, przesunął palcami po miejscu, w którym kula przeszła czaszkę, i znalazł tam płytkie wgniecenie. Nie czuł bólu, ale nie potrafił zebrać myśli, więc podejrzewał, że mózg jeszcze nie odzyskał pełnej sprawności. A może działa się tak, bo nadal był zmęczony?

Ogromnie zmęczony.

Po wczorajszym przerwaniu rozmowy przez Taylor Sacha siedział przed komputerem jeszcze przez niemal godzinę, na wypadek gdyby wróciła. Wiedział, że to głupie – Taylor na pewno nie oczekiwała, że będzie tkwił przed monitorem do piątej nad ranem.

Oczami wyobraźni ciągle widział jej twarz, lśniąca w półmroku skórę i potargane blond loki. Odtwarzał w pamięci rozmowę,

przypominał sobie, co mówiła Taylor i jak na niego spojrziała, kiedy oświadczył, że nie ma przyszłości. Tak jak superbohater w filmie patrzy na niewinną osobę na drodze autobusu, tuż zanim sfrunie, by ją uratować.

To była ich pierwsza szczerza rozmowa, podczas której żadne nie próbowało ani obrazić rozmówcy, ani mu zaimponować. Sacha musiał przyznać, że okazała się... interesująca.

Pod pewnymi względami Taylor była taka, jak sądził, czyli normalna, podobnie jak jej mama, siostra i schludny pokój w półmroku za nią. Zauważył jednak, jak się zachmurzyła na wzmiankę o ojcu. Nie uszło też jego uwadze, że sprzeciwiła się matce, rozmawiając z nim mimo szlabanu na komputer.

Chodziło jednak o coś więcej, o coś szczególnego.

Kiedy patrzyła na niego z powagą w zielonych oczach, których spojrzenie wydawało się przenikać go na wskroś, miał ochotę wyznać jej prawdę. Powiedzieć wszystko.

Ugryzł kanapkę, po czym otworzył stronę profilową Taylor i nachylił się nad monitorem, żeby uważniej się przyjrzeć jej niewielkiemu zdjęciu. Siedziała na trawie, pewnie w parku, w słońcu, i się śmiała. Gdy tak na nią patrzył, poczuł nieoczekiwaną zazdrość. Spytał ją o chłopaka, ale wykręciła się od odpowiedzi.

Nie powinien się dziwić. Jasne, że miała chłopaka, takie dziewczyny zawsze ich miały. To pewnie był jakiś przystojny sportowiec, przyszły prawnik. Ktoś, na kim można polegać.

Nie spodobałby się jej ktoś taki jak on – frajer, który odlicza czas do godziny zero.

Jeśli jednak tak było, to dlaczego nie odpowiedziała na pytanie?

Intrygował go nie tylko wygląd Taylor. Jej nazwisko nie dawało mu spokoju – skądś je znał. Matka na pewno je rozpoznała, co więcej, budziło w niej lęk.

Odchylił się na krzesło i zapatrzył na białą pustkę sufitu.

– Kim jesteś, Taylor Montclair? – zapytał głośno.

Nadeszła pora, żeby się tego dowiedział.

Przebrał się w pierwsze lepsze džinsy i czarny podkoszulek z dziurą na ramieniu, zaparzył sobie jeszcze jeden kubek kawy, po czym zabrał się do pracy.

Na wypadek gdyby odpowiedź okazała się żenująco oczywista, sprawdził, czy ma w poczcie maile z nazwiskiem Montclair, ale wyskoczyły mu jedynie wiadomości od Taylor. Znalazł listę numerów kontaktowych ze szkoły i przyjrzał się uważnie nazwiskom na literę M. Niczego nie znalazł. Potem szukał w szufladach, dokumentach i zeszytach. Jedno wielkie nic.

Coraz bardziej go to dręczyło. Znał jej nazwisko, ale gdzie je słyszał? W telewizji? Przeczytał w książce? Wątpił w to, bo w takim wypadku nie zapadłoby mu w pamięć. Może nosił je któryś ze znajomych rodziców?

To się wydawało bardziej prawdopodobne.

W kącie pokoju gościnnego stało biurko matki. Czując się jak włamywacz, Sacha przejrzał uporządkowaną zawartość szuflad, pełnych rachunków, paragonów i kwitów, i w końcu znalazł notes matki. Przerzucał kartki, aż dotarł do M.

Nigdzie nie natrafił na nazwisko Montclair, chociaż przejrzał każdą wizytówkę i każdy skrawek papieru. Nic.

Bębniąc palcami, odchylił się na krzesło i zaczął się zastanawiać, co dalej. W mieszkaniu panowała przyjemna cisza, przez uchylone okno

wpadał ciepły lekki wiatr. Sacha słyszał warkot aut na wąskiej ulicy, gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Zamknął oczy, chłonąc znajome dźwięki.

W mieszkaniu pozostało jeszcze jedno miejsce do przeszukania. Sacha pochylił się, sięgnął za biurko i wyciągnął ukryte tam kartonowe pudełko, w którym znajdowały się osobiste dokumenty ojca. Rzadko je przeglądali.

Wyjął z pudełka schowany z tyłu duży, oprawiony w czarną skórę notes i z wahaniem przesunął palcami po okładce. Skóra była miękka, starannie wyprawiona, z ozdobami w postaci tłoczonych złotych inicjałów AW.

Gdy ojciec udawał się w teren na badania, zawsze zabierał ze sobą notes. Niechętnie się z nim rozstawał, nie miał go jedynie podczas ostatniej wyprawy. To była jedna z dziwnych okoliczności wypadku, w którym zginął. Gdy na wiejskiej drodze nieopodal Oksfordu wydobyto zwłoki ze zgniecionego wraku wynajętego auta, nie znaleziono przy nich żadnych dokumentów.

Sacha podsunął notes pod nos, wdychając zapach papieru i atramentu, starej skóry i lekko piżmowej woni dymu papierosowego. To obudziło wspomnienia. Zamknął oczy i pod powiekami ujrzał ojca, który wziął go w ramiona i zakręcił, uśmiechając się, gdy Sacha krzyczał z radości.

Sacha westchnął i otworzył notes.

Na pierwszej stronie eleganckim pismem ojca napisane było tylko „Adam Winters”, a pod tym jego tytuł:

Historien médiéviste, maître de conférence à l'Université Paris 5, Panthéon Sorbonne. Specjalista od historii średniowiecza, Uniwersytet Oksfordzki.

Te słowa wystarczyły, żeby Sacha przypomniał sobie wieczory spędzane przed kominkiem w ich kamiennym domu. Ojciec opowiadał mu o królach i zamkach, o rycerzach i palonych na stosach czarownicach.

„To prawda – upierał się ze śmiechem, gdy Sacha twierdził, że te rzeczy nie mogły się wydarzyć. – To wszystko prawda”.

Po jego śmierci Sacha przestał chodzić na lekcje historii.

W wieczornej ciszy słychać było szelest przewracanych stron. Ojciec traktował notes jak pamiętnik, książkę adresową i dziennik. Jego notatki pokrywały każdy centymetr kwadratowy papieru. Słowa atakowały Sachę ze wszystkich stron – zapisane pionowo na marginesie i po przekątnej w rogach kartek.

Informacji było zbyt wiele – nazwiska, nazwy miejsc, przemyślenia, daty...

Sacha szybciej przerzucał kartki, szukając stron z adresami, a potem z jednym konkretnym nazwiskiem. Nic jednak nie było uporządkowane alfabetycznie, on zaś miał problemy z rozszyfrowaniem skomplikowanego systemu ojca. Wodząc palcami po nazwiskach, widział i te znajome, i zupełnie nieznanne – angielskie, francuskie, hiszpańskie, włoskie...

Minęła ponad godzina, zanim natrafił w końcu na to, czego szukał. Te słowa natychmiast rzuciły mu się w oczy.

„Aldrich Montclair, Uniwersytet Oksfordzki”. Obok widniały numer telefonu i adres.

Puls Sachy przyspieszył. Już wiedział, gdzie usłyszał to nazwisko.

Ojciec, stojąc w progu, ze skórzaną podróżną torbą w dłoni, powiedział:

– Montclair uważa, że coś odkrył. Muszę jechać i się przekonać, czy ma rację.

– Znowu? – Matka zmarszczyła brwi. – Byłeś tam zaledwie miesiąc temu. Wiesz, że to niebezpieczne.

Oboje popatrzyli na Sachę, który odrabiał lekcje i słuchał ich jednym uchem. Potem razem wyszli i rozmawiali szeptem.

Przejrzał szybko resztę notesu, szukając wskazówek, nic jednak nie znalazł. Nie było wzmianki o Taylor ani o żadnym innym Montclairze.

Sacha zamknął notes i położył na nim rękę.

– Kim jesteś, Taylor Montclair? – wyszeptał.

– Czekaj, czekaj. Gadałaś z Sachą o trzeciej nad ranem? – Georgie odepchnęła sałatkę i z zainteresowaniem spojrzała na Taylor. – Mielicie na sobie ubrania czy nie?

– Zamknij się! – Taylor wybuchnęła śmiechem i jednocześnie oblała się rumieńcem. – Oboje byliśmy całkowicie ubrani. Nie jestem tobą, Georgie.

Jadły lunch w ogródku Kofeinowego Transu, kawiarenki nieopodal szkoły. Dzień był szary i ponury, zanosilo się na deszcz, jednak Georgie uparła się poprawiać makijaż przed wyjściem ze szkoły na długą przerwę. Dlatego właśnie, gdy dotarły na miejsce, nie znalazły już wolnego stolika w środku.

Georgie spokojnie wpatrywała się w Taylor.

– Poważnie, Tay, to jakieś dziwne zbiegi okoliczności. Myślisz o zerwaniu z Tomem, a potem przez całą noc gadasz z jakimś Francuzem. – Pochyliła się nad blatem. – Co się dzieje? Powiedz mi wszystko. Absolutnie wszystko.

Taylor ze zdenerwowania rozboleł żołądek. Sama nie rozumiała swoich motywów, więc niby jak miała to wyjaśnić przyjaciółce?

Georgie szeroko otworzyła brązowe oczy.

– O Jezu, podoba ci się ten Francuz.

– Nie bądź głupia – odparła Taylor. – Przecież nawet go nie znam. Rozmawialiśmy ze dwa razy, to nic takiego. Miałam go uczyć, wystawił mnie, a potem przeprosił. Opowiedziałam mu o tym dziwnym omdleniu, przez parę minut o tym gadaliśmy, i tyle.

Tylko dlaczego czuła, że to nie wszystko?

Georgie rzuciła jej sceptyczne spojrzenie.

- Skoro tak twierdzisz. - Zamieszała łyżeczką latte z odtłuszczonym mlekiem. - Dziś wieczorem też z nim porozmawiasz?

- Nie.

Taylor mówiła całkiem szczerze, jednak gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, że głowa jej pęka.

Ból się nasilał. Po południu, kiedy lekcje się skończyły, Taylor pobiegła do damskiej toalety, nabrała wody w dłoń i popiła nią dwie tabletki przeciwbólowe. Potem ochlapała twarz i popatrzyła na siebie w lustrze.

Po lekcjach była umówiona z Tomem. Zamierzała z nim zerwać, więc należało się pośpieszyć. W końcu nie mogła się spóźnić na własne zerwanie.

Przycisnęła palce do skroni i zamknęła oczy. Zaczynała na serio panikować. To nie był normalny ból. Zrozumiała, że musi powiedzieć o tym matce i odwiedzić lekarza. Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że to poważna choroba.

Taylor nigdy nie chorowała, nawet przeziębienia zwykle ją omijały. Teraz jednak przypomniało się jej wszystko, co słyszała o śmiertelnych chorobach.

Bardzo się starała, ale zwyczajnie nie potrafiła sobie wyobrazić, że umiera w wieku siedemnastu lat. W jednej chwili człowiek przejmował się egzaminami, a w następnej?

Pstryk, i światła gasły.

W lustrze widziała przerażenie w swoich zielonych oczach. Potargane złociste włosy kręciły się dziko wokół jej twarzy, a cienie

pod oczami zdradzały brak snu. Wyglądała okropnie.

Popatrzyła na zegarek. Minął kwadrans.

To działo się znowu.

– Cholera – wyszeptała ze strachem.

Ta utrata czasu nie była w porządku. Nic nie było.

Chwyliła torbę i pobiegła do drzwi łazienki, po czym pchnęła je z całej siły. Uderzyły w coś miękkiego, co wydało z siebie ciche stęknienie. Taylor złapała za klamkę i szarpnęła drzwi z powrotem.

Po ich drugiej stronie, wśród porzrzucanych na podłodze papierów, stał pan Finlay i pocierając ramię, piorunował ją wzrokiem.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała. – Nic panu nie jest?

– Młodzi ludzie powinni patrzeć, dokąd idą – oznajmił z niezadowoleniem.

– Oczywiście, powinni... to znaczy, powinniśmy – przytaknęła Taylor. – Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

– Hmm.

Nadal wydawał się rozdrażniony, gdy Taylor pomagała mu zbierać papiery w stosik.

– Dziękuję – oświadczył zdawkowo, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że ta pomoc to absolutne minimum w takiej sytuacji.

– No dobrze, powinnam już... – Cofnęła się o krok.

– I tak chciałem cię o coś zapytać – przerwał jej. – Jak idą korepetycje z tym francuskim chłopcem?

– A, z Sachą – odparła. – Rozmawialiśmy kilka razy.

Starła się nie okazywać zniecierpliwienia, ale bała się, że Tom zabije ją za spóźnienie.

– Doskonale, doskonale. – Z aprobatą pokiwał głową. – Cieszę się, że z nim pracujesz. Jeśli jeszcze będziesz uważała na lekcjach

i patrzyła, dokąd idziesz, możesz się mimo wszystko dostać do Oksfordu.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

– No właśnie, do widzenia – wymamrotała Taylor.

Dlaczego nauczyciele zachowywali się tak dziwnie?

Wybiegła z budynku i zobaczyła, że Tom stoi na schodach i wpatruje się w swój telefon. Padało i zdążył już przemoknąć. Od razu zauważyła, że był bardzo spięty.

– Tom? – zawołała. Odwrócił się i spiorunował ją wzrokiem. Zanim zdążył się odezwać, dodała: – Bardzo przepraszam. Finlay mnie dopadł i nie mogłam się wykręcić. Wiesz, jaki on jest...

Uniósł rękę, żeby jej przerwać.

– Wszystko jedno, Taylor. – Popatrzył na nią. – Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje, ale to mało fajne – oświadczył lodowatym tonem.

– Przepraszam – powtórzyła. – Mogłam do ciebie zadzwonić czy... coś.

Kiepsko jej to szło, ale teraz czuła okropne łupanie w głowie, co utrudniało jej logiczne myślenie.

– Szczerze mówiąc, nie czuję się najlepiej – dodała. – Chyba będę musiała zrezygnować z naszej dzisiejszej nauki. Powinnam iść prosto do domu.

– Jezu, Taylor. – Z niesmakiem pokręcił głową. – Zmuszasz mnie nie wiadomo po co, żebym sterczał przez dwadzieścia minut na deszczu, ignorujesz moje SMS-y, a potem oznajmiasz mi, że idziesz do domu?

– Daj spokój, Tom...

– Nie, poważnie, Taylor. – Podszedł bliżej. – Wiesz, że traktujesz mnie jak śmiecia? Moi przyjaciele nie wierzą, że ci na to pozwalam.

Złość i uraza w jego głosie sprawiły, że Taylor się wzdrygnęła.

Niedobrze. Zamierzała z nim zerwać, ale teraz był wściekły i wyglądało na to, że to on zerwie z nią.

– Tom... – zaczęła, jednak nie dał jej dokończyć.

– Uważasz, że możesz mnie mieć na każde zawołanie, i wcale mi się to nie podoba.

Zaskoczona Taylor milczała. Zanim udało się jej wymyślić stosowną odpowiedź, Tom się odwrócił.

– Wiesz co, zapomnij. Nie mam na to czasu. Po prostu. Rób co chcesz, Taylor.

Zbiegł po schodach sprężystym krokiem sportowca i zniknął na boisku.

Taylor przespała resztę popołudnia, a wieczorem ból głowy zniknął. Znow czuła się całkiem normalnie.

Kłótnia z Tomem nią wstrząsnęła. Okazał jej taką niechęć. Może wyczuwał, że się od niego oddalała? Nadeszła pora, żeby coś zrobić z tą sytuacją.

Po kolacji poszła do swojego pokoju i zadzwoniła do Georgie.

– Co jest, Tay? – rozległ się jej głos już po pierwszym sygnale.

Taylor słyszała odgłosy z telewizora. Ryczał tak głośno, że lada moment rodzice Georgie mogli zacząć się uskarżać na hałas.

– Chyba nic takiego. Tyle że miałam dziś głupią kłótnię z Tomem. – Taylor mówiła cicho, żeby jej mama niczego nie podsłuchiwała. – I jestem trochę... sama nie wiem. Mam mętlik w głowie.

– Oho – mruknęła Georgie. Widownia w telewizji zakrzyknęła z aprobatą, na moment ją zagłuszając. Taylor słyszała, jak Georgie

szuka pilota, i po chwili hałas z telewizji ucichł. – Co się stało?

Taylor pokrótce streściła jej przebieg wydarzeń, pomijając utratę poczucia czasu. Gdy skończyła, Georgie westchnęła.

– Tom szybko wpada w złość – zauważyła. – Paul i ja niedawno o tym rozmawialiśmy. Nie powinien tak się do ciebie odzywać. – Umilkła na chwilę. – Ale czy nie miałaś z nim zerwać? Może to wyczuwa? Zwierzęta tak potrafią, prawda?

– Co? Potrafią wyczuć, kiedy inne zwierzęta zamierzają z nimi zerwać?

– Przecież wiesz, o co mi chodzi.

– Nie mam pojęcia. – Taylor oparła się o poduszki. – To strasznie skomplikowane.

– Przynajmniej nadal masz tego Francuza – oznajmiła Georgie żartobliwie. – Będzie cię rozgrzewał nocami.

Taylor nagle wpadła w panikę i usiadła.

– Georgie, nie mów Tomowi o Sachy, dobrze? – poprosiła. – Ostatnie, czego mi trzeba, to zazdrość Toma. I tak jest kiepsko.

– Jasne, że nie powiem – odparła Georgie z urazą w głosie. – Za kogo ty mnie masz?

– Poważnie – nalegała Taylor. – Wiesz przecież, jaki jest Tom. To dobry chłopak, ale zazdrosny.

– No dobrze, nikomu nie powiem. Spokojnie. – Zapadło milczenie. Kiedy Georgie odezwała się ponownie, mówiła pewnie i energicznie, jakby tłumaczyła, w jaki sposób trafić do jej domu. – Posłuchaj uważnie. Jeśli masz zerwać z Tomem, zrób to szybko. Nie dopuść do sytuacji, w której oboje się znienawidzicie. Załatw to sprawnie i bezboleśnie.

W tle dało się słyszeć klaskanie z telewizora.

- Załatwię to jutro – obiecała Taylor.

Na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

Taylor gwałtownie usiadła na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi. Serce łomotało jej tak szybko, jakby biegła, ledwie mogła złapać oddech.

Nadal doskonale pamiętała ostatnie, przerażające sekundy koszmaru. Stała na brzegu urwiska, a Finlay ją popchnął. To się wydawało takie realistyczne.

Jej oddech się uspokoił i znowu się położyła, jednak za każdym razem, gdy przymykała powieki, widziała zbliżającą się ziemię.

Otworzyła oczy, gdy w końcu zrozumiała, że już nie zaśnie. Szybkie spojrzenie na budzik uświadomiło jej, że dopiero minęła pierwsza w nocy.

Ciekawe, czy Sacha spał.

Ta myśl przyszła jej do głowy zupełnie nieoczekiwanie, jakby dotąd czaiła się na obrzeżach jej umysłu i czekała na swoją szansę.

Taylor znowu się zarumieniła na wspomnienie oskarżycielskich słów Georgie. „Podoba ci się ten Francuz”.

Pokręciła głową. Wcale się jej nie podobał, a do tego nigdy się przecież nie spotkali.

Nagle przypomniały się jej błękitne oczy Sachy, jego długie ciemne rzęsy i aksamitny francuski akcent. Ścisnęło ją w żołądku.

Czyżby jednak się jej podobał?

Mogła się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób.

Opuściła nogi na podłogę, ostrożnie przeszła przez pokój, po czym uchyliła drzwi, nasłuchując.

W domu panowała cisza.

Przekradła się na dół, starannie omijając skrzypiący schodek, i cicho niczym duch ruszyła pogrążonym w mroku korytarzem.

Pomyślała, że jak na kogoś, kto jeszcze nigdy w życiu nie zakradał się ciemną nocą, całkiem nieźle jej idzie. Już prawie dotarła do kuchni, kiedy nieoczekiwanie usłyszała bardzo cichy dźwięk z gabinetu, przypominający szelest papieru. Jakby ktoś przewracał strony grubej książki.

Dziwne. Mama zwykle szła spać o dziesiątej, a budziła się o szóstej.

Marszcząc czoło, Taylor ruszyła cicho w kierunku gabinetu. Szelest był coraz donośniejszy, teraz słyszała również szept – złowróżbny pomruk, od którego szumiało jej w głowie. Nie mogła się skupić.

Sięgnęła do klamki.

– Mamo? – odezwała się.

Dźwięki umilkły. Nagle Taylor odniosła wrażenie, że całe powietrze odpłynęło jej z płuc. Poczowała dławienie w gardle, wydawało jej się, że ściskają ją jakieś ręce, miażdżąc tchawicę. Nie mogła oddychać. Złapała się za szyję, ale nie natrafiła tam na żadne duszące ją palce. Odwróciła się z trudem, wymachując dziko rękami, jednak nikogo nie dostrzegła.

Była sama. Próbowwała krzyczeć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Adrenalina wypełniła jej żyły, wszystko zdawało się bardzo wyraźne i przerażające. Nie miała z kim walczyć, a jednak ktoś ją zabijał.

Taylor ujrzała plamy na skraju pola widzenia, świat pociemniał. Coraz bezradniej młóciła w powietrzu rękami.

Wiedziała, że zaraz zemdleje. Umrze.

Nagle zobaczyła gwiazdy – złociste światła w ciemności. Nie, nie światła, ale pasma światła, podobne do jedwabnych nitek. Patrzyła na

nie ze zdumieniem. Wyglądały tak realistycznie, że wyciągnęła rękę ku jednemu z nich. Smukłe pasmo jakby pulsowało mocą.

Elektryczność przeszła jej ciało z siłą, która powinna ją zabić. Z oddali dobiegł dźwięk przypominający stłumiony krzyk. Dłonie ją wypuściły.

Próbując złapać powietrze w płuca, Taylor osunęła się na podłogę. To, co ją zaatakowało, zniknęło.

14

Po ataku siedziała na podłodze w korytarzu, trzęsąc się i szlochając. Nadal słyszała dźwięki, coś poruszało się w półmroku, ale nikogo tam nie było. To wszystko działo się tylko w jej głowie.

W końcu zebrała się na odwagę i wbiegła po schodach do pokoju matki. Kiedy jednak sięgała do klamki, zamarła. Co miała powiedzieć? „Ktoś niewidzialny próbował mnie zabić”?

To było jakieś szaleństwo. Wyszłaby na wariatkę.

Tak bardzo się bała.

Szlochając bezgłośnie, oparła czoło o chłodne drewno, za którym, zaledwie kilka kroków dalej, spała jej mama.

– Wariuję – wyszeptała Taylor przez łyżę, zbyt cicho, by kogokolwiek obudzić. – Mamusiu, pomóż mi, bo wariuję.

Długo tak stała, aż wreszcie odetchnęła z trudem i niepewnie ruszyła przez ciemny korytarz do swojego pokoju.

Przez całą noc leżała skulona na łóżku, trzęsąc się i próbując zrozumieć, co się z nią działo.

Następnego dnia Taylor nie poszła do szkoły.

W nocy ledwie spała. Czuła dziwną lekkość w głowie, jakby była ona balonem na sznurku.

Wstała wcześniej i długo siedziała przed lustrem. Ślady na jej bladej skórze, wczoraj czerwone, zamieniły się w fioletowawe krwiaki. Oplatały jej szyję i bez wątpienia miały kształt i wielkość długich, smukłych palców

Dotknęła ich, sycząc cicho. Trudno było wyobrazić sobie siłę potrzebną do zostawienia takich śladów na skórze – tak potężną, by popękały naczynia włoskowate i pojawiły się wybroczyny.

„Ale przecież byłam sama”, pomyślała.

Po jej policzku spłynęła łza, Taylor szybko ją otarła. Nie mogła płakać, musiała się skoncentrować i to rozgryźć. Zrozumieć.

Takie rzeczy się nie zdarzają.

A jednak to się zdarzyło.

Musiała wydostać się z domu.

Szybko przebrała się w szorty i koszulkę bez rękawów, i zawiązała na szyi białą chustkę, żeby ukryć siniaki. Zanim mama zdążyła zjawić się w kuchni na śniadaniu, Taylor dyskretnie się wymknęła.

Biblioteka Woodbury mieściła się w pełnej zakamarków piętrowej wiktoriańskiej budowli na obrzeżach centrum miasta. Słowo „Biblioteka” wykuto w jasnym kamieniu na froncie, tuż pod stromym dwuspadowym dachem.

Taylor przeszła przez pełną samochodów jezdnię i wbiegła na schody. Na przestrzeni lat spędziła w tym budynku mnóstwo czasu. W dzieciństwie wpadała tu codziennie podczas wakacji po nowe książki do czytania. W bibliotece nadal czuła się bezpieczna. To była świątynia wiedzy.

Tu mogła znaleźć odpowiedzi. Musiała je znaleźć.

Wyciągnęła rękę i złapała ciężką, żelazną kłamkę, która jednak nawet nie drgnęła.

Taylor zwiesiła głowę. Zupełnie zapomniała o godzinach otwarcia. Popatrzyła na zegarek i przekonała się, że nawet nie ma ósmej. Bibliotekę otwierano o dziewiątej.

Powoli osunęła się na górny schodek i ukryła twarz w dłoniach. Jak miała przeczekać całą godzinę?

Zastanawiała się, co dalej. Mogła spędzić ten czas w domu albo w kawiarni. W domu jednak była mama, a w kawiarni ludzie, których Taylor nie chciała oglądać. Dlatego nawet nie drgnęła. Siedziała nieruchomo, opierając czoło na skrzyżowanych rękach i przysłuchując się odgłosom ruchu ulicznego.

– Taylor?

Uniosła głowę i zobaczyła krótkowłosą siwiejącą kobietę w skromnej niebieskiej sukience. Kobieta miała na ramieniu ciężką torbę i wielki pęk kluczy w dłoni. Patrzyła na Taylor ze zdumieniem.

– Co ty tutaj robisz?

Taylor ukradkiem otarła łzy i szybko wstała.

– Dzień dobry, pani Atkinson – powiedziała. – Muszę dziś posprawdzać pewne rzeczy.

Bibliotekarka przyjrzała się jej badawczo. Poznała Taylor, gdy ta była bardzo małym dzieckiem. W Woodbury mieszkało niewielu ludzi. Gdy Taylor była za mała, żeby przebywać w domu bez opieki, mama czasem zostawiała ją pod opieką pani Atkinson, a sama szła na zakupy.

– Nie sprawi mi kłopotu – powtarzała bibliotekarka bez troski. – Wszyscy czytelnicy są mile widziani.

Zachwycona Taylor godzinami przesiadywała w dziale dziecięcym. Tam czuła się bezpieczna.

Teraz też chciała się tak poczuć.

Pani Atkinson minęła Taylor i, pogrążając kluczami, otworzyła drzwi.

– Wejźmy – powiedziała.

W starym budynku mieściło się wiele pograżonych w półmroku sal o wysokich sufitach. Wszystko wyglądało niemal tak jak ponad wiek temu. W pomieszczeniach pozostały oryginalna sztukateria i kominki, chociaż oświetlenie wymieniono na nowoczesne jarzeniówki, które ponuro kontrastowały z przebrzmiałym, choć pięknym wystrojem.

We wnętrzu panował chłód. Czuć tu było znajomy i krzepiący zapach papieru i atramentu, politory i kurzu.

– Zazwyczaj tego nie robię – rozległ się głos pani Atkinson z małego pokoiku za biurkiem bibliotekarki. – Ale wydaje mi się, że kubek herbaty cię pokrzepi.

Taylor usłyszała cichy bulgot wody w czajniku, trzaskanie otwieranych i zamykanych szafek, a potem stukanie łyżeczki o ceramiczny kubek. Położyła torbę na jednym ze zniszczonych drewnianych stolików i usiadła. Plastik krzesła chłodził jej uda.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Najchętniej położyłaby głowę na blacie i zasnęła.

– Proszę bardzo. – Kubek, który wręczyła jej bibliotekarka, miał radosny wzorek w żółte słoneczniki.

Taylor przez długą chwilę tylko wpatrywała się w mleczny płyn, jakby to mogło podpowiedzieć jej, co dalej. Pani Atkinson obserwowała ją ze zmarszczonymi brwiami.

– Moja droga, nic ci nie jest? – zapytała.

Mówiła tak łagodnym tonem, że Taylor znowu miała ochotę się rozpłakać.

– Nie wiem – odparła szczerze. – Mam dziś bardzo kiepski dzień. Muszę sprawdzić kilka rzeczy i wtedy może... może poczuję się lepiej. W każdym razie na to liczę.

Bibliotekarka się zamyśliła – zapewne zastanawiała się, czy dalej drążyć, czy poprzestać na tym, co usłyszała. Taylor nie była już jednak małą dziewczynką i kiedy płakała, nie trzeba było wzywać jej mamy.

Po chwili pani Atkinson wstała z wyraźną niechęcią i ruszyła do przepelnionego książkami biurka.

– Mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedź na to, co cię dręczy – powiedziała. – Tak czy inaczej, miło cię znowu widzieć. Tęskniliśmy za tobą.

Taylor zastanawiała się, skąd ta liczba mnoga – w zasadzie bibliotekę prowadziła tylko pani Atkinson.

Spróbowała herbaty, mocnej i słodkiej, tak jak lubiła, i już po kilku łykach poczuła się lepiej. Bibliotekarka zniknęła razem z wózkiem. Co jakiś czas Taylor słyszała krzepiący stukot układanych na półkach książek.

Czuła się tu bezpiecznie i kusilo ją, żeby nie ruszać się z miejsca. Miała jednak coś do zrobienia.

Z niechęcią posnuła się na górę, do działu popularnonaukowego, i zapaliła światło. Jarzeniówki zamigotały i pojaśniały, bucząc jednostajnie.

Niewielkie pomieszczenie było pełne książek, ustawionych na dwumetrowych regałach, które zajmowały każdy wolny centymetr przestrzeni pod ścianami. Przez okno wpadały jaskrawe promienie ostrego porannego słońca.

Taylor przeszła się wśród półek, przyglądając się nazwom sekcji, i przystanęła, gdy dotarła do działu „Ezoteryka”. Składał się on tylko z jednej półki z książkami, głównie o czarownicach i duchach. Taylor nie wierzyła w duchy – z natury była niedowiarkiem. Już w wieku czterech lat doszła do wniosku, że święty Mikołaj to paskudny oszust,

a wcześniej straciła wiarę we wróżkę zębuszkę. W wieku ośmiu lat została ateistką, po tym, jak pewnego zimowego wieczoru w ogródku podczas obserwacji gwiazd ojciec wyjaśnił jej teorię Wielkiego Wybuchu. Inna sprawa, że gdy nieco dorosła, nie była już taka pewna nieistnienia Boga.

Mimo to koniec końców w zasadzie w nic nie wierzyła.

Z dołu dobiegł ją ledwie słyszalny szmer rozmowy – najwyraźniej ktoś jeszcze przyszedł dziś za wcześnie do biblioteki.

Taylor nadal krążyła po pomieszczeniu, przyglądając się nazwom sekcji. Tym razem zatrzymała się przy „Psychologii i psychoterapii”. To zapowiadało się znacznie bardziej obiecująco. Cały regał pełen był książek w rozmaitych kolorach i kształtach.

Pierwsza, którą wzięła do ręki, miała jasny, konkretny tytuł – Schizofrenia. Taylor z narastającym przerażeniem przerzucała kartki. Najgorsze były opisy przypadków schizofrenii.

Pacjent X doznał kontuzji, krwiałów i ran szarpanych w wyniku dwudziestominutowego epizodu. W jego trakcie sądził, że został zaatakowany lub też walczył z niewidzialnym napastnikiem. Personel medyczny obecny podczas incydentu oświadczył, że pacjent sam zadał sobie obrażenia, on zaś upierał się, że tylko odpierał atak...

Zatrzasnęła książkę. Niemożliwe, żeby tak miała wyglądać jej przyszłość. Przecież siedemnastolatek nie budzi się zniecka z chorobą psychiczną, prawda?

Postanowiła tego nie sprawdzać.

To, co zaatakowało ją w nocy, nie było wytworem jej wyobraźni, istniało naprawdę. Przecież sama nie posiniaczyła sobie szyi.

Wróciła do półki z ezoteryką i powoli, niechętnie wyciągnęła rękę po książkę o poltergeistach.

– Nie znajdziesz tam tego, czego szukasz.

Taylor podskoczyła i upuściła książkę.

Z cienia wyłonił się mężczyzna i stanął w wąskich drzwiach. Był przysadzisty i niewiele wyższy od Taylor. Gęste białe włosy kręciły się wokół jego głowy, tworząc rozczochraną gęstwinę – wydawała się bardzo miękka, chociaż Taylor nigdy nie odważyła się jej dotknąć. Wpatrywał się w nią z niepokojącą uwagą, która w dzieciństwie bardzo ją onieśmiała. Miał oczy tego samego koloru co ona.

Taylor była tak zaszokowana, że na chwilę odebrało jej mowę. W końcu jednak odzyskała głos.

– Dziadku, co ty tutaj robisz?

Aldrich Montclair uśmiechnął się do niej, chociaż jego wzrok pełen był powagi.

– Witaj, moja droga – powiedział. – Chyba przyszła pora, żebyśmy ucieli sobie pogawędkę.

Taylor podniosła rękę i uszczypnęła się w ramię. Zabolało.

– Nie... Nie rozumiem – wyjąkała, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, jakby mogła znaleźć wyjaśnienie wśród regałów. – Co ty... Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– Trudno to wytłumaczyć – odparł. – Ale powiem ci wszystko, co mogę. I o tym, i o innych sprawach.

– Innych sprawach? – powtórzyła słabym głosem.

– O twoim nocnym wypadku. – Nigdy nie słyszała, żeby mówił aż z taką powagą. – Bo coś ci się przytrafiło w nocy, prawda?

Taylor przeszył dreszcz.

– Skąd wiesz? – wyszeptała.

– Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju – wyjaśnił. – Obawiam się, że teraz musimy działać bardzo szybko. Być może czekałem zbyt długo. Pozostali tak uważają, a zazwyczaj się nie mylą.

„Pozostali? Działać?”

Zdumiona Taylor cofnęła się o krok w kierunku okna za sobą. Mimo że dzień był ciepły, zadrżała. Jej dziadek szeroko otworzył oczy.

– Moja droga, musisz zachować spokój.

Powiedział to z takim naciskiem, że Taylor spanikowała jeszcze bardziej. Kiedy zrobił krok w jej stronę, uniosła ręce w ostrzegawczym geście.

– Stój.

Jarzeniówki złowroźbnie zamigotały. Dziadek Taylor zamarł i również uniosł ręce. Światło zamigotało raz jeszcze, a Taylor

popatrzyła na długą, fluorescencyjną tulejkę, zastanawiając się, co się dzieje.

– Posłuchaj mnie, Taylor. – Aldrich mówił cicho i spokojnie. – Wszystko, co ci się przytrafiło – bóle głowy, omdlenia, utrata czasu – jest prawdziwe, podobnie jak nocny atak. Jest to również bardzo niebezpieczne, może nawet śmiertelnie niebezpieczne, jeśli nie zachowamy ostrożności.

Usta Taylor się poruszyły, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nikomu nie powiedziała o utracie czasu, nawet mamie.

– Skąd...? – szepnęła w końcu.

– To samo przytrafiło się mnie, a także mojemu ojcu, siostrze i jej dzieciom – odparł Aldrich. – Masz to we krwi.

Taylor chwyciła za parapet tak mocno, że zaboląły ją dłonie.

– Co mam we krwi?

– Moc – odparł zwięźle.

Jarzeniówki znowu zamigotały i zgasły z hukiem.

– O rety – westchnął dziadek. – Tego się obawiałem.

– Co na litość...? – usłyszeli z dołu okrzyk pani Atkinson.

– Chyba powinniśmy wyjść, zanim stanie się coś jeszcze. Powiem ci wszystko, co mogę. – Wyciągnął ku niej rękę, spodem dłoni do dołu, jak do rannego zwierzęcia. – Pójdiesz ze mną?

Taylor się zawahała. Pragnęła jednak zrozumieć, co się dzieje, a dziadek najwyraźniej to wiedział.

Wzięła go za rękę

– Nadal nie rozumiem, jak mnie znalazłeś – powiedziała, gdy ruszyli ulicą.

Robiło się coraz cieplej, promienie słońca rozgrzewały asfalt.

Taylor nie widziała dziadka od niemal roku. Po odejściu ojca sytuacja zrobiła się napięta, dlatego dzisiejsze spotkanie było całkiem niespodziewane.

– Obawiam się, że muszę ci coś wyznać. – Dziadek spojrzał na nią z ukosa. – Od jakiegoś czasu mam na ciebie oko.

– Co takiego? – Przystanęła. – Jak?

– Ludzie, którzy ze mną pracują, są w tym świetni – odparł. – Chronili cię, aż do tej nocy.

Ktoś minął ich w pośpiechu i dziadek umilkł. Wskazał ręką na drugą stronę ulicy, gdzie wzdłuż rzeki rozciągał się zielony park.

– Może tam pójdziemy i wszystko ci wyjaśnię? – zaproponował.

Był poranek zwykłego dnia pracy, więc długi wąski park świecił pustkami. Aldrich poprowadził Taylor ku przecinającemu trawę strumieniowi, do żelaznej ławeczki nad brzegiem. Kiedyś była zielona, jakby ktoś chciał ją zamaskować, jednak farba się łuszczyła, odsłaniając czerń.

– Usiądź – poprosił dziadek.

Taylor z wahaniem usiadła na rozgrzanym od słońca metalu. Aldrich nie poszedł w jej ślady.

– Wiedziałem, że zaczniesz cierpieć na bóle głowy, ja też je miałem. I że gdy już się pojawią, doświadczysz również innych symptomów: przekonasz się, że masz wpływ na elektryczność. Tak to się przejawia.

– Co? – Taylor zamrugła ze zdumienia.

– W bibliotece, gdy zgasły światła – wyjaśnił. – To twoja sprawa.

Zaskoczona Taylor wybałuszyła oczy.

– Nie miałam z tym nic wspólnego – powiedziała. – Niby jak? Staliśmy na górze, zresztą byłeś ze mną przez cały czas.

- Nie zrobiłaś tego rękami. - Wskazał na jej głowę. - Ale za pomocą mózgu.

Taylor ukryła twarz w dłoniach. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Przez krótką chwilę liczyła na to, że dziadek udzieli jej odpowiedzi, jednak to, co mówił, było zupełnie bez sensu.

„Dziadek to wariat, tak jak ja”, pomyślała.

- Taylor?

Powoli uniosła głowę i popatrzyła na niego.

- To od tego boli cię głowa. - Wyciągnął rękę, w której trzymał żarówkę.

Żarówka zaświeciła, początkowo bardzo słabo, a potem bardzo jasno. Oszołomiona Taylor rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy widzi to ktoś jeszcze, byli jednak całkiem sami. W pobliżu nie przechodził nikt, dzięki komu mogłaby się zorientować, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy jest jedynie wytworem jej wyobraźni.

- To właśnie zrobiłaś w bibliotece. - Uniósł rękę z żarówką i obrócił ją między kciukiem a palcem wskazującym. - Przeniosłaś molekuły energii z właściwego im miejsca, powietrza, ziemi, w inne. Do lamp.

Żarówka zgasła, a dziadek podał ją Taylor. Zbyt oszołomiona, by protestować, przyjęła ją w milczeniu. Żarówka wyglądała na całkiem zwyczajną, jak te montowane w lampkach. Nie było w niej ukrytych przełączników ani przycisków.

Taylor nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiła zaakceptować tej dziwacznej sytuacji. Jeśli jednak miałaby wskazać kogoś, kogo darzyła bezgranicznym zaufaniem, byłby to niewątpliwie Aldrich Montclair.

Dziadek wykladał historię w Oksfordzie, specjalizował się w średniowieczu. Był ekscentrycznym intelektualistą, bardzo oddanym

wnuczkom. Gdy Taylor była mała, wraz z rodzicami często odwiedzała Aldricha w jego zabałaganionym mieszkanku na terenie uniwersytetu.

Z okna rozpościerał się widok na kamienne wieżyczki Saint Wilfred's College, które zdawały się wznosić prosto do nieba. W mieszkaniu stopy książek na każdym stoliku i krzesła odzwierciedlały architekturę na zewnątrz.

Dla Taylor była to bajkowa kraina.

Aldrich dawał jej stare arkusze egzaminacyjne do rysowania. Kiedy ta zabawa straciła swój urok, wręczał jej ciężkie księgi pełne kolorowych ilustracji. Dopiero po wielu latach Taylor zrozumiała, jak cenne były te stare, oprawione w skórę tomy.

Uczył ją o marginaliach, fantastycznych gryzmołach mnichów na marginesach manuskryptów. Taylor godzinami szukała maleńkich kotów, myszy i smoków ukrytych na krawędziach grubych, miękkich stronic.

„Dobraliście się jak w korcu maku” – wzdychała mama, gdy Taylor i Aldrich pochylali się nad wielką zakurzoną księgą, analizując obrazek przedstawiający węża pożerającego fantastyczną literę A.

Po odejściu ojca Taylor Aldrich jednak stopniowo wycofywał się z ich życia. Wnuczka dorastała i nie mogła już spędzać z nim tyle czasu co dawniej, on zaś był bardzo zajęty badaniami i nauczaniem.

To, że zjawiał się teraz, gdy najbardziej potrzebowała pomocy, nie mogło być przypadkiem. Naprawdę próbował ją chronić?

Ale co jej zagrażało?

Aldrich usiadł obok niej na ławce. Wiatr bawił się jego białymi włosami.

– Jesteś inteligentną dziewczyną, Taylor, więc wyjaśnię ci to tak, jak wyjaśniłbym naukowy fakt. W twoim DNA, podobnie jak w moim, jest

coś, dzięki czemu możesz robić niezwykłe rzeczy. Manipulować naturą. Bóle głowy to początek, ale potem idzie już bardzo szybko. Potrzebujesz szkolenia i przewodnika. To mogę ci zapewnić, jednak... – Umilkł, a jego twarz się zachmurzyła. – Dzieją się też inne rzeczy, przez które możesz się znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie. I właśnie dlatego musimy działać szybko, żeby cię chronić.

Taylor przyglądała mu się uważnie. W tweedowej marynarce i idealnie zawiązanym krawacie wydawał się całkiem rozsądny.

Tyle że gadał głupoty.

– Przepraszam, ale to jakieś szaleństwo – powiedziała. – Ja oszalałam. Pewnie tylko wyobrażam sobie tę rozmowę. Mam zwidy.

– Z całą pewnością nie masz zwidów. – Dziadek wydawał się urażony. – To się dzieje naprawdę, Taylor. To twoje życie, niczego sobie nie wyobrażasz. Nocny atak powinien jasno dać ci to do zrozumienia. – Wskazał chustkę na jej szyi. – Zdejmij to.

– Jesteś... Dlaczego?

– Moja droga, muszę zobaczyć, co ci się stało, żeby wiedzieć, z czym konkretnie mamy do czynienia. Tu odniosłaś obrażenia, prawda? Ukrywasz ślady po ataku pod tą chustką?

Z jakiegoś powodu Taylor nie potrafiła mu skłamać. Skinęła głową.

– Wobec tego proszę, zdejmij chustkę – powiedział łagodnie.

Zdrętwiałymi palcami próbowała ją odwiązać, ciągnąc za materiał, aż ustąpił. Mimo upału poczuła chłód na szyi.

Uniosła brodę.

Aldrich zacisnął usta na widok wąskich fioletowych śladów.

– Tego się obawiałem, ale mogło być jeszcze gorzej. Mówiłaś komuś, co się stało? Mamie, policji?

Pokręciła głową i z powrotem zawiązała chustkę.

– To dobrze – oświadczył zwięźle. – Trudno byłoby wytłumaczyć to policji. Nie rozumieją. W ich podręcznikach nie ma nic na ten temat. Mnie jednak możesz wyznać prawdę. Muszę znać wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

Tak naprawdę Taylor bardzo pragnęła opowiedzieć komuś o tym, przez co przeszła. Jeszcze nigdy nie doświadczyła niczego równie przerażającego, a musiała radzić z tym sobie sama.

Początkowo niepewnie, ale z każdą chwilą coraz śmiej opowiedziała mu o ataku na korytarzu, o niewidzialnych dłoniach, dziwnych strumieniach mocy – linie ratunkowej, za którą chwyciła.

– Wyjaśnij mi to raz jeszcze. – W jego głosie dało się słyszeć ożywienie. – Zobaczyłaś złociste włókna i zdołałaś je kontrolować?

– Właściwie to nie wiem, czy kontrolować – odparła Taylor. – Ja tylko... złapałam jedno z nich.

– Rozumiem. – Zobaczyła aprobatę w oczach dziadka. – To o wiele bardziej imponujące, niż ci się wydaje.

Taylor nie rozumiała jednak, dlaczego to miałyby być imponujące. Dla niej oznaczało tylko ból i strach, i eksplodujące światła.

– Powiedz mi, co to takiego. – Pochyliła się ku niemu. – Mówisz, że to jest w naszym DNA. To znaczy, że to odziedziczyłam? To genetyczny... defekt?

– Otóż to – przytaknął. – Chociaż nie użyłbym słowa „defekt”. Po prostu w twoim DNA jest gen, którego nie ma większość ludzi. Prosty czynnik, dzięki któremu w innych okolicznościach mogłabyś mieć niebieskie oczy albo brązowe włosy.

Taylor uniosła rękę.

– A w tych okolicznościach mam co? – zapytała. – Kim jestem?

Jednocześnie usłyszeli głosy. Taylor odwróciła się i ujrzała, że po parku przechadzają się dwie kobiety w garsonkach.

– Nie powinniśmy tu o tym rozmawiać. – Aldrich rozglądał się w poszukiwaniu innych ludzi, którzy mogliby ich podsłuchać. – Musisz przyjechać do mnie do Oksfordu. Wtedy wyjaśnię ci to bardziej szczegółowo.

Próbował wstać, ale Taylor chwyciła go za rękę i przytrzymała.

– Nie możesz tak odejść. Musisz powiedzieć mi coś jeszcze.

Aldrich usiadł i popatrzył na nią spokojnie.

– Najważniejsze jest to, że masz tę cechę – oznajmił. – Wyczuwałem w tobie potencjał, kiedy jeszcze byłeś niemowlęciem. Wręcz promieniałaś. Inni też potrafili to wyczuć i w tym problem.

Taylor, która nadal nie rozumiała, czym niby mogła promienieć, nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

– Dlatego właśnie wysłałem Finlaya, żeby cię pilnował, gdy nadejdzie pora – ciągnął Aldrich. – Wiedziałem, że twoja zdolność zmanifestuje się nieoczekiwanie i może cię przytłoczyć. Twoja matka nie ma o niczym pojęcia, a twój ojciec... – zawahał się – odszedł, więc ktoś musi cię strzec.

– Zaraz... – Taylor zamrugwała. – Finlay pracuje dla ciebie?

Aldrich skinął głową.

– To on mnie zawiadomił, gdy zaczęłaś mieć... epizody.

– Ale skąd wiedzieliście, co się stało w nocy? – Taylor dotknęła szyi.

– Co noc ktoś krążył pod twoim domem – oświadczył Aldrich takim tonem, jakby to było racjonalne zachowanie. – Odkąd spowodowałaś wybuch głośników w tej restauracji o absurdalnej nazwie... Rakietowy Bar Jaya. – Wydawał się zniesmaczony. – Rakietowy bar? Idiotyczne.

– Ktoś był pod moim domem?

Taylor nie mogła przestać powtarzać jak papuga każdej nowej informacji. Obserwowali ją w domu. Co widzieli? Myśl, że ktoś krążył w cieniu i ją szpiegował, sprawiła, że dostała gęziej skórki.

– Dlaczego po prostu nie powiedziałaś mi, co się dzieje? – spytała podniesionym głosem. – Dlaczego mi tego nie wyjaśniłaś?

– A uwierzyłabyś mi? – Uśmiechnął się do niej znacząco. – Moja droga, obawiam się, że gdybym zdradził ci to wszystko wcześniej, uznałabyś, że moje miejsce jest w domu wariatów.

Taylor, która zdążyła otworzyć usta, żeby zaprotestować, szybko je zamknęła. Miał rację.

– Czy teraz mi wierzysz? – Popatrzył na nią. – Jesteś gotowa zrobić następny krok? Dać sobie pomoc?

Następny krok ku czemu?

Taylor wiedziała jedynie, że ma genetyczną wadę, przez którą staje się niebezpieczna w pobliżu instalacji elektrycznych. Niby jak miałyby się to okazać użyteczne?

– Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. – Znowu zbierało się jej na płacz. – Nie wiem, dlaczego mam te obrażenia i dlaczego ty się zjawiałeś. Nie wiem, dlaczego to wszystko przydarzyło się właśnie mnie.

Po jej policzku spłynęła łza, więc Taylor odwróciła głowę.

Przez chwilę dziadek się nie ruszał, potem jednak wyciągnął rękę i położył ją wnuczce na ramieniu.

– Wiem, że czujesz się dezorientowana, ale obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię. Będziemy cię chronili.

Zanim Taylor zdążyła zaprotestować, znowu dobiegły ich głosy. Oboje odwrócili głowy w stronę pary starszych ludzi, którzy, trzymając

się pod rękę, ostrożnie szli ścieżką w kierunku ławki.

– Mam ci tyle do powiedzenia. – Aldrich nie spuszczał wzroku z siwowłosej pary. – Obawiam się, że jednak nie tutaj. Chciałbym, żebyś w sobotę przyjechała do mnie do Oksfordu. Wtedy wyjaśnię ci więcej, przedstawię ci ludziom, którzy są tacy jak my, i zaczniemy cię uczyć kontrolowania mocy.

Zdumiona Taylor odwróciła ku niemu głowę.

– Jest nas więcej? Chcesz powiedzieć, że nie chodzi tylko o naszą rodzinę?

Aldrich cały się rozpromienił.

– Ależ nie, moja droga, nie chodzi tylko o naszą rodzinę. Nie jesteśmy sami. Ty nie jesteś sama.

Starsi państwo byli coraz bliżej. Za nimi pojawiła się kobieta ze spacerówką. Dziadek zerwał się z ławki i gestem dał Taylor do zrozumienia, żeby poszła za nim.

– Odprowadź mnie do ulicy – poprosił.

Poruszał się ze zdumiewającą szybkością, Taylor ledwie dotrzymywała mu kroku.

– Wiem, że masz wiele pytań – powiedział. – Obiecuję udzielić ci na nie odpowiedzi. Tymczasem obawiam się, że nie jesteś bezpieczna. Dzieje się coś nieoczekiwanego. Ten nocny incydent jasno na to wskazuje. Moi ludzie byli na miejscu, jednak nie udało im się zdążyć na czas. Zacieśniliśmy ochronę i taki atak nie powinien się już powtórzyć. Muszę cię jednak prosić, żebyś nie opuszczała domu nocą, a właściwie nawet za dnia. Zadawaj się tylko z zaufanymi osobami, nigdzie nie chodź z ludźmi, których nie jesteś pewna. – Popatrzył na nią surowo. – Czy możesz mi to obiecać?

– Chyba... Chyba tak – odparła niepewnie.

Dotarli do chodnika i dziadek zatrzymał się tak nieoczekiwanie, że Taylor omal nie straciła równowagi.

– Jeszcze jedno, moja droga – zwrócił się do niej. – Bóle głowy i inne skutki uboczne naszej przypadłości bywają wywołane silnymi emocjami, złością, strachem i tak dalej. – Zamachał ręką, wskazując całe jej ciało. – Staraj się panować nad uczuciami.

„Mam próbować nie mieć uczuć? – pomyślała Taylor. – Niby jak?”

– Naprawdę muszę już iść – dodał dziadek. – Nie przejmuj się sobotą, ustalę wszystko z twoją mamą. – Położył dłonie na ramionach Taylor i serdecznie ucałował ją w oba policzki. – Wspaniale było cię znowu zobaczyć, moja droga. Bardzo dorosłaś. Ale... proszę, nie czytaj już o poltergeistach. Te książki to stek bzdur.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył ulicą. Oszołomiona Taylor patrzyła w milczeniu, jak odchodził. Zanim dotarł do rogu, zauważyła pod latarnią dziwną dziewczynę o niebieskich włosach, z misternymi tatuażami na rękach i nogach. Była umięśniona i wyglądała na twardzielkę.

Zauważyła, że Taylor wpatruje się w nią z ciekawością, i posłała jej zaczepne spojrzenie. Speszona Taylor natychmiast się odwróciła.

Klasyczny biały jaguar z 1965 roku stał zaparkowany na cichej bocznej uliczce, w cieniu wysokiego żywopłotu. Aldrich usiadł za kierownicą, zamykając drzwi, które szcęknęły przy zamykaniu. Deskę rozdzielczą wykonano z polerowanego drewna. Wydawało się żywe i ciepłe, gdy Aldrich dotknął go, po czym odkręcił szybę, żeby wpuścić świeże powietrze.

Po chwili niebieskowłosa dziewczyna otworzyła drzwi z drugiej strony i usiadła w fotelu pasażera.

- No i? - Uniosła ręce, ledwie panując nad zniecierpliwieniem. Alchemiczne symbole wytatuowane na jej przegubach były czarne jak smoła. - Miałam rację? Już się zaczęło?

Aldrich wyciągnął chusteczkę i otarł spocone czoło. Dzień był naprawdę ciepły.

- Zaczęło się - potwierdził.

Dziewczyna głośno wypuściła powietrze z płuc i rozparła się w fotelu z czarnej skóry.

- No dobrze, więc to prawda. I co teraz?

Aldrich uśmiechnął się do swojej asystentki. Była utalentowana, ale i bardzo młoda, zaledwie o kilka lat starsza od jego wnuczki. Żadne słowa nie były w stanie przygotować jej na to, z czym musieli się zmierzyć.

- Teraz musimy utrzymać ją przy życiu - odparł.

Sacha po raz setny sprawdził profil Taylor na Rewolucyjnym Czacie – nadal nie była zalogowana. Od wielu dni nie napisała do niego maila.

Wiedział, że powinni porozmawiać, ale właściwie trochę mu ulżyło. Gdyby podzielił się z nią swoimi podejrzeniami...

„Uznałaby mnie za wariata”, pomyślał.

Ostatnie dwa dni niemal w całości poświęcił na przeglądanie papierów ojca. Szukał innych odniesień do Aldricha Montclaira. Sprawdził go i dowiedział się, że Aldrich wykłada historię średniowiecza w Kolegium Świętego Wilfreda w Oksfordzie. Cieszył się szacunkiem historyków i naukowców. Były to jedyne informacje, jakie zdołał znaleźć Sacha. Nie natrafił na żadne powiązania między swoim ojcem historykiem a człowiekiem, który nosił takie samo nazwisko jak Taylor. Nic nie tłumaczyło, nad czym ci dwaj wspólnie pracowali.

Coś jednak musiało ich łączyć. Nie mogło być przypadkiem, że nauczyciele Sachy i Taylor postanowili ich skontaktować, kiedy mogli wybierać z miliona innych uczniów w Anglii i Francji.

Sacha nie wierzył w przypadki.

Z westchnieniem ponownie otworzył notes ojca. Każda strona pokryta była drobnym, schludnym pismem Adama Wintersa. W zasadzie nie miał czytelnego systemu, raczej notował wszystko, co przyszło mu do głowy. Dlatego znajdowały się tam notatki dotyczące

pracy („spotkanie z dziekanem o siódmej”) oraz osobiste („kupić mleko”). Wśród nich z pewnością kryło się to, czego szukał Sacha.

Niektóre zdania się wyróżniały – każde słowo podszyte było desperacją.

„Dotąd dwunastu. Naliczyłem dwunastu. Musi być jeszcze jeden”.

W jednym miejscu Sacha natrafił na datę swoich osiemnastych urodzin obwiedzioną czerwonym długopisem. Przewrócił stronę.

„Aldrich szuka klucza. Twierdzi, że na pewno da się to skończyć, zanim będzie za późno. Cała grupa się temu poświęciła, ale czas jest ich wrogiem”.

Sacha trzykrotnie przeczytał ten wpis. A więc jego ojciec i Aldrich wspólnie szukali klucza.

„Jakiego klucza?”, zapisał Sacha.

Wiedział już, że przed śmiercią ojciec poświęcił mnóstwo czasu na to, żeby utrzymać go przy życiu. Na tych wszystkich wyjazdach, podczas których, jak sądził Sacha, ojciec prowadził badania dla uniwersytetu, Adam szukał wskazówek – sposobu na przełamanie klątwy.

Klątwa. Sacha co chwila natrafiał na to słowo w dokumentach ojca, jednak bez żadnego wyjaśnienia – nie znalazł nic, dzięki czemu zdołałby zrozumieć, co i dlaczego.

Gdy matka po raz pierwszy podzieliła się z nim swoją wiedzą, też użyła słowa klątwa. Początkowo Sacha uznawał to za dziwaczny żart albo niezrozumiałą metaforę, stopniowo jednak uświadamiał sobie, że wypowiadali to słowo, bo nie istniało żadne inne. Szczerze wierzyli, że rodzina jest przeklęta.

On również w to uwierzył.

Jak nazwać kogoś, kto od dnia narodzin ma wyznaczoną datę śmierci? No jak?

Przeklętym.

W końcu Sacha zmusił matkę, żeby mu powiedziała wszystko, co wie o jego sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że nie wiedziała zbyt wiele. Mogła mu jedynie przekazać, że pierworodni synowie w rodzinie umierali w dniu swoich osiemnastych urodzin. Za każdym razem, dekada za dekadą, wiek za wiekiem. Do tego czasu nic nie mogło go zabić.

– Tak się dzieje, odkąd rodzina sięga pamięcią – powiedziała mu w dniu, w którym poznał swój los. – Robiła, co mogła, żeby ocalić chłopców, ale za każdym razem umierali.

Jej oczy były pełne tak głębokiego smutku, że to nim wstrząsnęło.

Sacha przypomniał sobie, że siedzieli wtedy na sofie w salonie, tej samej, która stała tam teraz, miękkiej, brązowej i lekko zapadniętej pośrodku. To były jego szesnaste urodziny – dostał wtedy upragnioną grę komputerową.

Oraz wyrok śmierci.

Na początku nie uwierzył. Był zły i zbity z tropu. Po tamtym wyznaniu matka nie chciała o tym więcej rozmawiać. Całkowicie skupiła się na tym, by wiedli normalne życie. Właściwie popadła w obsesję.

– Będziesz miał najlepsze życie, jakie mogę ci zapewnić – powtarzała. – Więcej nie zdołam zrobić.

Sacha jednak nie chciał normalnego życia. Pragnął odpowiedzi, pragnął to powstrzymać.

Teraz zostało mu siedem tygodni. Tylko siedem.

Musiał porozmawiać z Annie. Być może wiedziała więcej niż matka, w końcu dorastała z tą samą klątwą. Nie wątpił, że zdradzi mu jakieś szczegóły rodzinnej tradycji.

Na pewno kryło się pod tym więcej, niż dotąd rozszyfrował. Coś mu umknęło.

Odłożył długopis i potarł zmęczone oczy.

– Mogłeś zostawić mi więcej wskazówek, papa – wymamrotał.

To było niesprawiedliwe i natychmiast znienawidził się za te słowa.

Pięć lat temu ojciec nie mógł wiedzieć, że tamtego dnia zginie w zmiążdżonym na drzewie aucie na wiejskiej drodze w Anglii. Dlatego nie miał powodu, by cokolwiek tłumaczyć Sachy. Pewnie wierzył, że uda mu się znaleźć wyjście.

A jednak się nie udało.

Sacha zamknął notes. Musiał zrobić sobie przerwę, a przede wszystkim musiał pogadać z Taylor. Odwrócił się do komputera, otworzył nowy list, zaadresował go do Taylor i wpisał zwięźle:

Musimy pogadać. Dziś o siedemnastej twojego czasu.

Po wysłaniu maila przeciągnął się ostrożnie – bardzo długo siedział na krześle. Było już po drugiej, od śniadania nic nie jadł. Nic dziwnego, że burczało mu w brzuchu.

W mieszkaniu zaległa głucha cisza – siostra Sachy była w szkole, a mama znów pracowała na dzienne zmiany. To ostatnie oznaczało, że w kuchni panował nienaganny porządek.

Sacha chwycił jabłko z misy na ladzie i odgryzł olbrzymi kęs. Żując, wychylił się nad zlewem, żeby wyrzucić przez okienko na ulicę trzy piętra niżej. Niewiele się działo – jakiś staruszek wyprowadzał małego pieska na długiej smyczy, a kobieta energicznie popychała spacerówkę, jednocześnie rozmawiając przez telefon.

Gdy Sacha się przeciągał, trzech mężczyzn w ciemnych płaszczach skręciło w jego ulicę. Poruszali się dziwnie szybko. Nie czekał jednak, żeby sprawdzić, dokąd idą. Wyciągnął telefon z kieszeni i przewinął listę kontaktów, aż dojechał do samej góry. Annie była pierwsza na liście.

Sacha już miał wcisnąć przycisk, ale się zawahał. Od bardzo dawna nie rozmawiał z ciotką. Odepchnął ją tak jak wszystkich innych, gdy poznał prawdę o swoich osiemnastych urodzinach.

Annie mieszkała na wsi, kilka godzin drogi od Paryża. Rzadko wpadała do miasta, więc Sacha bez trudu rozluźnił kontakt, tak że w końcu zniknęła z jego życia. Teraz jednak...

A jeśli znała odpowiedzi? Musiał z nią porozmawiać.

Zanim nacisnął przycisk, usłyszał dzwonek do drzwi.

Wsunął telefon do kieszeni dżinsów i marszcząc czoło, ruszył korytarzem. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś tu przychodził za dnia. Sąsiedzi wiedzieli, że matka Sachy pracowała na zmiany, więc dostawy i paczki czekały na nią na dole.

Był już niemal przy wejściu, gdy ktoś tak mocno załomotał w drzwi, że aż zadrżały. Sacha zamarł i wbił w nie wzrok. Czuł, że włosy na karku stanęły mu dęba. Znowu rozległo się łomotanie. Było nie tylko natarczywe – wyglądało na to, że ktoś próbuje wyważyć drzwi.

Powróciło koszmarne wspomnienie mężczyzn, którzy go zastrzelili.

„Wiedzą, że żyję? Antoine im powiedział?”

Schylił się ostrożnie i zdjął buty, po czym w skarpetkach przesunął się bezszelestnie ku drzwiom, przywierając plecami do ściany. Potem wyjrzał przez wizjer.

Na klatce schodowej stało trzech mężczyzn. Na pierwszy rzut oka wyglądali zwyczajnie, jednak gdy Sacha im się przyjrzał, z wrażenia głośno odetchnął. Wszyscy trzej byli przeraźliwie wychudzeni i śmiertelnie bladzi. Mimo ciepłego dnia mieli na sobie eleganckie długie czarne płaszcze.

Najniższy z nich przyciskał dłoń do drzwi. Nie wydawał się dość silny, by nimi zatrząść, jednak w tej samej chwili znowu rozległo się łomotanie. Drzwi zatrzęły się gwałtownie. Tyle że Sacha patrzył prosto na tego mężczyznę i widział, że jego pięść nawet nie drgnęła. Nikt nie walił w drzwi.

Serce Sachy zaczęło szybciej bić. Co się działo, do cholery?

Mężczyzna, który stał nieco dalej, popatrzył prosto w wizjer. Jego oczy były czarne jak węgiel, a spojrzenie przeszywające, i choć Sacha bardzo chciał, nie mógł oderwać od niego wzroku. Nagle mężczyzna przemówił głębokim, lodowatym głosem.

– Trzymaj się z daleka od dziewczyny.

Sacha miał okropne wrażenie, że mężczyzna widzi go przez drzwi i zdaje sobie sprawę z jego strachu, a co gorsza, że go to bawi. Na ustach nieznajomego pojawił się grymas, który zdawał się rozciągać skórę twarzy tak, że teraz przypominała uśmiechniętą czaszkę.

Sacha mimowolnie jęknął.

Mężczyźni jednocześnie odwrócili się i odeszli bez słowa. Poruszali się w nienaturalny sposób, jakby płynęli nad linoleum. W tym samym momencie weszli na schody i zniknęli w półmroku.

Spocony Sacha zgarbił się i cofnął.

Co to miało być, do cholery?

Kiedy mógł już normalnie oddychać, drżącymi rękami wyciągnął z kieszeni telefon.

To się zaczęło wymykać spod kontroli. Ci faceci na pewno nie byli zwykłymi ludźmi. Na dodatek wiedzieli o Taylor.

Nadeszła pora sprawdzić, co takiego wie Annie.

Podniosła słuchawkę po czterech sygnałach.

– Halo?

Po wszystkim, co się wydarzyło, jej ciepły, niski głos wydawał się cudownie znajomy. Sacha mocno przycisnęła słuchawkę do ucha. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

– Salut, Annie. – Starał się mówić jak najspokojniej. – Tu Sacha.

– Sacha! – wykrzyknęła radośnie. – Mój Boże, tak się cieszę, że cię słyszę.

Wyobraził sobie, jak Annie siedzi w swojej wielkiej, wiejskiej kuchni, z nieodłącznym kubkiem kawy i czarnym kotem skulonym u nóg.

– Przepraszam, że ostatnio się do ciebie nie odzywałem... – zaczął, ale nie dała mu skończyć.

– Nie przepraszaj – oznajmiła. – Wiem, że ten dzień się zbliża. Czekałam na telefon od ciebie.

„Ten dzień się zbliża”. Jej słowa sprawiły, że to się stało jeszcze bardziej rzeczywiste.

– Jak się miewasz, Sacha? – spytała łagodnie.

Chłopak przygryzł wargę. Nie chciał informować jej, jak naprawdę się miewał – czuł, że niemal stoi nad grobem, a przed chwilą odwiedzili go przerażający goście nie z tego świata, którzy wysuwali niezrozumiałe pogrożki. I o tym, że od czasu do czasu popełniał samobójstwo dla pieniędzy.

– Nie wiem. Pogubiłem się. – Nie potrafił ukryć rozpacz. – Boję się. Dzieją się dziwne rzeczy, Annie. Nic z tego nie rozumiem

i potrzebuję pomocy. Pomożesz mi?

Taka szczerłość była dla niego nietypowa, do tego nigdy nie pozwalał sobie na odczuwanie tego rodzaju bólu. Głos ciotki tak na niego podziałał. We wspomnieniach Sacha nieodmiennie łączył Annie z lepszymi czasami, kiedy nadal wierzył, że będzie żył wiecznie.

Nadal mieszkała w rodzinnej winnicy, gdzie dorastał również ojciec Sachy. W dzieciństwie chłopak spędzał tam mnóstwo czasu. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję odwiedzić winnicę.

Ból, który ścisnął mu serce, jeszcze się nasilił.

– Czego potrzebujesz, Sacha? – zapytała Annie natychmiast. – Mów, a to dostaniesz.

Sacha najchętniej by ją uściskał.

– Potrzebuję informacji – oświadczył z ożywieniem. – Muszę wiedzieć jak najwięcej o ojcu i jego pracy: co osiągnął i czego dowiedział się o tym, co się ze mną dzieje.

– Powiem ci wszystko, co wiem.

Sacha odprężył się z ulgą. W tym momencie bardzo potrzebował sojusznika.

– Dziękuję – wyszeptał.

– Twój ojciec nie mówił mi wszystkiego, ale podzielił się pewnymi informacjami – oznajmiła Annie. – Wiesz, że nazywamy to klątwą, ale tak naprawdę nie wiemy, co to takiego. Twój ojciec poświęcił całe życie na rozwikłanie tej zagadki. Usiłował się dowiedzieć, jak to jest w ogóle możliwe. Tuż przed śmiercią mówił mi, że chyba na coś wpadł. Znalazł informację, dzięki której uwierzył, że da się to powstrzymać. Dlatego ciągle jeździł do Anglii. Mówił mi, że tam jest klucz. Szukał klucza.

Serce Sachy załomotało.

Z pewnością właśnie nad tym pracował jego ojciec razem z dziadkiem Taylor.

Nieznajomi mężczyźni kazali mu się trzymać z daleka od dziewczyny. Może nie chcieli, żeby Sacha znalazł to, czego szukał jego ojciec.

– Mówił ci coś jeszcze? – Nawet nie próbował ukryć entuzjazmu. – Czy ktoś kiedykolwiek to powstrzymał? Czy komuś udało się przeżyć osiemnastkę?

– Nie – odparła po chwili wahania. – O ile nam wiadomo, nie.

Sacha poczuł, jak jego nadzieja wyparowuje.

– Nigdy?

– Nigdy – potwierdziła ze smutkiem. – Wszyscy pierwородni umierają w dniu swoich osiemnastych urodzin. Tak po prostu już z nami jest.

Rozczarowany Sacha westchnął i usiadł na sofie. Dlaczego docierały do niego tylko złe wieści?

– Adam natrafił na wzmiankę, że klątwa skończy się wraz z trzynastym synem. Latami szperał po starych archiwach, żeby sprawdzić, który masz numer, i ilu chłopców zmarło przed tobą. Liczył na to, że jesteś czternasty albo piętnasty, bo to by oznaczało, że cała sprawa stała się już nieaktualna. Trudno było jednak to ustalić, bo dawniej nie zawsze odnotowywano zgony. A potem przytrafił ci się wypadek...

– Na huśtawce... – Sacha go nie pamiętał, ale słyszał o nim wiele razy.

Mimo to Annie postanowiła przypomnieć mu tę historię.

– Upadłeś i skręciłeś kark. Twoja mama była świadkiem. Od razu się zorientowała, że nie żyjesz, w końcu jest pielęgniarką. Odchodziła

od zmysłów, a tymczasem po kilku minutach wstałeś i znowu zacząłeś się bawić. – Annie umilkła. – Wtedy zrozumieli.

– Że nie mogę umrzeć – dopowiedział.

Przez chwilę oboje milczeli, aż w końcu Sacha postanowił wrócić do tematu.

– Dziś przyszli do mnie jacyś faceci. Dziwnie wyglądali, bardzo blado i chudo. Nietypowo. Tata widział kiedyś kogoś takiego? Ktoś go śledził?

– Nawet jeśli tak było, Adam nic mi nie mówił – odparła Annie. – Zrobili ci krzywdę?

– Nie. Może to nic ważnego.

Celowo nie wdawał się w szczegóły, bo nie chciał, żeby Annie wiedziała, jacy byli okropni i jak bardzo wstrząsnęła nim ta wizyta.

W jakim być może znalazł się niebezpieczeństwie.

– Szkoda, że nie wiem więcej. Chciałabym ci pomóc, Sacha – westchnęła ciotka. – Czuję się zupełnie bezradna. Twój ojciec był historykiem i rozumiał tę sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Nazywał to utraconą wiedzą. Miał na myśli niegdyś popularne przekonania, których już teraz nie rozumiemy, więc je... odrzucamy.

– I tak mi pomagasz, Annie. Po prostu... – Sacha lekko uderzył pięścią w kolano – ... zaczynam panikować.

– Sacha, może wpadniesz i przejrzysz książki ojca? – zasugerowała po chwili Annie. – Może znajdziesz coś, co ci się przyda. Adam uważał, że odpowiedzi kryją się w tych księgach.

– Tak zrobię. – Powiedział to szczerym tonem, ale kłamał.

Był pewien, że nie zdąży zobaczyć ani domu ciotki, ani księzek ojca.

Kończył mu się czas.

Taylor nie mogła zapomnieć o rozmowie z dziadkiem. Bez przerwy odtwarzała ją w pamięci, usiłując zrozumieć jej sens. Nieustannie słyszała w głowie jego głos. „Wszystko, co ci się przytrafiło, jest bardzo niebezpieczne...”

Ostrzeżenie wprawiło ją w niepokój. Tego wieczoru została w domu mimo błagań Georgie, żeby przyszła do niej się pouczyć, a rano szybkim krokiem powędrowała do szkoły, oglądając się przez ramię.

Na lekcjach siedziała blisko drzwi, żeby mogła pierwsza wyjść z klasy. To było absurdalne, ale nie umiała inaczej się zachowywać.

Po zajęciach doszła do wniosku, że zostanie w szkole i pouczy się w bibliotece. Choć dziadek obiecywał, że w domu będzie bezpiecznie, Taylor wcale nie dałaby za to głowy. Bo niby skąd mógł to wiedzieć na pewno? Emily miała dodatkowe zajęcia, mama nadal była w pracy, a Taylor chwilowo wolą nie siedzieć samotnie w domu.

I tak o czwartej tkwiła przy stoliku w zaciszu szkolnej biblioteki, kiedy ktoś podszedł i stanął obok, zasłaniając światło. Taylor uniosła wzrok i ujrzała nad sobą Toma.

– Musimy porozmawiać – oznajmił szorstko.

Na widok jego ponurej miny ścisnęło się jej serce. Choć Georgie radziła jej szybko zerwać z Tomem, Taylor unikała go przez ostatnie dwa dni. Niewątpliwie to zauważył.

– Hm, jasne – odparła jak najspokojniej. – Gdzie?

– Znam takie jedno miejsce – oznajmił lodowato.

Nie zapowiadało się najlepiej.

Zostawiła książki i wyszła z jaskrawo oświetlonej, nowoczesnej biblioteki na pusty korytarz. Lekcje skończyły się prawie godzinę temu. Stukot kroków Taylor i Toma roznosił się echem, gdy szli w pełnej napięcia ciszy.

Milczenie Toma było niepokojące. Kiedy skręcili za rogiem i znaleźli się w pogrążonej w półmroku części korytarza, Taylor się zawahała.

– Dokąd idziemy?

– Niedaleko – odparł krótko.

Miała ochotę odmówić, jednak wydawało się to idiotyczne. W końcu to był Tom i na pewno nie zamierzał jej skrzywdzić.

Poprowadził ją do końca korytarza, a następnie skręcił w lewo, do przestronnej sali gimnastycznej. Szare popołudniowe światło wpadało przez rząd okien wysoko na ścianie, ale większa część pomieszczenia skrywała się w półmroku. Choć nie było tu nikogo, w powietrzu nadal unosił się zapach potu i strachu.

Sportowiec Tom czuł się tu jak u siebie w domu. Najwyraźniej postanowił przeprowadzić rozmowę na własnym terenie.

Taylor skrzyżowała ręce na piersi.

– O co chodzi, Tom? – Jej głos odbił się echem od ścian.

Odwrócił się gwałtownie i stanął z nią twarzą w twarz.

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, Taylor. – Był cały czerwony, wydawał się zły. – Nie rozumem, dlaczego tak się zachowujesz. – Wskazał jej zamkniętą postawę ciała: założone na piersi ręce. – Unikasz mnie. Ignorujesz moje SMS-y. A podobno jesteś moją dziewczyną.

To ostatnie słowo niemal wypluł.

- Jestem twoją dziewczyną – powiedziała i umilkła. – Albo byłam.

- Byłaś – warknął. – Tak myślałem. A więc zrywasz ze mną, ale brak ci odwagi, żeby mnie o tym powiadomić. O to chodzi, Taylor?

Chciała zaprotestować, jednak miał rację.

- Przepraszam. – Opuściła ręce. – Powinniśmy byli porozmawiać wcześniej, ale przez cały czas się uczyłam...

- Tak, wiem, jak się uczysz – wycedził zjadliwie. – Z jakimś Francuzem. Podobno nawet nie tylko się uczysz.

Serce Taylor zabiło gwałtownie. Skąd to wiedział? Przez ułamek sekundy była zbyt zaszokowana, żeby trzeźwo myśleć, jednak już po chwili dodała dwa do dwóch.

Od Georgie.

- Ja... Co? – zająknęła się.

Tom zmrużył oczy i zbliżył się do niej o krok – ścięgną na jego szyi wyraźnie się uwypukliły.

- Nie jestem idiotą – mruknął. – Nie będziesz ze mną pogrywać. Wiesz, kim jestem? – Machnął ręką, pokazując na salę. – Jestem najbardziej lubianym chłopakiem w szkole. Masz szczęście, że w ogóle się z tobą umawiałem.

Taylor nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Teraz wyglądał tak, jakby jej nienawidził.

- Tom, nie wiem, skąd ten pomysł, ale nie robię nic...

- Czyżby? – przerwał jej i zrobił jeszcze jeden krok ku niej. – Słyszałem co innego.

Cofnęła się odruchowo i rozejrzała w poszukiwaniu drogi ucieczki. Tom jednak zablokował jedyne drzwi.

- Posłuchaj... Uspokój się. – Uniosła ręce w pojednawczym geście. – Porozmawiajmy o tym.

Tom nie zamierzał jednak słuchać głosu rozsądku.

– Wszyscy się zastanawiali, dlaczego umawiam się z tą kujonką Taylor Montclair. Kumple się ze mnie nabijali. – Popatrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem. – Myślałem, że jesteś inna, fajna... – Płasnął dłonią w czoło. Dźwięk, który się rozległ, przypominał wystrzał z pistoletu. – Boże, byłem idiotą, tracąc na ciebie czas.

Taylor poczuła, że się rumieni. Słyszała urazę i pogardę w głosie Toma – kombinacja tych emocji mogła przerodzić się w niepoohamowaną furię.

– Posłuchaj, Tom – powiedziała, lekko się trzęsąc. – Masz rację, to nie było fair.

– Fair? – Spiorunował ją wzrokiem. – Nie, to nie było fair, ty zdziro. Zdradziłaś mnie...

– Zdradziłam? – Taylor wytrzeszczyła oczy. – Nigdy cię nie zdradziłam.

– Nie kłam. – Znowu zrobił krok naprzód.

Taylor cofnęła się i wpadła na ścianę, zimną i twardą. Stąd nie miała już dokąd uciec. Jej serce biło jak oszalałe.

Wzdrygnęła się, gdy dźgnął ją palcem.

– Kręcisz z jakimś Francuzem, którego poznałaś przez internet, szmato. Wszyscy o tym gadają.

„Wszyscy?”

– Wcale nie... – zaprzeczyła stanowczo, ale nie chciał słuchać.

– Kłamiesz! – wrzasnął. – Za kogo ty się masz, do cholery? Jesteś nikim.

Czuła jego gorący i wilgotny oddech na swojej skórze. Tom patrzył na nią z góry, ciałem blokując jej drogę ucieczki.

– Pożałujesz, że mnie zdradziłaś.

Wpatrywała się w niego z rozpaczą, błagając wzrokiem, żeby przestał, ale na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

Nagle strach zniknął, zastąpiony przez dziwne, nieznane Taylor poczucie kontroli. Zamknęła oczy, gdy moc spłynęła z jej serca do rąk, i odetchnęła głęboko.

Umięśniony chłopak przed nią wydawał się teraz mały i nieistotny. To ona była silna.

Czy właśnie o tym mówił dziadek? Czy była to genetyczna anomalia?

Przypomniała sobie jego ostrzeżenie: „Nie zdołasz kontrolować tego, co się może wydarzyć”. Przez ułamek sekundy troska niczym błyskawica przeszła jej umysł.

– Suka z ciebie, wiesz? – odezwał się Tom.

Taylor poczuła, jak pieką ją dłonie, i zapomniała o ostrożności.

– Cofnij się – powiedziała obcym głosem, który zdawał się dobiegać z oddali, wzmocniony i spotęgowany.

Tom ani drgnął, wpatrywał się tylko w Taylor z niedowierzaniem.

– Co jest...?

– Cofnij. Się.

Sztywno zrobił krok do tyłu i popatrzył na swoje nogi, jakby nie miał pojęcia, co wyprawiają. Krew odpłynęła mu z twarzy.

Taylor patrzyła jak gdyby z oddali, kiedy robił następny nerwowy krok, i jeszcze jeden. Poruszał się jak zabawka.

Jak marionetka.

– Co, do cholery...? – Wydawał się przestraszony.

Początkowo Taylor nie do końca rozumiała, co się dzieje. Kiedy jednak to sobie uświadomiła, ogarnęło ją upojenie.

„To ja to robię. To ja go do tego zmuszam”.

Poczucie władzy uderzyło jej do głowy. Nie mógł jej skrzywdzić. Nie pozwalała mu na to.

Czuła się tak, jakby latała.

Niech drań ucieka. Groził jej i ją obrażał. Zasłużył na coś znacznie gorszego.

Tom coraz szybciej stawiał nerwowe kroki.

Głos w głowie Taylor podpowiadał, że powinna przestać, jednak go ignorowała. Energia krążąca w jej żyłach była obezwładniająca. Nigdy nie doświadczyła niczego podobnego i nie chciała, żeby się to skończyło.

Na jej twarzy pojawił się zwycięski uśmiech. Wyciągnęła rękę, prosząc o więcej.

Niewidzialna siła oderwała stopy Toma od podłogi i posłała go na ścianę w głębi sali. Wydał z siebie stłumiony okrzyk strachu.

– Dość – rozległ się władczy głos od progu.

Tom zamarł tuż przed zderzeniem ze ścianą. Zawisł nad podłogą, dyndając nogami, a w jego oczach widać było dezorientację i przerażenie. Taylor odwróciła się powoli, żeby sprawdzić, kto stoi w drzwiach sali.

– Pan Finlay?

Finlay stał z ręką wyciągniętą spodem dłoni ku Tomowi, patrzył jednak na Taylor.

– Musisz go wypuścić – powiedział spokojnie, ale stanowczo. – Nie mogę go ocalić bez twojego pozwolenia. Mogłoby go to rozerwać.

Taylor nie potrafiła się skupić. Wyglądało na to, że nauczyciel francuskiego uratował Toma przed roztrzaskaniem się o ścianę. Ale jak?

„Wysłałem Finlaya, żeby cię pilnował...”, przypomniała sobie słowa dziadka.

– Potrzebuję twojej pomocy – dodał nauczyciel głośniej, przedzierając się przez mgłę w jej umyśle. Jego głos był pełen napięcia, jakby pan Finlay dźwigał coś ciężkiego. – Musisz go natychmiast uwolnić.

– Nie wiem jak – wyszeptała.

– To całkiem proste. Znajdź energię i nad nią zapanuj. – Finlay mówił rzeczowym tonem. Gdyby się nie pocił, można byłoby odnieść wrażenie, że omawia odmianę francuskich czasowników. – Najprostsza metoda to wyobrazić sobie energię jako obiekt fizyczny i ją sprowadzić z powrotem. Zwizualizuj ją w postaci nici, którą ponownie nawijasz na szpulę w dłoniach.

Taylor zamknęła oczy. Czuła, jak moc wiruje wokół niej. Bardziej kojarzyła się jej z wiatrem niż z nicią.

Uniosła rękę, nadal dziwnie rozgrzane, i wyobraziła sobie, że splywa w nie wiatr. Energia zareagowała, gnając z powrotem tak

gwałtownie, że Taylor nabrała powietrza w usta. Jej włosy utworzyły chmurę złocistych loków wokół twarzy.

– Bardzo dobrze – oświadczył pan Finlay z aprobatą.

Po drugiej stronie sali Tom hałaśliwie runął na podłogę. Taylor z przerażeniem wpatrywała się w jego nieruchome ciało.

„Co ja zrobiłam?”, pomyślała.

Teraz jednak, gdy Tom znalazł się na parkiecie, Finlay wydawał się całkowicie niewzruszony zaistniałą sytuacją. Podszedł do chłopaka i wyciągnął rękę.

– To bardzo nierozważne, Berenson – zwrócił się do niego. – Mam nadzieję, że nie zrobiłeś sobie krzywdy.

Tom uniósł głowę, a jego zdumione spojrzenie krążyło od Finlaya do Taylor.

– Uderzyła mnie. – Wskazał na Taylor. – Albo coś w tym stylu...

Finlay ze zdumiewającą łatwością pomógł mu wstać, a następnie zaprowadził go do drzwi, trzymając rękę na jego ramieniu. Przez cały czas mówił cicho i powoli.

– Pokłóciłeś się z Taylor. Wyszedłeś rozzłoszczony. Nic więcej nie pamiętasz. Kłótnia z Taylor. Wyszedłeś rozzłoszczony. – Gdy dotarli do drzwi, Finlay powoli zamknął i otworzył oczy. – Uważaj na siebie, Berenson – powiedział. – Podłoga jest miejscami bardzo śliska.

– Och... – odezwał się Tom powoli i niepewnie. – Przepraszam, panie Finlay. Będę ostrożny.

– Grzeczny chłopak. – Nauczyciel poklepał go po ramieniu. – Zmykaj.

Stał w drzwiach, dopóki Tom nie zniknął mu z oczu.

– No cóż, Taylor... – Odwrócił się do niej. – Zapraszam do siebie.

Jak we mgle ruszyła za nim szerokim, pustym korytarzem.

W pokoju nauczycielskim leżała sfatygowana czerwona wykładzina, na której ustawiono zniszczone meble. W powietrzu unosił się zapach skwaśniałego mleka.

Finlay wskazał Taylor krzesło, a sam włączył czajnik i zajął się przygotowaniem herbaty z mlekiem.

Gdy wrócił z dwoma parującymi kubkami, Taylor cała się trzęsa.

– O mój Boże, co ja zrobiłam – wyszeptała.

– Spokojnie, nie denerwuj się. – Finlay wepchnął kubek w dłoń Taylor, a następnie oplótł wokół niego jej palce. – Wypij herbatę, pogadamy.

Taylor zrobiło się niedobrze.

– Mogłam go zabić...

– Bez przesady – powiedział łagodnie. – Mogłaś go ogłuszyć, ale to silny chłopak. Dojdzie do siebie. – Popatrzył na nią surowo. – Nalegam, żebyś wypila herbatę.

Pod przymusem przełknęła mały łyk. Miała wrażenie, że ukrop wlewa się w jej żyły i ją uspokaja. Wypila jeszcze trochę.

Finlay usiadł naprzeciwko i patrzył na nią uważnie.

– Może powiesz mi, co się tam wydarzyło?

Taylor odetchnęła głęboko, próbując sobie przypomnieć, od czego się zaczęło.

– Zerwaliśmy – odparła.

– Ach, tak.

– Tom się rozzłościł – ciągnęła. – Naprawdę rozzłościł. Mówił nieprawdziwe rzeczy, groził mi...

– Bezczelny smarkacz. – Finlay wydawał się wściekły. – Zawieszę go w prawach ucznia do końca roku.

– Proszę, nie – powiedziała Taylor pośpiesznie. – I tak już narobiłam dość problemów.

– Muszę przyznać, że urządziłaś całkiem niezłe przedstawienie – oznajmił Finlay. – Aldrich będzie ogromnie zadowolony.

– Zadowolony? – Taylor się wzdrygnęła. – Jestem potworem.

– Nie ma co dramatyzować. – Nauczyciel zacmokał z przyganą. – Dopiero nabyłaś te umiejętności i musisz się nauczyć je kontrolować. Nic złego się z tobą nie dzieje.

– Dlaczego pan tak mówi? Przecież widział pan, co zrobiłam. Gdyby nie pan... – Nagle przypomniała sobie, jak stał w drzwiach z ręką wyciągniętą w kierunku Toma. – Ale... Ale jak pan to zrobił? Czy jesteście... tacy sami?

– Tak. – Taylor wydawało się, że przyglądał się jej z szacunkiem. – Ale moim zdaniem ty dysponujesz znacznie większą mocą. Nie mogłem cię powstrzymać.

– Co właściwie się tam stało? – Próbowwała przypomnieć sobie przebieg wydarzeń. – Tom był zdenerwowany, a potem pan... coś mu zrobił.

– Potrafimy sprawić, by ludzie o czymś zapominali, przynajmniej na jakiś czas. – Zdjął okulary i przetarł je chusteczką. – To bardzo skomplikowana, ale przydatna umiejętność, kiedy już się ją opanuje.

Taylor raz jeszcze zobaczyła oczyma duszy twarz Toma, na której gniew i strach w jednej sekundzie ustąpiły pola skruszce.

„Finlay odebrał mu myśli?”

Miała wrażenie, że przewraca jej się w żołądku.

– To okropne – szepnęła. – Okropne.

Nagle straciła ochotę na herbatę i na rozmowę z nauczycielem francuskiego. Nie była jednak pewna, dokąd miałyby pójść.

Światła pod sufitem zamigotały, a Finlay szeroko otworzył oczy.

– Moja droga, uspokój się – powiedział szybko. – Oczywiście, że nie rozumiesz. To wszystko jest dla ciebie całkiem nowe i na pewno jesteś zdenerwowana. Jak mi niemam, w tę sobotę spotkasz się z Aldrichem.

Taylor skinęła głową, a w jej oczach zalśniły łzy.

– No cóż... – Finlay wstał, a Taylor odruchowo poszła w jego ślady. – Twój dziadek sam ci wszystko wyjaśni. – Pokierował ją ku drzwiom. – Tymczasem zachowaj spokój i się nie denerwuj. Nie przejmuj się Berensonem, dopilnuję, żeby nie zawracał ci głowy.

Nie była pewna, czy to się jej podoba, ale pozwoliła się wyprowadzić.

Finlay popatrzył na nią.

– Dasz radę wrócić do domu? Może powinienem pójść z tobą?

Taylor pokręciła głową. Dziwnie się czuła. Mrowiły ją ręce, jakby lada moment opuszki palców miały zaiskrzyć. Nie chciała jednak, żeby Finlay towarzyszył jej w drodze do domu.

– Nic mi nie będzie – oznajmiła.

– Skoro tak twierdzisz. Natychmiast zadzwonię do twojego dziadka, na pewno chce wiedzieć, co się stało. Uważaj na siebie, Taylor. Bardzo proszę. – Zatrzymał się i popatrzył jej w oczy. – I nie trać już zimnej krwi.

Taylor pchnęła drzwi, po czym zarygłowała je za sobą.

– Halo? – zawołała z wahaniem.

Nie zdziwiło jej, że nikt nie odpowiedział. Mama i Emily jeszcze nie wróciły, było zbyt wcześnie.

Z kuchni wybiegła Fizz i okrążyła kostki Taylor, patrząc na nią niespokojnie, jakby wyczuła, że coś się stało.

Taylor wzięła na ręce terierkę, która polizała ją po słonych od łez policzkach.

– Dzisiaj było bardzo dziwnie, Fizz – szepnęła Taylor. – Działy się dziwne rzeczy.

Nie chciała być teraz sama. Nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy ani oczu Toma, gdy cisnęła nim przez salę. Marzyła o wypadzie do Kofeinowego Transu z Georgie. To jednak nie wchodziło w grę.

Mocno przygryzła wargę. Cierpiała z powodu zdrady przyjaciółki. Powinna była przewidzieć, że Georgie nie zdoła utrzymać języka za zębami i opowie Paulowi o Sachy. Oczywiście, Paul poszedł z tym prosto do Toma.

Gdzieś po drodze historia została wyolbrzymiona i Tom stracił głowę.

„Błagałam ją, żeby nie mówiła nikomu o Sachy – pomyślała Taylor z goryczą. – Błagałam”.

Nagle Fizz zaskowytała, jakby coś ją ukąsiło. Wyrwała się z ramion Taylor, głośno uderzyła o podłogę i odbiegła. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, po czym z niechęcią popatrzyła na swoją panią.

Dopiero wtedy Taylor uświadomiła sobie, że mrowienie rąk powróciło. Najwyraźniej pies to wyczuł.

Światło nad jej głową zamigotało. Serce Taylor waliło jak oszalałe.

Musiała to powstrzymać. A gdyby jej mózg zniszczył cały dom?

Zamknęła oczy, oddychając głęboko. „Nie złość się, Taylor – powtarzała w myślach. – Nie bój się”.

Musiała natychmiast coś zrobić, coś zwyczajnego, co ją uspokoi.

Powoli ruszyła do kuchni, a potem usiadła ostrożnie z laptopem przy kuchennym stole. Czekając, aż komputer się uruchomi,

oddychała głęboko, tak jak na zajęciach jogi, co odrobinę pomogło. Mimo to dotknęła klawiszy samymi koniuszkami palców. Naprawdę nie chciała, żeby laptop eksplodował.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wysłać Georgie maila z informacją o tym, jak się czuła, ale natychmiast zmieniła zdanie. To by ją tylko na nowo rozzłościło i kto wie, co by z tego wynikło. Mogłaby zniszczyć całą elektrykę albo niechcący wyrzucić Fizz przez okno.

Zobaczyła nową wiadomość na samej górze poczty. Przyszedł mail od Sachy.

Musimy pogadać, jeszcze dzisiaj. O piątej twojego czasu.

Taylor zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do szóstej.

Otworzyła swój profil i rzeczywiście, Sacha już na nią czekał. Serce mocniej jej zabiło na jego widok, ale była zbyt zmęczona i zagubiona, żeby się nad tym zastanawiać.

– Taylor – odezwał się z wyraźną ulgą w głosie. – Myślałem, że znów się minęliśmy.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Miałam naprawdę dziwny dzień.

– Ja też.

Przysunęła się do komputera, żeby lepiej widzieć Sachę. Miał potargane włosy i wydawał się zdenerwowany – nieustannie spoglądał za siebie, jakby się bał, że ktoś na niego wyskoczy.

– Sacha, o co chodzi? – zapytała.

– Muszę zadać ci dziwne pytanie – odezwał się po chwili wahania.

– Okej...

Zbliżył się do ekranu. Miał intensywnie błękitne oczy, niczym morze.

– Znasz kogoś, kto się nazywa Aldrich Montclair?

Taylor natychmiast zaschło w ustach.

– To mój dziadek. Dlaczego pytasz? Znasz go?

Sacha pokręcił głową.

– Myślę... to znaczy wiem, że mój ojciec go znał.

– Twój ojciec zna mojego dziadka? – Taylor zmarszczyła brwi.

– Znał – poprawił ją Sacha. – Ojciec nie żyje.

– Och, Sacha... – Zakryła usta dłonią. – Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

Sacha z powagą skinął głową.

– Wydawało mi się, że kojarzę twoje nazwisko – wyjaśnił. – To mi nie dawało spokoju. Trochę poszukałem i... Tak czy inaczej, chyba razem pracowali.

– Ale nad czym? – zapytała Taylor.

Sacha ponownie się zawahał. Przyglądała mu się z narastającym niepokojem. Najwyraźniej coś przed nią ukrywał.

– Nie wiesz pewnych rzeczy o mojej rodzinie. To... skomplikowane. – Odetchnął głęboko. – Taylor, chyba mam kłopoty. Moim zdaniem ty też. Nie wierzę, że nasze korepetycje to przypadek. Ktoś chciał, żebyśmy się odnaleźli, tylko nie wiem dlaczego. – Popatrzyli na siebie. – Myślę, że obojgu nam grozi niebezpieczeństwo.

Taylor zakręciło się w głowie. Przypomniało się jej, jak Finlay nalegał, żeby porozmawiała z Sachą. Jak nieoczekiwanie pojawił się dziadek. Pomyślała też o Tomie szybującym przez salę gimnastyczną, i o zdradzie Georgie.

Nic nie było takie, jakie powinno być. Nic nie miało sensu.

Może nadeszła pora, żeby coś z tym zrobić.

– Musimy się spotkać, Sacha – oznajmiła.

Sacha opierał się o latarnię wśród gwarne go tłumu na stacji Gare du Nord i przez okulary przeciwsłoneczne obserwował niekontrolowany chaos towarzyszący letnim podróżom. Obok przeszła rodzina turystów z mnóstwem walizek na kółkach, którymi omal nie zmiażdżyli mu palców u stóp. Sacha tylko się skrzywił.

Nienawidził tłumów. Nigdy nie wiedział, na kogo wpadnie.

Wybrał częściowo ukryte miejsce między wózkiem z kanapkami i stoiskiem ze słodyczami. Stąd dobrze widział pociąg z Anglii – właśnie wylała się z niego rzeka ludzi i teraz płynęła po peronie, zachwycona, że trafiła do Paryża w tak słoneczny dzień. Zza ciemnych szkieł przyglądał się twarzom przyjezdnych, którzy przechodzili przez metalowe bramki. Nigdzie nie widział Taylor. Gdy tłum zaczął się przeredzać, Sacha zaniepokoił się na dobre. Znów popatrzył na telefon, ale nie przyszły żadne nowe SMS-y.

Kiedy uniósł wzrok, od razu ją dostrzegł. Jej jasne, kręcone włosy kołysały się wokół głowy niczym złota aureola, kiedy ubrana w luźny biały top Taylor przepychała się przez tłum. Na żywo okazała się o wiele ładniejsza niż online. Inna sprawa, że dotąd widział wyłącznie jej twarz.

Przyglądała się niepewnie ludziom czekającym przy bramkach, więc Sacha wyszedł z cienia i ruszył przez tłum. Gdy tylko go zauważyła, na jej twarzy pojawił się uśmiech ulgi. Miała oczy w odcieniu butelkowej zieleni, przez którą przenika światło.

Zabrakło mu tchu w piersi.

– Sacha. – Rozpromieniła się. – Jesteś.

– Oczywiście.

Pochylił się i pocałował ją w oba policzki. Była wyraźnie zaskoczona, a zakłopotany Sacha wyprostował się pośpiesznie. Przypomniawszy sobie, że Anglicy raczej nie całują się na powitanie tak jak Francuzi. Mogła sobie coś pomyśleć.

A może chciałaby, żeby coś sobie pomyślała?

Przez chwilę stali w kłopotliwym milczeniu, podczas gdy tłum ludzi mijał ich w pośpiechu. Taylor odezwała się pierwsza.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tutaj jesteś, i że ja naprawdę tu jestem. – Szeroki uśmiech powrócił na jej twarz, a wtedy pojawiły się dołeczki, które Sacha widział na monitorze komputera. – To jakieś szaleństwo.

– Owszem, ale i konieczność – zauważył.

Jej spojrzenie wędrowało po jego twarzy i sylwetce. Zauważyła, że miał na sobie czarny podkoszulek i dżinsy, a w dłoni trzymał okulary przeciwsłoneczne.

Sacha z wystudiowaną nonszalancją oparł się o stalowy pręt ogrodzenia.

– Co powiedziałaś mamie? – zapytał.

– Myśli, że zostanę dziś u przyjaciółki. – Oderwała od niego wzrok. – Często u niej nocuję, więc mama nie będzie tego sprawdzać, ale muszę wrócić, zanim przyjdzie jutro z pracy. Bo jeśli nie, to...

Zanim zdążyła dokończyć, wpadła na nich jakaś grupa bliżej nieokreślonej narodowości, niemal przewracając Taylor. Sacha przyciągnął ją do siebie, żeby nie stała ludziom na drodze. Przez krótką chwilę czuła ciepło jego ciała.

Jeden z dorosłych przeprosił Taylor fatalną francuszczyzną. Sacha spiorunował wzrokiem mężczyznę, który w końcu uświadomił sobie, że nie ma co liczyć na wybaczenie, więc dał za wygraną i odszedł, wlokąc za sobą jasnoniebieską walizkę. Taylor nic nie mówiła, ale Sacha dostrzegł rozbawienie w jej oczach. Odetchnął głęboko.

– Wynośmy się stąd – zaproponował.

Promienie słońca tak intensywnie oświetlały pomniki przed dworcem, że te wydawały się białe. Ulice były pełne aut. Sacha z wprawą lawirował między pojazdami, które w większości stały w korku. Taylor szła za nim, starając się zachować ostrożność. Za każdym razem, gdy Sacha odwracał się do niej, gapiała się na zaniebane dziewiętnastowieczne kamienice dookoła.

– Tu jest pięknie – powiedziała. – Paryż wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam.

Sacha skrzywił się, spoglądając na przedstawicielstwa biur podróży oraz salony urody.

– To wcale nie jest Paryż – prychnął. – Pokażę ci prawdziwy Paryż.

Skręcił z hałaśliwej głównej alei w spokojniejszą boczną uliczkę wysadzaną rzędami zielonych drzew. Tu budynki były ładniejsze i w lepszym stanie.

– Mieszkasz w okolicy? – spytała Taylor. Patrzyła na jasnokremowe domy z balkonami z czarnymi żeliwnymi balustradami, po których spływały wielobarwne kwiaty.

Sacha pokręcił głową.

– Mieszkamy we wschodniej części miasta. – Wyciągnął przed siebie rękę. – Tam.

– Aha.

Kiedy tak szli, Sacha zastanawiał się, od czego zacząć. Przy okazji tego spotkania miał szansę opowiedzieć jej o sobie. W końcu po to się tu zjawiał. Minęły dwa dni, odkąd Taylor zapowiedziała swój przyjazd do Paryża, dodając, że nie zamierza nikogo o tym informować. Sacha miał dwie doby na przygotowanie się do tej rozmowy.

Teraz jednak, kiedy Taylor już tu była, nie mógł się zmusić do tego, żeby otworzyć usta i wypowiedzieć jakieś sensowne słowa, a co dopiero te najtrudniejsze. Nie miał pojęcia, jak rozpocząć opowieść o swoim życiu.

Podczas rozmów przez internet wszystko wydawało się zaskakująco łatwe, zupełnie jakby się znali. Czuł się wówczas komfortowo i bezpiecznie. Tymczasem tutaj, przy Taylor, odnosił wrażenie, że jest za wysoki, za chudy, zbyt niezdarly. Sama obecność tej ślicznej jasnowłosej Angielki zupełnie wytrącała go z równowagi.

– Paryż jest taki... paryski – zauważyła Taylor, gdy jakaś przepiękna kobieta z małym psem na smyczy weszła im w drogę, oboje musieli gwałtownie się cofnąć, żeby uniknąć kolizji.

– To chyba dobrze, non? – zaśmiał się Sacha.

– Tak – potwierdziła. – To dobrze.

Skręcili, żeby przejść przez ruchliwą ulicę. Musieli się zatrzymać, by przepuścić ubranego w drogi garnitur mężczyznę na ryczącym skuterze.

– Nigdy nie robię takich rzeczy – wyznała nieoczekiwanie Taylor, kiedy znaleźli się na chodniku po drugiej stronie. – Jeszcze się nie zdarzyło, żebym wymknęła się z domu. Nigdy. A teraz wymknęłam się za granicę. – Mówiła nieco piskliwie. Sacha wyczuł w jej śmiechu napięcie. – Kto wie, może mi odbija.

- Jeśli tobie odbija, to mnie też - odparł i wzruszył ramionami. -
Przynajmniej nie siedzisz w tym sama.

- Możemy razem oszaleć w Paryżu. - Uśmiechnęła się do niego. -
Pewnie są gorsze sposoby na spędzenie czwartku.

Miała równe białe zęby i pełne, różowe usta, a w uśmiechu promieniała, jakby rozjaśniona przez niewidoczne źródło światła. Sacha pomyślał, że chciałby częściej widzieć, jak się śmieje.

Ale nie dlatego pokonała taki kawał drogi.

- Kiedy wysłałaś do mnie pierwszego maila... - Zerknął na nią. -
Kto dał ci mój adres?

- Mój nauczyciel francuskiego - wyjaśniła. - Pan Finlay.

- Co ci o mnie powiedział?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Wspomniał, że powinieneś popracować nad swoim angielskim i że dzięki tym korepetycjom łatwiej mi będzie dostać się na Oksford.

Finlay. To nazwisko nic Sachy nie mówiło, ale postanowił na wszelki wypadek sprawdzić je później w książkach ojca.

- Dlaczego pytasz? - zainteresowała się.

- Bo nie sądzę, żeby to było dziełem przypadku. - Wskazał ją i siebie. Musiał mówić podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć ryk samochodów. - Twój dziadek znał mojego ojca. Spośród wszystkich uczniów we Francji i Anglii, którym mogłabyś dawać korepetycje, twój nauczyciel wybrał akurat mnie. A mój nauczyciel kazał mi skontaktować się z tobą, chociaż w ogóle nie chodzę do szkoły, a do tego wie, że nieźle mówię po angielsku. - Pokręcił głową. - Jakoś sporo tych zbiegów okoliczności.

- W tym tygodniu odkryłam, że Finlay pracuje dla mojego dziadka - powiedziała. - Podobno mnie... pilnuje.

- Pilnuje? - Ani trochę mu się to nie spodobało.

- Długo by mówić.

- No dobrze, więc jest tak: nauczyciel, który dał ci namiary na mnie, pracuje dla twojego dziadka, a on znał mojego ojca - podsumował Sacha.

Taylor nagle się zatrzymała.

- Myślisz, że za tym wszystkim stoi mój dziadek?

Sacha popatrzył na nią z uwagą.

- A twoim zdaniem tak nie jest? - odpowiedział pytaniem.

Przez dłuższą chwilę stali nieruchomo, a przechodnie opływali ich niczym woda kamienie.

- Ale... Nie rozumiem. - Taylor prawie szeptała. - Dlaczego nic mi o tym nie mówił?

- Tego musimy się dowiedzieć. - Sacha zacisnął zęby.

Gdy ruszyli, opowiedział jej o błądzących mężczyznach, którzy przyszli pod jego mieszkanie. Nie wspomniał, że potrafili łomotać do drzwi, wcale ich nie dotykając, i do tego zdawali się go przez nie widzieć. Powtórzył jednak ich słowa.

- Kazali ci się trzymać z dala ode mnie? - Taylor zadrżała.

- Tak. Trzymaj się z dala od dziewczyny. Musi chodzić o ciebie.

- To okropne. Jesteś pewien?

Sacha skinął głową.

- Nie ma żadnej innej dziewczyny.

Taylor zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok. Sacha odniósł wrażenie, że widzi rumieniec na jej policzkach.

Popołudnie było upalne, oboje się zaczerwienili. Z pewnością właśnie dlatego.

– Ale co to byli za jedni? – zapytała po pewnym czasie Taylor. – I skąd o nas wiedzieli?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale przerażiłem się jak cholera.

W końcu zostawili za sobą ulice pełne aut i szli teraz w chłodnym cieniu drzew. Nagle Sacha uświadomił sobie, dokąd chciałby ją zabrać.

– Tędy – oznajmił i skręcił w lewo.

Ciągnący się nad Sekwaną elegancki Jardin des Tuileries ozdabiały idealnie uformowane drzewa i starannie przycięte żywopłoty. Dla zachowania równowagi każda ścieżka w ogrodzie była wymierzona z matematyczną dokładnością, a wśród soczystej zieleni panował odprężający spokój.

Sacha przepadał za tym parkiem. Często przychodził tutaj, żeby posiedzieć i obserwować ludzi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, gdy znaleźli się w samym środku ogrodu.

Rozłożył ręce i popatrzył na Taylor, która obróciła się powoli i rozejrzała z uwagą. Spośród drzew wyglądały posągi. Obok przebiegły dzieci, spragnione kąpieli w fontannie. Nieopodal spacerowali zakochani, trzymając się za ręce.

Sacha pomyślał, że jeśli Taylor się tu nie spodoba, będzie wiedział o niej wszystko, co chciałby wiedzieć.

– Och, Sacha, tu jest po prostu magicznie. – Spojrzała na niego z zachwyconym uśmiechem. – Cudowne miejsce.

Jej radość była zaraźliwa, bo Sacha również się uśmiechnął. Pomyślał, że to będzie dobry dzień. Nie miał co do tego wątpliwości.

– Twoja lemoniada. – Sacha wręczył Taylor puszkę.

– Merci bien – podziękowała

Usiadł obok niej i otworzył swój napój.

- De rien - odparł. - Nieźle mówisz po francusku.

- Dzięki.

Poczuła, że znów się czerwieni. To się robiło absurdalne. Musiała wreszcie przestać oblewać się rumieńcem za każdym razem, gdy Sacha coś mówił.

Okazał się zupełnie inny, niż zakładała. Przede wszystkim sądziła, że jest niższy, a tymczasem stojąc obok niego, musiała zadzierać głowę, by spojrzeć mu w twarz.

Był też niesamowicie wyluzowany - chodził nieśpiesznym krokiem, wąskie ramiona miał nieustannie przygarbione, jak jakaś gwiazda rocka. Umiał zgasić ludzi jednym spojrzeniem. Czasem było to interesujące, czasem groźne... a czasem jedno i drugie.

Nigdy nie spotkała nikogo takiego.

Na stacji, kiedy przytulił ją do siebie, żeby zeszła z drogi turystom, miała wrażenie, że przeszył ją prąd. Wcześniej nikt tak na nią nie podzierał.

Wypiła spory łyk zimnej, musującej lemoniady, naprawdę pysznej. Cały ten dzień był cudowny.

Taylor westchnęła z zadowoleniem i popatrzyła na ludzi spacerujących po zwirowej ścieżce. Z oddali dobiegała muzyka.

Okazało się, że przyjazd do Paryża nie jest skomplikowany. Żeby zapłacić za bilet, wyjęła pieniądze z oszczędności przeznaczonych na studia. Zarezerwowała bilety przez internet, a odebrała je na stacji w Londynie. Reszta poszła jak po maśle. W pociągu nikt nie zwrócił na nią uwagi - roilo się w nim od młodych ludzi z plecakami, więc idealnie dopasowała się do otoczenia.

Świadomość, że mama i siostra nie wiedzą, gdzie jest, nappełniała Taylor jednocześnie przerażeniem i poczuciem wolności.

Po raz pierwszy w życiu była sama i zdana wyłącznie na siebie. No, może niezupełnie sama. Był jeszcze Sacha.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego czuje się przy nim tak swobodnie. Nieustannie rozmawiali i z pewnością przeszli kilka kilometrów, by dotrzeć do tego parku, ale ledwie to zauważyła. Problem polegał na tym, że na razie ich spotkanie zaowocowało wyłącznie nowymi pytaniami.

– Może... – zaczęła ostrożnie i urwała.

– Może co? – Sacha popatrzył jej w oczy.

– Może powinieneś opowiedzieć mi trochę o swoim tacie. Może uda nam się zrozumieć, co robił z moim dziadkiem.

Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego, ale zauważyła, że na wzmiankę o ojcu zacisnął zęby.

– Nazywał się Adam Winters i był profesorem na Sorbonie, choć pracował także na Oksfordzie – wyjaśnił.

– Mój dziadek wykłada na Oksfordzie – oznajmiła Taylor.

– Czego uczy? – zapytał.

– Historii nauki – odparła Taylor. – Newton i takie tam. A twój tata?

Sacha machinalnie odgarnął kosmyk jedwabistych brązowych włosów, który opadł mu na czoło.

– Specjalizował się w historii średniowiecznej. Myślę, że wspólnie pracowali nad czymś... co różniło się od ich specjalizacji.

– To znaczy?

Wpatrywał się w puszkę w swojej dłoni tak intensywnie, jakby skrywała odpowiedzi na dręczące go pytania.

– Moim zdaniem pracowali nad czymś, co miało związek z moją rodziną – odparł powoli.

Taylor wyczuła, że to dla niego drażliwy temat.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

Sacha przez dłuższą chwilę milczał. Miał śmiertelnie poważną minę.

– W mojej rodzinie jest pewien problem – wyznał w końcu. – Nazwałbym go zdrowotnym. Tata usiłował znaleźć lekarstwo, zanim... stanie mi się krzywda. Zastanawiałem się, czy nie nad tym pracował z twoim dziadkiem naukowcem.

Popatrzył na Taylor, a wyraz jego oczu sprawił, że wstrzymała oddech. W tym momencie wydawał się całkowicie bezbronny.

– Ale przecież mój dziadek zajmuje się historią nauki – przypomniała mu. Było jej przykro, że nie ma lepszych nowin. – Badał dziwaczne przyrządy i mikstury z roślin. I pijawki....

Sacha głośno wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze i wymamrotał coś po francusku. Taylor nie była pewna, ale pomyślała, że powiedział: „To stary problem”.

Zanim zdążyła zapytać, co miał na myśli, nieoczekiwanie zgniótł puszkę w dłoni.

– Zabierajmy się stąd – burknął.

– Setki lat temu to były ogrody zamkowe – wyjaśnił Sacha i wskazał na fontannę, w której dzieci puszczały papierowe łódki. Ta scena przypominała obrazek z podręcznika do historii. – Teraz park jest dla wszystkich.

Wyszli spomiędzy drzew na szeroką ścieżkę, dołączając do tłumu turystów oraz paryżan, którzy wybrali się na spacer. Żwir przyjemnie chrzęścił im pod stopami. Przy każdym kroku wzbijali w powietrze kłęby drobnego pyłu. Z oddali dobiegały muzyka oraz śmiechy.

Wkrótce ujrzeli przed sobą ogromną, ozdobną budowlę i weszli na gigantyczny dziedziniec. Plac z trzech stron otoczony był ścianami, a w samym środku znajdowała się szklana piramida lśniąca w popołudniowym słońcu.

– Witaj w Luwrze – powiedział Sacha.

Misternie rzeźbione mury budowli zdawały się rozciągać na kilka kilometrów. Taylor nie widziała ich końca. Popatrzyła w górę, na szczytowe okna.

– Cholerna jasna, jest gigantyczny – mruknęła.

Zwolnili kroku. Turyści pędzili wokoło, żeby jak najszybciej stanąć w długiej, krętej kolejce do kasy.

– Możemy tam iść, jeśli chcesz – zaproponował Sacha bez przekonania.

– Myślę, że nie dałabym rady – odparła. – Tutaj jest chyba wiele kilometrów dzieł. Mogłabym zachorować od przedawkowania sztuki.

Usta Sachy drgnęły.

– Nigdy nie słyszałem o przypadku przedawkowania sztuki.

– To się zdarza nieustannie – zapewniła go z rozbawieniem. – Ale władze utajniają informacje na ten temat.

– Zatem nici z Luwru. – Odwrócił się. – Bo sztuka jest niebezpieczna.

Taylor pomyślała, że słowo „niebezpieczna” wypowiedziane z francuskim akcentem brzmi niesamowicie.

Ponownie przespacerowali przez chłodny, zielony park. W tym momencie, w skwarze i zgiełku Paryża latem, przy świetle odbijającym się od eleganckich budynków wokoło, Taylor czuła się niesłychanie komfortowo.

– Mam wrażenie, że znam to wszystko – wyznała. – Tak, jakbym była tu już ze sto razy. Pewnie dlatego, że wielokrotnie widywałam Paryż w telewizji. Dziwne. To tak jak wtedy, kiedy widzisz kogoś na ulicy i myślisz, że go znasz, ale się mylisz.

– To się nazywa déjà vu – oznajmił Sacha – Może już kiedyś tu byłaś. W innym życiu.

Taylor posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– Nie wierzysz w to, co mówisz, prawda?

– Już sam nie wiem, w co wierzyć.

Atmosfera natychmiast się zwarzyła. Sacha się wzdrygnął, jakby chciał się otrząsnąć z ponurego nastroju.

Jednocześnie skręcili w stronę rzeki, gdzie powietrze było chłodniejsze i aromatyczne. Pachniało tu czymś smakowitym, jak karmel. Taylor zaburczało w brzuchu.

– Dlatego w Paryżu rzeki pachną cukrem? – spytała. – Tam, gdzie mieszkam, cuchną rybami.

– Oszukujemy. – Wskazał na nadbrzeżny stragan z naleśnikami.

– Niesamowity zapach. – Na myśl o naleśnikach ślinka napłynęła jej do ust.

Sacha popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Masz ochotę na naleśnika? – zapytał.

Dochodziła piąta, a ona nie jadła nic od śniadania. Była zbyt rozemocjonowana, żeby wcześniej zwracać uwagę na głód. Teraz zjadłaby konia z kopytami.

– O mój Boże, jasne.

Gdy czekali w krótkiej kolejce przed straganem, Taylor rozmyślała o tym, co powiedział jej Sacha, i o tym, co zataił. Zastanawiała się, o jakim problemie zdrowotnym mówił. Może chodziło o to samo, co zabiło jego ojca.

Zmroziła ją ta myśl.

Ukradkiem zerknęła na Sachę, który stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się kucharzom. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Z wprawą podważali łypatkami cienkie jak papier usmażone ciasto i obracali je jednym płynnym ruchem. W ich wykonaniu wydawało się to wyjątkowo łatwe.

Tyle że nic nie jest takie łatwe, jak się na pozór wydaje.

– Wspomniałeś, że twój tata czasami wykładał na Oksfordzie – odezwała się Taylor. – Spędzał dużo czasu w Anglii?

Sacha skinął głową, nie odrywając wzroku od naleśników.

– Urodził się tam. Przeprowadził się do Francji po ślubie z moją mamą, ale potem bardzo często jeździł do Anglii do pracy.

To przynajmniej wyjaśniało jego nazwisko i niemal doskonałą angielszczyznę.

Para przed nimi złożyła zamówienie najbardziej łamanym francuskim, jaki Taylor kiedykolwiek słyszała. Sacha krzywił się przy

każdym słowie. Stłumiła śmiech, a Sacha odwrócił się ku niej i uniół okulary, by zobaczyła jego zbulwersowaną minę. Pośpiesznie zasłoniła usta dłońmi, ale i tak chichotała bez opamiętania.

– Nie śmieć się – rozkazał ze śmiertelną powagą. – To nieuprzejme.

W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że z trudem chwytła powietrze. W ogóle nie mogła się opanować.

Kiedy para składająca zamówienie zerknęła na nich z ciekawością, oboje udali, że rozbawiło ich coś na rzece, po której nieśpiesznie sunął statek pełen turystów uzbrojonych w aparaty fotograficzne.

Było naprawdę zabawnie. Przez kilka minut Taylor mogła udawać, że ona i Sacha są zwyczajnymi dzieciakami, które spędzają zwyczajny dzień w Paryżu.

– Dziwne – powiedziała Taylor, poruszając palcami bosych stóp. – Myślałam, że kiedy tu przyjadę, od razu coś się stanie. Że natychmiast odkryjemy, dlaczego nauczyciele chcieli doprowadzić do naszego spotkania.

Siedzący obok Sacha odchylił się i rozłożył ręce.

– Dobrze by było – zgodził się.

Siedzieli obok siebie na Île de la Cité, maleńkiej wysepce pośrodku Sekwany, i huścili nogami nad ciemnozieloną wodą.

Słońce już zachodziło. Większość turystów, którzy wcześniej tłoczyli się na wysepce, rozeszła się do hoteli, a na wąskim pasku chodnika nad rzeką powoli zbierały się nastolatki.

– Ale nic z tego, niestety – westchnęła Taylor. – Nadal nie wiem, dlaczego dziadek chciał, żebyśmy się spotkali. Jesteś tylko pierwszym lepszym chłopakiem z Francji.

Sacha zachichotał.

- A ty jesteś zwykłą angielską dziewczyną z liściem we włosach - odgryzł się.

- Mam liść we włosach? - Uniosła ręce do głowy i zaczęła się po niej poklepywać.

- Daj, pomogę ci.

Sacha pochylił się ku niej i ostrożnie wysunął liść z jej włosów. Wydawały się niewiarygodnie miękkie w dotyku. Ostatnie promienie zachodzącego słońca nadawały złotym pasemkom Taylor niepowtarzalny połysk.

- Proszę. - Uniósł niepożądany listek.

Wydawała się speszona.

- Mam beznadziejne włosy. Jeśli dobrze poszukasz, pewnie znajdziesz w nich jeszcze inne rzeczy: zgubione zegarki, Trójkąt Bermudzki, zaginione ogniwo ewolucji.

- Bo ja wiem. - Odwrócił wzrok, żałując, że nie ma już pretekstu, żeby jej dotknąć. - Moim zdaniem są całkiem fajne.

- Uhm - mruknęła drwiącym tonem, ale wydawała się zadowolona.

Przez cały wieczór spacerowali po mieście, nieustannie rozmawiając o nauczycielach i swoim życiu. Teraz jednak zapadał zmrok i Sacha nie był pewien co dalej. Nie przemyślał tego spotkania. Nie chciał zabierać Taylor do domu, bo nie wiedział, jak wytłumaczyć się z jej obecności przed matką. Niespecjalnie miał też chęć narażać Taylor na nieuchronne i typowe dla francuskich mam przesłuchanie.

Koniec końców przyprowadził ją tutaj.

Z pewnością nie byli sami. Pod pobliskim mostem zgromadziła się grupa młodych muzyków w hipsterskich ciuchach, żeby grać dixielandowy jazz na zniszczonych instrumentach. Dziewczyny w krótkich spódniczkach tańczyły jitterbuga przed tłumkiem gapiów.

Niektórzy przynieśli koszyki z przekąskami i winem. W powietrzu unosił się słodkawy zapach marihuany. Panowała przyjemna, odprężająca atmosfera. Wszyscy radośnie zaklaskali, kiedy blask latarni rozjaśnił półmrok.

– Paryż to niesamowite miejsce – zauważyła Taylor.

– Owszem – zgodził się Sacha.

Przez chwilę rozkoszował się podmuchem chłodnego wiatru we włosach.

– Powiedz mi coś o sobie – poprosiła Taylor, patrząc na niego. – Jaka jest twoja rodzina?

– Zwyczajna. – Wzruszył ramionami. – Mama pracuje w szpitalu, a młodsza siostra załazi mi za skórę.

– To tak jak moja mnie. – Zaśmiała się.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Mówiłeś, że niezbyt często chodzisz do szkoły, tak? – Przyjrzała mu się uważnie. – Dlaczego?

Sacha bardzo chciał wyznać jej prawdę, ale jakoś nie mógł dobrać odpowiednich słów. Wiedział, jak zabrzmiałoby to, co pragnął jej powiedzieć, i jak by na niego popatrzyła. Dopiero zaczęli się poznawać i nie chciał tego psuć już na wstępie.

– Sytuacja się skomplikowała rok temu – odparł wymijająco. – W mojej rodzinie coś się wydarzyło i... przestałem interesować się szkołą.

Spojrzała na niego chłodnymi zielonymi oczami.

– Nie chcę prawić ci morałów, Sacha – powiedziała. – Ale jesteś inteligentnym facetem. Na pewno rozumiesz, ile stracisz, jeśli cię wywalą ze szkoły.

– Doskonale wiem, co tracę – odparł z goryczą, która świadczyła o tym, że to koniec rozmowy. – Możesz mi wierzyć.

Taylor odwróciła wzrok.

– Więc nie będę ci mówiła, co powinieneś zrobić. Tak czy owak, na pewno nie potrzebujesz korepetycji z angielskiego. Twój angielski jest równie dobry jak mój, a ten nauczyciel to kłamczuch i tyle. – Umilkła, jakby coś przyszło jej właśnie do głowy. – Zaraz. Skoro Finlay pracuje dla mojego dziadka, to dla kogo pracuje twój nauczyciel? A jeśli też dla mojego dziadka?

Musiał przyznać, że to zastanawiające.

Czy Deide był powiązany z Aldrichem Montclairem? A może z kimś zupełnie innym?

– Powinniśmy się z nim spotkać – mruknął Sacha, myśląc na głos.

– Z kim? – Taylor popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Z panem Deide od angielskiego. Na pewno macza w tym wszystkim palce, razem z twoim nauczycielem i dziadkiem. Jeśli go zaskoczymy, może uda się nam wyciągnąć z niego, o co tak naprawdę chodzi.

Zrobiła wielkie oczy, wreszcie zrozumiałwszy, do czego zmierza Sacha.

– No jasne! On musi coś wiedzieć. – Popatrzyła na delikatny srebrny zegarek, który zwisał jej z nadgarstka. – Ale już późno. Niby jak...?

– Jutro. – Sacha podjął decyzję. – Pójdziemy do mojej szkoły przed odjazdem twojego pociągu.

Nie zaprotestowała, choć jej delikatna twarz na moment się zachmurzyła.

Przez cały dzień dręczyło go przekonanie, że Taylor coś przed nim ukrywa. Kilkakrotnie otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć, a potem zmieniała zdanie. Teraz ponownie zauważył, że się waha, z zadumą patrząc w dal.

Coś ukrywała. Chociaż nie powinien się temu dziwić. Sam też niejedno przed nią zataił.

Odprężenie znikło wraz z ostatnimi promieniami słońca. Przyjemny nastrój prysł, a jego miejsce zajęły obawy, które od tygodni dręczyły ich oboje. Radosny nastrój nadrzecznej scenerii nagle nabrał fałszywego wydźwięku. Śmiech, gitarowa muzyka, taniec i dym marihuany nieoczekiwanie wydały się im idiotyczne.

– Idziemy – obwieścił Sacha, zrywając się z miejsca.

– Dokąd?

– Jesteśmy w Paryżu. – Wyciągnął rękę, żeby pomóc Taylor wstać. – Tu zawsze można dokądś pójść.

– Widzisz? – Sacha wskazał palcem wieżę Eiffla. Stali w ciemności, po drugiej stronie rzeki przepływającej nieopodal legendarnej konstrukcji. – Poczekaj kilka sekund. Trzy... Dwa... Jeden... Już.

Wieża nieoczekiwanie zaślniła światłami, które błyskały i migotały oślepiającym blaskiem. Sacha zerknął na Taylor, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Wydawała się zdumiona.

– Trochę ... trąci tandetą, prawda? – zapytała.

Wybuchnęła śmiechem, gdy popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Żartuję – uspokoiła go. – Niesamowite widowisko. – Uniosła rękę nad głowę i przeciągnęła się, jakby zdrętwiały jej ramiona. – Chyba robi się późno. Jakoś tu spokojniej.

Sacha popatrzył na zegarek.

– Minęła północ.

Siedzieli na trawie w pograżonym w mroku parku. Zatrzymali się tam, żeby odpocząć i popatrzeć na panoramę miasta. Sacha wiedział, że tego dnia przewędrowali pieszo z piętnaście kilometrów. Taylor wydawała się równie zmęczona jak on. Musieli odpocząć. Nie mogli przecież tkwić przez całą noc w parku.

Znaleźli się całkiem blisko dzielnicy Sachy. Wystarczyłoby dziesięć minut spaceru, żeby dotarli do jego mieszkania, ale nie zaproponował tego.

Problem polegał na tym, że wszystkie inne opcje wydawały się dość nieciekawe. Mogli iść do squatu albo do bezpieczniejszego parku, nie wyobrażał sobie jednak, że miałby zaproponować Taylor spędzenie tam nocy.

Znad Sekwany wiał chłodny wiatr i Taylor, ubrana w cienką koszulkę, zadygotała. To przesądziło sprawę. Sacha postanowił, że pójdą do oddalonego o parę minut drogi squatu. Miał nadzieję, że będzie pusty.

– Musimy iść – powiedział. – Chyba znam miejsce, w którym nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Taylor ze znużeniem potarła oczy.

– Daleko to?

– Niespecjalnie. Słowo.

Dźwignęli się z miękkiej trawy i ruszyli przed siebie.

– To niezbyt ładne miejsce – dodał Sacha. – Ale zwykle jest puste i lepiej przespać się tam niż na gołej ziemi...

Z mroku wyłonili się dwaj mężczyźni: jeden wysoki i umięśniony, drugi niski i chudy.

– Merde – zaklął chudzielec. – Własnym oczom nie wierzę.

Sacha miał wrażenie, że krew stężała mu w żyłach.

– To ten dzieciak – odezwał się mięśniak, wpatrując się w chłopaka.

– Odpada – mruknął niski. – Tamten wyzionął ducha. Sam go zabiłeś.

To były dwa oprychy z piwnicy, te same, które strzeliły mu prosto w twarz. Co, do cholery, robili tutaj ci faceci? Jak go znaleźli?

Byli w jego okolicy. Czyżby Antoine powiedział im, gdzie go szukać?

– Sacha – szepnęła Taylor. Słyszał niepokój w jej głosie.

Sytuacja zrobiła się nieciekawa. Taylor nie powinno tu być, razem z tymi typami.

– Ej. – Sacha cofnął się o krok i przyciągnął ją do siebie. – To jakieś nieporozumienie. Nie znam panów.

– Słuchaj, mały. – Ten drobny popatrzył na niego i wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów. – Słyszałeś kiedyś, że fatalnie kłamiesz?

Płomień zapalniczki oświetlił jego ostry nos i brodę, a także maleńkie, rozbiegane oczka. Serce Sachy waliło jak oszalałe. Musiał coś wymyślić.

– Posłuchaj. – Postanowił zmienić taktykę. – Nigdy nikomu nie powiedziałem o tym, co się stało tamtej nocy. Nie mam z wami problemu, więc zwyczajnie dajcie nam spokój.

Taylor w milczeniu kurczowo ścisnęła jego dłoń. Niski mężczyzna leniwie skierował na nią wzrok.

– Ładna – mruknął. – Jak takiemu frajerowi jak ty udało się wyrwać taką łaskę?

– Nie zadawaj głupich pytań – warknął Sacha.

Poczuł, jak strach powoli znika, a jego miejsce zajmuje zimna wściekłość. Musiał wydostać stąd Taylor, a potem rozprawić się z Antoine'em.

– Jaki wyszczekany – wycedził niski. – Ostatnio napisał sobie przez to biedy.

– Zabić go jeszcze raz? – Mięśniak ochoczo zrobił krok naprzód.

Sacha spojrzał na jego wielkie łapy, ale nie dostrzegł pistoletu.

– To chyba nie ma sensu – mruknął niski i wskazał papierosem Taylor. Żar rozbłysnął czerwienią w ciemności. – Może tym razem wykończymy ją. Ciekawe, czy też się wylize.

– Nie ważcie się jej tknąć – wycedził przez zaciśnięte zęby Sacha. – Raz puściłem wam płazem to, co zrobiliście. Więcej nie ujdzie wam to na sucho.

– Jakoś nie sędzę, żebyś miał tu cokolwiek do powiedzenia – oświadczył mniejszy i odwrócił się do swojego pomagiera. – Bierz ją.

Oprych poruszał się wyjątkowo zwinnie jak na kogoś tych rozmiarów. W ułamku sekundy znalazł się przed nimi, błyskawicznie chwycił Taylor i brutalnie ją odciągnął. Kurczowo trzymała się Sachy, ale w pewnym momencie go puściła. Nocną ciszę przeszył jej przerażony krzyk.

– Taylor! – Sacha rzucił się za nią.

Po drugiej stronie rzeki jaskrawe światła na wieży Eiffla zgasły i wszystko pogrążyło się w ciemności. Widać było jedynie cienie. Sacha dostrzegł, że Taylor szamocze się w uścisku osiłka, a jej blond włosy połyskują w mroku. Zanim jednak zdołał do niej dotrzeć, niski facet złapał go za rękę. Był silniejszy, niż mogłoby się wydawać. Nóż w jego dłoni błysnął w słabym blasku księżyca.

– Sam tego chciałeś... – warknął mężczyzna i wbił ostrze w brzuch Sachy.

– Sacha! – Taylor wykręciła się w uścisku osiłka i przerażona patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak niski napastnik zatapia nóż w ciele chłopaka.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie, jak na przyśpieszonym filmie, i wydawało się zupełnie nierealne, dopóki Sacha nie osunął się na ziemię z zaskakującą lekkością i gracją. Taylor zabrakło tchu w piersi. Nie ruszał się. Dlaczego się nie ruszał?

„Nie może być martwy – pomyślała. – To się nie dzieje naprawdę”. Usiłowała krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ściśniętego gardła.

– A teraz, ślicznotko... – Niski oprych ruszył ku niej, trzymając nóż. – Coś dla ciebie zaplanowałem.

Chciał chwycić ją za rękę, a wtedy ujrzała krew na jego dłoniach.

Narastała w niej głęboka i niebezpieczna furia. Taylor miała wrażenie, że grunt porusza się pod jej stopami, jakby szykował się do walki u jej boku. Dłonie paliły ją żywym ogniem.

– Nie dotykaj mnie. – Jej głos zabrzmiał obco. Był lodowaty i niski.

– Angielka...? – Mężczyzna zrobił zdumioną minę.

Zanim jednak zdążył dokończyć myśl, Taylor podniosła rękę w jego kierunku. Trawiła ją dziwna energia, która zdawała się wypływać z ziemi pod jej stopami, owijając się wokół jej kostek niczym macki i napętniając ją mocą.

Niski mężczyzna uniósł się i odleciał, zupełnie jakby porwało go niewidzialne tornado. Frunąc, wydawał się maleńki i kruchy. Po chwili

z ogromną siłą uderzył o pień drzewa. Rozległ się głuchy łomot, a zbir osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Osilek rozchylił usta z wrażenia, ale nadal trzymał rękę Taylor w żelaznym uścisku.

– Co jest... – zaczął.

– Puść – rozkazała.

Natychmiast posłuchał. Z obrzydzeniem uświadomiła sobie, że wyglądał na równie zdezorientowanego jak wcześniej Tom. W tej chwili jednak nie obchodziło jej absolutnie nic poza Sachą.

– Uciekaj.

Mięśniak zrobił krok w jej kierunku.

– Tam. – Pstryknęła palcami i wskazała mu ulicę za parkiem.

Odwrócił się posłusznie i odszedł, potykając się niepewnie. Z początku poruszał się powoli, potem coraz szybciej. Taylor patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w ciemnościach.

Gdzieś w oddali zapiszczały hamulce i ktoś wrzasnął, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Odrętwiała, ruszyła po zimnej trawie, która już nie chciała jej pomagać. Bo niby jak? To była zwykła trawa.

Taylor opadła na kolana obok Sachy i wyciągnęła ku niemu drżące ręce. Miał zamknięte oczy i z trudem oddychał.

– O, Boże, Sacha – wyszeptała przerażona Taylor. – O, Boże. Boże. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Nie wiedziała, dlaczego to powtarza, bo nic nie było w porządku. Strach paraliżował ją tak mocno, że nie mogła zebrać myśli.

Poczuła na nogach ciepło oraz wilgoć. Dopiero po chwili zorientowała się, że to krew chłopaka przesiąkała przez jej ubranie. Dziewczyna z trudem przezwyciężyła mdłości.

– Sacha... – Wzięła go w ramiona.

Jęknął cicho i poruszył ustami, próbując coś powiedzieć. Przynęła ucho do jego twarzy.

– Jak ty to zrobiłaś, do cholery? – wyszeptał słabo łamiącym się głosem.

Po tych słowach umarł w jej objęciach.

– Sacha, nie! – Taylor tuliła jego martwe ciało. – Nie umieraj. Proszę cię, nie umieraj.

Panika uniemożliwiła jej racjonalne myślenie.

– Tętno – powiedziała nerwowo Taylor. – Trzeba mu sprawdzić tętno. Sprawdzić tętno...

Trzęsa się tak gwałtownie, że szczękały jej zęby. Miała zdrętwiałe palce, ale w końcu zacisnęła dłoń na nadgarstku Sachy, jednak puls był niewyczuwalny. Krew nie płynęła już w jego żyłach, nie zdradzał żadnych oznak życia. Pochłaniała go okropna pustka.

– Sacha, proszę cię – szeptała, przyciskając policzek do jego zimnych, nieruchomych warg. – Proszę, oddychaj. Błagam...

Sacha jednak nawet nie drgnął. Nie żył.

Taylor była zbyt oszołomiona, żeby się ruszyć. Zbyt wstrząśnięta, żeby wezwać pomoc. Tkwiła więc w ciemnościach na zimnej murawie, trzymając w objęciach zwłoki pięknego chłopaka.

Straciła poczucie czasu. Nie była w stanie nic zrobić. Siedziała tylko w milczeniu, a po policzkach spływały jej łzy, kiedy kołysała w ramionach stygnące ciało Sachy.

„Boże – pomyślała. – Co ja teraz zrobię?”

W końcu zrozumiała. Właśnie dlatego nie byli sobie pisani. Z tego powodu przyszli do niego jacyś ludzie i kazali mu trzymać się od niej z daleka. Skądś wiedzieli, co się stanie.

Teraz było już za późno. Za późno na cokolwiek.

Jakaś część Taylor liczyła na to, że przyjdzie ktoś, kto nigdy nie widział śmierci swojego przyjaciela, i dlatego będzie w stanie racjonalnie myśleć. Ale była głucha noc, miasto ucichło, a park świecił pustkami.

W pewnym momencie, wśród zupełnej ciszy, Sacha nieoczekiwanie zaczerpnął oddech. Początkowo myślała, że z pewnością zasnęła i to tylko sen. Potem jednak chłopak odetchnął ponownie, głęboko i łapczywie.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, kiedy jego zwłoki zeszywniały na jej kolanach. Sacha wyprężył się nagle, zupełnie jak rażony prądem.

Taylor nie czuł już strachu, tylko paraliżujące przerażenie.

Sacha otworzył oczy. Tłumiąc krzyk, Taylor puściła go ze zgrozą i odpełzała po trawie, a on przetoczył się na plecy.

– Merde – zaklął chrapliwie. – Ale ból.

Pobladł, ale z pewnością żył. I całkiem dobrze wyglądał. Serce Taylor biło jak oszalałe. To nie było możliwe.

Popatrzyli sobie w oczy, a wtedy dostrzegła w jego spojrzeniu zrozumienie. Ze zgrozą uświadomił sobie, co się stało. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zgiął się wpół, a jego ciałem wstrząsnęły kolejne spazmy.

– Bez obaw – wysapał, zatapiając palce w ziemi. – To naprawdę ja. Nie jestem... zombie. Putain. Wybacz... mocne słowa. Po prostu... boli jak cholera. Merde.

Przez pewien czas tkwił w tej pozycji, skulony na ziemi, zdjęty silnym bólem, który w końcu ustąpił. Sacha powoli usiadł i otarł pot z czoła, rozmazując przy tym krew na twarzy.

Taylor nawet nie drgnęła. Klęczała tuż obok, na chłodnej trawie i wpatrywała się w niego tak, jakby zobaczyła ducha. W pewnym sensie tak właśnie było.

– Za każdym razem boli bardziej – wyznał. Pasemka włosów kleiły się do jego spoconego czoła. – Jak długo mnie nie było?

Taylor otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie udało się jej wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dopiero po kilku próbach sformułowała pełne słowa.

– Nie wiem – powiedziała chrapliwie.

– Pewnie długo – westchnął. – Ostatnio trwa to coraz dłużej.

– Co trwa dłużej? – spytała słabym głosem, choć czuła, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Umieranie – odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Milczała, bo nie było na to riposty. Do pewnego stopnia zaczęła wierzyć, że i ona umarła, a teraz utkwiała na tamtym świecie. Mogła też być w śpiączce. To by wyjaśniało sytuację.

Było jej zimno i niedobrze. Przez cały czas się trzęsła.

– Pewnie się zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi.

Sacha mówił spokojnym głosem, ale Taylor zauważyła, że jego dłonie drżą, kiedy przyczesywał palcami włosy.

– Tak jakby.

Znowu miała ochotę się zalać łzami i płakać bez końca. Mimo to siedziała tylko, czekając.

– Pamiętasz, jak byliśmy w parku niedaleko Luwru i spytałeś mnie o ojca?

– Tak.

Wtedy wszystko było inne.

– Wspomniałem, że w mojej rodzinie jest problem zdrowotny, a tata szukał z twoim dziadkiem rozwiązania. Zgadza się?

Skinęła głową.

– Właśnie o to mi chodziło.

Opuścił wzrok na swój brzuch, a potem odciągnął koszulkę od ciała i wsunął palce w pozostawiony przez nóż otwór w czarnym materiale.

– Kretyni – wymamrotał. – Znowu zniszczyli mi porządny ciuch.

Taylor nie mogła oderwać od niego wzroku. Chciała uciec, ale czuła się tak, jakby ktoś przylepił jej kolana do ziemi. Sacha najwyraźniej to zauważył.

– Dobrze się czujesz? – zapytał łagodnie.

Jej wargi drżały, kiedy kręciła głową.

– Nie – wyszeptała.

– Tak myślałem.

Wyciągnął do niej ubrudzone krwią ręce.

– Nie – odsunęła się natychmiast.

– Hej, Taylor. – Sacha opuścił dłonie. Jego głos złagodniał. – Posłuchaj, to ja, Sacha. Nie jestem duchem, nie zrobię ci krzywdy.

Po policzku Taylor spłynęła łza.

– Naprawdę umarłeś, Sacha. – Głos się jej załamywał. – Sprawdziłam ci tętno. Przestałeś oddychać, i to na bardzo długo.

– A ty byłaś zupełnie sama. – Na jego twarzy odmalowało się zrozumienie. – Tak mi przykro, Taylor. To musiało być przerażające. Powinienem był cię uprzedzić, wyjaśnić z grubsza, co może się zdarzyć. Sądziłem, że zdążę to zrobić później, ale te dupki ciągle mnie zabijają. No i...

Umilkł, a Taylor spostrzegła, że coś sobie przypomniał.

– Zaraz, zaraz. – Wyprostował się i popatrzył na nią w skupieniu. – Zanim umarłem, zrobiłaś coś z rękami. – Wyciągnął przed siebie dłoń, tak jak wcześniej Taylor. – To była taka sztuczka w stylu superwoman. Cisnęłaś tego kurdupła przez park. Chyba mi się nie przyśniło, co?

Taylor mimowolnie spojrzała na pień drzewa i mężczyznę, który leżał pod nim z rozłożonymi nogami. Sacha podążył za jej wzrokiem.

– Merde. Nie przyśniło mi się. – Ponownie wbił wzrok w Taylor. – Nie żyje?

Powoli pokręciła głową.

– Nie wiem – odparła.

– Jeśli zginął, musimy stąd wiać – oznajmił beznamiętnie. – A co z tym drugim?

Taylor wskazała ręką kierunek, w którym uciekł.

– Chyba potrącił go samochód – odparła głosem wypranym z emocji.

– Rozumiem. – Sacha starał się uspokoić Taylor. – Zostań tutaj, a ja zerknę, co u tego konusa. Oby dupek nie żył. Zabił mnie dwukrotnie, więc przynajmniej raz sam powinien zginąć.

Zachwiał się, wstając, ale ruszył do drzewa. Choć z początku się potykał, wkrótce poruszał się nieco pewniej. Taylor patrzyła, jak klęka przy ciele bandziora i chwytą go za nadgarstek. Po chwili ręka oprycha bezwładnie opadła na ziemię.

Sacha powrócił swoim charakterystycznym krokiem. Najwyraźniej całkiem wydobrzył.

– Żyje. – Wydawał się rozczarowany.

Taylor wiedziała, że powinna odetchnąć z ulgą, ale nic nie czuła, zupełnie jakby wszystkie emocje gdzieś się ukryły i jeszcze nie miała czasu ich odszukać.

Otępienie Taylor chyba zaniepokoiło Sachę, bo ukląkł u jej boku.

– Musimy się stąd zabierać, i to natychmiast. – Mówił cicho, ale z naciskiem. – Ktoś może się zjawić. Wygląda na to, że facet jest poważnie poturbowany, a my wypaprani krwią. Nie mam ochoty spędzać nocy na tłumaczeniu się na komisariacie. – Wyciągnął rękę. – Proszę, zaufaj mi.

Przez długą chwilę wpatrywała się w jego dłoń, a potem podała mu swoją. Miał rację co do jednego – cokolwiek zdarzyło się tej nocy w parku i bez względu na to, co ich czekało w przyszłości, teraz musieli uciekać.

– Nie wszystko ci jeszcze powiedziałem – odezwał się Sacha. – Są rzeczy, których nie zdradziłem nikomu. Przepraszam cię za to.

Taylor wpatrywała się w niego z powagą.

– Ja też nie wszystko ci wyjawiałam – odparła.

Powrócili na względnie bezpieczną wysepkę Île de la Cité, tę samą, na której byli wcześniej. Roztańczony tłumek już znikł. W bladej poświacie latarni Sacha zauważył, że na policzkach Taylor widnieją smugi po łzach, a jej oczy wydają się puste.

Przynajmniej znów zaczęła mówić.

Po wyjściu z parku ruszyli płataniną ciemnych paryskich ulic. Gdy Sacha uznał, że są już dostatecznie daleko od miejsca zbrodni, przystanęli przy jednej z fontann, by obmyć się z krwi. Woda wypływająca z ust greckiego boga powoli czerwieniała, kiedy opłukiwali w niej dłonie i twarze.

Czarna koszulka Sachy była sztywna od wyschniętej krwi, ale ciemny kolor materiału maskował upiorny widok. Z kolei biały top Taylor prezentował się tragicznie. Nie wzięła ze sobą ubrania na zmianę, w końcu przyjechała tylko na jeden dzień. Zdesperowana, włożyła bluzkę tyłem na przód, dzięki czemu krwawe plamy znalazły się na plecach.

Teraz prawie świtało, a oni siedzieli nad rzeką, niemal całkiem spowitą mrokiem. Wokół panował spokój, zupełnie jakby miasto wstrzymywało oddech w oczekiwaniu na wschód słońca.

- Umarłeś – odezwała się po angielsku Taylor, zakłócając ciszę. – Naprawdę umarłeś.

„No tak – pomyślał Sacha z odrobiną żalu. – Koniec tajemnic”.

- Zgadza się – potwierdził.

- A potem... ożyłeś.

- Nie wspomniałem ci, że nie mogę umrzeć – wyjaśnił powoli. –

W każdym razie nie na stałe.

Zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem – oznajmiła. – Jak to możliwe?

Zerknął na nią i ujrzał na jej twarzy dezorientację, ale nie odrazę czy przerażenie. Pomyślał, że to już coś.

- Mogę powiedzieć ci tylko to, co sam usłyszałem – zaczął. – Dawno temu w mojej rodzinie coś się wydarzyło. Nazywamy to klątwą, ale sami nie wiemy, co to takiego. Za sprawą tej klątwy każdy pierworodny syn w rodzinie mojego ojca umiera w dniu swoich osiemnastych urodzin. Wcześniej nie może. Jeśli odnosimy rany albo giniemy, bardzo szybko dochodzimy do siebie. To się wydaje niemożliwe, ale tak właśnie jest. Sama widziałaś.

Nigdy nikomu tego nie mówił. Czuł się tak, jakby się odstłonił i pokazał jej swoje wnętrze. Teraz był całkiem bezbronny. Wypatrywał w jej zachowaniu przejawów paniki, ale po prostu słuchała, jakby mówił o czymś zupełnie zwyczajnym.

- Więc to skaza genetyczna, choć nie widzę w tym logiki – skomentowała. – Geny nie omijają dziewcząt ani młodszych synów... – Ponownie na niego popatrzyła. – A inni chłopcy mieli to przed tobą?

Sacha skinął głową.

- Tata poświęcił życie na badanie tej przypadłości. Znalazłem jego notatki, a wśród nich natrafiłem na wzmiankę o twoim dziadku.

Podobno znalazł dowody na to, że wielu chłopców przede mną umarło w dniu swoich osiemnastych urodzin.

Taylor spojrzała mu w oczy.

– Sądzisz, że też umrzesz w dniu osiemnastych urodzin?

Nikt dotąd go o to nie pytał. Sacha nie wahał się jednak ani przez sekundę. Musiał w końcu pogodzić się z faktami.

– Tak – potwierdził.

Czekał, aż Taylor oznajmi, że takie rzeczy się nie zdarzają albo że to dla niej zbyt wiele. Powiedziała jednak zupełnie co innego.

– Więc musimy to powstrzymać – oświadczyła stanowczo.

Nie miał pojęcia, jak zareagować. Przed chwilą obwieścił, że jego ojciec przez całe życie bez powodzenia usiłował rozwikłać zagadkę tajemniczych zgonów w swojej rodzinie, a tymczasem Taylor i tak chciała stawić czoło temu problemowi.

Sacha poczuł, że po jego piersi rozplywa się przyjemne, nieznane dotąd ciepło. Nie pamiętał, kiedy ostatnio liczył na to, że ma szansę. Już zapomniał, czym jest nadzieja.

Taylor pogrążyła się w rozmyślaniach. Miał wrażenie, że opracowuje plany i rozważa możliwości. On jednak chciał poznać odpowiedzi na własne pytania.

– Zanim... umarłem, zrobiłaś coś tym facetom – odezwał się. – A zwłaszcza kurdupłowi. Pofrunął.

Zapadła długa cisza. Taylor wpatrywała się w ciemną wodę wirującą w dole.

– Mam moc, której nie rozumiem – przemówiła z wyraźną niechęcią. – Tak się składa, że nie wierzę w tego typu historie, ale to mi się zdarza na okrągło. – Westchnęła. – Dziadek twierdzi, że to

dziedziczne, że on też posiada taką moc. Podobno mamy to we krwi. Jak to, co dotyczy ciebie, tylko... inaczej.

Sacha próbował powiązać jej słowa z tym, co widział.

– O jakiej mocy mówisz? Chodzi o siłę?

– Niezupełnie. Raczej o... dziwaczną naukę, chyba związaną z przemieszczaniem cząsteczek. To tak, jakbym czerpała nieco energii z otoczenia i przekierowywała ją na inne tory. Na przykład energię rzeki dałoby się wykorzystać do rozniecenia ognia.

Wyciągnęła przed siebie rękę, a Sacha przez ułamek sekundy oczekiwał, że pojawi się na niej ogień. Nic podobnego się jednak nie wydarzyło.

Taylor ponownie zacisnęła palce i opuściła rękę.

– Tyle tylko, że nie umiem tego kontrolować. Kiedy mam zły dzień, wokół mnie wybuchają żarówki. – Spojrzała na niego ponuro. – A kiedy naprawdę solidnie się wystraszę albo wścieknę, tak jak dziś, dochodzi do okropnych rzeczy. Nie chcę, żeby tak się działo, ale nic na to nie mogę poradzić. Ci faceci cię krzywdzili, a ja wiedziałam tylko tyle, że chcę ich powstrzymać. Potem wszystko się rozmyło, zupełnie jakby to robił ktoś inny. – Westchnęła głośno. – Nie mam pojęcia, co się stało z tym dużym facetem. Być może już nie żyje.

– Co mu zrobiłaś?

Sacha nie potrafił wykrzesać w sobie współczucia dla zbirów.

– Sama nie wiem. Pamiętam tylko, jak bardzo marzyłam o tym, żeby uciekł, więc uciekł. I nie przestawał uciekać. – Oparła głowę o metalową balustradę. – Pobiegł, a ja nie wiedziałam, jak go zatrzymać. I chyba nawet tego nie chciałam.

Sacha roześmiał się ponuro, wyobraziwszy sobie rozpędzonego mięśniaka, który zapewne pierwszy raz w życiu uciekał. Oczy Taylor

błysnęły.

– To nie jest śmieszne, Sacha – upomniała go. – To okropne.

– Wiem – zapewnił ją pośpiesznie. – I przepraszam. Nie chciałem się z niego nabijać. Odchylił się, zaciskając dłonie na zimnym metalu balustrady. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto miałby równie dziwaczne problemy jak on sam. Ta świadomość była niemal kojąca. – Po prostu to nie lada sekret.

– Nie cierpię go – wyszeptała. – Nie rozumiem go i nie znoszę.

Sacha nie oponował. Doskonale znał to uczucie.

– Zawsze umiałaś to robić? – zapytał po chwili.

Taylor pokręciła głową.

– To się zaczęło tydzień temu, kiedy... mnie zaatakowano. Coś się zmieniło.

Sacha zmrużył oczy.

– Co się właściwie stało?

Opowiedziała mu o niewidzialnych dłoniach i przechyliła głowę, pokazując jasną, smukłą szyję.

– Jak się dobrze przyjrzyysz, zobaczysz jeszcze ślady.

Sacha się pochylił, by popatrzeć. W mroku trudno było cokolwiek dostrzec, ale wydało mu się, że widzi zanikające krwiaki po obu stronach gardła.

Zapłonął nieoczekiwanym gniewem. To pragnienie, by chronić Taylor, zupełnie go zaskoczyło.

– Kto ci to zrobił?

– Nie wiem – odparła. – Nikogo nie zauważyłam ani nie mogłam go dotknąć. Miałam wrażenie, że zaatakował mnie ktoś... niewidzialny.

Sacha nie wiedział, jak na to zareagować. Na widok jego miny Taylor się zarumieniła.

– Tak, to brzmi wariacko – przyznała. – Dziadek twierdzi, że to się zdarzyło naprawdę. Jego zdaniem jestem w niebezpieczeństwie. W ten weekend wybieram się do Oksfordu, a dziadek pokaże mi, jak się bronić i korzystać z tej mojej... mocy czy co to w ogóle jest. Żebym była bezpieczna.

Sacha przez chwilę milczał.

– Ufasz dziadkowi?

Zawahała się, ale zaraz odparła:

– Tak.

– To dobrze – powiedział. – Po prostu... musisz zachować ostrożność. Ja teraz nikomu nie ufam.

– Będę ostrożna. – Spojrzała mu w oczy. – Ale ty też musisz na siebie uważać.

– Nic mnie nie zabije – przypomniał jej w nadziei, że Taylor się uśmiechnie.

Ona jednak tylko patrzyła na niego z niepokojem widocznym nawet w słabym świetle.

– Boli? – wskazała na jego brzuch.

Zastanowił się nad tym przez chwilę. Rana trochę mu dokuczwała, ale nie tak jak typowe gojące się obrażenia. Komórki znów się łączyły, naprawiając skórę i mięśnie.

– Tylko trochę – odparł.

Przysunął się i podniósł koszulkę, żeby pokazać Taylor, że nie musi się obawiać widoku głębokiej, krwawiącej rany. Dziewczyna wpatrywała się w ciemną czerwoną bliznę tam, gdzie wszedł nóż.

– Niemożliwe – szepnęła.

Powoli, z wahaniem musnęła opuszkami palców skórę Sachy tuż obok rany. Mimowolnie drgnął, a Taylor natychmiast cofnęła dłoń.

- Przepraszam – powiedziała i się zarumieniła.

- Nie przepraszaj – Wziął ją za rękę. – Nie zrobiłaś mi krzywdy.

Była tak blisko, że czuł ciepło jej skóry przez materiał bluzki. Myślał, że Taylor się odsunie, ona jednak oparła się o niego.

- Nigdy nie widziałam nic równie okropnego jak to, co ci się dzisiaj przydarzyło – wyszeptała.

Przyciągnął ją do siebie, aż znalazła się w jego ramionach.

- Wiem.

- Cieszę się, że żyjesz.

- Ja też. – Jak najlżej, żeby nie zauważyła, musnął wargami jej włosy, wdychając ich zapach.

Pomyślał, że pachną jak cytryny i zachód słońca.

Siedzieli tak bardzo długo i wreszcie Sacha poczuł, że Taylor całkiem się odprężyła.

- Zapomniałam zapytać – odezwała się cicho. – Kiedy masz osiemnaste urodziny?

- Za siedem tygodni.

- Siedem tygodni? – Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć. – Ale jeśli...

- Tak, wiem. – Znow przyciągnął ją do siebie i oparł brodę na jej ramieniu. – Jeśli tego nie rozgryziemy, za siedem tygodni będę trupem.

Taylor przemówiła dopiero po dłuższej chwili.

- Rozgryziemy to, Sacha.

Siedzieli przytuleni na brzegu rzeki, gdy pierwsze promienie słońca rozbłyły nad ich głowami, a niebo przybrało piękną różową barwę, oświetlając wspaniałą paryską zabudowę.

Długa noc dobiegła końca.

Taylor i Sacha ramię w ramię przeszli przez wahadłowe drzwi szkoły.

„Boże – pomyślał Sacha. – Jak ja nie cierpię tego zapachu”.

Przysadzisty, ceglany budynek nieustannie zalatywał środkami odkażającymi, stołówką i nastoletnim wyobcowaniem.

– Twoja szkoła nie mogłaby się bardziej różnić od mojej. – Taylor rozglądała się z zainteresowaniem. – Jest taka... europejska.

Sacha nie był pewien, co miała na myśli.

Nie mógł uwierzyć, że Taylor jest tak skupiona i spokojna po nocnych wydarzeniach. Gdy sklepy były już otwarte, kupili nowe ubrania. Sacha uparł się, żeby zapłacić.

– Mam mnóstwo pieniędzy – podkreślił, gdy Taylor zaprotestowała. – I to moja wina, że twoje ciuchy nadają się do wyrzucenia.

Nie zabrał jej do pierwszego lepszego sklepu, tylko do drogiego butików nieopodal Luwru. Gdy brudni i zmordowani weszli do środka, przez chwilę sądził, że obsługa wezwie policję. Już wcześniej jednak wymyślił, co powie.

– Musi nam pani wybaczyć – zwrócił się do sprzedawczyni, kiedy podeszła do niego chwiejnie na niebezpiecznie wysokich obcasach, unosząc pytająco brwi. – Przez całą noc byliśmy na planie filmu, tuż za rogiem, na pewno widzieli państwo ekipę. Ludzie z magazynu kostiumów zostawili nas w tych idiotycznych przebraniach. Nie

możemy tak wrócić do domu. – Wskazał swoją poplamioną krwią koszulkę. – Ta sztuczna krew wygląda ohydnie.

Ekspedientka nie wydawała się przekonana, więc wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów.

– Pieniądze nie stanowią problemu – dodał.

Kobieta gapiła się na niego przez chwilę, a gdy doszła do siebie, zrobiła w tył zwrot i poprowadziła ich oboje do stojaka z ciemnymi ubraniami.

– Zapewne znajdzie pan tutaj to, co będzie panu odpowiadało – oświadczyła.

Teraz Taylor miała na sobie krótką czarną spódniczkę i ciemny top bez rękawów. Sacha był nieco zdumiony tym wyborem. Nowa odzież prezentowała się znacznie odważniej niż ta, w której Taylor przyjechała do Paryża. On sam sprawił sobie džinsy i czarny T-shirt, identyczne jak te, które nosił wcześniej. Tyle tylko, że jego nowe ciuchy kosztowały majątek.

Przebrali się w kabinach w sklepie, a zakrwawione rzeczy wepchnęli do kubła na rogu ulicy. Taylor wyrzuciła nawet sandały, zastępując je solidnymi czarnymi botkami do kostek.

– Potrzebuję obuwia odpowiedniego do biegania – oświadczyła, gdy Sacha o tym wspomniał.

Pomyślał jednak, że chodzi o coś więcej. Taylor chciała, żeby ubranie świadczyło o niej. Wszyscy mieli wiedzieć, że życie jest niebezpieczne, a ten, kto chce przetrwać, musi być silny.

Był późny ranek i trwały lekcje. Za długimi rzędami zamkniętych drzwi po obu stronach szerokiego głównego korytarza rozbrzmiewał pomruk perorujących nauczycieli, od czasu do czasu przerywany żywiołowymi dyskusjami uczniów.

Kiedy dotarli do klasy Deidego, kręcili się chwilę przed drzwiami w oczekiwaniu na dzwonek. Sacha nie mógł oderwać spojrzenia od Taylor.

Włosy ściągnęła w luźny kucyk. Kilka loków zdołało się już z niego wymknąć i teraz podskakiwały przy policzkach. Złociste pukle i jasna skóra mocno kontrastowały z czarnym topem. Była piękna. Paryż ją odmienił.

Tak dobrze było ją trzymać w ramionach. Nawet nie chciał myśleć o tym, że już za parę godzin Taylor wsiądzie do pociągu, a on znów zostanie sam. Wyczuwał, że coś ich łączy. Musieli tylko rozgryźć, co konkretnie.

Przenikliwy dźwięk dzwonka ogłaszającego przerwę sprawił, że oboje drgnęli. Taylor usłyszała dobiegający z klasy głos nauczyciela, który w ostatniej chwili zadawał pracę domową („Wypracowania mają być gotowe na jutro, to ostateczny termin...”). Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wysypali się uczniowie.

Kilkoro z nich zerknęło z ciekawością na Taylor i Sachę, ale nikt ich nie zagadnął. Wszyscy szli pośpiesznie, a Sacha pomyślał, że rozmowy nastolatków nie mogłyby być mu bardziej obce.

- Spotkamy się w stołówce?
- Dokończyłeś zadanie z chemii?
- Co to za blondyna?

Zauważył, że paru chłopaków posłało Taylor spojrzenia pełne aprobaty, ale ona nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi. Patrzyła wyłącznie na niego. Czekwała na znak.

Kiedy klasa opustoszała, skinął głową, a wtedy jednocześnie weszli do środka.

Deide stał z przodu sali i układał papiery oraz książki w schludne stosy.

Na białej tablicy widniały zapiski typowe dla lekcji języka angielskiego: „I am going to the park. The park is near the lake. Will you meet me at the park?”.

Taylor i Sacha zatrzymali się obok siebie przed biurkiem, a nauczyciel pytająco podniósł wzrok. Na widok Sachy zrobił wielkie oczy, ale gdy przemówił, nie wydawał się zaskoczony.

– Sacha. Jak się masz? Żałuję, że nie chodzisz na lekcje.

– Byłem zajęty – odparł krótko.

Deide przeniósł spojrzenie na Taylor.

– A któż to taki? – Wpatrywał się w nią przez szkła okularów. – Chyba nie jesteś uczennicą tej szkoły, prawda?

– Bonjour – przywitała się. – Je m'appelle Taylor Montclair.

Deide zbladł jak kreda i mimowolnie cofnął się o krok, cały czas patrząc na nią niemal ze zgrozą.

– Non – wyszeptał. – Nie możesz tu być.

– Ale jest. – Sacha przysunął się do Taylor. – I oboje chcemy wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć.

Na czole nauczyciela zalśniła cienka warstewka potu.

– Dobry Boże, coś ty zrobił? – wyjąkał. – Sacha... Co ty zrobiłeś?

Sacha i Taylor popatrzyli po sobie z niepokojem. Spodziewali się gwałtownej reakcji ze strony pedagoga, ale nie do tego stopnia.

– Jesteśmy tu, bo musimy poznać prawdę – oświadczył Sacha. – I nie wyjdziemy, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi na nasze pytania.

Wyglądało na to, że Deide go nie słucha.

– Ona musi stąd zniknąć – powiedział do Sachy pośpieszną francuszczyzną. – Nie może być w tej szkole. Nie może być z tobą.

Musi wracać do domu, i to natychmiast. To, co zrobiłeś, jest naprawdę bardzo niebezpieczne, dla niej i dla ciebie.

Sacha przypatrywał mu się z uwagą, usiłując dostrzec oznaki oszustwa, ale nauczyciel wydawał się szczerze przerażony.

- Musi pan powiedzieć nam więcej - zażądała Taylor po angielsku. - Nie rozumiemy, co się dzieje. Jacyś ludzie usiłują nas zabić. Kim pan właściwie jest? Czy pracuje pan dla mojego dziadka?

Deide się zawahał.

- Niezupełnie - odparł w końcu. - Aldrich jest moim wspólnikiem.

A więc mieli rację. Wszystko było ze sobą powiązane.

- Dlaczego pan chciał, żebyśmy się spotkali? - zapytał Sacha stanowczo. - Co pan wie?

Na korytarzach hałasowali uczniowie zmierzający na lekcje, a zgiełk przenikał do klasy. Deide nagle odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi i stanowczym ruchem obrócił pokrętko zamka. Gdy wrócił do biurka, zdjął okulary i wsunął je do kieszeni koszuli.

- Zdradzę wam, co wiem - zdecydował i skierował wzrok na Taylor. - Ale pamiętaj, musisz wrócić do Anglii. Przykro mi, lecz tutaj są bardzo groźni ludzie, którzy ci źle życzą.

Taylor nawet nie drgnęła.

- W Anglii też są ludzie, którzy mi źle życzą - zauważyła.

- Wiem. - Twarz nauczyciela złagodniała. - Żyjemy w niebezpiecznych czasach. - Spoglądał raz na Taylor, raz na Sachę. - Wybaczcie mi ten podstęp, ale chyba sami rozumiecie, że to było konieczne. Musieliście się poznać w ramach, nazwijmy to, eksperymentu.

- Eksperymentu? - Taylor zmarszczyła brwi. - Jakiego znowu eksperymentu?

Deide popatrzył na Sachę.

– Uważamy, że Taylor może pomóc w twojej... sytuacji – oświadczył.

Serce Sachy mocniej zabiło.

– Jakiej sytuacji? – zapytał chłodno. – I jacy „my”?

– Wiem o kłątwie, Sacha – powiedział Deide cicho. – Znałem twojego ojca. Staralem się pomagać ci przez ostatnie pięć lat...

– Znał pan mojego ojca? – Sacha miał wrażenie, że jego żebra zaciskają się wokół płuc.

Deide skinął głową.

– Pracowałem z nim, kiedy umarł. Należę do pewnej organizacji. – Zerknął na Taylor. – Tej samej, w której działa twój dziadek w Oksfordzie. Wszyscy współpracowaliśmy z Adamem, żeby spróbować zrozumieć, co się z tobą dzieje, Sacha, i zapobiec twojej śmierci. Kiedy umarł Adam, zgłosiłem się do pracy w tej szkole, żeby mieć na ciebie oko.

Sacha przestał myśleć, po prostu zdał się na instynkt. Brutalnie chwycił nauczyciela za przód koszuli.

– Przestań kłamać – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ojciec nigdy o tobie nie wspominał, matka też nie. Nie chrzań mi tu głupot.

– Sacha... – odezwała się Taylor ostrzegawczym tonem.

Deide nie wydawał się jednak przestraszony. Spokojnie patrzył chłopcu w oczy, nawet nie podnosząc rąk.

– Sacha, mówię prawdę. Doskonale znałem twojego ojca. To był dobry człowiek i wierny przyjaciel. Wierzył, że istnieje sposób na powstrzymanie tego, co ci zagraża, i moim zdaniem miał rację.

Nie wyglądało na to, że Deide ucieka się do podstępu. Sprawiał wrażenie całkowicie szczerego. Sacha puścił go i poczuł

niepohamowany gniew na ojca.

„Dlaczego nie powiedział mi więcej? – pomyślał. – Dlaczego nie zostawił nam żadnych wskazówek, za to wyjawiał obcym ludziom tajemnice, którymi nie chciał się podzielić z nami”.

Deide zrobił krok do tyłu i poprawił koszulę.

– Proszę pana – odezwała się Taylor. – Czy mógłby pan opowiedzieć nam wszystko, co pan wie? Czy pan jest taki jak mój dziadek? Jak ja? Czy ma pan jakąś... moc?

Nauczyciel przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Tak, chociaż pod żadnym względem nie dorównuję Aldrichowi Montclairowi. – Wypowiedział to nazwisko z nieskrywanym szacunkiem. – A co do tych twoich umiejętności... Czy one się jakoś objawiły?

– Tak jakby. – Skrzywiła się. – Ale nie są imponujące. Tak tylko... przypadkowo coś niekiedy wysadzę.

– To normalne – zapewnił ją. – Z czasem nabierzesz wprawy.

– Mam nadzieję. – Oparła się o biurko obok Sachy. – A co pana zdaniem miało się zdarzyć po naszym spotkaniu? Jak mogę pomóc Sachy?

Zabrział dzwonek na lekcję i po chwili na korytarzach zapanowała cisza. Deide usiadł na blacie biurka i przyglądał się im wnikliwie.

– Nie wiemy tyle, ile byśmy chcieli wiedzieć – przyznał. – Ustaliliśmy, że klątwę na rodzinę Sachy rzucił mroczny wyznawca. – Zerknął na Taylor. – To ktoś obdarzony mocą, tak jak ty czy ja, ale dodatkowo parający się czarną magią. Ten ktoś wykorzystywał demoniczne techniki, żeby zyskać nadprzyrodzoną moc.

– Demoniczne techniki? – powtórzyła Taylor słabym głosem.

Sacha niemal się wzdrygnął na wspomnienie ludzi, którzy przyszedli do jego domu. To przynajmniej wyjaśniało, kim byli.

– Jak sądzimy, przekleństwo dotknęło rodzinę Sachy w XVII wieku – ciągnął Deide. – Okazało się, że niewiele napisano wtedy na ten temat, ale wzmianki w późniejszych książkach pozwoliły nam ustalić czas i miejsce. – Patrzył na nich uważnie. – Współczesny sceptycyzm utrudniał nam zrozumienie, czy wręcz przyjęcie do wiadomości tego, co się dzieje. Z góry odrzucamy dawne przekonania, twierdząc, że to bajki i fantazje. Przypadki śmierci uznajemy za fatalny zbieg okoliczności. Twój ojciec okazał się jednak niezwykle dociekliwy, Sacha, i przeprowadził wyczerpujące badania. Prześledził zgony pierworodnych synów w twojej rodzinie na przestrzeni kilku wieków. To, co ustalił, okazało się bardzo przekonujące: nieustannie powtarzał się ten sam schemat, a zgon następował w dniu osiemnastych urodzin. Ponieważ dochodziło do tego zawsze, bez wyjątku, nie było mowy o zbiegu okoliczności ani o żadnych wymysłach. – I jeszcze jedno – dodał po krótkim namyśle. – Wziąwszy pod uwagę wszystkie ustalenia, doszliśmy do wniosku, że Sacha jest trzynastym Wintersem, któremu grozi taki zgon. Jeśli nasza wiedza o klątwie jest precyzyjna... trzynasty pierworodny jest ostatnim skazanym na śmierć. – Spojrzał Sachy w oczy. – Klątwa wygaśnie wraz z tobą.

Sacha poczuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch. Był ostatni? Gdyby setki lat temu umarł jakiś inny chłopak, on nie musiałby teraz przez to przechodzić?

Miał przechłapane.

– Ale co to dokładnie oznacza? – chciała wiedzieć Taylor.

– Problemem jest dobór słów w klątwie. – Deide unikał wzroku Sachy. – Od wielu lat nikt nie uprawiał czarnej magii, więc nie całkiem

ją rozumiemy. Z biegiem czasu jej szczegóły stały się niejasne, ale z ksiąg wynika, że jeśli nie uda się nam zapobiec śmierci Sachy, uruchomi się jakiś okropny niszczycielski mechanizm. – Cichy głos nauczyciela odbijał się echem w pustej sali. Klątwy nie rzucono tylko po to, żeby ukarać jedną rodzinę. Chodziło o ukaranie całego świata.

Sacha z trudem przełknął ślinę.

– Ale co właściwie się stanie? – zapytała Taylor.

– Naszym zdaniem na ziemi objawi się demon tak zły i potężny, że świat zmieni się nie do poznania.

Oboje wpatrywali się w niego z osłupieniem.

– Ale... prawdziwy demon? – Sacha zamrugał. – Taki jak w telewizji? To one istnieją naprawdę?

– Nie taki jak w telewizji – zaprzeczył Deide z ponurą miną. – O wiele, wiele gorszy, jeśli wierzyć starym księgom. To, co nas czeka, będzie bardziej przypominało wojnę atomową niż cokolwiek innego, co możemy sobie wyobrazić. Tak się składa, Sacha, że nie mówimy o rogatym jaszczurze, tylko o czystej niszczycielskiej mocy.

Chłopak wpatrywał się w niego, usiłując dostrzec na twarzy nauczyciela rozbawienie, ale nic nie wskazywało na to, żeby ten żartował. Deide wydawał się śmiertelnie poważny.

„Czy to mogło być prawdą?“, zastanawiała się Taylor. To, co usłyszała, brzmiało jak szaleństwo.

– Nadal nie rozumiem. Co z tym wszystkim na wspólnego Taylor? – spytał Sacha. – Dlaczego pan ją w to wciągnął?

Deide z odrobiną żalu spoglądał to na niego, to na nią.

– Sacha – powiedział. – Jesteś trzynastym pierworodnym potomkiem człowieka, którego w XVII wieku obłożył klątwą pewien wyznawca czarnej magii. – Skierował wzrok na Taylor. – A ty, Taylor

Montclair, jesteś trzynastą pierworodną potomkinią kobiety, która setki lat temu rzuciła przekleństwo na tego człowieka, gdy ją zabijał.

Taylor jęknęła, a z jej twarzy odpłynęła krew.

– Jeśli się nie mylimy, a dla dobra nas wszystkich taką mam nadzieję, to Taylor jest jedyną osobą na świecie, która może uratować ci życie – dodał Deide.

Przejazd pociągiem z Paryża do Londynu trwał nieco ponad dwie godziny. W trakcie podróży Taylor ani na moment nie udało się oderwać myśli od Sachy. Nieustannie miała przed oczami minę, którą zrobił na wieść o tym, kim są naprawdę. Kim ona jest.

Wydawał się przerażony.

W końcu równinny krajobraz Francji zniknął i po krótkiej chwili pojawiły się falujące wzgórza Anglii. Taylor przez cały czas usiłowała zrozumieć to, czego się dowiedzieli.

Porażeni przekazaną im przez Deidego informacją, wysłuchali jeszcze, dlaczego musieli się spotkać.

– Czarna magia jest krwawa – oświadczył. – Jeśli chcemy zdjąć klątwę z Sachy, potrzebujemy ciebie, Taylor.

– Co mam zrobić? – zapytała, świadoma milczenia Sachy. – Nie cofnę się przed niczym.

Odpowiedź Deidego rozczarowała ich oboje.

– W tym sęk, że jeszcze nie wiemy – mruknął. – Chodzi o pradawną moc i magiczną sztukę z zamierzchłych czasów, w większości zapomnianą od stuleci. – Teraz nie żyje już nikt, kto miał z nią cokolwiek wspólnego. Ale nie składamy broni – dodał na widok miny Taylor. – Rozwiążemy tę zagadkę.

Po wyjściu z sali ruszyli w milczeniu do stacji metra. W pociągu zachowywali bezpieczny dystans i nie patrzyli sobie w oczy.

Na dworcu Gare du Nord na peronie dla pociągów do Londynu znaleźli się przed czasem, przystanęli więc na balkonie i spoglądali na

ludzi w dole, śpieszących na pociąg albo wymieniających powitalne uściski oraz pocałunki.

„Ich życie jest takie normalne – pomyślała Taylor z przygnębieniem. – A nawet o tym nie wiedzą”.

To była najdłuższa doba w jej życiu. Nie mogła uwierzyć, że poprzedniego dnia o tej porze szła ulicą w Woodbury i cieszyła się na wyjazd do Paryża, kompletnie nieświadoma tego, co ją czeka.

– Przepraszam – powiedziała, w końcu przerywając długotrwałe milczenie.

Sacha zerknął na nią. Zobaczyła swoją twarz w szklach jego przeciwsłonecznych okularów.

– Za co?

– Za to, kim jestem – odparła drżącym głosem. – Bo jeśli mówię prawdę, to wszystko spotyka cię przez moją rodzinę...

Sacha nie dał jej dokończyć. Zdjął okulary, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, aż znalazła się tak blisko, że czuła żar jego skóry, a w oczach o barwie morskiego błękitu dostrzegła złote plamki.

– To nie ty mi to zrobiłaś, Taylor Montclair. – Mówił cicho, ale stanowczo. – Ty mnie uratujesz. Pamiętaj o tym. – Uniósł jej dłoń i lekko musnął ją wargami. – Nie masz mnie za co przepraszać.

Poczuła na karku delikatną gęsią skórę. Nie po raz pierwszy tej doby zapragnęła, żeby ją pocałował. Nie zrobił tego jednak.

– Chcę w to wierzyć – wyznała. – Tylko się boję. Mam mętlik w głowie.

– Ja też – odparł. – Damy sobie radę. Na pewno.

Mówił z takim przekonaniem, że w tamtej chwili łatwo było mu uwierzyć. Teraz jednak nie była już pewna, czy zdoła go uratować. W ostatnich dniach widziała rzeczy, które wcześniej wydawały się jej

niemożliwe. Patrzyła, jak chłopak umiera i powraca do życia. Dziadek zademonstrował jej, jak przemieszczać energię siłą woli, a ona sama niemal zabiła dwóch dorosłych mężczyzn, nawet ich nie dotykając.

Świat, który znała, wypadł z orbity i zatrzęsł się w posadach.

Jednego była pewna – musiała uratować Sachę. Musiała odkryć sposób na ocalenie mu życia.

– Jak tam nauka? – spytała matka Taylor, podnosząc głowę znad dokumentów.

Pracowała przy kuchennym stole („To ważny projekt”, wyjaśniła ze skruchą), zasypanym dokumentami i okropnymi arkuszami. Bez zastrzeżeń zaakceptowała wyjaśnienia córki, choć uniosła brwi na widok nowego ubrania, które Sacha kupił Taylor w Paryżu.

– Georgie ciągle mnie przebiera – wyjaśniła jej z westchnieniem. – Jej zdaniem moje ubrania są do niczego.

Nowy wizerunek bardzo przypadł Taylor do gustu. Nigdy dotąd nie nosiła obcisłych koszulek z obawy, że przy swojej figurze będzie wyglądała grubo, i z tego powodu konsekwentnie wybierała luźne topy. Kiedy jednak stanęła przed lustrem w paryskiej przymierzalni, wydawało się jej, że widzi siebie po raz pierwszy. Dopasowana czarna góra i rozszerzająca się krótka spódniczka całkowicie ją odmieniły. Spódnica kończyła się w połowie ud, dzięki czemu nogi Taylor sprawiały wrażenie dłuższych.

Dziewczyna w lustrze wyglądała na silną i pewną siebie. Taylor jej nie rozpoznawała, ale od razu ją polubiła.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Normalnie.

– Georgie ma szansę zdać egzaminy?

– Jasne. – Taylor starała się mówić beztróskim tonem. – O ile napiszę je za nią.

Z niepokojem pomyślała, że kłamstwa przychodzą jej bez najmniejszego trudu.

Mama Taylor zachichotała i sięgnęła po kartkę ukrytą pod stosem papierów. Okulary do czytania zsunęły się jej na czubek nosa, więc patrzyła na córkę znad szkieł.

– Niech zgadnę. Georgie lakierowała sobie paznokcie, kiedy ty odrabiałaś za nią pracę domową?

– Jak się domyśliłaś? – spytała Taylor z udawanym zdumieniem.

Sięgnęła po czekoladowe ciasteczko z paczki na blacie i jednym kęsem zjadła połowę.

– Jestem twoją matką, wiem wszystko. – Mama uśmiechnęła się chytrze. – Nie opychaj się ciastkami, kolacja za godzinę.

Taylor podejrzewała, że to raczej optymistyczna prognoza, bo kolacja była jeszcze w powijakach, ale zachowała te przemyślenia dla siebie.

Zauważyła, że gdy okłamuje matkę, przez resztę czasu stara się traktować ją wyjątkowo miło.

Jej telefon zapiszczał, sygnalizując nadejście wiadomości, więc wyjęła go z kieszeni i pośpiesznie wyszła z kuchni. Gdy na ekranie pojawiło się imię Sachy, motylki w brzuchu Taylor zerwały się do lotu.

Wróciła do domu zaledwie kilka godzin temu, a już za nim tęskniła. Z najwyższym trudem powstrzymywała się od zasypywania go SMS-ami. Jak to możliwe, że spędziła z nim zaledwie jeden dzień i od razu stał się częścią jej życia? Nie umiała tego wyjaśnić, ale tak właśnie było.

Tyle razem przeszli przez tych kilkanaście godzin w Paryżu. Teraz czuła się dziwnie, bo znowu została sama. Miała wrażenie, że zostawiła tam część siebie.

„Melduję się”, głosiła wiadomość. „Jeszcze żyję. Złoczyńców brak. Co u ciebie?”

Zanim wyjechała do Paryża, wymienili się adresami, numerami telefonów i wszystkimi innymi informacjami, których mogli potrzebować, żeby się porozumieć w krytycznej sytuacji. Do tego ustalili, że odtąd będą w stałym kontakcie, co bardzo Taylor odpowiadało.

„Wszystko dobrze”, wystukała w odpowiedzi. „Jutro Oksford zgodnie z planem”.

„Uważaj na siebie”, odpisał natychmiast.

Taylor nie przejmowała się jednak bezpieczeństwem. Już następnego dnia miała się dowiedzieć więcej, kim naprawdę jest.

Wtedy będzie mogła opracować plan uratowania Sachy.

– Maman? – zawołał Sacha, wchodząc z przedpokoju do salonu. – Jesteś tam?

– W kuchni! – odkrzyknęła. – Zaraz przyjdę.

Tego dnia miała wolne, więc przez większość popołudnia załatwiała różne sprawy. Nawet jeśli zauważyła, że Sacha nie wrócił na noc, nie wspomniała o tym ani słowem. Może po prostu przywykła.

Wyczerpany opadł na kanapę w słonecznym salonie i szeroko rozłożył nogi. Był niesamowicie zmęczony. Po porannym odjeździe Taylor spał przez pięć godzin i najchętniej przespałby drugie tyle.

Umieranie odbierało mu siły.

Był nie w sosie i trochę rozbity również dlatego, że tęsknił za Taylor znacznie bardziej, niż się tego wcześniej spodziewał.

Kiedy przyjechała, od razu zaczęli się dogadywać. Sacha czuł ogromną ulgę, przebywając z kimś, kto zna prawdę i wie o wszystkim. Taylor zdjęła z jego barków ciężar odosobnienia.

Gdy wyjechała, ponownie poczuł się samotny. Droga powrotna do domu z Gare du Nord wydawała się Sachy nudna i ponura, a Paryż bez Taylor nieco mniej piękny.

Robił, co mógł, żeby nie pocałować jej na dworcu. Nie wiedział, czy tego chciała. Była taka zagubiona i zdezorientowana... A jeśli nie odwzajemniała jego uczuć? To by wszystko zepsuło. Dlatego wtedy się powstrzymał, ale teraz nie był w stanie przestać o niej myśleć.

Matka stanęła w drzwiach do pokoju gościnnego, trzymając w dłoni kubek z kawą. Miała na sobie džinsy oraz luźny top we wzory, a jej krótkie brązowe włosy były starannie ułożone. Sacha ją przerósł i teraz, gdy patrzył na nią z góry, ogarniały go dziwnie opiekuńcze uczucia. Żałował, że wkrótce umrze i nie będzie miał czasu przywyknąć do tej zmiany w ich relacjach.

Matka usiadła w fotelu przy sofie i zabrała się do układania magazynów na stoliku w schludne stosiki.

– Jak tam w szkole? – zapytała.

– Interesująco – odparł, myśląc o Deidem. – Prawdę mówiąc, chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

– Znowu wpakowałeś się w kłopoty? – Zmrużyła oczy. – Myślałam, że już to przerabialiśmy.

Ugryzł się w język, żeby nie odwarknąć.

– W szkole wszystko gra – zakomunikował spokojnie. – Po prostu potrzebuję pewnych informacji.

Wypiła łyk kawy i usiadła wygodniej, czekając na wyjaśnienia, ale nadal patrzyła na niego nieufnie.

Teraz, kiedy skupiła na nim uwagę, nie był pewien, od czego zacząć.

- Pamiętasz, że wspomniałem ci już o mojej angielskiej korepetytorce Taylor Montclair, prawda? Myślę, że to nazwisko coś ci mówi – dodał. – I chcę wiedzieć dlaczego. Co o niej wiesz? Dziadkiem Taylor jest Aldrich Montclair, który twierdzi, że znał mojego ojca...

Na dźwięk tego imienia kobieta podskoczyła i rozlała kawę. W pośpiechu odstawiła kubek na stolik i przez chwilę wycierała plamę chusteczką, unikając spojrzenia syna. Serce Sachy biło coraz szybciej.

- Znasz go, prawda? Kojarzysz imię i nazwisko. – Pochylił się ku niej, nawet nie ukrywając zniecierpliwienia. – Musisz mi powiedzieć, co wiesz. Kim on jest dla naszej rodziny? Skąd go znasz?

Jego matka zacisnęła usta.

- Nie zamierzam rozmawiać o Aldrichu Montclairze – wycedziła. – Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Jest niebezpieczny.

Sachy zaschło w ustach.

- Nie rozumiem – odparł. – Pod jakim względem? Co takiego zrobił?

- Twój ojciec mu ufał. Aldrich nieustannie mu wmawiał, że istnieje lekarstwo, rozwiązanie twojego problemu, i że uda mu się je znaleźć. – Machnęła ręką, jakby chciała pokazać, co o tym myśli. – A twój ojciec wierzył jego zapewnieniom. Nie słuchał mnie, niezależnie od tego, co mówiłam. – Jej oczy rozbłyły gniewnie. – Wiara w Aldricha Montclaira okazała się zgubna dla twojego ojca, Sacha. W dniu śmierci był z wizytą u Aldricha. To on posłał go w drogę. – Wycelowała w niego palec. – Sacha, trzymaj się od niego z daleka. Zniszczy ci życie, tak samo jak zniszczył nasze.

Sacha ukrył twarz w dłoniach. Uwierzył w Aldricha Montclaira, uwierzył w Taylor, a jego matka odbierała mu tę ostatnią nadzieję, nie oferując nic w zamian. Nie mógł jej na to pozwolić. Nawet jeśli

potrafiła pogodzić się z jego losem, on nie był w stanie tego zrobić. Tym razem postanowił się przeciwstawić.

– Zniszczy mi życie? Jakie życie? – spytał podniesionym głosem. – Chodzi ci o najbliższe siedem tygodni? Bo na więcej nie mam co liczyć.

Poczerwieniała na twarzy tak, jakby ją spoliczkował.

– Nie mów tak – poprosiła. – Wiesz, że robię wszystko, co w mojej mocy. Ogromnie się starałam zapewnić ci normalne życie i zadbać o to, żeby czas, który ci pozostał... – Zamrugła, żeby powstrzymać łzy. – Jest nam bardzo ciężko, Sacha, twojej siostrze i mnie. Trudno nam żyć ze świadomością, że cię utracimy.

Wpatrywał się w nią, a niedowierzanie powoli przeradzało się we wściekłość.

– To wam jest trudno? Mówisz poważnie? – Zerwał się z miejsca i stanął przed matką z założonymi rękami. – Opowiedz mi, jak trudno jest ci pogodzić się z moją śmiercią. Jak bardzo walczyłaś o utrzymanie mnie przy życiu. Chcę posłuchać o wszystkim, co zrobiłaś, żeby mnie ocalić.

Wzdrygnęła się i uniosła rękę, jakby chciała odgrodzić się od jego słów, a w sercu Sachy zagościło znajome poczucie winy. Z trudem je zignorował.

Przez ostatnie dwa lata oboje unikali prawdy. Teraz nie było już czasu na kłamstwa.

– Maman, proszę cię – powiedział. – Nie wolno ci godzić się z moją śmiercią. Musisz zacząć z nią walczyć. O nic więcej nie proszę. Na początek możesz mi opowiedzieć wszystko, co wiesz o Aldrichu Montclairze.

– Chcesz wiedzieć więcej o Aldrichu Montclairze? W porządku. Opowiem ci wszystko, co mi wiadomo. – Wstała z fotela. – To potwór

i fantasta. Jego szalone pomysły przyczyniły się do śmierci twojego ojca, a jego rodzina ma z tym wszystkim coś wspólnego. Jeśli dasz mu się omotać, zginiesz tak samo jak twój ojciec.

– Mam nowiny, mamo – burknął oziębło. – Umrę tak czy owak, a Aldrich Montclair nie ma z tym nic wspólnego. – Podeszedł do niej. – To, co robię, być może nie ma sensu. Niewykluczone, że i tak umrę, ale powiem ci jedno: nie zamierzam składać broni.

Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

– Sama powinnaś tego czasem spróbować – dodał przez ramię.

Przy wtórze zgrzytu metalu o metal pociąg wtoczył się na stację, spóźniony o dziesięć minut. Taylor stała przy wyjściu, niecierpliwie stukając palcami o przycisk otwierania drzwi. Kiedy pociąg zatrzymał się gwałtownie, straciła równowagę i zatoczyła się na stojącego obok siwego mężczyznę. Momentalnie się cofnęła i posłała mu spojrzenie pełne skruchy.

– Przepraszam.

Mężczyzna demonstracyjnie poprawił tweedową marynarkę, dając wyraz dezaprobach. Miał schludne wąsy i pozbawioną zmarszczek twarz, którą Taylor uznała za dziwnie znajomą, choć nie była w stanie go zidentyfikować.

Drzwi się otworzyły i natychmiast zapomniała o incydencie. Wskoczywszy z wagonu, ruszyła przez zatłoczony peron. Starła się unikać łokci i walizek na kółkach, małych dzieci, które w każdej chwili mogły się wyrwać z uścisku rodziców, a także nastolatków, zbyt zasłuchanych w muzyce dudniącej w słuchawkach, żeby zwracać uwagę na otoczenie.

Na ulicy ludzie się rozpraszali i każdy szedł w swoją stronę. Taylor ruszyła prosto do centrum miasta.

Dzień był ciepły, choć dość posepny. Zwisające nisko chmury zwiastowały deszcz, ale nawet przy takiej pogodzie, kiedy niebo sprawiało wrażenie niewiele jaśniejszego od budynków z szarego kamienia, a na zakorkowanych ulicach tłoczyli się turyści, Oksford zapierał dech w piersi. Strzeliste wieżyczki oraz otoczone blankami

dachy rozciągały się wszędzie dookoła, sięgając, jak się wydawało, aż do chmur.

Taylor nigdy jeszcze nie była tutaj sama, zawsze przyjeżdżała w towarzystwie matki. Mimo to dobrze знаła drogę, więc szła tętniącymi życiem ulicami aż do skrzyżowania, przy którym stał rzeźbiony w kamieniu ozdobny krzyż. Tam skręciła w wąską boczną wąską alejkę, niewątpliwie pamiętającą czasy średniowiecza. Po obu jej stronach ciągnęły się wysokie kamienne mury, przez co chodnik zawsze znajdował się w cieniu. Całkowicie tłumili one odgłosy miasta, więc Taylor słyszała tylko stukot własnych kroków, miarowy jak bicie serca.

Mur po prawej stronie był coraz wyższy i w końcu Taylor dotarła do konstrukcji z krwistoczerwonej cegły. Jej szczyt wieńczyły zawadiackie ośmiokątne wieżyczki, wysokie na trzy piętra i przyozdobione trzema barwnymi flagami, które łopotały na wietrze. Tak wyglądało wejście do Kolegium Świętego Wilfreda.

U podstawy bramy zainstalowano zabezpieczone gigantycznymi żelaznymi zamkami podwójne wrota z dębowego drewna, które poczerniało z wiekiem. Obok znajdowało się otwarte wejście normalnej wielkości, które przez kontrast wydawało się maleńkie jak drzwiczki do domu hobbita.

Taylor szybko weszła do środka, niemal przeskakując nad wysokim progiem, i po chwili zatrzymała się przed niedużym przeszklonym biurem. W środku siedział mężczyzna w czarnym meloniku i pisał coś bardzo drobnymi literkami w księdze tak wielkiej, że zajmowała niemal cały blat biurka.

– Chwileczkę – odezwał się, nie podnosząc głowy.

Taylor tupiała nerwowo, starając się ukryć zniecierpliwienie. Trwało to znacznie dłużej niż chwileczkę.

– No dobrze – mruknął po dłuższym czasie mężczyzna. – Jak mogę pomóc?

Zauważyła, że pod melonikiem ukrywał łysinę, a jego nogi nie mieściły się pod wiekowym biurkiem.

– Przyjechałam do profesora Montclaira – odparła. – Jestem jego wnuczką.

– Rozumiem. – Przewertował księgę z taką miną, jakby poszukiwał ukrytych informacji. – A pani godność...?

– Montclair – przedstawiła się. – Taylor Montclair.

– Ojej. – Z donośnym hukiem zatrzaskał księgę. – Obawiam się, że profesor Montclair nas nie zawiadomił. Czy na pewno się pani spodziewa?

Taylor westchnęła w duchu. Dziadek zawsze zapominał uprzedzić portiera o tym, że będzie miał gości, co doprowadzało do szału jej mamę.

– Może zechciałby pan do niego zatelefonować? – Starła się mówić tonem nie znoszącym sprzeciwu. Mama często uciekała się do tej taktyki, z bardzo dobrym skutkiem. – Dziadek mnie oczekuje.

Dwóch chłopców w podartych dżinsach i koszulkach weszło do środka, od niechcienia machając ręką na powitanie. Portier niewątpliwie ich rozpoznał, bo w odpowiedzi skinął głową i dopiero potem odwrócił się do sąsiedniego stolika, na którym stał staromodny czarny telefon. Przewertowawszy inną księgę, równie gęsto zapisaną drobnym maczkiem, wyszukał numer i zatelefonował.

Długo trzymał słuchawkę przy uchu. Taylor już zaczęła się obawiać, że dziadka nie ma, kiedy portier wyprężył się tak, jakby nagle

ujrzał kogoś ważnego.

– Pan profesor Montclair? Przy wejściu czeka dziewczyna, która podaje się za pańską wnuczkę. Podobno ma na imię... – Zerknął do notatek. – Taylor. – Pokiwał głową. – Jak pan profesor sobie życzy.

Telefon cicho zadzwieczał przy odkładaniu słuchawki, a portier podniósł wzrok na Taylor.

– Ma pani iść prosto na górę – oświadczył. – Wie pani, gdzie są pokoje pana profesora?

– Naturalnie. – Nawet nie próbowała ukryć triumfalnej miny.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła ciemnym kamiennym korytarzem i po chwili dotarła do czworokątnego dziedzińca. Aksamitny trawnik był ze wszystkich stron otoczony przez wysokie kamienne budynki o dachach ze strzelistymi iglicami.

Taylor uwielbiała to miejsce, zwłaszcza łuki z rzeźbionego kamienia nad chodnikiem wokół krawędzi dziedzińca. W dzieciństwie godzinami bawiła się z Emily w chowanego w niezliczonych zakamarkach, które zdawały się do tego stworzone.

Wkrótce przeszła przez niskie drzwi, za którymi znajdowały się stare kamienne schody o nierównych stopniach. Nie paliły się tu światła, ale znała drogę i pewnym krokiem ruszyła na górę. Na najwyższym piętrze schody kończyły się nagle przed starymi drzwiami z pociemniałego dębu. Brakowało na nich tabliczki z nazwiskiem, jednak mimo to Taylor bez wahania zastukała małą czarną kołatką w kształcie pięści.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, zupełnie jakby dziadek Taylor stał tuż za nimi. Na jej widok uśmiechnął się ciepło.

– Taylor, cudownie cię znowu widzieć. – Cofnął się o kilka kroków, żeby przepuścić wnuczkę przez wąski przedpokój. – Zapraszam do

środka.

Miał głęboki głos kogoś, kto przez całe dorosłe życie przemawiał do tłumów w salach wykładowych.

Taylor weszła, a dziadek zamknął za nią drzwi. W małym mieszkaniu było ciepło, ale nie duszno. Od razu poczuła znajomy zapach – pasty do podłóg, palonego drewna i herbaty Earl Grey. To był subtelny, przyjemny aromat, podobny do woni kadzidła, które zdążyło częściowo wywietrzeć.

Dziadek ruszył przodem, gestem zachęcając Taylor, by poszła w jego ślady. Mimo swojego wieku poruszał się bardzo dziarsko.

– Chodź, napijemy się herbaty – powiedział. – Mam nadzieję, że podróż przebiegła bezproblemowo.

– Oczywiście, dziadku – odparła grzecznie.

Rozejrzała się po mieszkaniu, szukając znajomych obrazków i rzeźb. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Na starym parkiecie leżał spłowiały perski dywan, który tłumił odgłos kroków i nadawał wnętrzu ciepły, rudobrunatny odcień. Choć zbliżało się południe, lampy w mieszkaniu nadal się paliły, rozjaśniając ciemne kąty, gdyż przez małe okna przedostawało się bardzo niewiele światła.

Ściany zagraconego salonu były od góry do dołu zastawione regałami pełnymi ciężkich woluminów. Biurko w kącie zdawało się trzeszczeć pod ciężarem stert książek. Nawet poobijany mosiężny świecznik służący jako przycisk do prac studenckich wieńczył stos opastych tomów.

– Usiądź. – Dziadek wskazał jej fotel przy kominku. – A ja zaparzę herbatę.

– Masz może kawę?

Popatrzył na nią z dezaprobatą i szurając nogami, przeszedł do kuchni, mamrocząc coś pod nosem. Usłyszała tylko, jak napomknął o „amerykańskich napojach”.

Taylor z cichym westchnieniem satysfakcji zatonęła w ulubionym fotelu. Czerwona tkanina w kwieciste wzory spłowieła, a siedzisko się zapadło, lecz był to mebel z gatunku takich, które zdają się dopasowywać do siedzącego, by czuł się jak w serdecznym uścisku.

Czekając na dziadka, sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę. Na okładce z miękkiej skóry nie widniał żaden tytuł, a w środku znajdowały się rzędy całkowicie niezrozumiałych symboli, wyglądających na jakiś pradawny język.

– Ale chińszczyzna – mruknęła Taylor.

Dziadek wrócił kilka minut później, dźwigając zmatowiałą srebrną tacę ze srebrnym imbryczkiem, małym dzbanuszkim kawy, a także niedopasowanymi filiżankami z porcelany i talerzykiem biszkopcików. Zamarł i rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu odrobiny wolnej przestrzeni w zagraconym pokoju.

Taylor natychmiast zerwała się z miejsca. Zdjęła z mahoniowego stolika stertę książek oraz czasopism akademickich i położyła je na podłodze. Ze zdumieniem zauważyła, że stół nie jest zakurzony, co wydawało się raczej niezwykle w pomieszczeniu, którego na pierwszy rzut oka od lat nikt nie sprzątał.

Dziadek usiadł w starym fotelu obok i nalał ciemny płyn do kubka.

– Kawa dla ciebie. – Jego ton dobitnie świadczył o tym, co myśli o jej wyborze.

– Dziękuję – powiedziała sztywno.

Podsunał jej biszkopciki, a ona poczęstowała się jednym i pochłonęła go w dwóch kęsach. Dziadek uniósł brwi i ponownie

podał jej talerzyk.

– Możesz zjeść wszystkie – oznajmił kpiąco.

– Dzięki – odparła z pełnymi ustami. – Nie jadłam śniadania.

Nalał sobie filiżankę herbaty i dodał mleko ze srebrnego dzbanuska z ozdobną rączką. Srebrnymi szczypczykami wyjął z cukiernicy kostkę cukru i wrzucił ją do filiżanki, po czym zamieszał. Postawił filiżankę i spodek na poręczy fotela i skierował wzrok na Taylor.

– Jak miemam, po naszej pogawędce w Woodbury nasunęło ci się mnóstwo pytań.

Taylor skinęła głową i wypila łyk gorącej kawy, żeby zwilżyć gardło.

– Miliony – odparła.

– Strzelaj – zachęcił ją dziadek.

– Opowiedz mi o Adamie Wintersie.

Zamarł z filiżanką przy ustach.

– Wielkie nieba – mruknął i odstawił herbatę. – Tego się nie spodziewałem.

– To ty tak wszystko ustawiłeś, żebyśmy poznała Sachę, prawda? – zapytała oskarżycielskim tonem. – Dlaczego? Czemu po prostu mi o wszystkim nie opowiedziałeś?

Te pytania dręczyły ją od dwóch dni, nie mogła ich dłużej w sobie dusić. Dziadek uniósł ręce i czekał, aż Taylor zamilknie.

– To długa historia – odparł po chwili. – A w dodatku smutna. Ale owszem, chciałem, żebyście się poznali. Wolałem również uniknąć bezpośredniego zaangażowania, bo... trudno byłoby to wytłumaczyć matce Sachy.

– Ale dlaczego? – Taylor nadal nie rozumiała. – Dlaczego to było takie ważne?

- Zaczynasz od środka. - Dziadek zmierzył ją krytycznym spojrzeniem. - Do wszystkiego dojdziemy. Łatwiej nam będzie, jeśli zaczniesz od początku. Dlatego zadaj mi oczywiste pytanie, od niego zaczniemy.

Taylor się zawahała.

- No więc... Nadal nie rozumiem, kim jestem - wyznała po sekundzie. - Kim i czym.

- Doskonałe pytanie - ucieszył się Aldrich. - Należysz do starannie wyselekcjonowanej, bardzo nielicznej grupy osób o niezwykłych... zdolnościach. - Umilkł na moment. - Nazywamy siebie alchemikami.

- Alchemikami? - wyjąkała Taylor. - Jak staruszkowie z ksiązek, którzy usiłowali zamienić kamienie w złoto?

Dziadek zacmokał z dezaprobatą.

- Na litość boską, nie. Alchemia legła u podstaw nowoczesnej chemii i jest nauką o transmutacji, czyli przeobrażaniu jednej materii w drugą - oznajmił tonem wykładowcy. - Początki alchemii sięgają czasów Chrystusa, a nawet wcześniejszych. W przeciwieństwie do obecnej nauki była kombinacją zagadnień fizycznych i duchowych... - zawiesił głos i zerknął na Taylor. - Ta problematyka z pewnością jest ci choć trochę znana, prawda?

Pokręciła głową, a Aldrich westchnął demonstracyjnie.

- Izaak Newton zgłębiał tę dziedzinę. Wiele jego największych odkryć wynikło z prób udowodnienia przeróżnych teorii. - Machnął ręką, przerywając własny wykład. - Ale tego nie musisz wiedzieć. Poczytasz sobie książki o historii alchemii. Dość powiedzieć, że stała się zbyt popularna i w rezultacie doszło do zahamowania jej rozwoju przez natłok szarlatanów i nieroztropnych marzycieli, wierzących w możliwość wytwarzania złota. Ludzie pragnęli pławić się

w niewyobrażalnym bogactwie. Każdy możnowładca miał na swoim dworze tak zwanych uczonych, którzy dla niego pracowali. Każdy chciał pierwszy odkryć tajemnicę. Ze względu na rozliczne kłamstwa i matactwa, alchemia została zdyskredytowana i większość ludzi uważa ją za naukę krętaczy. – Pochylił się ku wnuczce. – A teraz powiem ci najciekawsze: alchemicy mieli słuszność. Cząsteczkami można manipulować, a energię da się przekształcać, o ile masz odpowiednie zdolności. Tak się składa, że pewnego etapu, czy też poziomu w alchemii nie mógł pokonać absolutnie nikt, nawet sam Izaak Newton. – Jego zielone oczy zaśniły. – Chodziło o rozniecenie „tajemnego ognia”, największej tajemnicy. Ognia, który nie płonął, lecz przemieniał. Dzięki niemu transformacja była możliwa, a bez niego... – Uniósł pustą dłoń. – Wszystko pozostawało w sferze marzeń.

Taylor całkiem zapomniała o kawie.

– Co to był za ogień? – spytała.

Dziadek wycelował w nią palec.

– Ty. I ja – oświadczył.

– Nie bardzo rozumiem. – Pokręciła głową.

– Jak się okazuje, tajemny ogień nie był czymś, co można znaleźć lub kupić. Nie chodziło o rtęć ani o żaden związek chemiczny. Sprawa dotyczyła wrodzonej zdolności: niektórzy mają to we krwi, czy też w genach. Dawniej nikt nie wiedział, że to kwestia duchowego aspektu alchemii. Bez względu na to, ile bogactwa i władzy miał książę czy hrabia, nie mógł kupić tajemnego ognia, a Newton nie miał szansy go odkryć, choćby nie wiem jak długo poszukiwał. Albo się to ma...

Uniósł rękę, a wtedy świeca na stoliku przy oknie zapłonęła jasnym ogniem.

– Albo nie – dokończył.

Taylor popatrzyła na płomień świecy, a potem na dziadka.

– Ale... Nadal nie rozumiem, co to dokładnie jest – powiedziała. – To znaczy, czym jest ten tajemny ogień?

Aldrich wypił łyk herbaty.

– Tym, o czym rozmawialiśmy w Woodbury. Jest po prostu odziedziczoną mutacją genetyczną, która pozwala nam robić to, o czym marzyli alchemicy: przejmować energię jednego obiektu i przekształcać ją w zupełnie inną formę energii, a także przenosić energię z miejsca na miejsce. Pamiętasz żarówkę?

Taylor pokiwała głową.

– Wówczas zaczerpnąłem energię z wody, płynąca woda skrywa ogromną moc. Przeobraziłem jej niewielką cząstkę w elektryczność, żeby zasilić żarówkę. To bardzo prosty proces, który Edison przeprowadził przy użyciu drutów i generatorów. Dla nas jest to nieco... łatwiejsze.

– A ta świeca przed chwilą? – zainteresowała się.

– Żeby ją zapalić, skorzystałem z energii otaczającego nas powietrza i z prądu elektrycznego w ścianach.

Machnął ręką i świeca zgasła. Taylor odstawiła filiżankę na stolik. To wyjaśnienie miało sens i po zwierzeniach Sachy brzmiało nieco mniej dziwacznie. Genetycznie odziedziczona zdolność? Mogła się z tym pogodzić. Jednak wciąż nie wszystko było jasne.

– Czy ja mogę to zrobić? – Wskazała świecę.

Dziadek musiał usłyszeć powątpiewanie w jej głosie, bo nagle spoważniał.

– Ależ tak – zapewnił ją. – Masz wszystko, czego potrzeba, żeby osiągnąć nadzwyczajne rezultaty.

– Skoro to jest zakodowane w twoim DNA, i w moim, to musi być również w DNA taty. – Taylor zastanawiała się na głos. – Potrafi robić to co ty?

Dziadek wyraźnie sposepniał.

– Obawiam się, że twój ojciec jest wyjątkiem. – Złożył dłonie na kolanach. – Od czasu do czasu moc omija jedno pokolenie. To rzadkie zjawisko, ale tak to już bywa. W wypadku twojego taty gen okazał się recesywny.

– Aha – mruknęła.

Usiłowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby wszyscy w jej rodzinie mieli niezwykle zdolności, a ona nie. Jej ojciec, z zawodu księgowy, był człowiekiem praktycznym i beznamiętnym. Nie umiała wyobrazić sobie, jak ktoś taki mógłby w gniewie siłą woli doprowadzać do eksplozji lamp.

Nigdy jej nie wspomniał, że jego rodzina ma jakieś szczególne zdolności naukowe, duchowe czy inne. Zachował tę wstydliwą tajemnicę dla siebie.

A potem je zostawił.

– Podobno jest zadowolony, że nie bierze w tym udziału – dodał dziadek. – Zdaniem twojego ojca sytuacja jest absurdalna i niebezpieczna. Nigdy nie wyraził zainteresowania przynależnością do tego świata.

– To typowe dla taty – mruknęła, poprawiając się w fotelu.

- Twojemu ojcu brakuje nie tylko tego genu - powiedział Aldrich z zadumą w głosie. - Nigdy wcześniej tego nie mówiłem, ale uważam, że potraktował was, dziewczynki, i waszą matkę w sposób niedopuszczalny. Odkąd to zrobił, właściwie z nim nie rozmawiam. - Odetchnął głęboko i się wyprostował. - Ale do rzeczy. Liczysz się ty i to, co się teraz dzieje. - Pochylił się ku niej. - Skrywasz w sobie wielką moc, Taylor, jednak wielkiej mocy towarzyszy wielkie niebezpieczeństwo. Teraz to rozumiesz, prawda? - Rzucił jej wymowne spojrzenie. - Po wyprawie do Paryża?

Taylor pobladła.

- Skąd...?

- Przecież ci mówiłem, że będziemy cię pilnowali - przypomniał jej. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale sekretna wyprawa do Paryża nie była chyba częścią omówionego przez nas planu?

Taylor tylko się przygarbiła.

- Osoba obserwująca twój dom widziała, jak wychodzisz do szkoły. Dopiero kiedy Finlay zawiadomił mnie o twojej nieobecności na lekcjach, zrozumiałem, że uciekłaś. Monsieur Deide poinformował o twojej nieoczekiwanej wizycie. - Z dezaprobatą zerknął na wnuczkę znad okularów. - Obawiał się o twoje bezpieczeństwo, i słusznie.

- Wybacz, że sprawiam innym kłopoty. - Wyprostowała się. - Ale nie przeproszę za to, że wyjechałam. Musiałam zrozumieć, co się dzieje, i poznać Sachę.

Aldrich westchnął ciężko.

- Taylor, moja droga, pragnę wam pomóc, lecz jeśli znikasz bez uprzedzenia, a zwłaszcza jeśli postanawiasz wyjechać za granicę, naprawdę trudno mi cię chronić.

Z tym nie mogła się nie zgodzić.

- A więc to wszystko prawda? - zmieniła temat. - To, co mówił pan Deide?

- Obawiam się, że tak. Sytuacja jest bardzo poważna. - Odkasznął. - Ojciec Sachy był moim dobrym przyjacielem i cudownym człowiekiem, wspaniałym historykiem i kochającym ojcem. Obiecałem, że pomogę jego synowi, i nie zamierzam go zawieść. - Umilkł na chwilę. - Musisz coś zobaczyć.

Podszedł do starego, zamykanego biurka i wyciągnął z przegródek jakieś papiery.

- Oto i on - mruknął i stanął pod jednym z okien, żeby lepiej widzieć. - Większość dokumentów powiązanych z przepowiednią, która dotyczy rodziny Wintersów, zaginęła przed laty. To jedyny dowód, którym dysponujemy.

Taylor podeszła do dziadka. Trzymał w dłoni kserokopię strony z jakiejś książki napisanej po łacinie.

- Co to takiego?

- To fragment siedemnastowiecznej księgi poświęconej mrocznym rytuałom. Masz przed sobą jeden z nielicznych zachowanych tekstów historycznych. Głosi on: „Klątwa trzynastego może być zdjęta tylko przez trzynastą”.

Taylor zmarszczyła brwi. Na zewnątrz ktoś krzyknął coś, czego nie zrozumiała.

- I to tyle?

Dziadek odłożył papier do skrytki w pogrążonym w nieładzie biurku.

- To tyle - potwierdził.

- Ale co to znaczy?

- To znaczy, że przekleństwo może zdjąć tylko trzynasta pierworodna córka kobiety, która rzuciła klątwę. Właśnie dlatego chcieliśmy, żebyście się poznali. Twoja moc wówczas jeszcze się nie ujawniła, ale czas uciekał. Zdecydowaliśmy, że jeśli się odnajdziecie, proces przebiegnie szybciej, i tak się stało. - Przyglądał się jej uważnie. - Ty, moja droga, jesteś kluczem do rozwiązania zagadki. Twoje następne pytanie będzie brzmiało: „W jaki sposób?”, a ja ci odpowiem, że... właśnie nad tym pracujemy.

- Pracujecie - mruknęła, czując, że ponownie ogarnia ją rozpacz. Niemożliwe, żeby to było wszystko. Musieli mieć w zanadrzu coś jeszcze. - Dziadku, Sacy zostało tylko kilka tygodni.

- Jestem tego w pełni świadomy - odparł Aldrich spokojnie. - Niełatwo jest rozwiązać zagadkę trzystuletniej klątwy, ale znajdziemy sposób.

- Dlatego ktoś chce mnie skrzywdzić? Bo mogłabym jakoś zapobiec temu, co ma się stać? - Taylor bezradnie uniosła rękę.

- Jeżeli zapobiegiesz śmierci Sacy, jednocześnie unieważnisz klątwę - zapewnił ją dziadek. - To, co miało się wydarzyć po jego zgonie, nie dojdzie do skutku. Ktoś jednak pragnie cię powstrzymać i doprowadzić do spełnienia się klątwy.

- Ale dlaczego? Czemu ktoś chce wszystko zniszczyć?

- Z tego samego powodu, dla którego ludzie robią mnóstwo innych okropnych rzeczy - odparł dziadek. - Pragną władzy. Naszym zadaniem jest ich powstrzymać. Dlatego najpierw musisz nauczyć się walczyć.

- Walczyć? - Wpatrywała się w niego. - Nie umiem walczyć. Właściwie to nic nie umiem. Jestem dobra tylko w... nauce.

Aldrich sięgnął po tacę i zaniósł ją do kuchni. Jego głos dobiegał z za otwartych drzwi.

– Wiem od Finlaya, że któregoś dnia doszło w szkole do pewnego incydentu. Podobno wszedł w chwili, gdy uniosłaś jakiegoś chłopca nad podłogę i zamierzałaś roztrzaskać go o ścianę.

Taylor skuliła się w fotelu. Ulżyło jej, że dziadek nie ma pojęcia o dwóch bandziorach w Paryżu.

– To był tylko wypadek – mruknęła.

Dziadek stanął w drzwiach i popatrzył na nią surowo.

– To niezbity dowód na to, jaka jesteś silna. Innymi słowy, bezwzględnie musisz się nauczyć kontrolować moc i dlatego...

W tym momencie ktoś zapukał.

– Och, nareszcie – oznajmił dziadek. – Już jest.

Przeszedł przez wąski przedpokój i po chwili rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Przepraszam za spóźnienie – rozległ się głos młodej kobiety o lekko liverpoolskim akcencie.

– Wszystko w porządku – odparł Aldrich. – Właśnie jej o tobie opowiadałem.

Taylor podniosła wzrok, lecz jej uprzejmy uśmiech powoli przygasł, gdy dziadek pojawił się w towarzystwie niebieskowłosej dziewczyny, którą wcześniej widziała już w Woodbury.

Dziewczyna wyglądała na niewiele starszą od Taylor, ale była od niej trochę wyższa, a jej włosy wyróżniały się żywą turkusową barwą. Ręce miała pokryte tatuażami, które wiły się wokół bicepsów i pęzły w górę szyi. W nosie dziewczyny połyskiwał srebrny kolczyk, a w każdym uchu widać było co najmniej pięć maleńkich ćwieków.

Nosiła czarne buciory z cholewami i grubymi podeszwami oraz krótką czarną spódniczkę. Jej nogi były blade i umięśnione.

- Louiso, poznaj moją wnuczkę Taylor - powiedział dziadek i popatrzył na Taylor. - Taylor, to Louisa. Twoja trenerka.

Taylor nie mogła oderwać wzroku od dziewczyny, która wyglądała dziwnie, może nawet niebezpiecznie. Podchwyciłszy jej spojrzenie, Louisa z ironiczną miną uniosła rękę, a potem odwróciła się do Taylor plecami.

– Ile ona wie? – spytała Aldricha, jakby byli tu sami.

Taylor poczuła, jak czerwienieją jej policzki.

– Tyle, ile ci mówiłem. – W głosie dziadka dało się słyszeć zniecierpliwienie. – Ale jest bardzo silna.

– Wszyscy tak twierdzą. – Louisa nie wydawała się przekonana.

– Sama zobaczysz. – Aldrich odwrócił się do Taylor, żeby wciągnąć ją do rozmowy. – Pójdiesz teraz na szkolenie, a po godzinie lub dwóch wrócisz tutaj.

Siedząc wciąż w fotelu, Taylor z powątpiewaniem spoglądała to na dziadka, to na Louise.

– W porządku – odparła w końcu.

Louisa przewróciła oczami i ruszyła do drzwi, lecz Aldrich ją zatrzymał.

– Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy – powiedział cicho.

Wzruszyła ramionami, z trudem ukrywając irytację.

– Bez obaw, Aldrich – burknęła. – Będę się z nią obchodziła jak z jajkiem.

Gdy wyszła z salonu, dziadek popatrzył na Taylor tak, jakby chciał dodać jej odwagi.

– Bardzo cię proszę, postaraj się uważać. Louisa jest ogromnie utalentowana. W gruncie rzeczy pod tymi absurdalnymi włosami kryje się geniusz.

– Z pewnością będzie super – odparła Taylor z powątpiewaniem.

– Chodźmy już. – W głębi przedpokoju Louisa hałaśliwie otworzyła drzwi i energicznie wyszła z mieszkania.

Nawet z oddali dało się słyszeć jej ciężkie buciory na kamiennych stopniach. Taylor drżała na myśl o tym, że spędzi z nią kilka godzin sam na sam.

Widząc zaniepokojenie wnuczki, dziadek odprowadził ją do drzwi.

– To bardzo dobry fachowiec, chociaż jej podejście do ludzi wymaga jeszcze sporo pracy – oznajmił. – A teraz lepiej się pośpiesz, bo nie będzie czekała.

Taylor dogoniła Louisę na dziedzińcu. Dziewczyna parła przed siebie niczym czołg, z opuszczoną głową, przebijając się przez tłum studentów. Najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Jakiś chłopak zwinnie odskoczył, żeby uniknąć zderzenia, a następnie uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, Louisa – powiedział, kiedy go mijała. – Znowu się śpieszysz?

W odpowiedzi burknęła coś ordynarnego. Taylor nagle poczuła silną potrzebę przeproszenia chłopaka w jej imieniu, więc przechodząc obok niego, ze skruchą rozłożyła ręce.

– Wybacz.

Louisa natychmiast odwróciła się do niej.

– Nie rób tego – warknęła.

– Dobrze – zgodziła się Taylor nerwowo. – To znaczy, przepraszam. Na twarzy Louisy pojawiło się obrzydzenie.

– Możesz wreszcie przestać przeproszać? Ale z ciebie ciepłe kluchy. – Wskazała dzinsy i top w paski Taylor.

– Słucham? Wcale nie – wymamrotała Taylor.

Tymczasem Louisa zdążyła minąć sklepione przejście i właśnie wychodziła na rozległą zieloną łąkę za kolegium. Taylor pozostało jedynie iść za trenerką.

O tej porze roku łąkę pokrywał kobierzec kwiatów, a dzika trawa dorastała niemal do pasa. Taylor widziała tylko trzy kolory: zielony, biały i różowy.

Po dziesięciu minutach marszu w kompletnym milczeniu Taylor wreszcie dała za wygraną.

– Dokąd idziemy? – krzyknęła bez tchu.

Louisa znacznie wybiegła naprzód, a jej niebieskie włosy lśniły niczym lazuruwa boja świetlna.

– Przekonasz się – odparła, nie odwracając głowy.

Po kolejnych kilku minutach ominęły zbocze i Taylor ujrzała rzekę o barwie chłodnego błękitu. Stare schody prowadziły do długiego kamiennego budynku na piaszczystym brzegu.

Na pierwszy rzut oka dom wyglądał jak hangar na łodzie. Wioślarstwo cieszyło się w Oksfordzie sporą popularnością, ale większość tego typu magazynów budowano bliżej kolegiów i niemal żaden nie był tak stary.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Taylor, kiedy w końcu udało się jej dogonić dziewczynę.

Louisa wyciągnęła z kieszeni kółko z kluczami. Wsunęła jeden z nich do zamka i przekręciła.

– Tutaj – odparła, wchodząc do środka.

Taylor westchnęła z rezygnacją, wyprostowała ramiona i również przekroczyła próg.

Wnętrze było zacienione i chłodne. Małe okienka z jednej strony budynku pokrywała tak gruba warstwa brudu, że światło prawie wcale nie przenikało do środka. Wewnątrz czuć było lekką woń ryb oraz wilgoci, zapachów typowych dla starych nadbrzeżnych konstrukcji.

Louisa nacisnęła pozółtkły przełącznik i pod sufitem zamigotała goła żarówka. Oczom Taylor ukazało się prawie puste pomieszczenie – tylko gdzieś po wilgotnej kamiennej podłodze walały się siedziska z łodzi. Na parapetach stały butelki, do których powtykano świece.

– Przesuń się.

Louisa agresywnie naprężyła ramiona i stanęła przed Taylor, która natychmiast odsunęła się na bok. Louisa podeszła do drzwi, zatrzasnęła je i zamknęła na klucz.

Taylor z trudem przełknęła ślinę. Żałowała, że tu przyszła. Już zdecydowanie lepiej przypadkowo usmażyć prądem Toma albo Georgie. Niepewnie popatrzyła na Louise.

– No to... od czego zaczniemy? – zapytała z wahaniem.

– Od tego. – Louisa mocno kopnęła ją w nogę.

– Au! – Taylor chwyciła się za goleń i posłała Louisie wrogie spojrzenie. – To naprawdę bolało.

Dziewczyna wydawała się rozdrażniona.

– Na tym to polega, kretyńko – warknęła. – Ma boleć. Patrz, co teraz zrobię.

Zacisnęła dłoń na jasnych lokach Taylor, owinęła je sobie wokół pięści i jednym szarpnięciem powaliła dziewczynę na ziemię.

Oszołomiona Taylor uniosła ręce, żeby się uwolnić, ale Louisa mocno przytrzymała ją ręką za gardło.

Ból sprawił, że oczy Taylor wypełniły się łzami. Była przestraszona i zła, a jej dłonie coraz silniej swędziały. Wiedziała, że traci panowanie nad emocjami, tak samo jak wtedy, gdy rozprawiła się z napastnikami w parku.

– Przestań – jęknęła chrapliwym głosem. Louisa zbyt mocno trzymała ją za szyję. – Musisz przestać.

Louisa jeszcze silniej zacisnęła palce.

– No co, czujesz to rozkoszne swędzenie dłoni? – zapytała kpiąco. – Może wreszcie zrobisz z niego użytek? Walcz ze mną.

– Nie wiem... jak... – Taylor zachłysnęła się powietrzem.

– Dobrze wiesz jak. – Louisa szarpnęła ponownie, a Taylor wstrzymała oddech, rozpaczliwie chwytając ją za palce. – Doszły mnie słuchy, że ostatnio dałaś swojemu chłopakowi kopa, i to dosłownie.

– To straszny palant... – wyszeptała Taylor.

– A ja jestem suką – zaśmiała się Louisa. – Więc walcz, do cholery, blondyno, bo cię uduszę. Nie jestem twoim dziaduniem i w dupie mam twoje niesamowite zdolności.

Taylor nie mogła oddychać, w jej polu widzenia pojawiły się czarne plamy. Wtedy zrozumiała, że Louisa nie żartuje.

Nagle poczuła taki sam chłodny dystans jak podczas incydentu z Tomem oraz w paryskim parku. Nie miała wyboru, poddała się mu, aż wypełnił jej serce, głowę i wreszcie ją całą. Działo się to błyskawicznie, zupełnie jakby była szklanym naczyniem, do którego ktoś nalał zimnego, śmiertelnie trującego płynu.

Louisa była nikim. Niczym. Dostanie za swoje.

– Dość. – To jedno słowo eksplodowało prosto ze źródła mocy Taylor.

Louisa poluzowała dłonie zaledwie na sekundę, ale to wystarczyło, żeby Taylor złapała oddech.

– Dobrze. – Trenerka wbrew sobie najwyraźniej była pod wrażeniem. – Powtórz to.

Taylor nieoczekiwanie poczuła falę ciepła bijącego od ciała Louisy. Zastanawiała się, czy to moc dziewczyny. Po chwili odetchnęła głęboko i postarała się skupić.

„Precz”.

Tym razem nie wypowiedziała tego na głos, tylko pomyślała, ale nie tak zwyczajnie. Całym ciałem poczuła i wchłonęła to słowo, przesiąkła nim do szpiku kości. Wyobraziła sobie Louise szybującą w przestrzeń tak jak Tom i równie mocno roztrzaskującą się o ścianę. Osiągnęła jednak tylko tyle, że dziewczyna ją puściła i uniosła ręce, jakby blokując cios. Taylor ponownie poczuła przyływ przenikającej ją mocy, a Louisa opuściła ręce i cofnęła się z szerokim uśmiechem na ustach.

– Jasna cholera – mruknęła. – Całkiem nieźle jak na ciepłe kluchy. Gdybym była kim innym, wrzuciłabyś mnie do rzeki.

Oswobodzona Taylor odbiegła na drugi koniec budynku, gdzie przykucnęła obok drzwi. Przywierając plecami do ściany, kilka razy głęboko i chrapliwie odetchnęła. Płuca paliły ją od braku tlenu, w głowie czuła dudnienie, zupełnie jakby ktoś tłukł ją młotkiem od wewnątrz.

– Nigdy... więcej... tego... nie rób – wydyszała.

Louisa z uwagą przyglądała się swoim fioletowym paznokciom.

- Jasne, nie ma sprawy – odparła. – Przyznaję, że moje metody są nietypowe...

- Nietypowe? – powtórzyła Taylor podniesionym głosem. – Zachowujesz się jak kryminalistka. Powinnaś siedzieć w pudle.

- Już siedziałam, ale uciekłam – oświadczyła Louisa oziębło. – Więc jak, chcesz się uczyć, czy wolisz stękać? Powiem ci tyle, że jak na debiutantkę poradziłaś sobie całkiem przyzwoicie.

- Przyzwoicie? – Taylor nie wierzyła własnym uszom. – To miała być pierwsza lekcja? Jeśli zamierzasz spuszczać mi manto za każdym razem, kiedy będziesz chciała mnie czegoś nauczyć, to jedna z nas zginie. I nie mam na myśli siebie.

Louisa parsknęła śmiechem. Taylor po raz pierwszy nie widziała na jej twarzy pogardy. W tym momencie wszystko się zmieniło. Uśmiechnięta Louisa wyglądała niemal... sympatycznie.

- Muszę przyznać, że nie jesteś takim mięczakiem, na jakiego wyglądasz – oświadczyła Louisa.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo – burknęła Taylor.

Louisa puściła jej uwagę mimo uszu.

- Tyle tylko, że spaprałaś sprawę – dodała. – Przed chwilą wykorzystałaś swoją złość oraz strach, żeby skupić energię na ataku. – Louisa przypatrywała się jej z nieskrywaną ciekawością. – Jak na nowicjuszkę poradziłaś sobie bardzo dobrze. Aż głupio mi to przyznać, ale pobiłaś wszelkie rekordy. Aldrich będzie zachwycony. Nie powinnaś jednak osiadać na laurach. Możesz nauczyć się jeszcze innych rzeczy. Rzeczy, które cię wzmocnią i uchronią przed koszmarnymi bólami głowy. Jesteśmy tu właśnie po to, żeby nad tym popracować.

Taylor przypatrywała się jej nieufnie.

- Jasne... - mruknęła.

- Musimy popracować nad tym, skąd i w jaki sposób powinnaś czerpać energię - ciągnęła Louisa. - Na razie udaje ci się to tylko w chwilach napięcia. Bazujesz na własnej energii i stąd te bóle głowy. Powinnaś się nauczyć, jak w dowolnej chwili czerpać moc z energii otoczenia, tak jak ja w tej chwili.

Skinęła ręką, a wtedy wszystkie świece na parapetach nagle się zapaliły, migocząc płomykami na tle brudnego szkła. Louisa machnęła ponownie i świece zgasły. Ledwie widoczne smużki dymu przypominały znaki zapytania zawieszony w powietrzu.

- Przed chwilą zaczerpnęłam moc z najbliższego otoczenia i ją wykorzystałam - wyjaśniła Louisa. - Nie jestem fizycznie wyczerpana ani nic złego mi się nie stało. To, co zrobiłam, nie skrzywdziło nikogo i nie doprowadziło do żadnych zniszczeń. Właśnie tego musisz się nauczyć. Gdybyś teraz spróbowała zapalić świece, pewnie zmiotłabyś ten budynek z powierzchni ziemi i zafundowała sobie wylew krwi do mózgu.

Taylor osunęła się na podłogę.

- Tego bym nie chciała - mruknęła.

- Pewnie nikomu poza mną nie brakowałoby tego hangaru - dodała Louisa. - Ale ja go lubię i chcę, żeby dalej tu stał. - Poklepała kamienną ścianę za plecami, a potem popatrzyła na Taylor. - A teraz do roboty.

Ćwiczyły przez ponad godzinę. Louisa zaczynała od wyjaśnienia podstawowej teorii konkretnej czynności, a potem Taylor usiłowała wykonywać polecenia instruktorki. Próbowaly podnoszenia siedzisk, zapalania świec, rzucania nimi, a nawet wybijania okien. Za każdym razem jednak pojawiał się ten sam problem: jeśli Taylor nie była

wystraszona albo wściekła, nie udawało się jej przywołać mocy, ani własnej, ani z otoczenia.

Po kilku nieudanych próbach przesunięcia świecy o kilka centymetrów Taylor opadła na poduszkę. Miała wypieki na policzkach i krople potu na czole, a do tego dudniło jej w głowie. Ukryła twarz w dłoniach.

– To bez sensu – jęknęła bezradnie. – Pomyliłaś się co do mnie. Przepraszam, że zmarnowałam ci tyle czasu.

Louisa usiadła obok i odgarnęła z oczu niebieskie pasemka.

– Może to cię pocieszy, jeśli powiem, że dobrze pamiętam swoje własne szkolenie na tym etapie – powiedziała. – To był koszmar. Fakt, że miałam wtedy dwanaście lat. A teraz, do cholery, przestań się wreszcie nad sobą rozczulać.

Taylor chciała się rozzłościć, ale zabrakło jej sił, więc tylko oparła się o ścianę i zaśmiała ze znużeniem.

– Dobra, niech ci będzie.

– Pomyśl o tym w taki sposób – ciągnęła Louisa. – Tę umiejętność masz zakodowaną w genach, ale nigdy dotąd z niej nie korzystałaś. Nie możesz oczekiwać, że wszystko nagle się ułoży tylko dlatego, że uświadomiłaś sobie jej istnienie. Nie możesz się śpieszyć. Musisz doceniać swoje postępy. No i musisz chcieć być coraz lepsza. – Odhaczyła na palcach te trzy wymogi. – Jeśli zadbasz o to wszystko, będziesz niezła. Mało powiedziane, będziesz cholernie dobra. A jeśli machniesz na to ręką, skończysz w więzieniu, tak jak ja.

Taylor przypatrywała się jej z ciekawością. Nie zdziwiło jej, gdy się dowiedziała o trudnym dzieciństwie Louisy – to było widać na pierwszy rzut oka. Jednak nagle zapragnęła ją poznać.

Poza tym wszystko było lepsze od nieudolnych prób zapalenia świec.

– Dlaczego siedziałaś w więzieniu? – zapytała.

Louisa wyciągnęła przed siebie muskularne nogi. W przytłumionym świetle sączącym się przez zakurzone szyby tatuaże na jej łydkach przypominały pradawne symbole. Wokół jednej kostki owinał się wąż pożerający własny ogon.

– Miałam piętnaście lat – zaczęła. – Wcześniej odbyłam już kilka lekcji, ale mój instruktor się zmył, podobnie zresztą jak moi starzy. Mieszkałam z kumplami w liverpoolskim squacie. Nie byli tacy jak my, niczym się nie wyróżniali. Którejś nocy zorganizowali imprezkę i jeden gość zaczął się do mnie dobierać. – Pustym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń. – Nie obchodziło go, że protestuję. Nie znałam go, był starszy ode mnie, miał ze dwadzieścia lat. Usiłowałam go powstrzymać, ale się upił i nie słuchał. Umierałam ze strachu, facet był znacznie większy ode mnie. Pchnął mnie... A potem moc po prostu pojawiła się zewsząd i nie miałam pojęcia, jak nad nią zapanować. – Skierowała nieobecne spojrzenie na Taylor. – Wyrzuciłam go przez okno.

– Boże – wyszeptała Taylor. – I co mu się stało?

Louisa znowu odwróciła głowę.

– Nie da się przeżyć upadku z piątego piętra.

– Zginął? – Taylor była wstrząśnięta.

Louisa przytaknęła.

– Squatersi na mnie nakablowali, więc poszłam siedzieć.

– Za morderstwo?

– Jak się nawarzyło piwa, to trzeba je wypić – zauważyła głucho.

– Ale teraz jesteś... tutaj. – Taylor wskazała hangar.

Louisa podniosła się energicznie i wyciągnęła do niej rękę. Po krótkim wahaniu Taylor ją przyjęła, a starsza koleżanka bez najmniejszego wysiłku pomogła jej wstać i ruszyła do drzwi.

– Tak to z nami jest, blondyno. – Strzeliła palcami, a wtedy zardzewiały zamek otworzył się ze zgrzytem. – Nie tkwimy tam, gdzie nie mamy ochoty.

– Daj mi pilot – zażądał Sacha i wyciągnął rękę.

Na ekranie szczupła, absurdalnie wypacykowana dziewczyna udawała, że śpiewa jakiś przebój. Laura pokręciła głową, ani na moment nie odrywając wzroku od telewizora.

– Nie ma mowy – mruknęła.

Sacha się skrzywił, zde gustowany koszmarnym gustem muzycznym siostry. Popularna piosenka atakowała jego uszy, kiedy spoglądał na telefon. Taylor się nie odzywała, co oznaczało, że pewnie siedzi w szkole – w Anglii było przecież godzinę wcześniej.

Gdy już doszedł do siebie po pchnięciu nożem w parku, przez kilka dni uważnie śledził doniesienia prasowe w poszukiwaniu informacji o niewyjaśnionej śmierci dwóch mężczyzn, lecz na nic nie natrafił. Wyglądało na to, że opryszki przeżyły odwetowy atak Taylor.

Powiedziała mu o rozmowie z dziadkiem i o tym, że jej moc jest powiązana z alchemią. Sacha na próżno usiłował wymazać z umysłu obraz siwobrodego starca i zastąpić go wizją Taylor, młodej i kipiącej energią, rozważnej i wrażliwej.

– „I będę skakać, skakać, skakać...” – śpiewała roztańczona blondyna z Ameryki, a zauroczona Laura gapiała się na nią.

Sacha westchnął ciężko.

Trudno mu było oswoić się z tym, co się działo. Taylor w każdej wolnej chwili próbowała się nauczyć, jak zapalać świece bez użycia zapalek, a on bał się zostawić Laurę samą w domu, bo przecież znowu mogli się zjawić nieproszeni goście: istoty, które nakazały mu się

trzymać z dala od Taylor, albo faceci, którzy go zaatakowali w parku. Od odwiedzin Angielki minął już tydzień i przez ten czas Sacha noc w noc tkwił w domu.

Telefon zawibrował w jego kieszeni. Wyciągnął aparat, licząc na to, że na ekranie ujrzy imię Taylor, ale gdy zobaczył, kto dzwoni, wyprostował się raptownie. Zdumiona Laura oderwała wzrok od telewizora, żeby sprawdzić, czy nie stało się nic złego.

Antoine.

Sacha wybiegł z pokoju, zaciskając palce na telefonie.

– Co tam?

– Sacha! – Antoine kipiał złością. – Coś ty zrobił, do cholery?

– O czym mówisz?

– O tamtych dwóch facetach, wiesz których. W zeszłym tygodniu ktoś dał im wycisk, i to solidny. Podobno twierdzą, że to twoja robota.

Sacha zamknął oczy i oparł się o kuchenny blat. Miał wrażenie, że jego kości są jak z gumy.

„Merde, merde, merde...”

– Sacha? – Drgnął na dźwięk rozgniewanego, nosowego głosu Antoine’a. – Słyszałeś, co powiedziałem?

– Tak, słyszałem.

Antoine oddychał ciężko.

– Zrobiłeś to? – spytał po chwili. – Sprąłeś ich?

– A jakie to ma znaczenie?

– Chyba żadnego – przyznał Antoine.

Sacha potarł szczękę i zajrzał przez korytarz do pokoju, w którym jego siostra nadal leżała na sofie, oglądając taniec ładnej dziewczyny. Czy Laurze nic nie groziło? Czy potrafił uchronić ją przed niebezpieczeństwem?

– Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon – oznajmił Antoine z wyraźnym niezadowoleniem. – Spotkajmy się tam gdzie zawsze, powiem ci, co wiem. Przyjdą do mnie, Sacha, bo wiedzą, że cię znam. Zapytają, gdzie mieszkasz. Nie chcę im tego mówić, ale... Sam wiesz, co to za jedni. To jasne, co mi zrobią, jeśli cię nie sypnę. – Sacha usłyszał donośny trzask po drugiej stronie linii, zupełnie jakby Antoine uderzył w coś pięścią. Kiedy przemówił ponownie, brakowało mu tchu i sprawiał wrażenie obolałego. – Wpadliśmy jak śliwka w kompot, Sacha. Rozumiesz, no nie? Jak zasnana śliwka w kompot.

Sacha wsunął telefon do kieszeni, chwycił bluzę z kapturem i wracając do dużego pokoju, usiłował włożyć ją przez głowę.

– Obiecałem mamam, że wyskoczę do supermarketu – skłamał beztróskim tonem. – Poradzisz sobie sama przez kilka minut?

Wcale nie miał ochoty zostawiać Laury, ale od kilku dni nie zdarzyło się nic niepokojącego, a tym razem naprawdę musiał wyjść.

– Nie jestem małym dzieckiem. – Jego siostra przewróciła oczami.

Sacha włożył klucze do kieszeni i ruszył do wyjścia.

– Zamknij za mną drzwi na zamek – przykazał jej. – I pod żadnym pozorem nikomu nie otwieraj. Rozumiesz?

Popatrzył na nią surowo, żeby podkreślić wagę swoich słów.

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyła ramionami.

– Mówię poważnie, Laura – dodał na wszelki wypadek.

Na zewnątrz świeciło słońce, a intensywnie błękitne niebo rozpościerało się nad Paryżem niczym miękka kołdra. Na ulicach tłoczyli się ludzie zajęci codziennymi sprawami, którzy nie mieli pojęcia o tym, co naprawdę dzieje się w ich mieście. Gdyby opowiedział któremuś z przechodniów o swoim życiu, zostałby uznany za szaleńca.

Jak to możliwe, że tak odmienne światy funkcjonowały obok siebie, nie dostrzegając się nawzajem?

Wyjął z kieszeni telefon i przejrzał kontakty. Po chwili zatrzymał się przy numerze Annie. Teraz dzwonili do siebie codziennie i obecnie miał wrażenie, że ciotka jest jedyną osobą, która naprawdę rozumie, co się dzieje. Przeglądała książki jego ojca, poszukując w nich odpowiedzi.

– Bonjour, Annie. To ja – przywitał się, kiedy odebrała. – I jak, dopisało ci szczęście?

– Och, Sacha, obawiam się, że nie – westchnęła. – Tutaj jest tyle książek Adama... Po prostu sama nie daję rady. Szczerze mówiąc, przydałaby mi się twoja pomoc.

Był w kropce. Gdyby pojechał wesprzeć Annie, zostawiłby matkę i Laurę bez opieki. Nie miał pojęcia, jak jednocześnie ocalić siebie i chronić pozostałych.

Pogadali jeszcze przez kilka minut, a potem Sacha zakończył rozmowę obietnicą, że nad tym pomyśli.

Biegł do stacji metra, kiedy jego telefon zadzwonił ponownie. Zakładając, że Annie coś się przypomniało, odebrał, nie spoglądając na ekran.

– Co zapomniałaś mi powiedzieć? – spytał.

Zatrzymał się przed sklepem, na którego wystawie leżały pomarańcze o tak intensywnym odcieniu, że aż rozboleły go oczy. Z początku nie słyszał zupełnie nic, więc przyłożył dłoń do drugiego ucha, żeby zagłuszyć hałasy ulicy.

– Halo? Annie?

Nikt nie odpowiedział, a potem w telefonie zabrzmiał przenikliwy wrzask. Sacha zamarł. To nie był głos Annie. Oderwał aparat od ucha

i wbił wzrok w imię na ekranie.

Laura.

Odwrócił się błyskawicznie i ruszył biegiem do mieszkania, z powrotem do siostry, którą zostawił całkiem samą.

– Laura, odezwij się. – Usiłował mówić spokojnie, ale brakowało mu tchu, a jego głos brzmiał cienko i słabo. – Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Słyszał cichy szloch i szelest telefonu pocieranego o materiał. Brzmiało to tak, jakby Laura odsunęła aparat od głowy i przyciskała go do siebie.

Na chodniku roilo się od ludzi, więc biegnąc, odpychał ich gwałtownie. Pędem omijał małe dzieci, a raz przeskoczył nad niedużym psem. Zdesperowany, w końcu wypadł na ulicę pełną samochodów i pognał między nimi. Kierowcy momentalnie zaczęli na niego trąbić, z irytacją wymachiwali rękami i nie szczędzili mu najgorszych obelg, ale Sacha biegł dalej, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

– Laura, proszę cię! – krzyknął do telefonu. – Powiedz coś.

– Sacha – wyszeptała z przerażeniem.

Zakręciło mu się w głowie z ulgi, która podziałała na niego jak mocny alkohol. Mimo to nie zwolnił kroku.

– Co się dzieje, mała?

– Jacyś mężczyźni są przy drzwiach – szepnęła tak cicho, że ledwie cokolwiek rozumiał. – Oni są jacyś straszni, mają czarne płaszcze. Coś z nimi jest nie tak. Nie wyglądają normalnie. Próbują się włamać do środka.

W tym momencie w tle rozległo się miarowe, niemal rytmiczne dudnienie. Laura jęknęła i stłumiła szloch.

- Sacha, kim oni są? Czego chcą?

Trzymaj się z daleka od dziewczyny.

Nadal znajdował się bardzo daleko od domu. Paryż nigdy dotąd nie wydawał mu się tak wielki.

- Czy to oni? To oni walą do drzwi?

- Tak - wyszeptała. - Są zamknięte na klucz, ale się ruszają. Oni chyba zaraz wejdą do mieszkania. Boję się, Sacha.

Słyszał w jej głosie panikę i serce mu pękało. Wiedział, jak to jest, czuć się jak w pułapce i nie mieć pojęcia, co się dzieje.

- W tej chwili wracam do domu - oznajmił. - Biegnę najszybciej, jak mogę. Ukryj się gdzieś i siedź cicho, nawet gdyby coś się działo.

Nagle usłyszał donośny trzask pękającego drewna.

- O Boże, chyba są już w środku - jęknęła Laura. - Sacha, błagam, pośpiesz się.

Połączenie się urwało.

Klnąc na czym świat stoi, pochylił głowę i przyśpieszył, biegnąc tak prędko, że miasto wokół niego zupełnie się rozmyło. W powietrzu unosił się ciężki smród spalin. Widoczne w oddali czerwone światło sygnalizowało niebezpieczeństwo - skrzyżowanie było ruchliwe, a po wszystkich pasach nieustannie jeździły samochody i autobusy. Sacha nie zamierzał jednak czekać. W końcu co takiego strasznego mogło go spotkać? Przecież i tak by nie zginął.

Minął kolejkę samochodów oczekujących na zmianę światła i wpakował się prosto w strumień toczących się pojazdów. Usłyszał chaotyczny pisk hamulców, a także czyjś wrzask, a po chwili poczuł drażniący odór palonej gumy.

Biegł dalej, zaciskając zęby. Kiedy dotarł na drugą stronę zatłoczonej jezdni, jakiś mężczyzna zszedł z krawężnika, zastąpił

Sachy drogę i szeroko rozłożywszy ręce, usiłował go zatrzymać, dla jego własnego dobra. Sacha odepchnął go, ani na chwilę nie zwalniając. W jego uszach nieustannie rozbrzmiewał przerażony głos Laury.

Błagam, pośpiesz się.

Kiedy dotarł do bloku, pot spływał mu po twarzy, a koszulka lepiała się do ciała. Pośliznął się na terakocie w cichym holu i poczuł pieczenie w gardle. Ruszył do schodów, ale zwolnił na widok windy. Była pusta i otwarta na oścież, zupełnie jakby na niego czekała. To go zaniepokoiło – ani myślał do niej wsiadać.

Przepchnął się przez drzwi na klatkę schodową i pobiegł na górę, skacząc po trzy stopnie naraz. W budynku panowała cisza, nikogo nie minął po drodze. Słyszał tylko dudnienie własnego serca i chrapliwy oddech. Na trzecim piętrze wpadł na korytarz – to, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Drzwi do jego mieszkania były wyrwane z zawiasów i oparte o ścianę, a trzy ubrane na czarno postaci o białych twarzach tkwiły w progu. Każda z tych istot wyciągała przed siebie rękę, wnętrzem dłoni do mieszkania.

Włosy zjeżyły mu się na karku, ale w żaden sposób nie okazał strachu.

– To znowu wy? – krzyknął do intruzów. – Uwzięliście się na mnie?

Wszyscy trzej jednocześnie odwrócili się do niego. Na sam ich widok przewróciło mu się w żołądku. Nie wyglądali na ludzi. Mieli nienaturalnie bladą skórę na twarzach przypominających czaszki, a ich zapadnięte oczy były zdecydowanie zbyt czarne.

Nagle się uśmiechnęli, a Sachy zaschło w ustach. Mimo to wpatrywał się w nich z udawaną beztroską.

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że macie obsesję na moim punkcie – oznajmił.

Istoty ruszyły ku niemu w upiornej ciszy, sunąc po podłodze. Sacha cofnął się o krok, potem o jeszcze jeden i kolejny. Gdy dotknął plecami drzwi windy, znieruchomiał.

- Cofnąć się. – Starał się powiedzieć to lodowatym tonem, jednak w jego głosie słysząc było drżenie.

Drzwi windy rozsunęły się nieoczekiwanie, a Sacha wpadł do środka. Przez jedną upiorną chwilę był pewien, że runie na dno szybu, więc rozpaczliwie usiłował się czegoś złapać. Szybko jednak uświadomił sobie, że gdy patrzył na obcych, winda nadszedła, przez nikogo nie wzywana.

Znalazł się w kabinie, ani na moment nie odrywając wzroku od stworów na korytarzu. Blade istoty sunęły za nim, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Zanim Sacha w pełni zrozumiał, co się dzieje, utknął w windzie. Plecami dotykał ściany kabiny, a trzech obcych tłoczyło się wokół niego. Byli tak blisko, że mógłby ich dotknąć, nawet nie wyciągając ręki. Ta myśl wydała mu się obrzydliwa, więc schował dłonie za plecami.

Od bladych istot bił chłód, a także dziwny zapach ziemi, przypominający woń wilgotnej gleby. Sacha usiłował sprawić wrażenie nieustraszonego, jakby od niechcienia oparł się o ścianę windy, a nie przywarł do niej w desperacji.

- No proszę – zagał. – Ależ tu przytulnie.

Drzwi zasunęły się za nimi, odcinając mu jedyną drogę ucieczki. Odetchnął głęboko i pomyślał, że to już koniec. Mężczyźni budzili w nim nieznane mu wcześniej przerażenie. Nie bał się śmierci, ale

bólu, wielodniowych tortur bez możliwości ucieczki w śmierć. Czuł, że blade stwory są zdolne do wszystkiego.

– Jeśli skrzywdzicie moją siostrę, zabiję was – powiedział z wysiłkiem.

– Jesteś trzynastym synem – przemówili jednocześnie.

Mieli nienaturalnie głębokie głosy. Po plecach Sachy przebiegły ciarki, bo te słowa zabrzmiały niepokojąco znajomo.

Choć istoty nadal uśmiechały się przerażająco, miał wrażenie, że czekają na jego reakcję.

– Obiło mi się to o uszy – mruknął.

– Jesteś trzynastym synem – powtórzyli.

– Tak, już to do mnie dotarło. – Sacha wychylił się ku nim i zacisnął pięści. – A teraz dajcie mi spokój i wara od mojej rodziny.

Jego słowa nie odniosły zamierzonego skutku. Najwyższy ze stworów, który trzymał się z tyłu, patrzył na Sachę z paskudną satysfakcją w czarnych jak węgiel oczach.

– Ej, ty. – Sacha wskazał go palcem. – Powiedz coś. Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

Ku jego zaskoczeniu mężczyzna przemówił. Miał głuchy, niemodulowany głos, tak głęboki, jakby dobiegał z grobu.

– Sacha L’hiver. Przybyliśmy, by zabrać cię do domu. Tak głosi proroctwo.

Sachy nie spodobało się to, co usłyszał – ani słowo „proroctwo”, ani też świadomość, że istoty znają jego imię. Nie mógł też znieść ich zapachu.

Zrobiło mu się duszno. Powietrze w kabinie się przeredziło, zupełnie jakby obcy kradli tlen.

– Nie wiem, czego chcecie. – Był zbyt wystraszony, żeby silić się na sarkazm, i mimowolnie mówił błagalnym tonem. – A na nazwisko mam Winters. Chyba zaszła jakaś pomyłka. Każdemu się może zdarzyć...

Winda niespodziewanie drgnęła i ruszyła na dół. W cichej kabinie buczenie silnika brzmiało nienaturalnie głośno.

Serce Sachy waliło jak oszalałe. Myślał o Laurze, samotnej i przerażonej. Miał nadzieję, że zjawiły się tylko trzy takie blade stwory i że nie wydał siostry na pastwę czwartego.

– Wiecie co, wcale nie mam ochoty iść z wami do żadnego domu – oświadczył z narastającą paniką. – Mieszkam tutaj, więc formalnie rzecz ujmując, tu jest mój dom.

– To twoje przeznaczenie – obwieścił wysoki grobowym głosem, nie spuszczając wzroku z Sachy. – Tak zadecydowano dawno temu. Ostrzegaliśmy cię, byś trzymał się z daleka od dziewczyny. Teraz musisz udać się z nami.

Na wyświetlaczu przy drzwiach pojawiały się kolejne liczby. Dotarli na parter, a potem niżej, na pierwszy poziom podziemi, drugi...

Sacha miał wrażenie, że istota hipnotyzuje go czarnymi oczami, które wydawały się nieskończenie głębokie.

– To wy mnie zabijecie? – Zniesmaczony usłyszał strach w swoim głosie.

Winda z łoskotem znieruchomiła na poziomie podziemnego parkingu. Gdy drzwi się otworzyły, ukazał się za nimi wyraźnie znudzony mężczyzna w szortach koloru khaki i w białej koszuli z krótkimi rękawami. Był opalony, a jego włosy wyglądały na idealnie wymodelowane. Ruszył do windy, lecz natychmiast odskoczył, gdy trzech nieznajomych jednocześnie odwróciło się ku niemu.

– To ja... pójde schodami – wymamrotał i uciekł.

– Ej! – wrzasnął Sacha. – Pomocy!

Mężczyzna jednak nawet się nie obejrzał. Najwyższy z obcych szybko uniósł rękę, a wtedy gdzieś w oddali rozległ się upiorny, głuchy odgłos, jakby coś upadło.

Sacha chciał wyjść z windy, jednak drzwi ponownie się zamknęły. Kabina drgnęła i pojechała w górę. Blade istoty zwróciły ku niemu obojętne i zimne oblicza.

– Nadszedł czas – oświadczył wysoki. – Dziewczyna ci nie pomoże.

Sacha z trudem przełknął ślinę, snując ponure rozważania. Skoro stwory znalazły się tutaj, równie dobrze mogły dostać się do Anglii. Taylor nie miała pojęcia, co się dzieje, więc musiał się od nich uwolnić i ją ostrzec.

– Dajcie jej spokój – warknął i rzucił się na nich z zaciśniętymi pięściami.

Jednocześnie unieśli ręce, kierując ku niemu wnętrza dłoni. W tej samej sekundzie windę wypełnił przytłaczający metaliczny zapach krwi, która popłynęła strumieniami z sufitu kabiny po ścianach, gromadząc się w kleistych kałużach u stóp Sachy. Czuł ciepły, lepki płyn na rękach i ramionach, na twarzy i włosach. Słyszał, jak skapuje niczym gęsta ciecz. Zgiął się w odruchu wymiotnym, zacisnął powieki i przyłożył dłonie do uszu, usiłując odgrodzić się od świata zewnętrznego.

Winda zatrzymała się ponownie, tym razem na parterze. Rozległ się pogodny dźwięk dzwonka i drzwi się rozsunęły. Nadal pochylony Sacha otworzył oczy. Krew znikła.

Trzy istoty wpatrywały się w niego pustym wzrokiem. Za nimi stał chudy chłopczyk i z szeroko otwartą buzią gapił się na obcych. Lody

w różku, które trzymał w ręce, topiły się szybko w upale i skapywały na podłogę. Sacha rozpoznał chłopca. Dzieciak mieszkał na czwartym piętrze, był grzecznym, sympatyczny ósmiolatkiem.

Trzy stwory obróciły się i ruszyły ku chłopcu z wyciągniętymi rękami.

– Nie! – Tłumiąc krzyk, Sacha natarł na mężczyzn.

Spodziewał się, że będą potężni i oporni, a tymczasem ich ciała okazały się zdumiewająco niematerialne. Miał wrażenie, że przebiega przez wysoką, suchą trawę.

Przeniknął przez nich, chwycił dziecko za rękę i pociągnął je przez hol, na ulicę. Lody wypadły chłopcu z dłoni i rozprysły się na rozgrzanym betonie.

Mały był z początku zbyt zaskoczony, żeby się opierać, jednak na chodniku zaczął się szarpać w uścisku Sachy, a jego twarz poczerwieniała ze złości i strachu.

– Ej, co ty robisz? Merde. Puszczaj!

Nie zwalniając uścisku, Sacha odwrócił się i zajrzał do holu, który właśnie opuścili. Winda stała nieruchomo, całkiem pusta. Wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą były istoty. Wyglądało na to, że rozplynęły się w powietrzu... albo że nigdy ich tam nie było.

Chłopiec wyrwał się wreszcie i pognął przed siebie ulicą, najprędzej jak potrafił.

– Nie ma za co – burknął Sacha, patrząc, jak dzieciak znika w oddali.

Przez chwilę stał na chodniku, a potem podniósł wzrok na okna swojego mieszkania i zadrżał.

Laura.

Wszedł do holu, licząc się z tym, że istoty mogą powrócić. W budynku panowała jednak cisza. Otwarta winda stała na parterze, a jej kabina przypominała olbrzymią paszczę. Sacha nie zamierzał do niej wsiadać. Napędzany adrenaliną, błyskawicznie wbiegł po schodach na trzecie piętro i przemknął obok wyrwanych drzwi. W chłodnym mieszkaniu panowała cisza.

– Laura! – Jego głos odbił się echem od ścian. – Laura, to ja!

Biegiem minął przedpokój i przerażony zajrzał za kolejne drzwi. Jego pokój był pusty, Laury również. W kuchni też nikogo nie zastał.

Co oni jej zrobili? Zabrali ją? Wyrzucili przez okno?

Mocno przycisnął palce do ust, żeby stłumić jęk paniki, i w tym samym momencie usłyszał cichy szelest w pokoju matki. Pobiegnął tam i przez otwarte drzwi wpadł do zalanej słońcem sypialni. Łóżko matki było starannie posłane, a w powietrzu nadal unosiła się delikatna woń jej perfum.

– Laura? – krzyknął. – Jesteś tu? Już jest bezpiecznie.

Taką przynajmniej miał nadzieję.

Drzwi do szafy uchylily się i ze środka niepewnie wyjrzała Laura. Kuciała wśród butów i torebek matki, a jej twarz była mokra od łez. Sacha odetchnął z ulgą i chwycił siostrę w ramiona.

– Dzięki Bogu – mruknął, tuląc jej kruche ciało. – Dzięki Bogu.

– Sacha, tak bardzo się bałam. Ciągłe walili do drzwi, a potem było tak, jakby wszystko wybuchło. Słyszałam ich rozmowę, szukali cię. –

Słowa wręcz się z niej wylewały. – Czego chcą? Co to za jedni? Co zrobiłeś? Jesteś im winien pieniądze?

Pokręcił głową.

– Naprawdę nie wiem, kim są – odparł, nadal nie wypuszczając jej z objęć.

Poczuł, że zadrżała.

– Nie wyglądali normalnie. Przypominali potwory.

Sacha pomyślał o krwawej wizji, której doświadczył za ich sprawą.

– Bo to są potwory – przyznał.

– A wróć? – Spytała przytłumionym głosem, z twarzą wciśniętą w jego klatkę piersiową.

– Mam nadzieję, że nie. – Nie wydawał się przekonany.

Doszło do tego, czego tak się obawiał. Przez swoje popaprane życie stanowił zagrożenie dla własnej rodziny. Dotąd chciał zostać w domu, by chronić bliskich, zrozumiał jednak, że nie będą bezpieczni, dopóki się nie wyniesie.

Miał sporo czasu na to, żeby oswoić się z myślą o swojej nieuchronnej śmierci, ale teraz, kiedy zbliżał się koniec, a Sacha zobaczył stwory, które zamierzały go zabić, ponad wszystko na świecie pragnął pozostać żywy. Chciał być normalnym facetem, wieść zwyczajne życie i patrzeć, jak Laura dorasta. Chciał też zająć się matką, miał już jednak pewność, że nie będzie mu to dane. Nie mógł walczyć z tymi istotami, bo nie wiedział jak.

W tej chwili, kiedy trzymał w objęciach wystraszoną siostrę, podjął ostateczną decyzję. Postanowił jak najszybciej udać się do Annie i rzucić okiem na książki ojca w nadziei, że dowie się z nich czegoś więcej. Potem miał zamiar wyjechać, oddalić się od wszystkich, których kochał. Liczył na to, że w ten sposób odciągnie od nich te

stwory. Skoro jego tu zabraknie, one również znikną, a wówczas Laura i matka będą bezpieczne.

– Muszę wyjechać. – Właściwie nie chciał tego mówić, słowa same wydostały się z jego ust.

Laura oswobodziła się z uścisku brata.

– Wyjechać? – zdumiała się, patrząc na niego. – Jak to?

Drżącą dłonią odgarnęła włosy z twarzy, żeby lepiej go widzieć.

– Laura, zrozum, oni polują na mnie, nie na ciebie. Jeśli stąd zniknę, ruszą za mną, a ty będziesz bezpieczna.

Mówił powoli i żarliwie, gdyż pragnął, by go zrozumiała. Wiedział, że jeśli będzie miał siostrę po swojej stronie, Laura przedstawi matce sprawę w odpowiednim świetle.

– Nie, Sacha. Dokąd miałbyś pójść? A jeśli cię dopadną? – Chwyciła go za rękę i błagalnie wpatrywała się w niego niebieskimi oczami. – Sacha, proszę cię, nie zostawiaj nas. Maman cię potrzebuje, i ja też.

– Wiem – odparł łagodnie. – Ale nie mam wyboru. To jedyny sposób. Jeśli przeze mnie coś wam się stanie, oszaleję.

Laura lekko uściśnęła jego dłoń i otarła łzę spływającą po policzku.

– Dokąd pójdziesz? – zapytała cicho.

Sacha się zawahał. W żadnym razie nie chciał, żeby Laura lub jego matka udały się za nim do Annie.

– Nie mam pojęcia – odparł wymijająco. – Znajdę sobie jakieś bezpieczne miejsce za miastem.

Mocniej zacisnął rękę na dłoni Laury. Wydawała się taka krucha, taka delikatna. Zawsze ją chronił i teraz też musiał zadbać o jej bezpieczeństwo.

Taylor siedziała w swoim pokoju na dywanie w biało-szare wzory i wpatrywała się w zgaszoną świecę przed sobą.

– Zapal się.

Machnęła ręką, ale nic się nie stało.

– Zapal się – powtórzyła z frustracją w głosie. – Ty głupi, cholerny kawałku parafiny.

Świeca najwyraźniej się uparła i nadal nie chciała się zapalić.

Taylor poczuła pierwsze zwiastuny nadchodzącego bólu głowy. Potarła dłonią czoło.

– Zasmarkane gó... – wymamrotała pod nosem i sięgnęła po cienką książkę w starej, skórzanej oprawie.

W tej samej chwili dłonie zaczęły ją mrowić.

Na sfatygowanej okładce książki zamiast tytułu widniały dziwne wytłoczone symbole geometryczne, na których dało się dostrzec resztki pozłoty.

Dziadek wcisnął księgę w rękę Taylor, kiedy wróciła do jego mieszkania po treningu z Louisą. Biorąc wolumin w dłonie, dziwnie się poczuła, bo zdawał się wibrować od nagromadzonej w nim energii.

– To bardzo stara księga poświęcona alchemicznym ćwiczeniom – wyjaśnił dziadek. – Uczyliśmy się z niej, ja i moje siostry, a wcześniej mój ojciec. Musisz solidnie przestudiować każdą lekcję, począwszy od pierwszej, i dotrzeć do samego końca. – Ostrzegawczo unioś rękę. – Nigdy nie przechodź do następnej, dopóki nie opanujesz poprzedniej.

To stopniowy proces. Wyprzedzanie materiału może się okazać bolesne.

– Bolesne – powtórzyła, z pokorą rozcierając posiniaczone ramiona. – Jasne.

Jego zielone oczy błysnęły ze zrozumieniem.

– Louisa to twarda sztuka, wiem – odparł. – Ale jest najlepsza z nas wszystkich. Ma wrodzony talent, podobnie jak ty, a do tego dzisiaj zrobiłaś na niej niesamowite wrażenie.

Na policzkach Taylor wykwitły rumieńce. Zdumiała się, że opinia Louisy ma dla niej tak duże znaczenie.

Słowa dziadka ją zastanowiły.

– Powiedziałeś, że jest najlepsza z was wszystkich. Ilu was... to znaczy nas jest? Tutaj?

Ponownie odwrócił się do półek z książkami i zaczął czegoś szukać, lekko wodząc palcami po grzbietach starych woluminów.

– Wielu – odparł w końcu.

– Wielu? – Uniosła głowę. – To znaczy kilkunastu? Czy tysiąc?

– Kolegium Świętego Wilfreda jest naszym domem od XIII wieku – wyjaśnił jej Aldrich, jednocześnie zdejmując książki z półki i wkładając je do skórzanej torby. – Zgodnie ze statutem jest to miejsce przeznaczone na studia alchemiczne i zgłębianie nauk pokrewnych alchemii. – Odwrócił się do wnuczki i wręczył jej torbę. – Do dzisiaj absolutnie nic się nie zmieniło.

Taylor odruchowo wzięła ją do ręki. Wytarta skóra była miękka w dotyku.

– Więc wszyscy tutaj to...?

– Alchemicy. Owszem – dokończył za nią.

Świadomość, że w Kolegium Świętego Wilfreda roi się od podobnych jej ludzi – że studenci, których mijala wraz z Louisą na dziedzińcu, to bez wyjątku alchemicy – przepelniła Taylor entuzjazmem i nadzieją. Może wspierali się nawzajem? Może wszyscy potrafili robić to samo co ona?

Gdy wracała pociągiem do domu, kipiała energią i zapałem. Gdyby tylko nauczyła się tego wszystkiego, co zademonstrowała Louisa, może udałoby się jej jakoś uratować Sachę.

Teraz jednak usiłowała ćwiczyć samodzielnie i szło jej jak po grudzie. Okropna prawda była taka, że Taylor zwyczajnie nie potrafiła zrobić tego, co książka nakazywała w pierwszej kolejności. Do tej pory nie udało się jej dobrać do końca pierwszej lekcji, choć codziennie ćwiczyła tak intensywnie, że łupało ją w głowie. Wielokrotnie przeczytała fragment o czerpaniu mocy z natury, ale wszystkie próby zapalenia świecy kończyły się fiaskiem. Teoretycznie wskazówki w książce były całkiem sensowne, ale w praktyce... nic jej nie wychodziło.

Taylor miała w nosie głupią świecę, a dopóki nie żywiła do niej nienawiści ani nie czuła przed nią strachu, nie mogła jej zapalić.

– Boże, ale ze mnie beznadziejna alchemiczka – jęknęła i położyła się na plecach.

Książka wysunęła się jej z rąk na podłogę. Nie było sensu ponownie czytać instrukcji, nauczyła się ich na pamięć już kilka dni temu. Poza tym zrobiła dokładnie to, czego zabronił jej dziadek – przeszła do następnego ćwiczenia i próbowała podnieść przedmiot bez dotykania go dłońmi. Napisano, że powinna zacząć od czegoś małego, na przykład od tabakiery. Taylor musiała wygooglować słowo „tabakiera”.

Cóż, podręcznik miał swoje lata.

Kiedy leżący obok telefon zabrzączał, odwróciła głowę, żeby sprawdzić, kto dzwoni, i ujrzała na ekranie imię Georgie. Zawahała się, ale telefon uparcie wibrował.

Od kłótni z Tomem Taylor postanowiła unikać Georgie, która zasypywała ją dziesiątkami SMS-ów i nagrań. Każda wiadomość była bardziej histeryczna od poprzedniej i Taylor zaczynało dręczyć irytujące poczucie winy. Co gorsza, naprawdę brakowało jej najlepszej przyjaciółki, która w tej chwili byłaby bezcennym wsparciem.

Powoli podniosła aparat, a jej palec zawisł nad czerwonym przyciskiem. Potem z westchnieniem nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Cześć, Georgie – powiedziała beztroskim tonem.

– Bóg istnieje – odezwała się Georgie dramatycznym tonem. – Już miałam dzwonić po więzieniach i do kostnicy. Jesteś w szpitalu, czy co? Odchodziłam od zmysłów!

Taylor przewróciła oczami.

– Byłam dzisiaj w szkole, Georgie. Widziałam cię na korytarzu.

Nie wspomniała, że zauważyła ją z drugiego końca holu i dała nogę.

– No cóż – mruknęła Georgie ostrożnie, słysząc chłód w głosie Taylor. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest – potwierdziła Taylor i popatrzyła na swoje paznokcie. – Coś jeszcze?

– Chciałabym cię o coś spytać – powiedziała Georgie nieoczekiwanie pogodnym tonem. – Jak bardzo chciałabyś mi pomóc z pracą domową z matmy jutro wieczorem? Niewiarygodnie bardzo czy tylko zwyczajnie gigantycznie?

Taylor się zjeżyła. Jak Georgie śmiała domagać się czegoś po tym, jak powiedziała Tomowi o Sachy? Jak mogła myśleć, że między nimi

wszystko jest w porządku?

– Nie dam rady – burknęła oziębło. – Jestem zajęta.

– Jasne – westchnęła Georgie. – Co jest grane, Tay? Od razu widać, że coś jest nie tak, ale nie mam pojęcia co. Wyrzuć to z siebie, żebym mogła ci pomóc.

Taylor odetchnęła głęboko. „Nie wolno mi się wściec – powtarzała sobie w myślach. – Nie mogę się rozzłościć...”

– Pewnie nie obilo ci się o uszy, że Tom ze mną zerwał.

– Przecież właśnie dlatego próbowałam się z tobą skontaktować – oświadczyła Georgie. – Nie mogłam uwierzyć, że to prawda i że nie zadzwoniłaś, żeby powiedzieć mi o tym osobiście. Szczerze mówiąc, było mi naprawdę przykro.

Taylor zazgrzytała zębami.

– Doprawdy? – warknęła. – Tak się składa, że oskarżył mnie o zdradę z Sachą, tym chłopakiem z Francji, któremu daję korki. – Mówiła cicho i groźnie. – Problem w tym, że nigdy nie wspomniałam mu o korepetycjach. Co więcej, jedyną osobą, której kiedykolwiek powiedziałam o Sachy... byłaś ty.

Georgie zamilkła na dłuższą chwilę.

– Georgie – warknęła Taylor. – Czy wspomniałaś Tomowi o Sachy?

– Skąd! – Głos Georgie brzmiał zarazem defensywnie i napastliwie. – Nie pisnęłam Tomowi ani słowa.

– Rozumiem. – Usiłując zapanować nad emocjami, Taylor skupiła uwagę na twardej podłodze pod plecami i jednocześnie wpatrywała się intensywnie w biały sufit. Rozmyślała o tym, jaki to odcień bieli, i czy nie przydałaby się nowa warstwa farby. Wszystko po to, żeby powstrzymać mrowienie w dłoniach. – Więc jak twoim zdaniem mógł się o tym dowiedzieć?

Ponownie zapadła długa cisza, aż w końcu Georgie odkasznęła.

– Chyba... – zaczęła z wahaniem. – Niewykluczone, że... mogłam napomknąć o tym w rozmowie z Paułem. Ale obiecał, że nie powie Tomowi – dodała ze skrucą. – Przysiągł.

Taylor nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc milczała.

– Jak Tom to przyjął? – zapytała Georgie z wahaniem.

Taylor przypomniała sobie, jak przyparł ją do ściany i jak strach ścisnął jej serce z siłą imadła.

– Źle. Dramatycznie źle. Fatalnie.

– Jej – wyszeptała Georgie. – Och, Tay, tak strasznie mi przykro. Nie potrafię trzymać języka za zębami. Nie powinnam była ufać Paulowi. Niepotrzebnie mu powiedziałam.

– Fakt – zgodziła się Taylor. – Niepotrzebnie. Przecież poprosiłam cię, żebyś mu nic nie mówiła. Obiecałaś, że tego nie zrobisz, a potem i tak mu wszystko wygadałaś. Nie sądzę, żebym mogła ci jeszcze kiedyś zaufać.

Mrowienie stawało się nieznośne. Telefon w dłoni Taylor był nietypowo rozgrzany.

– Daj spokój, Tay. – Georgie wydawała się przerażona. – Nie mów tak. Popełniłam błąd. Zrobiłam głupstwo. Wiesz, że czasem mi się to zdarza. Za dużo gadam. Musisz mi wybaczyć. Nie zniosę tego, jeśli mi nie wybaczysz.

Lampy w pokoju zamigotały złowroźnie.

– Będziesz musiała – wycodziła Taylor. – Zawsze powtarzałaś, że przyjaciółki są ważniejsze od chłopaków, pamiętasz? Ale wybrałaś Paula, moim kosztem. To niewybaczalne.

Rozłączyła się bez pożegnania i rzuciła telefon na podłogę. Może wyobraźnia spletała jej figła, ale nad aparatem dostrzegła smużkę

dymu.

Po rozmowie z Georgie Taylor długo leżała na podłodze. Brakowało jej energii, żeby wstać i ponownie spróbować zapalić świecę.

Powtarzała sobie, że musi się zmobilizować. Ostatnio wydarzyło się wiele gorszych rzeczy. To nie było tak koszmarnie jak widok umierającego Sachy ani incydent z Tomem, którego niemal zabiła. Niemniej utrata Georgie bolała niczym kopniak w brzuch. Taylor bardzo pragnęła, żeby było tak jak dawniej. Najchętniej wymazałaby wszystko, co się między nimi ostatnio wydarzyło. Żałowała, że zamiast zapalania cholernej świecy nie uczy się cofania czasu.

Zatonęła w rozmyślaniach do tego stopnia, że straciła poczucie czasu. Oprzytomniała dopiero, kiedy telefon ponownie zadzwonił. Tym razem na ekranie widniał napis: „Rozmówca nieznany”. Przewróciła się na bok, żeby odebrać.

– Tak, słucham?

– Ćwiczysz?

Głos należał do kobiety – był szorstki, z liverpoolskim akcentem.

Louisa.

– Tak – odparła Taylor, nadal na leżąco. – Ale beznadziejna ze mnie alchemiczka i boli mnie głowa.

– Przestań wreszcie korzystać z własnej mocy. – Louisa tak głośno krzyknęła z dezaprobatą, że Taylor musiała odsunąć słuchawkę od ucha. – Ile razy mam ci to powtarzać?

– Nie wiem, jak mam to zrobić – wyznała z frustracją. – Mam tę durną książkę od dziadka, ciągle się staram i nadal wysysam energię z własnego pustego łąba. Nie cierpię mocy i wcale jej nie potrzebuję. Chcę być normalnym człowiekiem.

– Wyjdź na zewnątrz – podsumowała jej biadolenie Louisa.

- Po co? - Taylor zmrużyła oczy. - A właściwie to skąd masz mój numer?

- Jak myślisz? - Taylor wyobraziła sobie znudzoną minę Louisy. - Wyjdź na zewnątrz, bo ja ci każę. I zabierz świecę.

Taylor machinalnie wyciągnęła rękę po świecę, ale zamarła.

- Zaraz, zaraz. Skąd wiedziałas, że ćwiczę ze świecą?

- Któregoś dnia opowiem ci o swoich mocach - burknęła Louisa. - Na razie skupmy się na twoich.

Taylor nie zamierzała jednak odpuścić.

- Potrafisz zajrzeć do mojego domu?

- Niezupełnie - odparła Louisa. - Ale w pewnym sensie. Tak czy owak, stoję teraz na schodach przed waszymi drzwiami i się nudzę, a twoi sąsiedzi to wścibscy podglądacze. Wszyscy się na mnie gapią, więc może wreszcie raczysz wyjść z domu?

Taylor chwyciła świecę, wepchnęła ją do kieszeni szortów i hałaśliwie zbiegła po schodach. Gdy otworzyła drzwi wejściowe, ujrzała za nimi Louise, która stała na chodniku przed domem i ze znudzoną miną wpatrywała się w swoje krótkie fioletowe paznokcie.

– Co tu robisz? – zapytała Taylor.

Louisa popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Zawsze zadajesz głupie pytania? – spytała. – A może to ja cię prowokuję swoją błyskotliwą osobowością?

Rozejrzała się dookoła, wydymając wargi. Dwie atrakcyjne mamy w sportowych strojach i z kosztownymi spacerówkami z nieskrywaną podejrzliwością przyglądały się jej włosom i tatuażom. Louisa odwzajemniła ich spojrzenie z tak ponurą miną, że obie z zakłopotaniem odwróciły wzrok.

Wokoło rozbrzmiewało gniewne bzyczenie kosiarek i warkot dmuchaw do liści. Dzień był ciepły i wyglądało na to, że wszyscy wylegli z domów i przycinali to i owo.

– Gdzie możemy poćwiczyć? – spytała Louisa. – Twoja ulica to pieluchowe zagłębienie, że tak powiem. Ktoś mógłby zauważyć dwie seksowne alchemiczki, zajęte przywoływaniem potęgi natury.

Taylor przez chwilę nie była pewna, co odpowiedzieć, więc skupiła się na pytaniu.

– Niedaleko jest łąka – oświadczyła po krótkim namyśle. – Czasami chodzę tam poczytać. Nikt jej nie kosi, więc tylko ja tam bywam. Z jakiegoś powodu ludzie wolą przyciętą trawę.

Z miną dobitnie świadcząca o braku zainteresowania detalami Louisa machnęła ręką.

– Prowadź do wysokiej trawy – powiedziała niecierpliwie.

Przez pewien czas szły w milczeniu. Taylor bała się cokolwiek powiedzieć, bo doszła do wniosku, że każde jej słowo brzmi wręcz idiotycznie.

Brak pogawędki zdawał się odpowiadać Louisie. Zmarszczyła brwi, kiedy skręcały w główną ulicę, prowadzącą do centrum miasta. Taylor ze zdumieniem zauważyła, że podobają się jej spojrzenia rzucane im przez przechodniów. Od wyjazdu do Paryża testowała nowy styl. Nosila ciemniejsze i bardziej śmiałe ubrania. Teraz miała na sobie czarne szorty i obcisłą, długą kamizelkę w szarym kolorze, a do tego ciężkie buty, które Sacha kupił jej we Francji. Uświadomiła sobie, że jej strój przypomina nieco ubiór Louisy, czyli glany oraz krótką czarną spódniczkę, eksponującą umięśnione nogi.

– Pewnie przysłał cię mój dziadek, co? – spytała, gdy milczenie stało się nieznośne.

– Uhm – mruknęła Louisa. – Martwił się, że utknęłaś i nie masz pojęcia, jak zrobić użytek ze swojej energii. – Zerknęła na nią z ukosa. – Dopóki nie załapiesz, o co chodzi, będziesz jak bomba zegarowa i potencjalna ofiara w jednym.

– Kilka minut temu omal nie wysadziłam w powietrze telefonu – wyznała Taylor.

– Poważnie? – W oczach Louisy pojawiło się zainteresowanie. – Może czerpałaś z niego energię, nawet o tym nie wiedząc. To dobry znak.

Taylor liczyła na to, że tak właśnie było, bo miała serdecznie dosyć nieudanych prób. Dotąd nigdy jeszcze nie musiała stawiać czoła

niepowodzeniu.

W centrum miasta tłoczyły się rodziny, zajęte tym, co zwykle robią rodziny w słoneczne soboty. Louisa bezceremonialnie przecisnęła się przez tłum, nikogo nie przeprasząc. Małe dzieci uskakiwały przed nią w popłochu.

– Ejże, uważaj no... – upomniał ją jakiś starszy mężczyzna, kiedy przepchnęła się obok niego.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się odwrócić. Tym razem Taylor również nie przeprosiła. Nie czuła takiej potrzeby, co sprawiło jej przyjemność.

– To tutaj – oznajmiła, wskazując na drogę do parku.

Nad wodą panował przyjemny chłód, a trasa wzdłuż strumienia była spokojniejsza, choć trawę zajmowały opalające się nastolatki. Po mniej więcej pięciu minutach Taylor i Louisa dotarły do porośniętej wysoką trawą łąki i wkrótce w polu widzenia nie było już ani jednego człowieka.

Taylor zboczyła z dróżki na bardziej wyboisty szlak. Gdy szła, żdźbła ocierały się o jej nagie nogi. Odnosiła wrażenie, że złociste i pomarańczowe kwiaty zerkają na nią spośród zieleni o niezliczonych odcieniach.

Tu było znacznie spokojniej. Łagodny szum wiatru zastąpił uliczne hałasy. Słońce rozgrzewało skórę Taylor. Na moment uniosła twarz ku niebu, żeby rozkoszować się jego jasnymi promieniami.

Ścieżka w końcu doprowadziła je na brzeg strumienia, gdzie pod drzewem stała stara drewniana ławka zwrócona frontem do niespiesznie płynącej wody. Louisa wspięła się na palce, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, i z satysfakcją przekonała się, że są całkiem same.

- Doskonale. - Otrzeпаła ręce z kurzu. - Niezłe miejsce.

Wsunęła pod ławkę buty i skarpetki, a potem boso weszła do strumienia i zatrzymała się w miejscu, w którym woda sięgała jej do kostek.

- Szlag, zimna - obwieściła.

W promieniach słońca jej niebieskie włosy błyszcząły. Popatrzyła na Taylor i przywołała ją skinieniem dłoni.

- No chodź - mruknęła. - Właż do wody. Zanurz nogi.

Taylor, która spodziewała się kolejnej próby zapalania świecy, ukryła zaskoczenie. Zdjęła buty i weszła za Louisą do strumienia. W chłodnej wodzie przeszył ją dreszcz, jednak muł przyjemnie mlaskał między jej palcami u stóp. Przystanąła i popatrzyła Louisie w oczy koloru toffi, z gęstymi, czarnymi rzęsami, które w naturalny sposób podwijały się na końcach.

„Jest naprawdę ładna”, pomyślała Taylor, zastanawiając się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła.

- Teraz czegoś spróbujemy - oznajmiła Louisa. - Weź mnie za ręce. Będę kierowała energią na ciebie, a ty postarasz się ją odeprzeć.

Taylor z wahaniem zacisnęła dłonie na jej mocnych palcach o szorstkich opuszkach, a wtedy Louisa zwróciła twarz ku słońcu i zamknęła oczy. Po chwili Taylor zrobiła to samo. Woda ochlapywała jej kostki, a wodorosty łaskotały ją w stopy. Słyszała tylko śpiew nawołujących się ptaków i brzęczenie pszczoł na polnych kwiatach.

- Czujesz? - spytała Louisa po chwili.

Taylor nie czuła nic szczególnego, więc w skupieniu zmarszczyła brwi. Nagle poczuła, jak napiera na nią fala ciepła. Moc była wręcz namacalna i Taylor wyobraziła sobie, że ujrzałaby ją, gdyby tylko

otworzyła oczy. Kiedy jednak rozchyliła powieki, dostrzegła jedynie jasność słońca.

– Tak – wyszeptała z podziwem. – Czuję.

– To dobrze – mruknęła Louisa. – A teraz wyobraź sobie, że strumień i słońce dostarczają ci energii. Dla ułatwienia myśl o niej jak o czymś dotykającym.

Pamiętając sugestię Finlaya, Taylor wyobraziła sobie moc jako pasmo lśniącej złocistej nici, którą mogła przyciągnąć. Poczuła szybsze bicie serca, gdy się zorientowała, że potrafi bez trudu rozwijać nić.

– Działa – szepnęła. – Chyba mi się udało.

– Świetnie – pochwaliła ją Louisa. – A teraz skieruj moc na mnie, tak jak ja ją skierowałam na ciebie.

Taylor wyobraziła sobie, że nić płynie ku Louisie jednostajnym połyskującym strumieniem i oplata ją jaśniejącym kołem. To było całkiem proste. Energia poruszała się i sunęła zgodnie z jej wolą...

– Ho ho. – Louisa wyrwała ręce z uścisku Taylor i ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy cofnęła się o krok, rozchlapując wodę.

– Co się stało? – Taylor zamrugała. – Nie udało mi się?

Louisa uśmiechnęła się szeroko.

– Przeciwnie, udało ci się, i to jak. – Pokazała palcem wodę. – Zobacz sama.

Zaskoczona Taylor posłusznie spojrzała na strumień, który sięgał im teraz do kolan.

– Ale... – wyszeptała zdezorientowana. Nawet nie zauważyła, kiedy to się stało

Strumień wstrzymał bieg i spiętrzył się wokół dziewczyn, jakby pchany ku nim niewidzialną siłą. W oddali dostrzegły odsłonięte,

opróżnione dno z czarnozielonymi wodorostami przylegającymi płasko do mulistego gruntu.

– Nie rozumiem... – Zbita z tropu Taylor spojrzała na Louise.

– Aldrich nie przesadzał, gdy mówił o twojej sile. – Dziewczyna pokręciła głową. – Jesteś atomowa.

– Zaraz. – Taylor pochyliła się, żeby dotknąć zimnej wody, która teraz wirowała wokół jej kolan. – Chcesz powiedzieć, że to moja sprawka?

– Owszem, właśnie to. – Louisa odwróciła się i poczłapała do brzegu. – No chodź – zarządziła, nie odwracając głowy. – Wynośmy się stąd, zanim wywołasz falę powodziową i zatopisz Woodbury.

Taylor brodziła za nią, ślizgając się i potykając w błocie. Wszystko to było co najmniej zastanawiające. Nie umiała zapalić świecy, ale potrafiła zatrzymać wodę? Doszła do wniosku, że wcale tego nie zrobiła. To nie było możliwe. W głębi serca wiedziała jednak, że tak się stało, bo wyraźnie czuła upojenie towarzyszące nagromadzeniu energii. Moc wniknęła w jej żyły niczym narkotyk.

Gdy dobrnęła do brzegu, spojrzała za siebie.

Woda podnosiła się jeszcze przez chwilę, jakby na jej drodze stanęła niewidzialna tama. Potem z szumem przypominającym westchnienie, ponownie popłynęła, pchając przed sobą kamyki i rośliny. Drobne fale zakłębiły się i wkrótce strumień wyglądał niemal zwyczajnie.

Taylor z sykiem wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze.

Louisa siedziała po turecku na skraju starej, drewnianej ławki. Ręką wskazała Taylor miejsce obok. Rozgrzane na słońcu siedzisko przyjemnie ogrzewało nogi.

– Jak tam głowa? – zapytała Louisa, a Taylor zamarła.

– W porządku – odparła ze zdumieniem. – Wcale nie boli.

Zadowolona Louisa przytaknęła.

– Sama widzisz, że nie wolno korzystać z własnej energii. –
Wyciągnęła rękę. – Masz świeczkę?

Taylor wyciągnęła z kieszeni biały ogarek i wręczyła go Louise, która wepchnęła świecę do szpary pośrodku drewnianej ławki. Następnie uniosła obie ręce wnętrzem dłoni do góry.

– Spróbujmy.

Taylor poczuła ukłucie w sercu.

– Nie dam rady. – Odsunęła się. – Próbowałam cały ranek i... nic.

Louisa popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Taylor, przypomnij sobie, co przed chwilą zrobiłaś. – Wskazała głową strumień. – To było znacznie trudniejsze niż zapalenie świecy i sto razy bardziej skomplikowane. Szczerze mówiąc, dobrze wiem, że potrafisz zapalić tę świeczkę, ale jestem ciekawa, czy dasz radę wystrzelić ją w niebo jak raketę. – Uśmiechnęła się szeroko, a kolczyk w jej nosie zamigotał. – To eksperyment.

Taylor szczerze wątpiła w swoje możliwości, lecz manipulowanie wodą okazało się niespodziewanie proste, a obecność Louisy dodawała jej pewności siebie. Doszła do wniosku, że może jednak zdoła zapalić tę durną świecę.

Poprawiła się na ławce i wzięła starszą koleżankę za rękę.

– Odnajdź tę samą energię – usłyszała. – Zwizualizuj ją sobie tak samo jak kilka minut temu. Upewnij się, że pochodzi z wody i z otaczającego cię powietrza. Ustal jej źródło. Powinnaś umieć je wyczuć.

Taylor zamknęła oczy. Tym razem poszło łatwiej. Miała wrażenie, że wcześniej udało się jej otworzyć zatrzaśnięte drzwi i ujawnić to, co

dotąd w sobie skrywała. Zobaczyła połyskujące, złociste pasma energii, która spływała z pól, z trawy, z powietrza i wody... Była wszędzie.

Taylor nie wiedziała, od czego zacząć, ale w końcu wybrała jedno pasmo i skierowała je ku świecy. „Zapał się”, pomyślała.

Strumień jak strużka miodu opłynął świecę, a Taylor otworzyła oczy. Nad świecą kołysał się płomyk.

Taylor wyrwała dłonie z uścisku Louisy i klasnęła z zachwytem.

– Udało mi się! – krzyknęła.

Louisa podniosła wzrok z uśmiechem, który wkrótce przygasł, kiedy się rozejrzała.

– Hm, Taylor...

Taylor również powiodła wzrokiem wokół siebie i wstrzymała oddech.

W powietrzu unosiły się setki maleńkich złotych światełek tworzących kręgi. Każdy punkcik wyglądał jak płomyczek, jaśniejący i rozedrgany, choć brakowało knotów i świec.

Taylor była bliska płaczu.

– Nie, nie, nie – powtarzała przygnębiona. – Chodziło mi o tylko jedną świeczkę. Jedną.

Podniosła głowę, słysząc dziwne odgłosy z drugiego końca ławki. Louisa pękała ze śmiechu.

– To wcale nie jest zabawne – burknęła czerwona jak burak Taylor.

– Nie mam bladego pojęcia, jak ci się to udało. – Louisa zachłysnęła się powietrzem i złapała za boki. – Podpaliłaś powietrze!

– Niechcący. – Taylor również zachichotała. – To tylko małe wypadki.

Louisa otarła oczy.

- Tak czy siak, musisz teraz pogasić te płomyczki, zanim trawa stanie w ogniu.

Taylor rozejrzała się niespokojnie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że płomyki mogą być prawdziwe.

- Ale jak mam to zrobić? - spytała w panice.

- Tak samo, tylko na odwrót - wyjaśniła jej Louisa łagodnym głosem. - Wyobraź sobie, że moc się cofa.

„Zgaśnijcie”, pomyślała Taylor, ale nic się nie stało. Spróbowała ponownie. Tym razem najpierw przyciągnęła moc, a potem odepchnęła ją z całej siły.

„Gasnąć!”

Płomyczki momentalnie znikły.

Taylor skierowała triumfalne spojrzenie na Louise, zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, słup elektryczny po drugiej stronie łąki eksplodował z takim hukiem, że wszystkie ptaki umilkły. Obie patrzyły z wytrzeszczonymi oczami, jak iskry z uszkodzonej linii przesyłowej sypią się syczącą kaskadą. W oddali usłyszały krzyki, a kilka sekund później rozległo się wycie syreny wozu strażackiego.

- Hm - mruknęła Louisa i schyliła się po buty. - Następnym razem weź trochę na wstrzymanie. - Zeskoczyła z ławki i przeciągnęła się szeroko. - Da się tu gdzieś kupić kawę?

Słońce nadal wisało wysoko na niebie, kiedy niebieskowłosa dziewczyna weszła na stację, żeby sprawdzić rozkład jazdy. Następny pociąg do Oksfordu odchodził za dziesięć minut.

„I dobrze”, pomyślała.

Powiodła wzrokiem dookoła, udając, że nie dostrzega dezaprobaty w oczach podróżnych spoglądających z ukosa na jej tatuaże, kolczyk

w nosie i glany. Najwyraźniej uważali ją za zagrożenie dla społeczeństwa i ogólnego poczucia spokoju.

Doszła do wniosku, że ma ochotę wynieść się stąd w cholerę.

Konduktor demonstracyjnie obejrzał jej bilet ze wszystkich stron i dopiero potem przepuścił ją przez bramkę. Louisa oparła się pokusie skierowania przeciwko niemu energii, choć najchętniej wywołałaby u niego nagły wykwit trądziku. Aldrich w kółko jej powtarzał, że jest zbyt dojrzała na tak małostkowe zachowania. Skończyła już dwadzieścia lat, więc powinna wreszcie zapomnieć o okresie dziecięcego buntu.

Łatwo mu było mówić. On nigdy nie spał na piętrowej pryczy w schronisku, w mroźną noc, kiedy warkot samochodów za oknami był tak donośny, że nie dało się usłyszeć własnego oddechu.

Wdrapując się na kładkę, żeby dotrzeć na peron trzeci, myślała o tym, jak zareaguje Aldrich na wieść o dzisiejszych wyczynach Taylor.

Louisa czuła narastający entuzjizm. Dzień okazał się zupełnie wyjątkowy. Taylor dysponowała niewiarygodną mocą, która zdawała się podwajać przy każdym ich spotkaniu. Tylko ona była potężniejsza od Louisy. Taylor bez wątpienia miała olbrzymi potencjał. Dotąd nigdy z niego nie korzystała, a dzisiaj udało się jej zapanować nad wodą w strumieniu. Miała zadatki na najpotężniejszą alchemiczkę swojego pokolenia, a gdyby nadal współpracowała z nią i Aldrichem, stworzyliby niepokonany zespół...

Louisa drgnęła, czując na plecach nieprzyjemne mrowienie, kiedy coś wyrwało ją z rozmyślań. Jej serce przyśpieszyło. Z ogromnym wysiłkiem zachowała niewzruszony wyraz twarzy i bez pośpiechu pokonała kładkę, ale idąc w dół po schodach, rzucała dyskretne

spojrzenia nielicznym pasażerom. Musiała ustalić, skąd brał się w niej ten lęk.

Znalazła odpowiedź na sąsiednim peronie: źródłem niepokoju był siwy mężczyzna w tweedowym garniturze. Z rzadkim wąsem i w czapce z daszkiem wyglądał jak elegancki dziadek. Jego moc kojarzyła się Louisie z lodowatą falą, do tego stopnia, że niemal wzdrygnęła się z zimna.

„Mroczny wyznawca? – pomyślała niespokojnie. – Tutaj?”

Zbieg okoliczności nie wchodził w grę. Ten człowiek na pewno przybył ze względu na Taylor.

Odwróciła się i nieśpiesznie poszła dalej, od niechcienia zerkając na plakaty i rozkłady jazdy, jakby ich treść budziła jej ogromne zainteresowanie. W końcu postanowiła przystanąć w cieniu, za gromadką rozgadanych nastolatek. Oparła się o słup, od niechcienia zerknęła na mężczyznę, a wtedy oddech uwiązł jej w gardle.

Nieznajomy patrzył prosto na nią. Z jego spojrzenia wywnioskowała, że doskonale wiedział, kim była, i niewątpliwie wyczuwał jej strach. Tym razem nie mogła oderwać od niego wzroku. Jego oczy skojarzyły się jej z bezdennymi studniami nienawiści i ciemności, a ona w nich tonęła. Serce Louisy waliło tak mocno, że aż ją rozboleło, a krew coraz wolniej krążyła w jej żyłach.

Louisa nie wspomniała Taylor, że zaprojektowała swoje tatuaże w porozumieniu z bardzo uzdolnionym alchemikiem. Każdy z nich miał silne właściwości ochronne, całość zaś tworzyła tarczę przed ciemną mocą.

Louisa zaczerpnęła energię z grubych przewodów trakcji elektrycznej nad torami. Nagle odniosła wrażenie, że między nią a obcym wyrósł niewidzialny mur. Wrażenie chłodu ustąpiło

i dziewczyna ponownie poczuła ciepło słońca. Odetchnęła niepewnie, kiedy jej serce wznowiło normalną pracę.

Na stację wtoczył się pociąg, a mężczyzna na drugim peronie obdarzył ją niemal niezauważalnym uśmiechem i uchylił czapki. Moment później znikł za wagonami, a wyczerpana Louisa oparła się o kolumnę, mocno zaciskając pięści. Musiała porozmawiać z Aldrichem, i to natychmiast.

Sacha pchnął świeżo zainstalowane drzwi wejściowe, a te uchyliły się bezszelestnie. W pustym mieszkaniu panowała cisza.

Odkąd stwory zaatakowały Laurę, nie wydarzyło się nic godnego uwagi, a co najważniejsze, istoty nie powróciły. Matka żyła w przekonaniu, że doszło do włamania. Sacha wytłumaczył Laurze, że kłamstwo jest najlepszym rozwiązaniem.

– Mama nigdy ci nie uwierzy, jeśli wyjawisz jej prawdę – zauważył.

Firma ubezpieczeniowa zapłaciła za nowe drzwi. Wszyscy się zgodzili, że są lepsze od poprzednich, na dodatek wyposażono je w dwa razy więcej zamków. Już na pierwszy rzut oka wyglądały na mocniejsze.

Stukot kroków Sachy odbił się głuchym echem od ścian w krótkim korytarzu. Matka wzięła dziś dyżur, a Laura była w szkole, więc Sacha nie miał się z kim pożegnać

Na to właśnie liczył.

Czekał kilka dni na instalację i przetestowanie nowych drzwi. W tym czasie zdążył spotkać się z Antoine'em i przekazać mu dość gotówki, żeby przekonać go, by na jakiś czas wyjechał z miasta, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Sacha pozalałwiał już najważniejsze sprawy, więc postanowił opuścić Paryż. Annie na niego czekała, a im dłużej zwlekał, tym bardziej było prawdopodobne, że stwory powrócą.

Od śmierci ojca ani razu nie odwiedził ciotki. Miła perspektywa wizyty u niej była zaprawiona kroplą gorzycy. Uwielbiał dom Annie,

ale kojarzył mu się z ojcem, bez którego nic nie mogło być takie jak dawniej. Poza tym Sacha dorósł, więc nie interesowało go już włożenie na drzewa w sadzie ani pluskanie się w jeziorze.

Tym razem musiał walczyć o przeżycie.

Poruszając się z mechaniczną precyzją, wypełnił ubraniami niewielką torbę i wrzucił do niej notatnik ojca oraz wydruk mapy z dojazdem. Do zapinanej wewnętrznej kieszeni wsunął gruby plik banknotów.

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia przed wyjazdem. Jedna, ale za to najtrudniejsza.

Wyjął czystą kartkę z szuflady biurka i przez długą chwilę siedział nieruchomo, z długopisem uniesionym nad białym papierem. Wreszcie zaczął powoli pisać, starannie dobierając słowa.

Droga Maman i Lauro,

czytacie te słowa już po moim wyjeździe. Nie próbujcie mnie szukać, bo zamierzam się ukrywać dla Waszego bezpieczeństwa. Dopóki pozostaję tutaj, obie jesteście zagrożone. Gdyby cokolwiek Was spotkało z mojego powodu, nigdy bym sobie tego nie darował.

Będę się z Wami kontaktował jak najczęściej. Nie martwcie się o mnie.

Kocham Was

Sacha

Mrugając, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy, złożył list i wsunął go do dużej koperty, do której włożył także pozostałą gotówkę. Potem zaniósł wypchaną kopertę do pokoju gościnnego i położył ją na stoliku, żeby matka na pewno jej nie przeoczyła.

Usiłował wmawiać sobie, że pieniądze zmienią wszystko na lepsze, ale wiedział, że to nieprawda. Kiedy rodzina składa się z zaledwie trzech osób, utrata jednej jest ciosem, po którym nie sposób się podźwignąć, i nic nie może tego zmienić.

Słyszał znajome odgłosy miejskiego poranka – szum samochodów za oknami, szczekanie psa w pobliżu. Mimo to czuł, że nabiera dystansu do tego miejsca, jakby już nie mieszkał w Paryżu. Z zaciśniętymi zębami sięgnął po torbę i kask.

W drzwiach odwrócił się i po raz ostatni obejrzał za siebie. Chciał zapamiętać mieszkanie w świetle wpadających przez okno promieni letniego słońca. W pokoju gościnnym znowu panował porządek, bo matka Sachy wróciła ostatnio na dzienną zmianę. Solidny stół kuchenny, przy którym kłócili się i śmiali podczas niezliczonych posiłków, stał teraz pusty, jakby czekał na następny raz. Sacha westchnął ciężko.

„A jeśli już nigdy tego wszystkiego nie zobaczę?”, przyszło mu do głowy. Nawet nie chciał o tym myśleć. Musiał tu wrócić. Musiał przeżyć.

Otarł oczy grzbietem dłoni i zamknął za sobą drzwi.

Wyjazd z Paryża okazał się najtrudniejszy. Na drogach panował tłok, a po opuszczeniu swojej dzielnicy Sacha omal się nie zgubił. Kilka razy skręcił nie tam, gdzie trzeba, i musiał zawracać. Często zerkał do lusterek, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, lecz ani razu nie zauważył tego samego samochodu.

Gdy tylko opuścił wielkowiejską płataninę ulic, jezdnie zrobiły się szersze i poczuł się nieco bezpieczniej. Znajomy, niemal zwierzęcy ryk silnika działał na niego kojąco. Sacha dodał gazu i pochylił się nad kierownicą. Czuł moc maszyny pod sobą. Wiatr owiewał go z ogromną siłą, przez co jego kurtka chrzęściła i trzeszczała. Mijane przedmieścia wyglądały jak rozmazane smugi.

Dwie godziny po dotarciu do autostrady znalazł się na rogatkach uroczego miasteczka Troyes. Pamiętał je z dzieciństwa, więc widok

przechylonych budynków z muru pruskiego w centrum miasta był dla niego niczym podróż w przeszłość – z tą różnicą, że teraz wszystko wydawało się znacznie mniejsze. Na rogatkach zatrzymał się, żeby zatankować.

O tej porze roku roiło się tu od rodzin, które uciekały z miast. Wszędzie pełno było ludzi, dzieci biegały bosy po asfalcie, rodzice krzyczeli do nich *Arrete*²!. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na nastolatka na motorze.

Słońce mocno przypiekało, więc Sacha spocił się pod kaskiem. Odgarnął wilgotne kosmyki, które wpadały mu do oczu, kiedy pochylał się nad mapą. Od tego miejsca trasa była bardziej skomplikowana. Nie tracił czujności, choć nie zauważył nic, co mogłoby wskazywać na to, że ktoś go śledzi. Najwyraźniej udało mu się skutecznie umknąć.

Kilka kilometrów od stacji benzynowej zjechał z głównej drogi na wąską wiejską dróżkę, która wiła się przez gęsty las. Po pewnym czasie okolica zaczęła wyglądać bardziej znajomo i wkrótce Sacha ujrzał pola purpurowej winorośli na łagodnych wzgórzach, tu i tam upstrzonych wieżami kościelnymi o spiczastych wierzchołkach, które z oddali przypominały kapelusze czarownic. Rozpoznał skrzyżowanie, na którym skręcał do domu Annie, ale droga okazała się bardziej wyboista, niż to zapamiętał. Musiał zwolnić i bardzo ostrożnie lawirować wśród zdradliwych dziur.

Wąska droga gruntowa pomiędzy dwiema rozległymi winnicami kończyła się przy skupisku czterech kamiennych budynków. Dom Annie był najbardziej oddalony i stał tak blisko pola, że niemal stanowił jego element. Kiście pokaźnych zielonych winogron zwisały ze starego muru i wręcz wdzierały się do ogrodu.

Sacha zaparkował przed domem i zgasił silnik. Cisza, która nagle zapadła, była ogłuszająca. Dopiero kiedy się z nią oswoił, zwrócił uwagę na szelest winorośli, pobrzękiwanie dzwoneczków wietrznych przy drzwiach i krakanie wron.

Zdejmował kask, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i na ganku stanęła wysoka, chuda kobieta ze ściereczką do naczyń w dłoni. Miała kruczoczarne, krótko przycięte włosy i intensywnie błękitne oczy.

Na widok twarzy ukochanej ciotki Sacha natychmiast poczuł się lepiej.

– Cześć, ciociu! – Uśmiechnął się do niej szeroko. – Mogę wpaść z wizytą?

– Sacha! Udało ci się! – Podbiegła, żeby go uściskać. – Trudno mi uwierzyć, że tu jesteś. Minęło tyle czasu...

Mówiła po francusku z lekkim brytyjskim akcentem – podobnie jak jej brat, dwadzieścia lat temu przeprowadziła się do Francji z Wielkiej Brytanii.

Serdecznie przytuliła Sachę. Tak jak zapamiętał, pachniała mydłem lawendowym i świeżym powietrzem. Odchyliła się, żeby ponownie na niego popatrzeć, a gdy się uśmiechnęła, w kącikach jej oczu dostrzegł kurze łapki. Słońce podkreśliło nieliczne srebrne pasemka w czarnych włosach ciotki. Nie było ich, kiedy ostatnio się widzieli.

– Proszę, proszę! Ale wyrosłeś. Teraz wyglądasz kubek w kubek jak... – Zawiesiła głos i uśmiechnęła się ponownie, jednak tym razem dostrzegł cień smutku na jej twarzy. – Wejdz koniecznie, musisz mi opowiedzieć wszystko po kolei.

– To długa historia. – Jego uśmiech również przygasł.

Annie poklepała Sachę po ramieniu.

- Czasu mam pod dostatkiem – oświadczyła pogodnie.

Wnętrze starego wiejskiego domu wyglądało tak jak zawsze. W dużym, jasnym salonie stały te same wytarte skórzane fotele, na regałach tłoczyły się książki, a tu i tam można było dostrzec pęczki ziół i bukiety zasuszonych kwiatów. Zwinięty na sofie czarny kot otworzył złociste oko i badawczo przyjrzał się gościowi.

- Nic się nie zmieniło – oświadczył Sacha z zadowoleniem.

- Dlaczego cokolwiek miałyby się zmienić? – Annie wskazała na fotel. – Usiądź, a ja zaparzę kawy. Potem porozmawiamy.

Gdy otworzyła drzwi kuchenne, do pokoju wpadł mały brązowy pies bliżej nieokreślonej rasy i z zachwytem rzucił się na Sachę, wysuwając długi jęzor.

- Pikachu! – Sacha popatrzył na niego z niedowierzaniem. – To on jeszcze żyje?

- Może nie jest taki szybki jak kiedyś, ale jeszcze się trzyma. – Annie stała na progu kuchni, z czułością wpatrując się w bratanka i psa.

Sacha ukląkł i mocno przytulił mieszańca.

- Pika. Nie wierzę własnym oczom – wymamrotał z nosem wciśniętym w krótką, gładką sierść za jego uszami.

Pikachu delikatnie polizał go po twarzy. Przybłąkał się do Annie kilkanaście lat temu, a kiedy Sacha w dzieciństwie przyjeżdżał do ciotki, pies nie odstępował go nawet na krok.

Kilka minut później Annie wróciła z tacą, na której przyniosła kawę i owoce. Sacha odkaszlnął i puścił psa. Ciotka przegoniła kota z sofy, usiadła na jego miejscu i podała parujący kubek bratankowi, po czym popchnęła w jego kierunku półmisek z ciastkami i plastrami brzoskwini.

- A teraz opowiadaj - zażądała. - Czy twoja mama wie, że tu jesteś? Muszę wiedzieć, co mówić, gdyby zadzwoniła.

Pokręcił głową i zacisnął dłonie na ciepłym kubku.

- Nie może się dowiedzieć. Jeśli ktoś ją o tym poinformuje, pewnie będzie chciała przyjechać, a to ryzykowne. Nie chcę narażać na niebezpieczeństwo jej ani Laury. Dla własnego dobra muszą się trzymać jak najdalej ode mnie - dodał z nutą gorczy w głosie.

- Bardzo chciałabym cię zapewnić, że to nieprawda - westchnęła Annie ze smutkiem, a płytkie zmarszczki na jej twarzy wyraźnie się pogłębiły. - Czy ci mężczyźni ponownie złożyli ci wizytę?

- Nie - zaprzeczył. - Nie pokazali się po tym, jak wybili drzwi, ale czuję, że mnie znajdują. - Odstawił kubek na stolik i potarł dłońmi nogawki dżinsów. Ręce mu się pocily na samą myśl o tych istotach. - Ciebie też nie chcę narażać, więc długo nie zostanę. Przez kilka dni pewnie będziemy mieli spokój, ale na tym koniec.

- Nie przejmuj się mną. - Annie mocno zacisnęła usta. - Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Wbrew pozorom jestem ulepiona z twardej gliny. - Sacha chciał zaprotestować, ale uniosła rękę, nie dopuszczając go do głosu. - Lepiej powiedz mi o nich coś więcej, żebym wiedziała, na czym stoję.

Wyjaśnił ciotce, jak wyglądają, opisał ich dziwne, szerokie uśmiechy, ciemne włosy, zapadnięte oczy, a także towarzyszący stworom zapach śmierci.

- Potrafią wywołać halucynacje - dodał. - Pokazują straszne wizje. Poza tym przy nich człowiek traci wolę walki i godzi się ze swoim losem.

- Twój ojciec podejrzewał, że coś takiego się zdarzy przed twoimi osiemnastymi urodzinami. Wczoraj wieczorem znalazłam jego stare

zapiski. Bał się, że ktoś spróbuje cię odnaleźć i sprawdzić, na co cię stać. Podobno Adam znalazł dowody, że to właśnie spotkało twoich poprzedników. – Opuściła wzrok na kubek. – Planował waszą ucieczkę, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Chciał wywieźć cię jak najdalej.

– A co do tych istot... – Sacha się zawahał. – To one zabiły tatę?
Annie długo milczała.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Ale śmierć twojego ojca z całą pewnością nie była dziełem przypadku. Wiedział, że ktoś chce go dopaść. Bał się, więc przed ostatnim wyjazdem wysłał wszystkie swoje papiery do domu. Chciał mieć pewność, że jego praca nie pójdzie na marne. Napisał do mnie list, który dostałam razem z pudełkiem. Prosił, żebym w razie czego zaopiekowała się jego dorobkiem. Dla ciebie.

Sachę ogarnął dojmujący ból przemieszany z niepohamowaną wściekłością. Postanowił, że zgładzi te stwory, jeśli to one zabiły jego ojca. Wierzył, że znajdzie jakiś sposób, nawet za cenę własnego życia. Musiał jednak postępować rozsądnie. Istoty były silne, więc powinien dowiedzieć się czegoś więcej – zarówno o nich, jak i o tym, co udało się ustalić jego ojcu.

– W takim razie czeka mnie fura roboty – zauważył.

Annie odstawiła kawę i skinęła na niego ręką.

– Chodź ze mną – powiedziała krótko.

Podążył za nią po skrzypiących drewnianych schodach na piętro. Annie otworzyła jedne z drzwi na szerokim, pogrążonym w półmroku korytarzu i pociągnęła za sznurek. W słabym świetle żarówki ukazały się strome stopnie na strych.

Pod wysokim, spadzistym dachem znajdowało się okrągłe okienko. Wpadające przez nie promienie słońca rozjaśniały otwarte pomieszczenie wyłożone chropowatymi deskami. Na środku strychu stało imponujące biurko z błyszczącego mahoniu. Po obu stronach mebla Sacha ujrzał dwie identyczne biblioteczki, całkowicie wypełnione książkami.

Miał wrażenie, że nogi przyrosły mu do starej, dębowej podłogi. To było biurko ojca, jego biblioteka. Cały gabinet. Wszystko wydawało się ustawione w takim samym porządku jak przed laty w ich domu na wsi.

– Zachowałeś jego rzeczy – wyszeptał Sacha.

Annie stanęła przy biurku, uważnie wpatrując się w bratanka.

– Co do jednej – przytaknęła.

– Opisz to jeszcze raz. – Louisa hałaśliwie odstawiała filiżankę, niemal rozlewając kawę. – Tych, co zaatakowali Sachę. Co mówił o ich wyglądzie?

Niedawno zakończyły trening nad strumieniem. Tym razem Taylor udało się nie zniszczyć żadnych obiektów użyteczności publicznej, co postanowiły uczcić ciastkiem i kawą w Kofeinowym Transie.

Zajęcia powoli zamieniały się w rutynę. Teraz Louisa bywała w Woodbury codziennie. Wyjaśniła Taylor, że to z powodu konieczności intensywniejszego szkolenia, co po części było prawdą. Nie dodała jednak, że zjawia się także ze względu na mrocznego wyznawcę, którego dostrzegła na stacji.

Kiedy zawiadomiła Aldricha o tym, co zaszło, natychmiast posłał ją z powrotem do Woodbury, a wraz z nią skierował tam jeszcze kilka osób z kolegium. Obecnie na zmianę obserwowali dom Taylor, w dzień i w nocy, czekając na to, co się wydarzy.

Tyle tylko, że wnuczka Montclaira nie miała o tym pojęcia, gdyż Aldrich chciał porozmawiać z nią osobiście.

– Możesz być nieco... za mało dyplomatyczna – oświadczył ostrożnie podczas pogawędki z Louisą. – Ta sprawa wymaga ogromnej delikatności. Taylor musi być świadoma tego, co się dzieje, jednak nie wolno jej straszyć.

– Jasne – odparła. – Ale powinna wiedzieć. Ten gość, wszystko jedno, co to za jeden, kipiał mocą. Mogłabym się założyć, że to, co się teraz dzieje, to jego sprawka. – Zacisnęła pięści na wspomnienie tego,

jak bezbronna i wystraszona się przy nim poczuła. – Musimy go znaleźć, i to szybko.

– Zostaw to mnie – powiedział Aldrich. – Ty skup się na tym, żeby zapewnić Taylor bezpieczeństwo.

Z tego względu Louisa przyjeżdżała dzień po dniu, żeby obserwować jej zmagania. Jedno było pewne: dziewczyna również kipiała mocą. Bez problemu przychodziło jej to, co Louisa w jej wieku musiała okupić godzinami nauki.

„Na litość boską, Taylor wysadziła linię wysokiego napięcia!”

Louisa wątpiła, czy potrafiłaby dokonać czegoś w tym stylu, nawet gdyby chciała, tymczasem Taylor zrobiła to mimochodem. Wymagało to od niej mniej więcej takiego wysiłku jak przewrócenie szklanki.

Problem polegał na tym, że nadal tego nie kontrolowała. Potrzebowała czasu, żeby znaleźć energię w otoczeniu i z niej skorzystać. Instynktownie czerpała ze swojej mocy, co było typowe dla nowicjuszy – każdy wymagał praktyki. Tyle tylko, że Taylor musiała uczyć się szybciej.

Czas był luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić.

Louisa wiedziała o tym, ale na razie nic się nie zdarzyło – mroczny wyznawca nie pojawił się od incydentu na stacji. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zagrożenie.

Atmosfera była całkiem przyjazna, dopóki Taylor nie zdradziła Louisie, co powiedział jej Sacha podczas wieczornej pogawędki przez internet.

– Wyjechał z Paryża – powtórzyła. – A teraz ukrywa się gdzieś na wsi, u ciotki. Podobno te stwory przyszły do niego i zaatakowały jego rodzinę. Mają blade kościotrupie twarze i dziwnie się poruszają. Sprawily, że miał zwidy, zobaczył jakieś okropieństwa...

– Jakie okropieństwa?

– Bo ja wiem... Miał wizje, halucynacje. Mówił, że... – Taylor na moment umilkła. – Podobno czuł się przy nich tak, jakby miał umrzeć.

Louisa zacisnęła usta.

– I powiedzieli: „Trzymaj się z daleka od dziewczyny”?

Taylor skinęła głową.

– Nie tylko. Któryś z nich oznajmił, że przybyli, by go dokądś zabrać, bo tak głosi prorocstwo.

Louisa przesunęła się na krześle, wyciągając przed siebie muskularne nogi, a potem zapatrzyła się na sufit, jakby tam mogła znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Aldrich nie chciał, żeby wystraszyła Taylor, ale... Cholera, sytuacja była naprawdę zła.

Uznała, że przydałoby się więcej kawy. Taylor przypatrywała się jej uważnie.

– Wiesz, co to za jedni – domyśliła się. – Wiesz, co to wszystko oznacza.

Louisa ponownie się wyprostowała.

– To zwiastuni – oznajmiła.

– Zwiastuni? – Taylor zamruwała. – Nie bardzo... A kim oni są?

„To potwory, odrażające potwory z sennych koszmarów, powołane do życia tylko po to, żeby nas zgładzić”, pomyślała Louisa, ale nie powiedziała tego na głos.

– Są omenem – oświadczyła.

– Jakim znowu omenem? – Taylor przeszywała ją wzrokiem.

„Wiadomo, że złym”, pomyślała Louisa.

– Trudno to wyjaśnić. – „Tak, żeby nie wystraszyć cię na śmierć”, dodała w duchu. – W każdym razie nie są ludźmi, a nawet... nie istnieją naprawdę. Powiedziałabym, że to pomocnicy, czy też słudzy.

Mroczni wyznawcy wykorzystują ich, kiedy chcą zdobyć to, czego potrzebują: coś albo kogoś. Te stwory nie przyjmują odmowy do wiadomości. Sama nigdy żadnego nie widziałam, ale krążą o nich okropne opowieści. – Odetchnęła głęboko. – Ich obecność źle wróży, blondyno. Naprawdę źle. Kimkolwiek jest ten mroczny wyznawca, z pewnością szykuje jakiś grubszy numer, skoro ściągnął zwiastunów. – Odgarnęła z oczu pasemko jaskrawoniebieskich włosów. – Ale to już chyba wiemy.

– A wiesz może, komu służą? I czego ten ktoś chce?

Taylor uważnie wpatrywała się w Louise przezrzystymi, zielonymi oczami, w których widać było troskę i niepokój. Nadszedł czas wyjawić jej prawdę.

– Naszym zdaniem chce dopaść Sachę – oznajmiła Louisa bez ogródek. – Najprawdopodobniej właśnie on pragnie, żeby proroctwo się spełniło i nastąpił koniec świata. Zapewne wierzy, podobnie jak my, że jesteś w stanie powstrzymać tragedię, i z tego względu...

– Postanowił mnie powstrzymać – dokończyła Taylor.

– Za wszelką cenę.

– Innymi słowy, zamierza mnie zabić.

Louisa skinęła głową.

– I chyba sprawi mu to frajdę.

Cóż, Aldrich miał słuszość, podając w wątpliwość jej zdolności dyplomatyczne.

Wpatrywały się w siebie ponad stołem w zalanej słońcem kawiarni. Ciche dźwięki bossa novy sączyły się przez głośniki pod sufitem.

– To mniej więcej podsumowuje sprawę. – Louisa upiła łyk kawy. – Dziękuję za uwagę i zapraszam do wysłuchania następnych wiadomości z kraju i ze świata.

Taylor wyraźnie spochmurniała.

– Nie rozumiem, jak możesz być taka... obojętna, kiedy chodzi o ważne sprawy. Ty też zginiesz, jak przyjdzie co do czego.

– Nie jestem obojętna – warknęła Louisa. – Staram się zachować spokój, żebyś nie spanikowała. – Spiorunowała Taylor wzrokiem. – Nie sposób cię podnieść na duchu.

– Jesteś najgorszą pocieszycielką, jaką w życiu spotkałam. – Taylor sięgnęła po wystygłą czekoladę i odwróciła wzrok.

– Dziękuję.

Louisa wzięła do ręki komórkę i wystukała wiadomość do Alastaira z laboratorium w Kolegium Świętego Wilfreda. Po chwili rzuciła aparat na stolik.

– O co chodzi? – Taylor wymownie popatrzyła na telefon.

– Dałam znać ludziom z kolegium, że zwiastuni są u bram. Moi koledzy z pewnością powitają ich z otwartymi ramionami – dodała z ironią Louisa, wyobraziwszy sobie, jak Alastair zareaguje na SMS-a.

– Ale przecież zwiastuni są we Francji. – Taylor postukała palcem w blat. – Tropią Sachę.

– Na razie tak. – Louisa skierowała na nią wzrok. – „Trzymaj się z daleka od dziewczyny”, pamiętasz?

Taylor pokiwała głową.

– Pamiętaj, że to są łowcy. Tym się zajmują. Wytropią każdego, Sachę w końcu też, bez względu na to, gdzie się zabunkrował. A potem znajdą ciebie.

Telefon Louisy zabrzczał, a gdy nacisnęła przycisk odbierania wiadomości, jej oczom ukazał się SMS od Alastaira: „Zwiastuni?? Niech to szlag. Jaja sobie robisz!!”.

– Tak więc Alastair już wie – oświadczyła pogodnie, gdy odpisała. – Nie przejął się zbytnio, ale będziemy potrzebowali wsparcia.

– Jakiego znowu wsparcia?

Louisa uśmiechnęła się, mrużąc groźnie oczy.

– Wsparcia godnego Kolegium Świętego Wilfreda – odparła.

– Ale co z Sachą? – Taylor pochyliła się ku niej. – Przecież on tam jest całkiem sam.

– Do tej pory dobrze sobie radzi – zauważyła Louisa. – Musi być w ciągłym ruchu i nie wolno mu rzucać się w oczy. Wygląda na to, że wie, co robi.

– Nie powinniśmy mu pomóc? Wypadałoby go jakoś chronić.

W jej głosie dało się słyszeć błagalną nutę. Taylor doszła do wniosku, że zwiastuni mogą łatwo dopaść Sachę, a wtedy nie będzie miała okazji go uratować.

Dziadek musiał opracować plan działania, i to niezwłocznie.

– Coś wymyślimy – obiecała jej Louisa. – Sytuacja jest tylko trochę... skomplikowana. Do niedawna nawet nie podejrzewaliśmy, że pewne rzeczy mogą się okazać prawdą. W tej chwili pięcioro naszych ludzi siedzi w Bibliotece Bodlejańskiej i poszukuje informacji. Kolejni ślęczą nad naszymi własnymi książkami. – Odetchnęła głęboko. – Poradzimy sobie.

Zbliżał się czas zamknięcia lokalu, który już prawie całkiem opustoszał. Obsługa zabrała się do sprzątnięcia za ladą, porządkując wszystko na koniec dnia. Nikt nie zwracał uwagi na dwie dziewczyny, które siedziały w kącie przy oknach i półgłosem rozmawiały o demonach.

– Dziadek wydaje się przekonany, że sobie poradzimy – zauważyła Taylor. – Jego zdaniem uratujemy Sachę. Też chciałabym być tego taka

pewna.

Louisa zmarszczyła brwi.

– Aldrich jest najlepszy. Jeśli ktokolwiek ma szansę w tej bitwie, to tylko on, ale nie zamierzam mydlić ci oczu. Będzie niebezpiecznie. Naprawdę bardzo niebezpiecznie.

Taylor z wysiłkiem przełknęła ślinę. Czy sytuacja naprawdę mogła być groźniejsza niż teraz? Niż w Paryżu?

Louisa rozmyślała przez moment, z roztargnieniem stukając krawędzią krótkiego paznokcia o filiżankę.

– Chciałabym zabrać cię z Woodbury i wywieźć do kolegium – wyznała wreszcie. – Tyle tylko, że musimy cię tu trzymać najdłużej jak się da. Gdy tylko się stąd wyniesiesz, ten, kto za tym wszystkim stoi, uświadomi sobie, że jest na celowniku. Wtedy może się zrobić paskudnie.

– Dlaczego w kolegium miałabym być bezpieczna? – spytała Taylor.

– Zastanów się nad tym, co robimy – powiedziała Louisa. – Manipulujemy energią na poziomie molekularnym, zgadza się?

Taylor skinęła głową.

– W grupie możemy stworzyć coś w rodzaju zasłony dymnej, dzięki której staniesz się praktycznie niewidzialna dla otoczenia.

Taylor zamrugnęła. Na widok jej miny Louisa wzruszyła ramionami.

– To wcale nie takie trudne – mruknęła. – Nauczę cię.

Jej telefon ponownie zabrzączał. Gdy go podniosła i wcisnęła przycisk, na ekranie pojawił się obraz. Louisa skrzywiła się wymownie i zerknęła na Taylor.

– Poprosiłam kumpli o podesłanie mi podobizny zwiastuna – wyjaśniła. – Powinnaś wiedzieć, z kim masz do czynienia.

Po tych słowach odwróciła komórkę.

Na ekranie widniała czarno-biała ilustracja z bardzo wiekowej książki. Taylor zauważyła pożółkły papier i rozmyty ze starości tusz, niemniej rysunek był wyraźny. Przedstawiał postać o kościotrupiej głowie, zapadniętych czarnych oczach i upiornym uśmiechu kojarzącym się ze szczerzącą zęby czaszką.

Taylor zbladła jak kreda.

– Tak wygląda zwiastun?

Louisa skinęła głową.

– Odrażający sukinsyn, nie? – odpowiedziała pytaniem.

– Jasna cholera. – Taylor odchyliła się na krześle.

– Ależ panno Taylor Montclair, niedościgniony wzorcu cnót wszelakich. Czyżbyś zakłęła w miejscu publicznym? – ucieszyła się.

– Zamknij się, Louisa.

– Przy mnie jeszcze wyjdiesz na ludzi – odparła Louisa ze śmiechem.

Po wyjściu z kawiarni Taylor biegiem pokonała drogę do domu.

Louisa robiła, co mogła, żeby podtrzymać ją na duchu. Obiecała, że ekipa od Świętego Wilfreda będzie obserwowała jej dom i miała na nią baczenie, ale rozmowa i tak wytrąciła Taylor z równowagi. Nadal miała przed oczami obraz zwiastuna o pustych oczach.

Dochodziła siódma, gdy dotarła w okolice domu. Na ulicach panował spokój, wszystko wydawało się zupełnie zwyczajne. Kiedy Taylor skręciła z głównej drogi w boczną uliczkę, przy której mieszkała, poczuła się tak, jakby ktoś wbijał jej zimne szpilki w plecy. Przypomniała sobie, że kilka tygodni temu dokładnie w tym miejscu przeżyła to samo. Na tę myśl włosy zjeżyły się jej na karku.

Ktoś ją obserwował – nie wątpiła w to, choć nie wiedziała, skąd w niej ta pewność. Próbowwała wmawiać sobie, że to wyobraźnia płata

jej figła. Gdy ostatnim razem dopadło ją to przeczucie, nic złego się nie wydarzyło – po prostu Georgie chciała sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

A jednak lęk nie ustępował. Taylor starała się iść spokojnym krokiem, z uniesioną głową i spojrzeniem skierowanym przed siebie, ale miała ciarki na całym ciele. Niewątpliwie ktoś się jej przypatrywał – co więcej, patrzył na nią z niepohamowaną nienawiścią, od której żołądek podchodził jej do gardła.

Nie mogła tego dłużej znieść. Odwróciła się gwałtownie i uniosła pięści, ale długa ulica wydawała się zupełnie pusta. Po jezdni wolno przetoczył się samochód z rodziną, która nie zwróciła na Taylor najmniejszej uwagi.

Taylor doszła do wniosku, że popada w paranoję.

Kiedy w końcu dotarła do domu i zamknęła za sobą drzwi na klucz, oparła się o nie z ulgą, usiłując uspokoić oddech. Fizz, która kręciła się u jej stóp, kilka razy szczeknęła z radości. Taylor podniosła sukę i mocno ją przytuliła. Czuła pod opuszkami palców bicie małego serca zachwyconego psa.

Puls Taylor zaczął nieco zwalniać.

– Jest ktoś w domu, Fizz? – zapytała.

W odpowiedzi pies polizał ją po nosie.

– Mamo? – krzyknęła w stronę schodów. – Emily?

Jej głos odbił się tylko od ścian i ponownie zapanowała głucha cisza.

– Dokąd poszły, Fizz? – zapytała Taylor, upuszczając torbę.

Suka biegła wesoło, coraz bardziej zachwycona kolejnymi pytaniami, a Taylor weszła do salonu i usiadła na krześle przy oknie, odsuwając zasłonę tak, żeby widzieć ulicę. Na dworze nie zauważyła

nikogo z wyjątkiem wytworzonego siwowłosego mężczyzny w czapce z daszkiem.

Nadal go obserwowwała, kiedy w pewnej chwili rozległo się natarczywe brzęczenie telefonu. Natychmiast opuściła zasłonę i spojrzała na ekran.

– Cześć, dziadku – odezwała się do komórki.

– Witaj, moja droga – powiedział Aldrich. – Właśnie rozmawiałem przez telefon z Louisą. Jak rozumiem, Sacha zadarł ze zwiastunami. Co za ohydne stwory.

Taylor nie zamierzała protestować.

– Posłuchaj, Taylor – ciągnął dziadek. – Obecność zwiastunów do pewnego stopnia zmienia sytuację. Nie wiem, co ci naopowiadała Louisa, ale nikt żywy nie walczył jeszcze z tymi istotami. Co więcej, już od stu lat nie widziano żadnej z nich. – Odchrząknął. – Jeśli jednak książki nie kłamią, to bardzo nieprzyjemne monstra.

– Piękne nie są – zgodziła się Taylor.

– Ich wygląd to najmniejszy problem – odparł Adrich. – Zwiastuni są dla ludzi toksyczni. Sama ich obecność jest trująca. Niestety, nie wiadomo, jak ich zgładzić.

– Och.

Nowiny były coraz gorsze. Sachę ścigały potwory, z którymi nie dało się walczyć? Jak miała go uratować? Czy ktokolwiek był w stanie to zrobić?

– Twój dom znajduje się pod obserwacją, lecz mimo to chciałbym, żebyś w sobotę znowu przyjechała do Oksfordu – dodał jej dziadek. – Zapoznamy cię z sytuacją. Możesz nadal trenować z Louisą, ale tutaj będziesz bezpieczna i spokojnie zastanowimy się co dalej. Być może

trzeba zmienić taktykę. Wszystkim nam grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Tego samego wieczoru Sacha zasiadł za biurkiem na strychu i zajął się przeglądaniem dokumentów ojca, w których mogły znajdować się interesujące go informacje. Okazało się to niełatwe – jak wszystko, co było związane z Adamem Wintersem.

Przeglądając archiwum ojca, Sacha miał wrażenie, że wskoczył w sam środek niezrozumiałego filmu. Jedna teczka nosiła tytuł: „Znane osiemnastowieczne przypadki śmierci”. Na innej widniał napis: „Czyny Braterstwa”.

Zawartość teczek również niewiele wyjaśniała. Zapiski ojca zwykle były enigmatyczne.

„Pamiętaj o stronie 930”, głosił jeden.

„Możliwość wojny krwi???” brzmiał inny.

Po pewnym czasie Sacha dał sobie spokój z teczkami i postanowił skupić się na książkach. Podszedł do jednej z dużych mahoniowych biblioteczek i przesunął palcami po grzbietach woluminów, poszukując czegoś, co pomogłoby mu lepiej zrozumieć badania ojca. Większość książek była bardzo stara. Niektóre oprawiono w skórę, inne miały okładki z twardych, wyglądających jak drewno płytek.

Sacha wyjął pierwszą lepszą pozycję i przekonał się, że poświęcono ją osiemnastowiecznym metodom uprawy roli we Francji. Czcionka liczącego sobie ponad sześćset stron tomu była bardzo drobna, a światło między wersami minimalne. Przewertowawszy go, Sacha odłożył go na półkę, a potem jeszcze przez kilka godzin oglądał resztę

księgozbioru, poszukując notatek, znaków, czegokolwiek, co by się wyróżniało.

Książki pochodziły głównie z końca XVII wieku, ale poza tym nie wydawały się ze sobą powiązane. W jednej znalazł zbiór pożółkłych map południowej Francji, w innej protokoły rozpraw sądowych z francuskiego miasta Carcassonne. Było tu również wiele akademickich opracowań dotyczących procesów czarownic. Któraś okazała się bardzo starym przewodnikiem turystycznym z ręcznie nakreślonymi szkicami krajobrazów francuskiej wsi.

Nie natrafiwszy na praktycznie żadne elementy łączące książki, po trzech godzinach Sacha odnotował tylko jedno słowo: „Carcassonne”.

Gdy zapadł mrok i na niebie za okrągłym oknem na strychu pojawiły się gwiazdy, był bliski paniki. Zostało mu bardzo niewiele czasu. Nawet gdyby udało mu się przechytrzyć stwory i spędzić cały czas przy książkach ojca, nie miał szans przeczytać ich wszystkich przed osiemnastymi urodzinami. Biblioteka składała się z setek tytułów.

Nie mógł jednak dać za wygraną. Musiał szukać dalej, gdyż odpowiedzi znajdowały się na wyciągnięcie ręki, tuż obok.

Zdjął z półki następną książkę i zaczął od początku.

W pewnym momencie musiał zasnąć przy pracy. Obudził się z policzkiem mocno przyciśniętym do blatu biurka i zdrętwiałą szyją. Jasne światło słońca wpadało do pomieszczenia przez okrągłe okno.

Wyprostował się powoli i rozmasował kark. Słyszał krzątającą się po kuchni ciotkę, a powietrze wypełniała słodka woń pieczonego ciasta.

Sztywnym krokiem powędrował do łazienki, gdzie doprowadził się do porządku przed pójściem do kuchni na spotkanie z Annie.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie na jego minę, żeby wcisnąć mu w dłoń kubek mocnej, słodkiej kawy, a następnie odkroić gruby kawał miękkiej, ciepłej brioszki, prosto z piekarnika. Poczekala, aż Sacha zje rozpływające się w ustach ciasto, zanim zadała oczywiste pytanie.

– Poszczyściło ci się?

Ponuro pokręcił głową.

– Strasznie tego dużo – westchnął.

Annie nie wydawała się zaskoczona.

– Miałam ten sam problem – odparła. – Twój ojciec nie wyrzucał niczego, co wydawało mu się przydatne. Niestety, w żaden sposób nie wskazał, dlaczego uznał pewne rzeczy za warte zachowania.

Zajęła się przecieraniem idealnie czystego blatu. Słońce zza szerokich kuchennych okien podkreślało jej wyraziste kości policzkowe i nadawało oczom szafirową barwę.

– Wiem, że sobie poradzisz – powiedziała z przekonaniem. – Musisz jednak uzbroić się w cierpliwość.

– Problem w tym, że nie sporządził notatek w jednym miejscu. – Sacha nie próbował ukrywać frustracji. – Coś zapisał tu, coś tam i teraz trudno się w tym połapać.

Annie wyjęła pusty kubek z jego dłoni i ponownie go napełniła, w połowie mocną, czarną kawą, w połowie gorącym mlekiem.

– Bardzo kochałam brata, ale muszę przyznać, że nie umiał się zorganizować – wyznała. Zamyślona, oparła się o blat. – Miał pojemny umysł i przechowywał w nim to, co go interesowało. Dlatego teraz masz tyle roboty. – Złożyła ściereczkę w zgrabny prostokąt i umieściła ją przy zlewie. – Postaraj się myśleć jego kategoriami. Z całą pewnością nie skupiłby się na największej księdze ani na najoczywistszym

rozwiązaniu. Szukaj czegoś niedużego, co wydaje się nieistotne. Niech to będzie twój punkt wyjścia. Zobaczymy, jak ci pójdzie.

– Postaram się – obiecał Sacha.

Jednak w głębi serca wcale nie był pewien, czy ma w sobie wystarczająco dużo z Adama Wintersa, żeby mu się to udało.

Po śniadaniu Annie poszła pracować w winnicy, gdzie już czekał na nią nadzorca. Zabrała ze sobą Pikachu, więc Sacha został sam z książkami ojca.

Kiedy usiadł za biurkiem na strychu, nie od razu zabrał się do czytania. Na początek uruchomił telefon, który przez większość czasu był wyłączony – Sacha wiedział, że aparaty telefoniczne można bez trudu namierzyć, dlatego sprawdzał wiadomości tylko raz dziennie. Musiał wiedzieć, czy ktoś z domu nie próbował się z nim skontaktować. Dom... Wyjechał zaledwie poprzedniego dnia, a już miał wrażenie, że minęła wieczność.

Telefon zabrzączał, zupełnie jakby ożył, a potem pisnął donośnie. Przenikliwy, nowoczesny dźwięk nie pasował do starego wiejskiego domu.

Matka i Laura zostawiły po kilka SMS-ów. Wzdrygnął się, przeglądając ich treść, bo słowa były pełne bólu. Najbliższe Sachy osoby wyraźnie się o niego bały.

Sieć komórkowa ledwie obejmowała zasięgiem tę okolicę, ale udało mu się odpisać.

„Jestem cały i zdrowy”, wystukał na klawiaturze. „Obiecuję, że wkrótce znowu się odezwę. Bisous³. S.”

Taylor przesłała jedną wiadomość, którą przeczytał na końcu.

Blade istoty, które cię naszły w domu, to „zwiastuni”. B. niebezpieczni łowcy. Znajdą cię. Daj znać, czy u ciebie OK. Całuję, T.

Znajdą cię.

Obrócił telefon w dłoni, czując narastający niepokój. Jeśli Taylor miała rację, pozostało mu nawet mniej czasu, niż zakładał. Jeszcze dzisiaj musiał się zorientować, co wiedział ojciec.

Z zaciśniętymi zębami skierował wzrok na biblioteczkę i sięgnął po jedną z książek.

Przez kilka godzin wytrwale pracował. Tylko na chwilę zszedł do kuchni po wodę i chleb z serem, które zabrał ze sobą na górę. Późnym popołudniem, po powrocie z winnicy, Annie zaniosiła mu miseczkę świeżych słodkich truskawek, które pochłonął podczas pracy.

– Całe miasto o tobie gada – oznajmiła ciotka i poklepała go po ramieniu. – Bratanek przypomniawszy sobie o mnie po kilku latach. Jean Claude z sąsiedztwa zakochał się w twoim motorze. – Zatrzymała się w drzwiach. – Twierdzi, że musiał kosztować majątek. Jak to możliwe, że twoją mamę było stać na coś takiego przy jej zarobkach?

– Sam go sobie kupiłem. – Sacha starał się mówić obojętnym tonem. – Znalazłem pracę, a poza tym trafiła mi się naprawdę dobra okazja.

– Hm. – Annie nie wydawała się przekonana, ale nie drążyła tematu.

Jedzenie go pokrzepiło, choć nic nie wskazywało na to, że książki zechcą wyjawić mu swoje tajemnice. Przed zachodem słońca blat biurka był wypełniony stertami papierów, a Sachę łupało w głowie. Szyję nadal miał zeszywniałą po drzemce i czuł, że umyka mu ostatnia szansa ratunku. Sytuacja stawała się beznadziejna. Jak miał w kilka godzin znaleźć rozwiązanie zagadki, nad którą jego ojciec głowił się latami?

Mimo to Sacha pracował dalej.

Dopiero późnym wieczorem, gdy przejrzał już dziesiątki grubych, zakurzonych ksiąg, wpadła mu w ręce cienka książeczka, tak mała i niepozorna, że niemal ją przeoczył. Coś jednak kazało mu po nią sięgnąć i zdjąć ją z półki.

Napis wytłoczony na wytartej skórzanej okładce był trudny do odczytania, więc Sacha musiał przyglądać mu się przez dłuższy czas, zanim zorientował się, jak brzmi tytuł.

La Famille de L'hiver.

Miał wrażenie, że jego serce na moment przestało bić.

L'hiver, czyli „zima”, było francuskim nazwiskiem jego rodziny. Przodkowie Sachy wiele pokoleń wcześniej zmienili je na Winters, po tym, jak wyemigrowali do Anglii.

– Pewnie mieli dość słuchania, jak wszyscy wyzywają nas od podrobów – żartował ojciec. Nazwisko czyta się „liver”, co po angielsku oznacza „wątrobę”.

Sacha podszedł do biurka i odsunął wszystko na bok. Zanim jednak zajrzał do książki, na chwilę zamknął oczy, modląc się, by było w niej coś, co mu się przyda.

Papier niemal rozpadał się w dłoniach, więc Sacha bardzo ostrożnie otworzył książeczkę. Pierwsze strony wydawały się puste, lecz kiedy chciał je przewrócić, okazało się, że są poskładane do środka. Delikatnie rozłożył kruchy, pożółkły papier, na którym ujrzał rozłożyste, ręcznie narysowane drzewo genealogiczne. Pokolenia sięgały kilkuset lat wstecz, ale wyglądało na to, że to jedynie zwykły zapis historii rodziny. Śluby, narodziny, zgony – dawno temu wszystko to skrzętnie odnotowano i połączono prostymi liniami, które zdążyły wyblaknąć.

Książka rozpoczynała się od 1643 roku. Pismo z zawijasami było trudne do odczytania, a najstarsze zapiski niemal zanikły. Mimo to w okienku na szczycie dało się odcyfrować imię i nazwisko: „Matthieu L’hiver”.

Na początku XIX wieku pismo zmieniło się na bardziej wyraźne, łatwiejsze do przeczytania. Zgodnie z przewidywaniami Sachy zmianie uległo również nazwisko – L’hiver przybrało formę Winters.

U podstawy drzewa Sacha zauważył zapis „Adam L. Winters”, wykonany znajomym, pochylonym w lewo pismem ojca. Schłodne linie pod spodem prowadziły do imion Sacha i Laura.

Przypatrując się uważnie, Sacha zauważył zastanawiające znaczki na marginesach przy niektórych imionach. Pochylił się i zorientował, że są to liczby. Jedyńka widniała bardzo wysoko na drzewie, przy wnuku Matthieu L’hivera, Jean-Pierre. Dwójka pojawiła się w rzędzie poniżej, obok innego imienia. Kilka rzędów dalej znajdowała się trójka i tak dalej. Każda liczba była przypisana imieniu pierworodnego syna, wywodzącego się w prostej linii od Matthieu L’hivera. Ostatnią dostrzegł na samym dole, obok własnego imienia.

Drgnął, zorientowawszy się, że jemu przypadła pechowa trzynastka.

Ponownie przejrzał listę. Odczytując imiona, wodził pod nimi palcami. Dwunastu nieżyjących chłopców, do których wkrótce miał dołączyć – chyba że zdoła powstrzymać to fatum.

Złożył rysunek drzewa genealogicznego i przewrócił stronę. Szybko się zorientował, że książka to starannie spisana historia rodziny. Na pierwszych stronicach znajdowały się prozaiczne informacje o L’hiverach z końca XVII wieku – o tym, jak wysoką pozycję społeczną

zajmowali, gdzie leżała ich posiadłość, ile mieli żywego inwentarza, a ile służby.

Po pięciu stronach doszło jednak do pewnej zmiany, zasygnalizowanej akapitem następującej treści:

Roku Pańskiego 5867 powołano Sprzysiężenie dla ochrony Francji przed najmroczniejszym złem. Przez dwieście dwadzieścia pięć lat pracowało ono wytrwale, by zapewnić narodowi bezpieczeństwo, lecz w Roku Pańskim 5696, na żądanie Wielkiego Inkwizytora i przedstawicieli Króla Ludwika XIV, Sprzysiężenie rozwiązano, gdyż jakoby zło zostało ostatecznie pokonane, a stopy płonęły nazbyt długo. Teraz wiadomo nam, iż stopy nigdy nie powinny były zgasnąć.

Ozdobne pismo i niejasny język ogromnie utrudniały zrozumienie tekstu, więc Sacha z początku myślał, że się pomylił. Jednak w miarę czytania stawało się jasne, że miał rację.

Książka traktowała o historii rodziny straży obywatelskiej – jego rodziny. Na kolejnych stronach spisano jej dokonania i liczne przypadki wytropienia alchemików (określanych też mianem magów) oraz ich zgładzenia. Strażnicy działali systematycznie i bezlitośnie, a nazywali siebie Sprzysiężeniem.

Było oczywiste, że w swoim przekonaniu postępowali słusznie. Ich zdaniem światu groziło niebezpieczeństwo, gdyż alchemicy i uzdrowiciele obcowali z demonami. Kościół opowiadał się po stronie Sprzysiężenia, a miejscowy ksiądz błogosławił ich krwawe wypady. Zajęcie tych ludzi nie miało jednak w sobie nic szlachetnego. Zabili wielu, bardzo wielu ludzi, co zostało opisane w książce.

Robiło się późno, lecz Sacha jak w transie chłonał kolejne stronicę, wstrząśnięty, że jego nazwisko jest bezpośrednio powiązane z niewyobrażalną przemocą. Autor szczegółowo opisał odrażające

morderstwa, palenie na stosach mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci. Ich popioły rozsypywano na cztery wiatry i nawet osoba opisująca te okrutne wyczyny zdawała się nimi nużyć.

Zadanie nasze nie ma końca. Zastępy szatana nie ustępują pola. Zwycięstwa okupujemy wielkim trudem, a mimo to legiony wroga rosą w siłę. Każdej nocy wyruszamy przeciw nim, tropimy je i toczymy batalie. Już zapadło postanowienie, byśmy opuścili Tuluzę i jechali do Carcassonne. Święci Ojcowie powiadają, że tam właśnie diabeł dom swój uczynił i wokół siebie skupił z naturą sprzecznych alchemików, magów i wiedźmy, aby tam swe nieczne uczynki spełniali. Musimy razić bestię w sam brzuch i z tą myślą wyruszamy już jutro.

Opowieści o zniszczeniu i śmierci po pewnym czasie stały się trudne do strawienia, lecz Sacha nie mógł oderwać się od lektury i tylko szybciej wertował strony, pomijając szczegóły. Miał nadzieję, że opisy mordów wreszcie się skończą. W rezultacie niemal przeoczył to, co najważniejsze. Już miał przewrócić następną stronę, kiedy kątem oka ujrzał to nazwisko.

Montclair.

Z mocno bijącym sercem cofnął się do początku fragmentu i zaczął go czytać z większym skupieniem. Natrafił na jedną z wielu relacji ze spalenia człowieka – tym razem chodziło o kolejną kobietę określoną mianem „alchemicznej wiedźmy”. Szybko się zorientował, że ten ustęp napisano z wyjątkową dbałością o detale, zupełnie jakby autor książki nie streszczał zasłyszanej historii, lecz osobiście obserwował całe zajście i widział śmierć ofiary. Może nawet sam ją zgładził.

Sacha dwukrotnie przeczytał opis, żeby nic nie przeoczyć, a potem wbił spojrzenie w mrok, czując pustkę w piersi. W końcu zrozumiał, skąd się wzięła klątwa i dlaczego ją rzucono.

Sytuacja wydawała się tak nieprawdopodobna, że nie uwierzyłby, gdyby nie to, czego doświadczył na własnej skórze. Gdyby nie widział zwiastunów. Spotkał się jednak z nimi, więc miał świadomość, jak wygląda zło.

Za okrągłym oknem zapadał zmrok. Nadciągała noc.

Carcassonne, 569

– Isabelle Montclair, została uznana za winną odprawiania czarów i skazana na śmierć w płomieniach.

Mężczyzna w masce i dopasowanym płaszczu dosiadał jasnego konia, a pióro na jego kapeluszu kołysało się na chłodnym wieczornym wietrze. Przemawiał dobitnie i triumfalnie, z wytwornym akcentem. Ukrył twarz, niemniej skazana, pobita wcześniej kobieta doskonale wiedziała, kto zacz.

– Matthieu L’hiver – odezwała się cicho, patrząc na niego ciemnymi oczami. – W końcu dopiąłeś swego.

Twarz kobiety była posiniaczona i opuchnięta, lecz z każdego wypowiedzianego przez nią słowa przebijała pogarda.

Szarpnęła sznury, którymi skrupowano ją tak, jak krępuje się bydło szykowane na rzeź. Pęta były mocne i nie mogła się poruszyć. Biła od niej moc, zbyt słaba, by dało się ją skupić na wrogach. Isabelle została pokonana.

Księżyc w pełni z upiorną wyrazistością oświetlał wysoki stos drewna, zebranych wokoło zamaskowanych mężczyzn z pochodniami i tłum mieszkańców miasta, którzy z fascynacją lecz spokojnie przypatrywali się temu, co widzieli po widokroć.

W Carcassonne spłonęło już wiele stosów.

Ze szczytu sterty drewna i chrustu kobieta spoglądała z góry na L’hivera, a jej usta wykrzywiał grymas odrazy.

– Nim umrzesz, czy chcesz się przyznać do winy? – zapytał L’hiver z uśmiechem.

– Nie mam nic do powiedzenia tchórzowi – syknęła. – Nie stanęłam przed sądem, a nie tobie wymierzać sprawiedliwość. Prawo zakazuje palenia na stosie, lecz mimo to ślesz swych nędznych pobratymców, by napadali na nas w domach, zabijali naszych bliskich, a nas zniewalali. – Gdy na próżno szamotała się w sznurach, na jej obliczu malowała się wściekłość. – A czynisz to wszystko, gdyż lękasz się tego, czego nie pojmujesz. Myślisz, żeś zwyciężył. Głupiec z ciebie, L’hiver, bo czeka cię tylko rozpacz i żałoba.

Wierzchowiec L’hivera nerwowo przestąpił z nogi na nogę, lecz jeździec uspokajającym gestem położył mu na szyi dłoń w rękawiczce. Ani na moment nie spuszczał wzroku z Isabelle.

– Zatem nie zaprzeczasz swej winie – oznajmił. – Zgłębiasz mroczne nauki, a diabeł obdarzył cię bezbożną mocą. W zamian chciałaś przywołać demona i ofiarować mu władzę nad Bożą ziemią. – Jego oczy spoglądały na nią zimno przez otwory w masce. – Na to nie pozwolę. Tej nocy nadszedł twój kres.

Nie czekając na jej odpowiedź, uniósł rękę, a wtedy ludzie z pochodniami zrobili krok naprzód. Wszyscy ukrywali się za identycznymi maskami, które skutecznie przysłaniały ich rysy. Gdy L’hiver raptownie opuścił dłoń, pochodnie zakreśliły łuk w ciemnościach, a złociste snopy płomieni ogarnęły suchą podpałkę, niosąc śmierć stojącej wyżej kobiecie. Ogień wystrzelił natychmiast, a ludzie zaszemrali, widząc, jak się pnie po dławach.

Kobieta nie miotała się, nawet nie drgnęła, choć jęzory sięgnęły rąbka jej podartej spódnicy. Dym okalał jej głowę, lecz nie zakaszłała,

nadal niewzruszona. Stała tylko nieruchomo, budząc poruszenie wśród gawiedzi, która zbiła się w gromadę i szeptała trwożliwie.

Płonący stos zaniepokoił także konie. Szarpnęły się w uprzężach, przewracając oczami. Gdzieś wysoko pod czarnym niebem krzyknął niewidoczny ptak, obudzony nocnym zamieszaniem. Wtedy rozległ się głos Isabelle, donośniejszy niż wszystkie inne, dźwięczny i czysty niczym kościelny dzwon.

– Matthieu L'hiver, przeklinam cię. Przeklinam twą rodzinę. Wzywam Azazela i Lucyfera, wzywam Molocha i Belzebuba, wzywam wszystkie demony piekielne, by wysłuchały mojego wołania. Rzucam klątwę na twoich synów i na synów twoich synów. Po trzynastokroć niechaj będą ci odbierani twoi pierworodni, nim staną się mężczyznami. Po trzynastokroć niechaj demony nakarmią się ich krwią i niechaj pójdą na marne wszystkie twe starania.

Płomienie już pożerały jej spódnicę, a dławiący dym z drewna mieszał się z upiornym smrodem palonej skóry, lecz głos Isabelle nie tracił na sile.

– W tenże sposób dopełnisz proroctwa. Dokończysz moje dzieło, poświęcając własną krew.

Mieszkańcy miasta przeżegnali się pod osłoną mroku i półgłosem zmówili modlitwy, bo choć wierzyli w Boga i w jego potęgę większą od mocy diabła, to jednak słowa niewiasty budziły w nich trwogę.

L'hiver nawet nie drgnął. Z wysoko uniesioną głową patrzył kobiecie w oczy, póki widzieli się przez płomienie. Te w końcu wspięły się ponad jej głowę i ukryły ją przed światem. Mimo to Isabelle nadal nie krzyczała.

Splonęła w nienaturalnej ciszy.

Niech Bóg ma nas w opiece.

Było późno. Sacha miał wrażenie, że zatęchłe powietrze na strychu go dławi, a pomieszczenie się kurczy. Musiał się stąd wyrwać.

Wsunął książkę do kieszeni kurtki i ostrożnie ruszył po drewnianych schodach. W pogrążonym w półmroku salonie panowała głucha cisza. Sacha szedł ostrożnie, z wyciągniętymi rękami, próbując wyczuć przeszkody. W pewnej chwili boleśnie uderzył kostką o nogę niskiego stolika i zaklął pod nosem. To obudziło zwiniętego w fotelu Pikachu. Pazury psa zazgrzytały na parkiecie, kiedy ten zeskoczył i posnuł się do chłopca.

– Pardon, Pika – szepnął Sacha. – Nie chciałem cię budzić.

Pogłaskał mieszańca po ciepłej, miękkiej sierści na łbie i podrapał go za uszami. Potem wyśliznął się przez drzwi z tyłu domu prowadzące na mały taras. W miękkim świetle księżycy w pełni rozkołysane wiatrem winorośle przypominały ciemne fale toczące się po wzgórzu. Zachwycony nieoczekiwanym nocnym spacerem Pikachu pobiegł za Sachą, merdając krótkim ogonkiem. Chłodne powietrze pachniało żyzną ziemią i kwiatami.

Sacha zszedł po kamiennych schodkach do ogrodu i ruszył przez trawę do winorośli. Stopy grzęzły mu w miękkiej ziemi. Księżyc spowijał okolicę zimnym niebieskim blaskiem. Pies wyrwał do przodu, ścigając księżycowe cienie wśród winorośli.

– Przyjemnie, co, Pika? – Sacha pomyślał, że jego głos brzmi zbyt donośnie w tej nocnej ciszy i dodał szeptem: – Jak dawniej.

Obaj wiedzieli, że kłamał. Dawniej byli szczęśliwi, a Sacha nic nie wiedział o śmierci.

Wyciągnął telefon z kieszeni i go włączył, czekając niecierpliwie, aż pojawi się zasięg. Popatrzył na zegarek. W Anglii dochodziła druga w nocy, ale musiał porozmawiać z Taylor. Tylko ona mogła go zrozumieć.

Jeden sygnał, dwa, trzy. Już tracił nadzieję, kiedy odebrała.

– Sacha?

Jej łagodny głos z brytyjskim akcentem był zachrypnięty od snu i niepokoju. Wydawała się tak bliska, tak żywa, że przez chwilę Sacha bał się odezwać.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Nic ci nie jest? Znaleźli cię?

– Wszystko w porządku – zapewnił ją. – Musiałem się tylko upewnić, że jesteś bezpieczna.

Słyszał, że usiadła na łóżku, i wyobraził sobie jej potargane loki i policzki zaróżowione od snu.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Co się tam dzieje? Znalazłeś coś?

Sacha wbił podeszwę w ziemię, niepewny, od czego zacząć.

– Książkę o historii mojej rodziny i o klątwie. – Zawahał się, ale postanowił zdradzić jej resztę. – Wiesz, Deide miał rację. Moją rodzinę przeklęła niejaka Isabelle Montclair. Moi przodkowie ją zamordowali. Znalazłem w książce opis. To było takie prawdziwe, takie szczegółowe. – Odetchnął głośno. – Całkiem jakbym tam stał i patrzył, jak płonie i mnie przeklina. To było bardzo... realne.

– Tak mi przykro, Sacha – Głos Taylor wydawał się przygnębiony. – To okropne. Szkoda, że tak się stało. Jestem wściekła, że moja rodzina zrobiła to twojej. Tobie.

- Przecież to nie twoja wina - przypomniał jej. - Nie miałaś z tym nic wspólnego.

- No tak, ale ty też nie, a przecież przez całe życie ponosisz konsekwencje. Przysięgam ci na Boga, że to rozgryziemy - dodała z przekonaniem. - Zdejmiemy klątwę. Pracuje nad tym mnóstwo ludzi. Jutro jadę do Oksfordu porozmawiać z nimi o tym, co się da zrobić. Pamiętaj, że nie jesteś sam. Nie jesteśmy sami.

Ścisnęło mu się serce. Bardzo chciał wierzyć, że przeżyje, teraz jednak wiedział dostatecznie dużo, by podejrzewać, że to mało prawdopodobne, jeśli nie niemożliwe. Mieli za mało czasu na znalezienie rozwiązania, którego jego rodzina poszukiwała od stuleci. Czas zdawał się przeciekać im przez palce. Nowy dzień miał się rozpocząć za kilka godzin i minąć, przejść w następny, i tak dalej, aż jego życie się skończy. Pragnął powiedzieć jej o wszystkim, co chodziło mu po głowie - o tym, jak się bał, jak męcząca była świadomość śmierci deptającej mu po piętach, gotowej do ataku. O tym, jak bardzo pragnął być zwyczajnym żywym chłopakiem, a nie ofiarą, która czeka na swój koniec. Nie mógł się jednak zmusić do zwierzeń. Poza tym Taylor szczerze wierzyła, że Aldrich go ocali, i Sacha nie chciał pozbawiać jej tej nadziei.

Mógł jednak podzielić się z nią pewnymi przemyśleniami.

Usiadł na miękkiej ziemi. Gałęzie winorośli rozciągały się nad jego głową niczym ciemna zasłona. Przez liście prześwitywało niebo, na którym lśniło niezliczenie wiele gwiazd. Pika siedział obok Sachy, przyciskając małe ciepłe ciało do jego boku.

- Tak się cieszę, że jesteś - powiedział Sacha.

- Ja też - wyszeptała Taylor.

– Mogłabyś... sam nie wiem. Przez chwilę ze mną pogadać? – spytał. – Nie chcę być sam.

Jej odpowiedź była pewna i ciepła jak wyciągnięta dłoń.

– Nigdzie się nie wybieram.

Następnego ranka Sacha przebudził się raptownie i powiódł wokół rozkojarzonym wzrokiem. Był pewien, że coś usłyszał, chyba krzyk i trzask. Teraz jednak wszędzie panowała cisza.

Leżał wśród listowia i potężnych kiści bladozielonych winogron. Usiadł i zamrugał, zastanawiając się, co, do cholery, robi w winnicy.

Wtedy wszystko powróciło. Rozmawiał z Taylor i najwyraźniej zasnął. Spojrzał w dół i zobaczył, że telefon leży na ziemi. Pika pewnie sobie poszedł. Sacha wstał powoli, czując ból mięśni po nocy spędzonej na wilgotnej glebie. Rzut oka na zegarek uświadomił mu, że jest bardzo wcześnie, dopiero zbliżała się szósta. Ptaki szczebiotały i ćwierkały w kakofonicznym chórze. Wszystko wydawało się zupełnie zwyczajne.

Prawie uwierzył, że miał zły sen, kiedy nagle usłyszał w domu wściekłe szczekanie, ujadanie i warczenie Piki. Pies nigdy dotąd nie wydawał z siebie podobnych dźwięków. Sacha już biegł, kiedy nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a tuż potem przenikliwy krzyk.

Serce Sachy waliło coraz szybciej. Jeszcze przyspieszył kroku, minął furtkę i wbiegł po stopniach na taras.

– Annie? – krzyknął, wpadając do salonu.

Odpowiedziała mu cisza. Gwałtowne szczekanie Pikachu dobiegało z kuchni. Sacha pobiegł tam i zatrzymał się w progu.

– Annie...? – powtórzył i umilkł.

Jego ciotka stała w rogu, przyciskając się plecami do kuchennej szafki. W dłoni ścisnęła rzeźnicki nóż.

– Cofnąć się! – krzyknęła.

Na kamiennej podłodze leżały odłamki szkła, pięknie pobłyskując w słońcu. Pikachu przykucnął wśród nich, warcząc i szczekając, i wyszczerzył drobne ostre ząbki.

Drzwi z tyłu ledwie trzymały się na zawiasach. Trzy mroczne sylwetki, spowite czernią, stały na progu. Sacha poczuł nagle dziwny, lodowaty spokój. Bał się tych stworów od chwili, w której spotkał je po raz pierwszy. Teraz jednak miał ich naprawdę dosyć.

– Zostawcie ją – zażądał niskim, groźnym głosem. – Natychmiast.

Intruzi, w tym samym momencie, jak na komendę odwrócili się ku niemu.

– Nie uciekniesz nam – oznajmił najwyższy z nich.

Ignorując go, Sacha odwrócił się do ciotki.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Skinęła głową. Na jej twarzy malował się strach.

– Uciekaj, Sacha. Nie przejmuj się mną.

Nie miał jednak zamiaru zostawiać jej samej z tymi stworami. Zacisnął pięści i ponownie popatrzył na istoty.

– Nie macie prawa tu być – powiedział do nich. – Wynocha z tego domu.

Wysoki przechylił głowę w dziwnie ludzkim geście ciekawości i popatrzył na Sachę obojętnym wzrokiem. Sacha poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Ten zwiastun wydawał się najgroźniejszy, towarzyszyła mu aura władzy.

– Dość. Czas już nadszedł. – Jego głos wydawał się potężny, jakby dobiegał z czaszki Sachy i przemawiał tylko do niego.

Sacha poczuł się oszołomiony, kręciło mu się w głowie. Annie jęknęła, a wtedy popatrzył na nią uważnie. Cała trójka otaczała teraz

Sachę, i choć ciotka była wolna, nie uciekła. Chciał jej to nakazać, jednak nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Otoczył go stęchły zapach wilgotnej ziemi, zrobiło mu się niedobrze. Cofnął się powoli, zbyt powoli.

Pika czekał coraz bardziej histerycznie.

– Zostawcie nas w spokoju – powiedział Sacha bełkotliwie.

Nie mieli zamiaru go posłuchać.

Wysoki poruszał się z tak nieprawdopodobną szybkością, że jego sylwetka wydawała się zamazana. Zanim Sacha zdążył zareagować, zwiastun chwycił jego nadgarstek i zamknął go w żelaznym uścisku.

– Musisz udać się z nami – oznajmił grobowym głosem. – Nadeszła pora.

Jego dłoń była śmiertelnie lodowata. Przeróżliwy chłód sączył się do żył i piął po ramieniu chłopaka, przez co Sacha odrętwiał i czuł się coraz słabszy. Z niedowierzaniem popatrzył na swoją rękę. Chciał walczyć, ale nie mógł się poruszyć. Ciemność przesłoniła mu pole widzenia. Poczuł, że zaczyna się osuwać na podłogę.

Krzyk sprawił, że oprzytomniał. Annie rzuciła się na niższego z mrocznych mężczyzn i wbiła mu nóż w plecy. Stwór nawet nie drgnął, tylko powoli odwrócił głowę, przekręcając ją o wiele mocniej, niż było to możliwe.

Ciało Annie zadrżało, a potem gwałtownie się zatrzęsło, z jej gardła wydobył się bulgot. Złapała się rozpaczliwie za szyję, a jej twarz z czerwonego przybrała fioletowy odcień. Sacha próbował do niej zawołać, ale słowa nie chciały przyjść. Nie był w stanie się ruszać. Patrzył z przerażeniem, jak ciało Annie frunie nad podłogą i uderza o ścianę z okropnym trzaskiem. Pika przeraźliwie zawył. Stwór odwrócił głowę ku Sachy i uniósł jego rękę.

- Dość – wydusił z siebie Sacha pełnym bólu głosem.

Cały się trząsał od tego, co robił mu zwiastun.

- Zostawcie ich. Pójdę z wami, dobrze? Rozumiecie?

Stwory okręciły się, żeby na niego spojrzeć. Ich czarne oczy wydawały się puste i bezduszne.

- Pójdę z wami – powtórzył. – Bez oporu.

Nagle mdlący chłód zaczął lekko ustępować.

- Idziemy teraz. – Ten, który trzymał go za rękę, odwrócił się do drzwi.

Sacha jednak zwlekał, żeby złapać oddech. Jego umysł znowu sprawniej funkcjonował.

- Muszę zabrać ze sobą torbę.

Stwór zapatrzył się na niego oczami pustymi niczym świeżo wykopany grób.

- Idziemy teraz – powtórzył.

- Nie pójdę bez torby – wycodził Sacha przez zaciśnięte zęby. – Nie interesują mnie wasze wezwania. Nie będę waszym trzynastym bez mojej torby, rozumiecie?

Chciał ich stłuc, skopać i zadźgać, ale widział, jak obojętnie zareagowali na najostrzejszy nóż w kuchni. Annie nadal leżała nieruchomo po drugiej stronie pomieszczenia. Furia i strach o nią uspokoiły Sachę i pomogły mu się skupić.

Przez długą chwilę trzy stwory przyglądały mu się z identycznym brakiem zrozumienia na przypominających czaszki twarzach. Nagle Pikachu wystrzelił przed siebie i zatopił zęby w łydce najwyższego z nich. Cała trójka odwróciła się, żeby popatrzeć na psa. Korzystając z okazji, Sacha wyrwał ramię z uścisku stwora i wybiegł z kuchni.

Wpadł do salonu, przeskoczył nad stolikiem i rzucił się do drzwi. W biegu wyciągnął z kieszeni srebrny kluczyk.

Nie odważył się obejrzeć za siebie.

Torba nadal leżała na motocyklu, gdzie trzymał ją od przyjazdu, zawieszony za pasek kask zwisał z kierownicy. Sacha już wcześniej podejrzewał, że będzie zmuszony wyjechać stąd w pośpiechu. Wsunął kluczyk do stacyjki i motocykl przebudził się do życia. Sacha dodał gazu, a motor wystrzelił przed siebie, kołyszając się gwałtownie na nierównej drodze.

Sacha ścisnęło się serce na myśl o Annie i Pice, ale musiał uciekać. Inaczej wszystko byłoby stracone. Musiał wymknąć się z łap tych stworów, jeśli miał się dowiedzieć, kim naprawdę byli i jak ich zniszczyć. Poza tym był pewien, że podążą za nim, więc Annie i pies będą mieli szansę na przeżycie.

Mimo to tak mocno ścisnął kierownicę, że pobieły mu kostki. Wstrzymywał się z całej siły, żeby nie oglądać się za siebie. Był już niemal przy końcu drogi, kiedy usłyszał za sobą ogłuszający huk. W lusterku dostrzegł, że drzwi wejściowe Annie wyleciały z zawiasów i wylądowały w winnicy. Trzy stwory wysliznęły się z domu. Sacha zobaczył, jak unoszą ręce, a w jego głowie rozległo się dziwne, niepokojące buczenie.

Wtedy już jednak skręcił za róg i przyśpieszył. Motocykl reagował niczym żywa istota.

Wystarczyło kilka sekund, żeby stwory zostały daleko za nim.

Sacha jechał bez zatrzymywania się, aż dotarł do dużej malowniczej wioski na brzegu leniwie płynącej rzeki. Kwiaty wylewały się ze skrzynek na parapetach, kwitły też na płotach. Domy zbudowano z jasnego wapienia, który lśnił w porannym słońcu.

Sacha ledwie to zauważał. Gdy zwolnił i skręcił z drogi na parking nad wodą, wzrok rozmywały mu łzy. Wierzchem dłoni otarł oczy, wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił na policję. Słyszając poważny głos dyspozytorki po drugiej stronie, podał adres Annie.

– Ktoś się włamał i ją pobił. Nie wiem, co się właściwie stało. Leży na podłodze w kuchni, jest nieprzytomna. Widziałem trzech mężczyzn w czarnych płaszczach. Proszę, pośpieszcie się. Wezwijcie karetkę. – Mówił z trudem, głos mu się załamywał. – Nie wiem, czy żyje.

Kiedy poprosili o nazwisko, Sacha przerwał połączenie. Otarł łzy ręką i wyłączył telefon.

Zrobił wszystko, co chwilowo mógł zrobić. Całym sercem chciał wrócić do ciotki, ale wiedział, że nie może. Tych trzech nigdy nie pozwoliłoby mu jej pomóc. Teraz jednak, skoro zniknęła, a stwory za nim podążyły, Annie miała szansę na przeżycie.

Nienawidził siebie za to, że naraził ją na niebezpieczeństwo, bo głupio wierzył, że zdoła uciec przed tymi istotami, kimkolwiek one były.

Odetchnął z trudem i przycisnął pięści do oczu tak mocno, że zobaczył rozbłyśki światła.

„Annie, błagam, wyjdź z tego cało”, modlił się w duchu.

Skierował motocykl na ulicę i z rykiem silnika odjechał.

Kiedy pociąg wjechał między szare mury stacji Oksford, Taylor już stała przy drzwiach. Wskoczyła w chwili, gdy się otworzyły, po czym popędziła po peronie.

Było mnóstwo do zrobienia i rozpaczliwie chciała już zacząć. Po wczorajszym telefonie Sachy miała wrażenie, że na jej szyi zaciska się pętla. Taylor wyczuła jego przerażenie, chociaż o tym nie wspomniał. Czas uciekał. Musiała przekonać innych, że trzeba się pośpieszyć z przygotowaniami. Nie było ani chwili do stracenia.

Ten wyjazd w niczym nie przypominał poprzedniej wyprawy do Oksfordu. Teraz Taylor mijala zatłoczone główne ulice w takim pośpiechu, że ledwie zauważyła ubranych w łopoczące czarne szaty studentów śpieszących na egzaminy. Niemal biegła po wąskiej, średniowiecznej uliczce do Kolegium Świętego Wilfreda, a gdy dotarła do bramy z czerwonej cegły, połyskującej w porannym słońcu, ledwie mogła złapać oddech. Tym razem przy bramie stał inny portier – ten nie był rozdrażniony i kościsty, a niski i gruby. Nie chciała czekać, a była pewna, że dziadek znowu zapomniał wpisać jej nazwisko. Przybrała więc znudzony wyraz twarzy i minęła portiera, nonszalancko unosząc rękę w powitalnym geście, jak studenci, którzy tędy przechodzili.

Tak jak na to liczyła, portier machinalnie odpowiedział jej tym samym, a ona wpadła na czworokątny dziedziniec, który tego ranka wyglądał na przeniesiony tu prosto z bajki. Słońce odbijało się

w miedzi i pozłocie na zdobionych wierzchołkach wieżyczek. Zdążyła jednak przejść zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszała za sobą głos.

– Halo, proszę pani! Proszę wrócić.

Odwróciła głowę i ujrzała, że portier biegnie za nią z twarzą czerwoną od wysiłku i wymachuje zeszytem. Ścisnęło się jej w żołądku.

– Tak? – zapytała wyniosłym tonem.

– Przykro mi, ale pani nie poznaję – wydyszał. – Jest pani umówiona?

– Owszem, z profesorem Montclairem.

– Przepraszam, zwykle tu nie pracuję. Dzisiaj jestem na zastępstwie, zatrudniony na stałe portier się nie pojawił. – Pochylił się ku niej i wyznał: – Straszny tu chaos. Chyba nikt nie wie, co się dzieje.

Taylor nie miała czasu na pogawędki, ale ukryła zniecierpliwienie.

– W porządku – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Chętnie pomogę.

– Muszę wpisać pani nazwisko do książki, jeśli jest pani współpracownicą profesora. – Nieśpiesznie wyciągnął z kieszeni notes.

„Szybciej”, pomyślała Taylor, bębniąc palcami o udo. Portier otworzył notes i wziął do ręki ogryzek ołówka, po czym na nią spojrział. Nie czekała, aż zapyta ją o nazwisko.

– Nazywam się Taylor Montclair i jestem wnuczką profesora – oznajmiła.

Portier otworzył szeroko oczy.

– Oczywiście, oczywiście. – Wpisał kilka słów do notesu. – Na pewno na panią czeka. Zajmę się wszystkim, a pani niech biegnie. Mam zadzwonić do profesora i powiadomić go, że zaraz się pani zjawi?

– Nie trzeba. – Z ulgą pokręciła głową. – Spodziewa się mnie.

Po tych słowach pospiesznie odeszła.

– Proszę uważać na upał! – zawołał za nią portier. – Podobno ma być ponad trzydzieści stopni.

Taylor zamachała ręką na znak, że słyszała, ale nadal szła pospiesznie kruzgankami wokół dziedzińca. Rozbawieni i rozgadani studenci mijali ją w parach i grupkach. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy popędziła do niewielkich drzwi, za którymi znajdowały się schody.

W budynku panowała znacznie niższa temperatura niż na zewnątrz. Mury były tak grube, że nawet najgorętsze promienie słońca nie miały z nimi szans. Taylor wbiegła po schodach na górę, nerwowo stukając podszewkami o kamienne stopnie. Żłociste światło wpadało przez wąskie okno w ścianie przy podeście i znaczyło mury nierównymi plamami o ostrych kształtach.

Na samej górze lekko zastukała do drzwi i zamarła. Mijały sekundy, ale nikt nie otwierał. Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Zdziwiona, zapukała ponownie, lecz i tym razem nic się nie wydarzyło.

Taylor była zaniepokojona. Gdzie się podział dziadek? Wyjęła telefon i sprawdziła, czy nie przyszedł SMS od Louisy. Może mieli się spotkać w hangarze dla łodzi? Nikt jednak o tym nie wspomniał.

Oparła się o drzwi, żeby napisać krótkiego SMS-a, ale otworzyły się gwałtownie pod jej ciężarem, przez co omal nie upadła. Przestraszona, chwyciła za framugę, próbując odzyskać równowagę. Spojrzała na uchylone drzwi. Dziadek zawsze je zamykał, nie cierpiał wizyt bez zapowiedzi. Miał wręcz obsesję na punkcie prywatności.

Strach chwycił ją za gardło.

– Dziadku?

Nie było odpowiedzi. Taylor z wahaniem popchnęła drzwi.

– Dziadku? – zawołała ponownie, tym razem głośniejsze.

W mieszkaniu panowała dziwna ciężka cisza, jakby nie tylko było puste, ale czegoś w nim brakowało.

Korytarz wyglądał zupełnie zwyczajnie. Stos książek chwiał się niebezpiecznie blisko drzwi, stojak na parasole pełen był mocnych, czarnych parasoli ze srebrnym krzyżem świętego Wilfreda.

– Dziadku? – powtórzyła. – Jesteś tutaj?

Miała wrażenie, że echo z niej kpi. Ostrożnie ruszyła wzdłuż wąskiego korytarza. W chwili, gdy weszła do salonu, od razu go ujrzała.

Ciało leżało na podłodze, twarzą do dołu, całkiem jakby spadło z dużej wysokości. Stolik, przy którym jadła ciastka i na którym kładła książki, był roztrzaskany.

– Dziadku? – Tym razem z jej ust wydobył się tylko szept.

Próbowała podbiec do dziadka, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nagle zorientowała się, że klęczy koło niego i przewraca go na plecy.

Nic nie mogła zrobić. Nikt nie był już w stanie mu pomóc.

Jej krzyk zdawał się dobiegać z daleka.

– Proszę to wypić. – Ktoś wcisnął kartonowy kubek w rękę odrętwiałej Taylor.

Naczynie parzyło jej dłonie. Nad brązowym płynem unosiła się para.

Ludzie wokół uwijali się jak w ukropie. Policja błyskawicznie rozwinęła taśmę, blokując wejście na dziedziniec. Karetka przyjechała tylko po to, żeby szybko odjechać, a na jej miejsce zjawiono się policyjne auto z napisem „Medycyna sądowa”.

Taylor wciąż przebywała w biurze, jednym z wielu pomieszczeń na dziedzińcu. Pokój był zupełnie nijaki – niemal pusty, o porysowanym ścianach. Mieściło się w nim mnóstwo dokumentów, nowoczesne metalowe biurko i plastikowe krzesła.

Ludzie wciąż pytali Taylor, czy nic jej nie jest, a ona tylko kręciła głową. Czowała się tak, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Rozmawiała z policjantami przez krótką chwilę tuż po ich przybyciu. Potem zabrali jej telefon i zostawili ją w biurze, przykazawszy jej, żeby się stamtąd nie ruszała. Tkwiła tu już nie wiadomo jak długo, być może kilka godzin. Ciągłe pojawiali się nowi śledczy, widziała ich przez otwarte drzwi. Co jakiś czas mocno zaciskała powieki, marząc o tym, żeby to był tylko sen. Potem je otwierała, by znowu znaleźć się w ponurej rzeczywistości.

To, co nastąpiło po znalezieniu ciała, zlało się w jedno. Taylor wybiegła z mieszkania i łomotała w każde drzwi na każdym podeście.

Na trzecim piętrze otworzył jej mężczyzna w tweedowej marynarce i patrzył na nią ze zdumieniem, gdy zaszlochała:

– Proszę mi pomóc, mój dzie... Profesor Montclair jest ranny.

Mężczyzna z zadziwiającą energią pobiegł na górę, a Taylor, płacząc, skuliła się pod jego drzwiami. Gdy wrócił, miał bladą i zaciętą twarz.

– Chodź ze mną – zażądał ponuro.

Chwył ją za łokieć i wprowadził do swojego mieszkania, po czym zadzwonił po policję. Od tamtego czasu nieustannie ktoś coś do niej mówił, ale słowa dobiegały z bardzo daleka i w ogóle ich nie rozumiała.

– Chyba jest w szoku – powiedział ktoś.

– Jasna cholera – wymamrotał ponuro krępy portier. – I akurat musiało się to stać w dniu mojego zastępstwa.

Taylor uświadomiła sobie, że pyta o Louise. Ktoś odparł, że dziewczyna właśnie jedzie. Od pojawienia się policji jednak nikomu nie wolno było rozmawiać z Taylor.

Oczami duszy widziała twarz dziadka, zakrwawioną i zmaltretowaną. Ten straszny obraz ją prześladował.

Zaszlochała i zgięła się wpół, po czym oparła głowę na kolanach. Nagle padł na nią jakiś cień i wyprostowała się powoli. W drzwiach stał mężczyzna, oświetlony od tyłu jaskrawymi promieniami słońca, tak że początkowo Taylor nie widziała jego rysów. Wyglądał jak ciemna sylwetka w aureoli oślepiającego blasku.

– Taylor Montclair?

– Tak. – Taylor skinęła głową i otarła łzy.

– Jestem komisarz Rogerson. Muszę ci zadać kilka pytań.

– Okej – odezwała się ledwie słyszalnym szeptem.

Mężczyzna wszedł do środka, a tuż za nim podążała kobieta w policyjnym mundurze, która zamknęła drzwi. Gdy oczy Taylor przywykły do światła, uważnie przyjrzała się nieznanemu. Komisarz Rogerson był brunetem mniej więcej w wieku jej ojca. Miał na sobie granatowy garnitur, na pewno zbyt ciepły na taką pogodę, jednak mężczyzna się nie pocił.

- To posterunkowa Jones. - Wskazał na kobietę. - Będzie świadkiem przesłuchania.

Spojrzenie Taylor powędrowało do policjantki. Posterunkowa miała jasne włosy, ciasno ściągnięte pod policyjną czapkę. W przeciwieństwie do komisarza, pociła się obficie.

Biuro było małe i trzy osoby niemal całkiem je wypełniały. Posterunkowa Jones pozostała przy drzwiach, komisarz zaś ominął niewygodnie umiejscowiony filar oraz kosz na śmieci, zanim usiadł na krześle naprzeciwko Taylor.

Nerwowo przygryzła wargę. Widziała, że mężczyzna wyciągnął z kieszeni jakieś urządzenie, po czym przystawił je do ust.

- Komisarz Rogerson w obecności posterunkowej Jones i... - wolną ręką wyciągnął z kieszeni notes - ...Taylor Montclair, świadek. Jest... - popatrzył na zegarek - ...trzynasta trzydzieści trzy.

Położył dyktafon na biurku, uniósł głowę i z chłodną uwagą przyjrzał się Taylor.

- Opowiedz nam, co się wydarzyło - zażądał.

Trzymając w dłoniach kubek, Taylor opisała mu wszystko, co zaszło: jak szła po schodach, dotarła do drzwi, znalazła ciało. Detektyw niemal nie spuszczał z niej wzroku, tylko od czasu do czasu zapisywał coś w notesie na kolanie.

- Dlaczego się dzisiaj zjawiłaś? - zapytał. - Portier twierdzi, że nie ma cię na liście oczekiwanych gości.

Taylor zdążyła już wcześniej wymyślić wiarygodny pretekst. Nie miała odwagi wyjawić całej prawdy.

- Odwiedziłam dziadka tydzień temu - odparła. - Pracował ze mną nad projektem z historii. Chcę tutaj studiować, więc w tym też mi pomagał.

Otarła łzę wierzchem dłoni, ignorując chusteczkę.

- Zawsze zapominał wpisać moje nazwisko na listę. Dziadek... - zawahała się - ...zapominał o różnych rzeczach.

Długopis komisarza skrobał po kartce.

- Czy pokłóciłaś się z dziadkiem? Sąsiedzi zeznali, że słyszeli podniesione głosy.

Taylor tak gwałtownie pokręciła głową, że kucyk uderzył ją w policzek.

- Nie miałam okazji... z nim porozmawiać - wydusiła z siebie z trudem i umilkła, żeby wziąć się w garść. - Był... w tym stanie, kiedy go znalazłam.

Skrzypienie długopisu wydawało się bardzo donośne w panującej w pomieszczeniu ciszy.

- Czy widziałaś, żeby ktoś wychodził z mieszkania? Minęłaś kogoś na schodach?

- Nikogo. - Znowu pokręciła głową.

Komisarz przeszył ją wzrokiem.

- Na pewno?

- Tak.

Znowu coś zapisał, nie przerywając przesłuchania.

- Czy dziadek miał wrogów? Czy ktoś chciałby go skrzywdzić?

Taylor zamarła. Pomyślała o zwiastunach i o mrocznym wyznawcy. O tym, jak strasznie się czuła na myśl, że ktoś ją obserwuje.

Tylu wrogów, tak wielkie niebezpieczeństwo...

Przypomniała sobie, jak dziadek pytał ją, czy dzwoniła na policję. „W ich podręcznikach nie ma nic na ten temat...”. Nie mylił się. Nie miał takich wrogów, o jakich mogłaby opowiedzieć komisarzowi z Oksfordu.

– Nie – zaprzeczyła. – Był zwykłym profesorem, miłym starszym panem, który uwielbiał uczyć. Wszyscy go kochali. Nie wiem, kto...

Głos się jej załamał i odwróciła wzrok. Komisarz i posterunkowa wymienili spojrzenia. Rogerson westchnął ciężko, po czym wstał.

– Na razie to nam chyba wystarczy – oznajmił. – Posterunkowa Jones odwiezie cię na stację. Zakładam, że mamy twój adres i telefon.

Z trudem podniosła się z krzesła i wyszła za policjantami. Od jednego z funkcjonariuszy przed budynkiem Rogerson odebrał telefon Taylor i wręczył go dziewczynie. Nie patrząc na ekran, wrzuciła komórkę do torby.

Szybkim krokiem podeszli do bramy. Pas posterunkowej Jones ciężko pobrzękiwał przy każdym jej kroku. Rogerson trzymał ręce w kieszeniach.

Dziedziniec był pełen policyjnego sprzętu. Tak jak przewidział portier, nieznośny upał dawał się wszystkim we znaki. Gdy dotarli do bogato zdobionej bramy w stylu Tudorów, Taylor popatrzyła na smętnie zwisające flagi na wieżyczkach. Przy głównym wejściu rozpięto czarno-żółtą taśmę policyjną. Na zewnątrz stało mnóstwo byle jak zaparkowanych radiowozów, a nieopodal kręcił się tłum gapiów, szeptem wymieniających uwagi. Komisarz Rogerson uniósł

taśmę, żeby przepuścić Taylor i posterunkową. Sam jednak pozostał na miejscu.

Odrętwiała Taylor ruszyła za policjantką do jednego z radiowozów, jednak zdołała przejść jedynie kilka kroków, kiedy usłyszała, że Rogerson wykrzykuje jej imię. Gestem pokazał jej, żeby do niego wróciła. Po chwili wręczył jej wizytówkę.

– Tu jest mój telefon – powiedział. – Zadzwoń, jeśli przypomni ci się coś, co pomoże nam znaleźć sprawcę.

Wsunęła wizytówkę do kieszeni, świadoma jego przeszywającego spojrzenia – najwyraźniej zastanawiał się, czy Taylor jest zdolna do morderstwa. Kiedy się jednak odezwał, w jego głosie słychać było jedynie zawodowe współczucie doświadczonego funkcjonariusza policji.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że straciłaś dziadka.

Podczas krótkiej jazdy na stację posterunkowa Jones prawie się nie odzywała. Było wczesne popołudnie i na ulicach panował tłok, jednak radiowóz pokonywał je bez większego trudu. Przed szarą stacją policjantka podjechała do krawężnika.

– Tu wysiadasz – oznajmiła zwięźle.

Taylor kręciło się w głowie. Naprawdę chcieli, żeby wróciła teraz do domu? Niby co miała powiedzieć mamie? I gdzie, do cholery, podziła się Louisa?

Posterunkowa najwyraźniej błędnie zinterpretowała wahanie Taylor i popatrzyła na nią łagodniej.

– Musi być ci ciężko po tym, co dziś widziałaś – oznajmiła. – Mogę dać ci radę?

Taylor skinęła głową i otarła łzę.

- Wstąp do grupy wsparcia dla ofiar. Rozmowy z ludźmi, którzy również przez to przeszli, pomagają. Policja pomoże ci znaleźć taką grupę w pobliżu twojego miejsca zamieszkania.

„Akurat mi pomogą”, pomyślała z goryczą Taylor.

- Zadzwoń do nas, jeśli coś sobie przypomnisz – ciągnęła posterunkowa. – My też chcemy znaleźć tych, którzy to zrobili.

Nagle Taylor zapragnęła stąd zniknąć. Była pewna, że policjanci szczerze chcieli pomóc, ale nie wątpiła, że nie mogą zrobić nic, żeby zapewnić bezpieczeństwo jej czy członkom jej rodziny. Pomyślała, że skoro ktoś zabił dziadka, to dlaczego nie miałby teraz zabić mamy albo Emily.

Lodowaty strach przeszył jej serce. Musiała wrócić do domu. W pośpiechu rozpięła pas bezpieczeństwa i wyskoczyła z auta tak szybko, że zanim drzwi się zamknęły, ledwie usłyszała, jak posterunkowa Jones składa jej kondolencje po stracie dziadka.

Biegła na stację, a łzy płynęły po jej policzkach.

Bardzo mi przykro, że straciłaś dziadka. Co to w ogóle znaczyło? Przecież dziadek się nie zgubił, tylko ktoś zmiażdżył mu twarz tak, że została jedynie krew i odłamki kości.

Nie straciła dziadka ze swojej winy, ktoś jej go odebrał. Odebrał jej coś najcenniejszego.

Przez łzy ledwie widziała rozkład odjazdów pociągów. Wsunęła bilet do urządzenia i minęła barierkę na peron, po czym pobiegła na sam koniec, jak najdalej od reszty ludzi. Tam wyjęła telefon z kieszeni i wybrała numer.

Sygnal zabrzmiał kilka razy, aż w końcu rozległa się wiadomość wypowiedziana po francusku szorstkim głosem Sachy i brzęczenie.

Taylor chciała zachować spokój i opowiedzieć o tym, co zaszło, w racjonalny i inteligentny sposób. Nie zamierzała go straszyć, jednak dźwięk jego głosu podziałał na nią niczym katalizator wszystkich emocji, które dusiła w sobie, odkąd rano weszła do chłodnego, pogrążonego w półmroku mieszkania dziadka.

Nie była w stanie powstrzymać rozpaczliwego szlochu.

– Nie żyje, Sacha – usłyszała swój głos. – Mój dziadek nie żyje. Coś go zabiło, coś okropnego. Muszę... Muszę jechać do domu, ale myślę, że to mnie tam znajdzie, cokolwiek to jest. Nie wiem, co robić. A jeśli przyjdzie po mnie albo po moją mamę? Nie mogę... Muszę... wyjechać... Ale dokąd pojedę?

Skuliła się z rozpacz i oparła czoło o zakurzony słup pod zadaszeniem. Żelazo chłodziło jej skórę. Płuca bolały ją od płaczu, ale nie mogła przestać łkać.

– Boże, Sacha – wyszeptała. – Tak strasznie się boję.

Po wezwaniu policji Sacha jechał nieprzerwanie przez kilka godzin. Pędził na złamanie karku wąskimi wiejskimi drogami w cieniu wysokich drzew, nie zwracając uwagi na urok mijanych miasteczek. Po dotarciu do autostrady skręcił na południe. Nie miał ustalonego celu podróży, po prostu chciał jak najbardziej oddalić się od wszystkich, których kochał. Musiał odciągnąć od nich mordercze stwory.

W końcu zatrzymał się z oczywistego powodu: wskazówka poziomu paliwa znieruchomiła na zerze.

Przed zjazdem na stację benzynową starannie zlustrował teren, zupełnie jakby zwiastuni mogli wyskoczyć zza rachitycznego żywopłotu albo wyłonić się z pobliskiego sklepu. Nie bardzo wiedział, dokąd dotarł. Już dawno temu przestał zwracać uwagę na znaki.

Drżały mu nogi, kiedy w końcu zsiadł z motoru, odrętwiały od długotrwałego wpatrywania się w szarą wstęgę szosy. Oparł ręce o kierownicę i dopiero po chwili poczuł się pewniej. Nie miał pojęcia, czy Annie żyje, czy nie. Wolał nie dzwonić do nikogo, kto mógłby to sprawdzić. Pozostały mu tylko nadzieja i modlitwa.

Przytłaczało go poczucie winy, bo gdziekolwiek się zjawił, nie pozostawał kamień na kamieniu. Naturalnie, musiał zdecydować, dokąd jechać i co robić, ale w tej chwili nie był w stanie się na tym skupić. Nadal miał przed oczami widok szybującego przez kuchnię ciała Annie, słyszał też wycie Pikachu.

W oczach Sachy zebrały się piekące łzy, ale on je zignorował. Potrzebował czasu, żeby dojść do siebie.

Poruszał się sztywno jak automat, kiedy napełniał bak, sprawdzał poziom oleju i płynu w chłodnicy. Przy kasie powiedział to, co należało, zapłacił za paliwo i za zimną butelkę wody z lodówki. Od dawna nie miał nic w ustach, ale na samą myśl o jedzeniu przewracało mu się w żołądku.

Ustawił motocykl w cieniu pobliskiego drzewa. Potrzebował chwili wytchnienia na przemyślenie sytuacji. Musiał zachować trzeźwość umysłu.

Wyjął telefon z kieszeni i długo mu się przyglądał, zanim w końcu go włączył. Aparat zaćwierkał cztery razy, sygnalizując nadejście wiadomości głosowych. Sacha usiadł na ławce i wysłuchał ich z zamkniętymi oczami.

Kilka pierwszych nagrała jego mama – błagała, żeby wrócił do domu, a przynajmniej zadzwonił. Piąta wiadomość była dziwna. Z początku słyszał tylko czyjś nierówny oddech, a w tle metaliczny

głos, który po angielsku wygłaszał niezbyt zrozumiałe informacje. Potem rozległ się szloch. Dzwoniła Taylor.

Zanim jeszcze zdążyła cokolwiek powiedzieć, Sacha zerwał się na równe nogi, a gdy skończyła, siedział już na motorze. Z zaciśniętymi ustami wepchnął telefon z powrotem do kieszeni, włożył kask i uruchomił silnik. Następnie zawrócił motocykl.

W końcu wiedział, dokąd ma jechać i co zrobić.

Podróż z Oksfordu do domu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Gdy pociąg toczył się przez wieś, Taylor raz po raz wydzwaniała na komórkę mamy i na telefon domowy, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa.

Gdy w końcu przyjechała na stację, było jej niedobrze ze strachu. Wskoczyła z pociągu, zanim jeszcze drzwi zdążyły się w pełni otworzyć, i pobiegła przez peron, ignorując poirytowane spojrzenia pasażerów, między którymi się przepychała. Musiała dotrzeć do domu i upewnić się, że jej bliskim nic nie grozi.

Była sobota, więc na ulicach tłoczyli się ludzie, którzy wylegli na zakupy. Taylor pędziła przez tłum, ledwie zauważając przechodniów, aż w pewnej chwili ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął, żeby się zatrzymała. Powiodła wokoło otepiętym spojrzeniem.

– Taylor? – W ciemnobrązowych oczach Georgie skrywała się troska. – Co się dzieje?

Na widok jej miny Taylor poczuła bolesne ukłucie w sercu. Żałowała, że już nie są przyjaciółkami. Pragnęła opowiedzieć Georgie o wszystkim, ale wiedziała, że to niemożliwe.

– Nie mogę teraz rozmawiać. – Próbowwała oswobodzić się z uścisku, jednak Georgie nie zamierzała jej puścić.

– Mów – upierała się. – Przecież widzę, że stało się coś złego.

– Ja... – Taylor zawiesiła głos, bo nie miała pojęcia, co powiedzieć.

„Potwory zabiły mojego dziadka i boję się, że dopadną też moją mamę”.

– Taylor, daj spokój. – Georgie ani myślała odpuścić. – Przerażasz mnie.

Po twarzy Taylor nagle popłynęły łzy.

– Och, Georgie – wyszeptała. – To straszne.

Georgie przypatrywała się jej z narastającym niepokojem. Nagle objęła Taylor i razem skręciły z hałaśliwej ulicy w cichy zaułek. Zatrzymała się i popatrzyła przyjaciółce w oczy, odgarniając włosy z jej twarzy.

– No dobra – mruknęła. – Co jest grane?

– Mój... mój dziadek dzisiaj umarł. – Taylor uznała, że tyle może powiedzieć, ale w rezultacie poczuła się gorzej, zupełnie jakby świeża rana ponownie spłynęła krwią. – To ja go znalazłam...

– O, Boże... – szepnęła Georgie. – Tak mi przykro, Tay. To okropne. Nic dziwnego, że jesteś smutna. – Otoczyła ją ramieniem i poprowadziła po chodniku. – Chodź, pójdę z tobą do domu.

Taylor wiedziała, że nie powinna godzić się na to, by przyjaciółka odprowadzała ją pod sam dom. To było zbyt niebezpieczne. Mimo to nie zaprotestowała.

Przez jakiś czas szły w milczeniu, aż w pewnej chwili Georgie spojrzała na nią ze skruchą.

– Posłuchaj, wiem, to nieodpowiedni moment, ale chciałabym jeszcze raz cię przeprosić za to, że wypaplałam wszystko Paulowi – zaczęła. – Byłam głupia, a ty miałas prawo się wściec. Cieszyłam się, że z nim jestem, i zwyczajnie odebrało mi rozum. Jesteś dla mnie ważniejsza niż jakikolwiek chłopak, i to się nigdy nie zmieni.

Taylor mocniej objęła Georgie w pasie. Od dawna bardzo pragnęła jej wybaczyć. Na świecie były istotniejsze sprawy niż Tom i Paul. Bardziej niebezpieczne sprawy.

- W porządku - westchnęła. - Chyba już mi przeszło.

Dostrzegła ulgę na twarzy przyjaciółki.

- Wiesz, co jest dziwne? - zapytała Georgie i zerknęła na nią z ukosa. - Odkąd zerwaliście, Tom zachowuje się strasznie dziwnie. W ogóle nie chce o tobie mówić. Usiłowałam się dowiedzieć, co zaszło tamtego dnia, ale on twierdzi, że nic nie pamięta. To tak, jakby... Bo ja wiem... Zapomniał. Oczywiście wcale mu nie wierzę, ale to jakieś wariactwo, prawda?

Taylor stłumiła dreszcz, gdy sobie przypomniała, jak pan Finlay cicho szeptał do Toma, wyprowadzając go z sali gimnastycznej.

- Cieszę się, że nie ma go już w moim życiu - powiedziała.

- Nadal kontaktujesz się z tym Francuzem... Jak on ma na imię? - Georgie zmarszczyła nos, myśląc intensywnie. - Sacha?

Tym razem Taylor popatrzyła jej w oczy.

- Tak, kontaktujemy się - potwierdziła dobitnie. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Gdy zbliżały się do domu, szybko powiodła wzrokiem po ceglanym budynku, wypatrując oznak zagrożenia, ale wszystko wydawało się w porządku. Błyszczące niebieskie drzwi były zamknięte, a szyby połyskiwały w popołudniowym słońcu.

Mimo to jej ręce drżały, kiedy wyciągała klucze z torby na ramieniu, przez co z trudem i hałaśliwie otworzyła zamek.

Georgie weszła razem z nią. Taylor wiedziała, że skoro nic jej nie grozi, powinna kazać przyjaciółce już iść, ale nie chciała zostać sama.

W środku było chłodno i spokojnie.

- Mamo? - zawołała Taylor. - Jesteś?

Przytłaczająca cisza nieprzyjemnie skojarzyła się jej z atmosferą panującą rano w mieszkaniu dziadka. Serce podeszło jej do gardła.

– Emily? – Tym razem głos Taylor zabrzmiał znacznie słabiej.
Nikt nie odpowiedział.

– Czy Emily nie chodzi w soboty na lekcje tańca? – Georgie oparła się o framugę.

– Sprawdź. – Taylor popatrzyła na nią. – A ty tu zostań.

Pośpiesznie przeszła korytarzem, zaglądając do wszystkich pomieszczeń, po czym wbiegła na schody. Sypialnia mamy była pusta, łóżko starannie posłane, a drzwi Emily stały otworem, więc Taylor od razu zobaczyła cytrynowe ściany i zmiętą pościel.

W domu nie było nikogo, nawet Fizz, co oznaczało, że mama zabrała psa ze sobą – zresztą nie pierwszy raz.

Taylor jednak nie mogła się uspokoić. Okropne przeczucie nadciągającej zagłady przytłoczyło ją niczym głaz. Była pewna, że dzieje się coś strasznego.

– Zaparzę herbatę! – zawołała Georgie z kuchni. Po chwili rozległ się szum wody nalewanej do czajnika. – Chyba nigdy nie widziałam, żeby ktoś bardziej potrzebował herbaty niż my teraz. I pomyśleć, że nawet nie przepadam za herbatą...

Georgie paplała, ale Taylor nie mogła skupić się na jej słowach, bo nagle ogarnęły ją mdłości, a serce zadudniło jej w uszach. Ten odgłos był zbyt donośny. Kurczowo chwyciła się poręczy, przekonana, że ma zawał serca.

Zdążyła jeszcze usłyszeć, jak Georgie pyta, gdzie jej mama chowa dobre herbatniki, zanim w następnej chwili potężne uderzenie wyrwało drzwi z framugi.

Trzej mężczyźni na progu byli ubrani w długie czarne płaszcze. Mieli skórę bladą jak kreda i bezdenne oczy.

Wszyscy trzej się uśmiechali.

Taylor zamarła, przygwożdżona ich spojrzeniami.

– Co to było, do jasnej cholery? – Georgie wyłoniła się z kuchni i stanęła w przedpokoju.

Zwiastuni jednocześnie odwrócili głowy. Ich ruchy były tak nieludzko skoordynowane, że Taylor przeszył lodowaty dreszcz. Głos Georgie skłonił ją jednak do działania. Jednym susem pokonała ostatnie stopnie i stanęła między intruzami a przyjaciółką.

– Georgie, idź do kuchni i zamknij za sobą drzwi! – zawołała przez ramię, wpatrując się uważnie w uśmiechnięte istoty.

– Co? Niby dlaczego? – Georgie ani myślała się zatrzymać. Już znalazła się w zasięgu wzroku Taylor. – Co to był za hałas?

Dlaczego nigdy nie słuchała tego, co się do niej mówi?

Taylor odwróciła się do niej i zebrała całą dostępną sobie moc.

– Idź do kuchni! – rozkazała, nie rozpoznając własnego głosu, który zabrzmiał bardzo władczo.

Georgie potulnie spełniła jej polecenie.

Taylor zadudniło w głowie i ponieważ uświadomiła sobie, że korzysta z własnej mocy. „Głupia jestem”, pomyślała.

Odwróciła się i ujrzała zwiastunów tuż przed sobą. Nie miała pojęcia, jak to możliwe, że poruszają się tak bezszelestnie. Stłumiła

krzyk i cofnęła się niepewnie, ale podążyli za nią z niepokojącą płynnością. Można było odnieść wrażenie, że unoszą się nad ziemią.

Wyglądali jak ludzie, ale byli przeraźliwie chudzi. Do tego bił od nich dziwny zapach wilgotnej ziemi i zgnilizny, tak dławiący, że Taylor nie mogła oddychać. Przypomniła sobie słowa dziadka, że zwiastuni są toksyczni dla ludzi.

Była bliska paniki. Oddychała coraz szybciej i coraz płycej.

– Czego chcecie? – Usiłowała przemawiać władcym tonem, tym razem jednak jej głos był piskliwy i niepewny.

Najwyższy ze zwiastunów uniósł rękę. Taylor wzdrygnęła się na widok jego nienaturalnie długich palców. W tym samym momencie usłyszała dziwne przyciszone brzęczenie, zupełnie jakby nadleciał rój miliona owadów.

Łupanie w jej głowie nasiliło się do tego stopnia, że trudno jej było myśleć i skupić uwagę.

– Wynoście się z mojego domu – wyszeptała.

Takiego tonu nikt nie mógłby się przestraszyć.

– Trzynasta córka – rozległ się głos.

Wysoki stwór patrzył jej w twarz czarnymi oczami, w których dostrzegła nienawiść.

– Chcesz uniemożliwić zawezwanie. To zakazane.

Brzęczenie się nasilało. Taylor wydawało się, że słyszy słowa wypowiedane w nieznanym jej języku. Słowa, które brzmiały wrogo i obco.

Jej lewa ręka nagle się uniosła, zupełnie jakby ktoś za nią pociągnął. Taylor usiłowała ją opuścić, ale na próżno. Patrzyła więc tylko ze zgrozą, jak na jej przedramieniu pojawia się rozcięcie, z którego spływa krew i kapie na podłogę.

„To się nie dzieje naprawdę – powiedziała sobie. – To tylko złudzenie”. Ból jednak był całkiem prawdziwy – ręka piekła jak przypalona ogniem.

Panika chwyciła Taylor za gardło. Jej serce waliło tak, jakby miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Po chwili jej prawe przedramię również się uniosło i Taylor ujrzała na nim drugie bolesne rozcięcie. Teraz krew płynęła z dwóch głębokich ran i zbierała się u stóp dziewczyny. Taylor czuła ciepło i wilgoć, słyszała, jak krew ścieka ciurkiem na podłogę. To nie było złudzenie.

Otworzyła usta do krzyku.

Trzy mroczne postaci stały teraz tuż przed nią. Każda z nich unosiła rękę, wnętrzem dłoni w kierunku zdezorientowanej i obolałej Taylor, która wpatrywała się w zwiastunów, widząc jedynie górujące nad sobą cienie.

Ściany korytarza się zakołysały. Taylor uświadomiła sobie, że traci przytomność. Nie miała szans wyjść z tego cało. Wszyscy mylili się co do niej.

„Wybacz, Sacha”, pomyślała.

– No dobra, panowie, dość tych uciech jak na jeden dzień.

Głos brzmiał znajomo. Był nieustraszony i bardzo wkurzony. Trzej przybysze odwrócili się jednocześnie.

Na progu stała Louisa. Jej niebieskie włosy lśniły niczym lazuruwa aureola. Twarz miała zapuchniętą, jakby wcześniej coś doprowadziło ją do płaczu, teraz jednak nie wydawała się smutna, tylko wściekła.

Taylor odetchnęła z ulgą, która podziałała na nią jak narkotyk. Po chwili ulgę zastąpił strach o Louise. Stwory były zbyt silne i mogły ją zabić.

– Louisa, nie rób tego – szepnęła z trudem.

Dziewczyna nawet na nią nie spojrzała. Wpatrując się w zwiastunów, skinęła na nich dłonią.

– No dalej, maluchy. Zapraszam do mnie.

Taylor pragnęła jej pomóc, ale miała wrażenie, że umiera. Nadal czuła krew ściekającą po dłoniach. Zebrała resztki sił i opuściła wzrok na rozorane nadgarstki, a wtedy przekonała się, że nie ma na nich żadnych nacięć. U jej stóp nie gromadziła się już krew.

Ze zdumieniem obejrzała ręce ze wszystkich stron. Były idealnie gładkie.

Nagle uświadomiła sobie, że skandowanie przybrało płaczliwy ton. Podniosła wzrok i ujrzała, jak zwiastuni ruszyli na Louise.

Zabicie Taylor było ich obowiązkiem, ale dało się zauważyć, że zabicie Louisy sprawi im przyjemność. Mimo to dziewczyna nie okazywała strachu.

– Tak jest, chłoptasie – przemówiła niskim, złowrogim głosem. – To ja. Zobaczmy, jak sobie radzicie, kiedy ktoś stawia opór.

Uniosła dłoń z wytatuowanym na spodzie dziwnym geometrycznym symbolem, który wyglądał jak trójkąt z okiem pośrodku. Był tak świeży, że na jego krawędziach dało się dostrzec zaczerwienienia po igle.

Taylor poczuła wstrząsającą falę gorącej energii, którą Louisa skierowała na zwiastunów. Wszyscy trzej wzdrygnęli się jednocześnie, a ich głosy przybrały na sile, jakby w proteście. Najwyższy z nich wyprostował się i gwałtownie poruszył, a wówczas w stronę głowy Louisy niczym strzała pofrunął ostry kawałek drewna.

Taylor wstrzymała oddech, lecz Louisa ze zblazowaną miną pstryknęła palcami, odtrącając niebezpieczny pocisk.

– To wszystko na co was stać? – zapytała kpiąco. – To żalosne, panowie, spodziewałam się czegoś więcej. Trzeba dbać o reputację.

Mówiła przez zaciśnięte zęby i Taylor widziała, że ledwie się trzyma. Louisa skierowała na nią wzrok, zupełnie jakby potrafiła czytać jej w myślach.

– Możesz pomóc? – zapytała.

Te słowa podziały na Taylor jak kubeł zimnej wody. „Co ja wyprawiam?”, pomyślała ze zgrozą. Zostawiła przyjaciółkę na pastwę wrogów.

Natychmiast zrobiła krok w stronę Louisy. Ciężyły jej głowa i ręce, zupełnie jakby ktoś oszołomił ją narkotykami, ale im więcej się ruszała, tym szybciej wracały jej siły.

Zwiastuni stali pomiędzy nią a Louisą, więc Taylor musiała się przepchnąć między nimi. Instykt podpowiedział jej, że nie powinna ich dotykać. Z rozpaczą popatrzyła na Louisę, która zerknęła na mur za zwiastunami. Na jej czole lśniły krople potu, twarz miała czerwoną z wysiłku. Gaśla w oczach.

Taylor z początku nie wiedziała, o co chodzi, ale po paru sekundach pojęła, w czym rzecz. Cicho, w dwóch krokach podeszła do ściany i oparła się o nią plecami. Potem zamknęła oczy, poszukując mocy wokół siebie.

Energia krążyła wszędzie, Taylor widziała ją pod postacią złocistych pasm. Obecność takiej mocy ją oszołomiła. Miała wrażenie, że moc chce być skierowana przeciwko intruzom i dlatego podpływa jak najbliżej, na wyciągnięcie ręki.

Wśród złota dało się zauważyć trzy szramy, z których sączyła się czern.

Zwiastuni.

Ich mroczna potęga przypominała toksyczne odpady wśród jedwabistego, rozmigotanego złota. Nie było czasu do stracenia. Chwyciwszy pierwsze z brzegu pasmo energii, Taylor uniosła rękę, skupiła uwagę na zwiastunach i posłała przeciwko nim całą moc, którą udało się jej zebrać.

„Precz”.

Wszyscy trzej błyskawicznie odwrócili się do Taylor. Z przestraczem oparła się mocniej o ścianę i pośpiesznie zebrała dodatkową porcję energii.

– Au – skomentowała Louisa zjadliwie. – Idę o zakład, że to was zabolalo.

Dwa stwory ponownie obróciły się ku niej, najwyższy zaś nadal koncentrował się na Taylor. Było jasne, że oddzielone od siebie stwory osłabły.

Taylor zebrała całą energię otoczenia, nie zważając na jej źródło. Włosy wokół twarzy dziewczyny unosiły się niczym chmura. Wyraźnie odczuwała eksplozje mocy wokół siebie. Były tak namacalne, że nozdrza Taylor wypełniła woń spalenizny, jak po pokazie fajerwerków lub po wyładowaniach elektrycznych.

Zwiastuni wydawali się zdeorientowani, ich nierówne skandowanie było teraz jeszcze bardziej urywane. Nie spodziewali się takiego oporu. Louisa też to dostrzegła i zrobiła krok naprzód.

– Wdepczemy was w ziemię – zapowiedziała zimno. – Może się odchrzańcie i zaoszczędźcie nam fatygi, co?

Niestety, te słowa tylko rozjuszyły zwiastunów. Hałas się nasilił, a jeden ze stworów uniósł dłoń.

– O w mordę – mruknęła Louisa, uważnie go obserwując.

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Taylor usłyszała ogłuszający trzask, a Louisa rzuciła się na nią tak gwałtownie, że obie wpadły do salonu i wylądowały na podłodze. Na miejsce, w którym znajdowały się przed chwilą, zwała się sterta gruzu.

Siła uderzenia sprawiła, że Taylor zabrakło tchu w płucach. Rzęząc, usiadła z wysiłkiem i rozejrzała się wokół. Powietrze było białe od kurzu, a przedpokój zniknął, zasypany cegłami i tynkiem.

Taylor wyciągnęła szyję, by dojrzeć zwiastunów.

– Daruj sobie. – Louisa wylądowała obok sofy i teraz spokojnie otrzepywała tatuaże z kurzu. – Zniknęli. – Zmarszczyła nos. – Boże, ależ oni śmierdzą.

Taylor z wysiłkiem uklękła i powiodła wzrokiem dookoła. Louisa miała rację. W drzwiach nie było już nikogo, a na zewnątrz dostrzegła tylko błękitne niebo i cichą ulicę.

Serce Taylor powoli się uspokajało.

– Dobrze się czujesz? – zwróciła się do Louisy, która spojrzała na nią wzrokiem pełnym bólu.

– Nie – odparła łamiącym się głosem. – Już nigdy nie poczuję się dobrze.

Niewątpliwie nie chodziło o zwiastunów. Taylor zrobiła krok w jej kierunku.

– Poprosiłam, żeby cię zawiadomili – szepnęła.

Louisa pokręciła głową.

– Gdy tylko się dowiedziałam, od razu postanowiłam przyjechać, ale... na miejscu była policja. – Louisa jeszcze nigdy nie wyglądała tak bezradnie. – Nie mogłam ryzykować, że mnie sprawdzą. Przepraszam, że musiałaś radzić sobie sama, ale nie miałam wyboru. To jakiś koszmar... Kompletny koszmar.

Przycisnęła grzbiet dłoni do oczu, a Taylor z trudem przełknęła ślinę. Groza poranka utkwiała w jej pamięci na zawsze, przypominając, czym są strach i ból po stracie.

– Taylor? – rozległ się piskliwy głos z kuchni.

Louisa natychmiast się wyprostowała i popatrzyła na korytarz.

– A to kto znowu, do cholery? – warknęła.

– Szlag, zapomniałam o Georgie.

Taylor przedarła się przez pobjowisko na korytarzu, pobiegła do kuchni i gwałtownie otworzyła drzwi. Georgie popatrzyła na nią szeroko otwartymi brązowymi oczami.

– Sama nie wiem dlaczego, ale nie mogę wyjść z kuchni – poskarżyła się nieśmiało, jakby się usprawiedliwiała. – To bardzo dziwne.

– Coś ty jej zrobiła? – Louisa podążyła za Taylor i teraz stała na korytarzu, zaglądając jej przez ramię, zupełnie jakby Georgie była szczurem laboratoryjnym.

– Bo ja wiem – mruknęła Taylor. – Po prostu musiałam ją trzymać z daleka od tych... potworów. Jak mam to odkręcić?

Rozmawiały o Georgie tak, jakby jej tam nie było. Zdezorientowana, niespokojnie spoglądała raz na Louise, raz na Taylor.

– Powiedz jej, że wszystko jest w porządku – zaproponowała Louisa. – W sumie jest tylko wystraszona.

– Georgie – odezwała się Taylor kojącym tonem. – Naprawdę możesz już wyjść.

Dziewczyna powoli opuściła kuchnię i zamarła na widok zrujnowanego przedpokoju.

– O Boże, co tu się stało? – jęknęła.

- Wybuchł gaz – odparła Louisa bez wahania. – Na szczęście to nie był potężny wybuch, inaczej pewnie komuś stałaby się krzywda. A teraz chyba powinnaś się zbierać.

- Kim jesteś? – Georgie zapytała.

- Pracuję w gazowni – oświadczyła Louisa bez przekonania, a następnie położyła dłoń na ramieniu Georgie i dodała cicho: – Musisz wracać do domu. Taylor nic nie jest. Doszło tylko do drobnego wypadku. Właściwie nie stało się nic strasznego.

Georgie odwróciła się do Taylor.

- Muszę już iść. Dobrze, że to nic poważnego – powiedziała.

Taylor zwiesiła ramiona. W tym wypadku było to konieczne, ale nie podobało się jej, że ktoś miesza Georgie w głowie.

- Tak – mruknęła ze smutkiem. – Też się cieszę.

W wyrazistych oczach Georgie pojawiło się współczucie.

- Przykro mi z powodu twojego dziadka. Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno – skłamała Taylor.

Georgie ostrożnie pokonała gruzowisko, a potem odwróciła się i spojrzała na Taylor przez unoszący się w powietrzu pył.

- Twoja mama się wkurzy – zauważyła.

Kąciki ust Taylor uniosły się w słodko-gorzki uśmiechu.

- Myślisz, że nie wiem? – westchnęła.

– Zaczniemy od konkretów – oznajmiła Louisa, gdy tylko rozstały się z Georgie. – Zadzwoń do mamy i poinformuj ją, że doszło do wypadku. Powiesz, że wróciłaś do domu z Oksfordu i tak to wyglądało.

Stojąc po kostki w gruzach, Taylor stanowczo pokręciła głową.

– Nie, Louisa, mama nie może tutaj wrócić – odparła. – Tu nie jest bezpiecznie. Mama i Emily muszą gdzieś pojechać. Boże. – Przycisnęła palce do czoła. – Jak ja jej powiem o dziadku? Jak mam jej to wytłumaczyć?

Wydarzyło się tyle okropnych rzeczy, że kręciło się jej w głowie i miała mdłości.

„Nie jestem gotowa – pomyślała. – Mam dopiero siedemnaście lat”.

– Faktycznie – zauważyła Louisa, po czym umilkła.

Wpatrywały się w siebie, stojąc wśród ruin przedpokoju w domu Taylor. Ciszę zakłócił w końcu ostatni kawał tynku, który z donośnym łomotem spadł na podłogę.

Zrozpaczona Taylor rozejrzała się po pobojuwisku. Wszędzie osiadł gipsowy pył, szczątki sufitu powpadały do salonu i przywalały schody. Drzwi wejściowe zniknęły.

Co miała powiedzieć? „Cześć, mamo. Ktoś zamordował dziadka, a dom zrujnowały potwory. Co dziś na kolację?”

Louisa na szczęście zachowywała zimną krew.

– No dobra – odezwała się w końcu. – Musisz powiedzieć mamie o Aldrichu, bo i tak się dowie od policji. Ale skłamiesz co do tego. – Wskazała krajobraz po bitwie.

Taylor pokręciła głową.

– A co z tymi potworami? Ze zwiastunami? A jeśli wrócą i zastaną tu mamę z Emily? Skąd będę...

– Dzisiaj wieczorem zwiastuni nie wrócą – zapewniła ją Louisa z przekonaniem. – Zostanę w pobliżu, a na pewno nie zechcą znowu atakować nas obu. Mimo to uważam, że musimy jak najszybciej cię stąd zabrać. – Wyjęła telefon. – Zajmę się tym, a ty dzwoń do mamy.

Taylor przebrnęła przez gruzy, starannie omijając żyrandol, który od lat wisiał w przedpokoju. Jej torba nadal leżała przy wejściu. Otrzepawszy ją z kurzu, Taylor wyjęła telefon i znalazła numer mamy. Ręce jej drżały, gdy dotykała przycisku.

– Pamiętaj! – krzyknęła za nią Louisa. – Wróciłaś do domu i to już tak wyglądało.

W poczcie głosowej rozległ się znajomy głos mamy, a Taylor poczuła pieczenie pod powiekami.

– Mamo, coś się stało – powiedziała do automatu. – Coś... strasznego. – Głos jej się załamał. Myślała tylko o tym, że chciałaby teraz być przy mamie, ale nie potrafiła dobrać słów. – Chodzi o dziadka. I jeszcze ktoś chyba próbował włamać się do domu. Tutaj... wszystko jest... Musisz jak najszybciej wrócić. Proszę cię, przyjedź, bo nie wiem, co robić.

Rozłączyła się i jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w zrujnowany dom. Potem wyprostowała się i osuszyła oczy. To nie była pora na łzy.

Z kuchni dobiegł ją głos Louisy, która rozmawiała z kimś przez telefon.

– Potrzebujemy trzech albo czterech – oznajmiła. – I to natychmiast, Finlay. Sytuacja nas przerosła.

Roztrzaskany płat tynku zachrząścił pod butami Taylor, a w powietrze wzbily się maleńkie chmurki szarego pyłu. Gdy weszła do kuchni, zastała Louise przy stole, na którym stał kubek. Na widok Taylor zakończyła rozmowę.

– Twoja koleżanka zaparzyła herbatę – powiedziała i popchnęła kubek w jej kierunku. – Miło z jej strony.

Taylor przez chwilę stała na progu kuchni. Bolały ją mięśnie, zupełnie jakby każde z dzisiejszych wydarzeń miało wymierny ciężar, a teraz wszystkie naraz ją przygniatały. Zauważywszy minę dziewczyny, Louisa podsunęła jej krzesło.

– Siadaj i pij.

W tym momencie Taylor straciła panowanie nad sobą.

– Jak to się stało, do cholery? – wybuchła. – Przecież kolegium miało być bezpiecznym miejscem. – Podniosła głos przy ostatnim słowie. – Coś roztrzaskało mu twarz. Coś go uniosło i nim cisnęło. Kto zabił dziadka? Kto to zrobił?

Louisa powoli wypuściła długo wstrzymywane powietrze.

– Nasze kolegium jest bezpieczne. Dobra, było, ale znowu będzie. Chodzi o to... – Przygryzła wargę, jakby nie mogła się zmusić do wypowiedzenia następnych słów. – Ten mroczny wyznawca, który kontroluje zwiastunów... to chyba jeden z nas.

Taylor zamurowało. Przez otwór po wyrwanych drzwiach usłyszała przejeżdżający ulicą samochód. W pobliskim ogrodzie bawiły się dzieci. Te zwyczajne odgłosy ani trochę nie pasowały do rozmowy, którą prowadziła z Louisą.

– Jak to? – spytała w końcu. – To robota alchemika? Kogoś takiego jak ja? Nie rozumiem. Sądziłam, że jesteśmy tymi dobrymi.

Louisa popatrzyła na nią zbolalym wzrokiem.

- Zdradzono nas. To bez wątpienia robota kogoś z wewnątrz. Naszym zdaniem morderca studiował w Kolegium Świętego Wilfreda i dlatego wiedział, jak ominąć nasze zabezpieczenia. - W jej głosie słychać było napięcie - Wierz mi, ta szkoła jest dla nas jak Fort Knox. To najbezpieczniejsze miejsce na kuli ziemskiej. Żeby wejść do środka, trzeba być jednym z nas. Te istoty... - Pokazała ręką zniszczenia dokonane przez zwiastunów. - ...na pewno by się tam nie wdarty. Mroczny wyznawca też nie. - Na chwilę wymownie zamilkła. - Chyba że był jednym z nas.

Taylor się wzdrygnęła. Sytuacja była gorsza, niż dotąd sądziła.

- Wiecie, kto to?

- Jeszcze nie. - Louisa pokręciła głową. - Jest kilka możliwości. Wszyscy teraz nad tym pracują, starają się to rozgryźć. - Pochyliła się i spojrzała Taylor w oczy. - Dojdziemy do prawdy. Dopadniemy drania.

Taylor nie potrzebowała jednak pokrzepienia.

- Opowiedz mi, jak to się stało.

Louisa wlała w siebie herbatę tak, jakby to była whisky.

- Nasz portier nie pojawił się tego ranka i nie zadzwonił. To dla niego nietypowe, ale założyliśmy, że zachorował. Dzisiaj po południu znaleźliśmy zwłoki portiera w jego domu.

Taylor przypomniała sobie gderliwego, chudego strażnika, który utrudniał jej życie. Zrobiło się jej głupio, że tak go nie cierpiała.

- Zastępca nie był jednym z nas - ciągnęła Louisa. Mówiła opanowanym, ale znużonym tonem. - Popelniliśmy błąd. Nie wolno było dopuścić do takiej sytuacji, ale kto mógł przewidzieć... - Pokręciła głową. - Morderca bez trudu zmanipulował zastępcę portiera i po prostu wszedł do środka. - Zawiesiła głos, wyraźnie zdumiona przebiegiem zdarzeń. - Nigdy dotąd nie stało się nic podobnego.

W całej historii Kolegium Świętego Wilfreda nie doszło do infiltracji. To niespotykane. Wszyscy wpadli w panikę. Pracujemy nad jak najszybszą zmianą zabezpieczeń i wzmocnieniem ochrony. To potrwa, ale w rezultacie kolegium znowu będzie bezpieczne.

– Zaatakował jeszcze kogoś? – zapytała Taylor. – Oprócz strażnika i mojego dziadka?

Louisa pokręciła głową.

– Doliczyliśmy się wszystkich. Interesował go tylko najważniejszy alchemik na świecie i pierwszy człowiek, któremu na mnie zależało. Zrobił swoje i poszedł – dodała drżącym głosem i ze złością otarła palcami łzy z policzków.

Taylor przeszło przez myśl, że w widoku twardego człowieka o krwawiącym sercu jest coś przygnębiającego. Wydaje się wtedy zaskoczony, zupełnie jakby w momencie, gdy pęka mu serce, uświadamia sobie, że je ma.

Odruchowo wyciągnęła rękę nad stołem. Paznokcie Louisy były krótkie i nierówne, a dłoń zimna w dotyku.

– Bardzo mi przykro – szepnęła Taylor.

Louisa zaśmiała się przez łzy.

– Trudno uwierzyć, że ty to mówisz. Straciłaś dziadka, a ja nawet nie należałam do rodziny.

– Przeciwnie – oświadczyła Taylor z przekonaniem. – Byłaś członkiem jego rodziny. Wszyscy to widzieli. Dziadek cię kochał.

Louisa puściła jej rękę i ukryła twarz w dłoniach, a potem wzięła głęboki, drżący oddech.

– Chodzi o to, że chyba widziałam faceta, który to zrobił – wyznała. – Raz, kiedy tu byłam.

Taylor nie odrywała od niej wzroku.

- Co takiego? Tutaj? W Woodbury?

- Na stacji. - Louisa pokiwała głową. - Tamten człowiek... Po prostu cuchnął mroczną mocą. Zauważył, że się zorientowałam. Wiesz, potrafię jednym ruchem ręki załatwić przeciętnego mrocznego drania, ale on... wcale się mnie nie bał. Naśmiewał się ze mnie, kpił. Aldrich zainteresował się tą sprawą i teraz sama nie wiem, może nie był dostatecznie ostrożny... Ale potem znaleźliśmy książkę i wszyscy się rozkojarzyli. - Odetchnęła. - Chyba właśnie dlatego ten człowiek dostał się do kolegium.

Mówiła nieskładnie, więc Taylor nie wiedziała, na których jej słowach powinna się skupić. W końcu wybrała tę informację, która najbardziej ją zdziwiła.

- Jaką książkę?

Louisa zamrugnęła.

- Cholera, nie wiesz o książce - mruknęła. - Zapomniałam. Dzisiaj mieliśmy ci o tym powiedzieć. - Odkaslnęła. - Ktoś od nas znalazł ją w Bibliotece Bodlejańskiej. Słyszałaś o niej?

Taylor skinęła głową. Wiedziała o słynnym księgozborze z ogromną kolekcją historycznych woluminów. Od szóstego roku życia marzyła o ich przeczytaniu.

- Aldrich sądził, że widział wszystkie opublikowane w tamtych czasach książki o tej tematyce, ale ta nigdy wcześniej nie wpadła mu w ręce - ciągnęła Louisa. - Znaleźliśmy ją tylko dlatego, że naszego badacza olśniło i poprosił bibliotekarkę o książki w obcych językach.

Taylor zmarszczyła brwi.

- W jakim języku jest ta książka?

- W tym sęk. Została w całości napisana pradawnymi symbolami alchemicznymi. Dla przeciętnego człowieka to wygląda jak

niezrozumiałe bazygroły. W katalogu odnotowano ją pod hasłem „Języki nieznane”.

Taylor nadal nie kryła zdumienia.

– Skoro nie da się jej przeczytać, to dlaczego Aldrich uznał ją za ważną?

– Jeśli to właściwa książka, a on tak uważał, to wzmianki o niej pojawiają się w kilku innych tekstach i jest niewiarygodnie cenna. – Louisa mówiła z niemal nabożną czcią. – Miała być czymś w rodzaju planu, podręcznika do nauki walki z mrocznymi wyznawcami i naprawy zniszczeń po nich. Ta książka to brakujące ogniwo. Jedyny problem jest taki... – Uśmiechnęła się kwaśno. – ...że nie potrafimy cholerstwa odczytać.

Taylor poczuła przyływ nadziei.

– Dziadek uważał, że tam znajdziemy rozwiązanie? – zapytała gorączkowo. – Sposób na zdjęcie klątwy z Sachy?

– Sądził, że to niewykluczone – potwierdziła Louisa ostrożnie. – Książka pochodzi z odpowiedniego okresu, a jej treść ukryto aż zbyt starannie. Wszystko jest zapisane szyfrem, którego nawet Aldrich nie potrafił złamać. Czegokolwiek dotyczy książka, na pewno chodzi o coś ważnego. Może właśnie dlatego doszło do tragedii. Może ten ktoś wiedział, że Aldrich ma książkę.

– Ale morderca jej nie ukradł? – Taylor wpatrywała się w Louise.

– Nie. Ochroniliśmy książkę. Aldricha już nie.

Obie drgnęły, gdy zadzwonił telefon. Taylor szybko podniosła go z lady.

– Taylor, nic ci nie jest? – W słuchawce rozległ się głos spanikowanej mamy. – Omal nie padłam trupem. Co się stało dziadkowi? Co z domem?

Jej zdenerwowanie sprawiło, że Taylor wzięła się w garść i zrozumiała, że musi zapanować nad sytuacją.

– Myślę, że powinnaś przyjechać do domu – powiedziała. – Nie chcę mówić o tym przez telefon.

– Już jestem w drodze – odparła jej mama z dziwnym echem, jak zawsze, gdy wybierała tryb głośnomówiący. W tle słychać było warkot silnika. – Dotrę za jakieś dziesięć minut. Jest ze mną Emily.

Taylor nie wiedziała, jak powie mamie o dziadku i czy w ogóle znajdzie odpowiednie słowa. Nigdy dotąd nie czuła się równie dorosła i nigdy aż tak bardzo nie pragnęła znowu być dzieckiem.

Gdy tylko zakończyła rozmowę, Louisa wstała.

– Wiesz co, na mnie pora. Jeśli twoja mama zobaczy kogoś takiego jak ja w samym środku tej demolki, rozpęta się piekło... – Zerknęła na zrujnowany korytarz. – Jeszcze gorsze niż teraz.

Taylor chciała ją zatrzymać, ale Louisa już szła do wyjścia, a jej ciężkie glany o grubych podeszwach miażdżyły resztki sufitu.

– Zaczekaj! – Taylor pobiegła za nią, usiłując nie zdradzać się ze swoim przerażeniem. – Możesz zostać, jeśli chcesz. Mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

Louisa stanęła w progu i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– No, prawie nic – poprawiła się Taylor słabym głosem.

– Spokojnie, blondyno, będę w pobliżu. Zatrzymam się gdzieś tutaj, żeby mieć na ciebie oko. Finlay już jedzie, a kilka osób z Oksfordu wkrótce zjawi się z pomocą.

Taylor nie chciała nikogo innego, tylko Louise. Nie mogła powiedzieć tego wprost, bo zabrzmiałoby to dziecinnie.

– Jasne – oświadczyła tylko. – Poradzimy sobie.

Louisa spojrzała na nią łagodniej

- Naprawdę sobie poradzisz – podkreśliła.

Nieoczekiwana czułość w jej głosie sprawiła, że Taylor znowu miała ochotę się rozkleić.

Louisa nadal stała na progu, a jej włosy lśniły w słońcu.

- Całkiem nieźle nam poszło, blondyno, kiedy tak razem walczyliśmy – zauważyła. – To dla mnie zaszczyt, że mam u boku wnuczkę Aldricha Montclaira. Twój dziadek byłby z ciebie dumny.

Potem odwróciła się i odeszła, szurając podszwami z grubej gumy.

Sacha dopiero po północy wjechał do portowego miasta Calais.

O tej porze panował tam spokój, ale na ciemnych ulicach łatwo było się zgubić. W pewnym momencie, całkiem zdezorientowany, zatrzymał się przy grupce rozbawionych pijaków, żeby spytać o drogę.

– Trzeba skrócić w lewo na końcu ulicy – oświadczył życzliwie jeden z nich. – I w prawo. A potem w lewo... chyba. Nie, zaraz. Moment. W prawo.

– Debil. – Drugi pchnął pierwszego tak mocno, że niemal go przewrócił, a następnie popatrzył na Sachę mętным wzrokiem. – Na końcu ulicy skrócić w prawo.

Zadowolony z siebie, cofnął się o krok, jakby jego słowa wyjaśniały wszystko.

Trzeci pokręcił głową z wyraźnym obrzydzeniem.

– Pan ich nie słucha – wybełkotał. – Się nachlali.

Nie wytłumaczył jednak, którądy należało jechać.

– No tak... Dzięki. – Sacha zaczął powoli popychać ciężki motocykl, oddalając się od pijaczków.

– Ej, no, momencik! – krzyknął pierwszy, który odzyskał równowagę i zataczał się za Sachą, najwyraźniej przepętniony pragnieniem niesienia pomocy bliźniemu. – Już sobie przypomniałem: najpierw lewo, a potem w lewo. A potem, zaraz... No, w prawo, chyba. Albo w lewo.

– Ale z ciebie kretyn – zdążył jęknąć drugi, zanim zagłuszył go ryk silnika.

W końcu jednak Sacha zdołał trafić na miejsce, kierując się drogowskazami. Zaparkował przed promową kasą biletową i zdjął kask. Wiatr znad morza przyjemnie chłodził jego spoconą skórę.

Liczne latarnie rozjaśniały mrok żółtą poświatą. Sacha nie widział morza, lecz słyszał szum rozbijających się o brzeg fal. W powietrzu unosił się zapach soli.

W drodze zatrzymał się tylko po to, żeby zatankować. Wiedział, że powinien odpocząć i coś zjeść, ale nie miał na to czasu. Kiedy jednak podszedł do kasy, na szybie ujrzał napis „Fermé”. Kasjer w środku liczył pieniądze.

– Kasa nieczynna – burknął, gdy Sacha pomachał do niego ręką.

Sacha poczuł bolesny ucisk w sercu.

– Ale ja muszę kupić bilet – powiedział.

– Ostatni prom odpłynął – oświadczył kasjer i niecierpliwie wycelował palec w morze. – Następny rano.

Sacha spojrział we wskazanym kierunku. Migotliwe blade światełka, które dostrzegł już wcześniej, nie świadczyły o bliskości innego miasta, jak zakładał. To był odpływający prom.

Zwiesił ramiona. Nie mógł uwierzyć, że na próżno przebył taki dystans i tak się namęczył.

Przejrzał wywieszony w oknie rozkład promów. Kasjer miał rację, ostatni statek odpłynął niespełna pięć minut wcześniej. Sacha miał wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu.

Tak mocno rąbnął pięścią w aluminiową ladę, że zadrżała.

– Merde!

– Ejże! – warknął kasjer i zerwał się z krzesła. – Co to ma być? Lepiej stąd zmiataj, bo wezwę policję. Wróc rano, jak inni.

Zapomniał, że ściska w dłoni banknot o nominale dwudziestu euro, którym wymachiwał jak bronią. W innej sytuacji wyglądałoby to zabawnie, ale w tej chwili Sacha miał ochotę go zdzielić. Na szczęście zachował dość rozsądku, żeby się opanować – gdyby go teraz aresztowano, wszystko by przepadło. Poza tym kasjer nie był niczemu winien.

Sacha uniósł ręce.

– Désolé – powiedział i odsunął się od lady. – Przepraszam. Już sobie idę.

– I dobrze – burknął kasjer.

Odchodząc, Sacha kątem oka obserwował mężczyznę w okienku, żeby sprawdzić, czy ten nie sięga po słuchawkę. Kasjer jednak ponownie skupił się na liczeniu pieniędzy, mamrocząc pod nosem niepochlebne uwagi na temat dzisiejszej francuskiej młodzieży.

Po tym incydencie Sacha przez pewien czas snuł się po ulicach w pobliżu portu. Lekko się chwiało, co oznaczało, że powinien coś zjeść i wypić. Wszystkie sklepy i lokale zamknięto jednak na cztery spusty.

Choć noc była ciepła, nie mógł opanować dreszczy. W pobliskim parku ostatecznie opadł z sił, usiadł na ławce i ukrył twarz w dłoniach. Pomyślał o Annie i Pice, o matce i Laurze, a także o urywanych szlochach Taylor. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się równie samotny. Sprawiał zawód wszystkim.

– Przepraszam – wyszeptał. – Przepraszam.

W końcu położył się na twardych deskach, podkulił nogi, wsunął torbę pod głowę i zasnął, zasłuchany w odległy szum morza.

Przenikliwe trąbienie samochodów wyrwało Sachę z niespokojnego snu.

Zamrugał i otworzył oczy. Zasnute mgłą niebo przybrało jasnoszarą barwę, a nadmorskie ptaki krążyły pod chmurami, przeraźliwym krzykiem zagłuszając szum fal i warkot ciężarówek.

Sacha nagle przypomniał sobie, gdzie jest. Usiadł gwałtownie i przecierając zaspane oczy, spojrzął na zegarek. Minęła piąta, co oznaczało, że prom odpłynie za kilka minut.

Zaklął pod nosem i rzucił się biegiem do kasy. Zadyszany, po chwili zajął ostatnie miejsce w krótkiej kolejce. Dzięki Bogu się nie spóźnił.

Kolejka poruszała się powoli, więc gdy w końcu stanął przy ladzie, silniki promu już warczały.

Sacha odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że przy komputerze nie siedzi ten sam człowiek, który na niego wrzeszczał późnym wieczorem. Tym razem dyżur pełniła młoda kobieta. Podniosła wzrok, kiedy Sacha wyciągał pieniądze z kieszeni.

– Poproszę bilet – powiedział. – Jedna osoba z motocyklem.

– Jeden dla chłopca na motorze – oświadczyła kasjerka pogodnie i wystukała coś na klawiaturze. – W jedną stronę czy powrotny?

Sacha się zawahał. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedział, czy jeszcze kiedyś wróci. Pozostało mu niespełna pięć tygodni życia. Mógł uciec z Taylor do Ameryki, ruszyć w podróż, pojechać do Kalifornii. Mógłby zawsze umykać ścigającym go stworom.

W głębi duszy wiedział jednak, że tak się nie stanie. Musiał dotrzeć do Taylor i zadbać o jej bezpieczeństwo. Powinni wspólnie postanowić, co dalej. Potem będzie mógł powrócić tutaj i walczyć o przetrwanie.

Na pewno istniało jakieś wyjście, przecież jego życie dopiero się zaczęło. To niemożliwe, żeby już musiał umrzeć.

Po siedemnastu latach człowiek nie żegna się z życiem, tylko staje u jego progu.

Podniósł wzrok na kasjerkę.
– Powrotny.

– Jak twoja mama zareagowała na robotę zwiastunów? – Louisa powoli zamieszała kawę, podzwaniając łyżeczką o filiżankę.

– Wpadła w szal. – Taylor się skrzywiła. – Zadzwoń po policję i po pogotowie gazowe, nawrzeszczała na agenta ubezpieczeniowego. Wszystkim się oberwało.

W Kofeinowym Transie panował spokój. W ten niedzielny poranek zaledwie garstka klientów zdecydowała się wyjść z domu. Aromat kawy wypełniał pomieszczenie niczym zapach kofeinowych kadzidełek.

Louisa uniosła brew.

– I czego się dowiedziała?

– Policjanci twierdzili, że nikt nie popełnił przestępstwa. Gazownicy uznali, że to nie gaz. Ludzie od ubezpieczeń zdecydowali, że ktoś dzisiaj przyjedzie i rzuci okiem – wyrecytowała szybko Taylor. – Ich zdaniem sufit mógł zawilgotnieć.

– Zawilgotnieć – prychnęła Louisa i na moment umilkła. – A Aldrich? Powiedziałaś jej?

– Załamała się – wyznała Taylor cicho.

Zrobiła obojętną minę, choć sytuacja była straszna. Matka szlochała, Emily wpadła w rozpacz, a wszystko to działo się na oczach montera, który instalował drzwi, udając, że nic nie zauważa.

– Musiało być koszmarne – mruknęła Louisa.

– Tragicznie – odparła Taylor ledwie słyszalnym szeptem.

Louisa w milczeniu popijała kawę, czekając, aż Taylor się uspokoi.

– Ale nie nachodzili cię żadni dziwni goście? – zapytała w końcu.

– A skąd – odparła Taylor. – Cisza i spokój.

Nie wyjawiała jednak, że nie mogła spać, więc o trzeciej nad ranem wyjrzała przez okno w sypialni i zauważyła Louise, która czuwała w świetle latarni niczym niebieskowłosa strażniczka na posterunku. Dopiero wtedy Taylor przysnęła na parę godzin.

– A co u ciebie? – zapytała. – Spałaś?

Louisa przeciągnęła się leniwie. Jak zwykle wydawała się absurdalnie wyluzowana. Dzisiaj ubrana była w dwie koszulki, szarą i khaki, a jej kruczoczarne tatuaże wyraźnie kontrastowały z bladą skórą.

– Nigdy nie śpiam – oświadczyła. – Jeszcze nie zauważyłaś? Jestem jak nietoperz.

– Nietoperze śpią za dnia.

– No to nie jestem jak nietoperz – przyznała Louisa. – Ale na pewno jest zwierzę, które nigdy nie śpi. Może wombat?

– Dobra, jesteś wombatem. – Taylor musiała się uśmiechnąć, ale zaraz ponownie spoważniała. – Posłuchaj, chciałam powiedzieć... Co do tego wczoraj... Chyba ci nie podziękowałam, więc... Dzięki, że się mną zajmujesz.

Louisa przez chwilę wpatrywała się w nią bez słowa. Potem wyjęła z torby kopertę i położyła ją na stole przed Taylor.

– Nadal chciałabym się tobą zajmować – wyznała. – A ponieważ chyba obie wiemy, że powinnaś przenieść się w bezpieczniejsze miejsce... Oto twój złoty kupon, blondyno. Witaj w fabryce czekolady.

Taylor podejrzliwie przypatrywała się kopercie, na której widniało jej imię, nazwisko, adres, a także duży, z wyglądu urzędowy stempel.

Na widok wahania Taylor Louisa pośpieszyła ją niecierpliwym ruchem ręki.

– Dalej, otwórz – powiedziała.

Taylor ostrożnie zajrzała do środka i wysunęła ciężką kartkę. Pierwsze słowa pisma tak ją oszołomiły, że zamknęła oczy, a otworzywszy je ponownie, musiała się upewnić, że to nie sen.

Z przyjemnością zawiadamiam, że pani Taylor Elizabeth Montclair uzyskała prawo przedterminowych studiów w Kolegium Świętego Wilfreda na Uniwersytecie Oksfordzkim w ramach zaawansowanego programu letniego (ZPL) z dziedziny historii średniowiecznej. Zajęcia inauguracyjne są przewidziane na czwarty tydzień czerwca, program potrwa do drugiego tygodnia sierpnia. We wszelkich sprawach dotyczących szczegółowych ustaleń należy zgłaszać się do biura dziekanatu. Doroczny program letni jest skierowany do wąskiego grona najlepszych uczniów, a dobre wyniki na koniec nauki mają istotny wpływ na decyzję o przyjęciu słuchacza do Kolegium Świętego Wilfreda na studia dzienne. Gratuluję dołączenia do grupy najwybitniejszych młodych uczonych w kraju!

Jonathan Wentworth-Jones

Dziekan Kolegium Świętego Wilfreda

Taylor poczuła się tak, jakby ktoś zdzielił ją pięścią w brzuch. Zaledwie kilka tygodni wcześniej nie marzyła o niczym innym. To było pragnienie jej życia.

Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Nie wiedziała, co czuć i co myśleć.

Uniosła list.

– To się dzieje naprawdę? – zapytała. – Czy to jakaś ściema?

– Co rozumiesz przez „naprawdę”? – Louisa wydeła usta, ale Taylor nie odpowiedziała uśmiechem. – Tak, to się dzieje naprawdę – potwierdziła z irytacją. – Dziekan upierał się, że musi zobaczyć twoje

oceny przed podjęciem decyzji o przyjęciu cię do kolegium. Na litość boską, Taylor, z takimi stopniami możesz się dostać na każdą uczelnię! Kiedy dziekan je zobaczył, mało sobie nóg nie połamał, tak pędził napisać ten list.

Taylor starannie złożyła dokument i wsunęła go z powrotem do koperty. Naprawdę miała się uczyć w Oksfordzie.

Wszystkie jej dawne marzenia stawały się rzeczywistością – tyle tylko, że dziadek nie mógł już powitać jej na uczelni. Nie wiedziała też, czy Sacha dożyje tej chwili i czy Oksford nie zniknie z powierzchni ziemi, zanim ona rozpocznie studia.

W dodatku miała się znaleźć w centrum zdarzeń i walczyć z nieprzyjacielem. Dowiedzieć się więcej o sobie i o tym, kim i czym była.

Louisa czekała na komentarz.

– Dziękuję – powiedziała szczerze Taylor. – Ogromnie się cieszę, że będę mogła pracować z tobą jeszcze więcej i stanę się częścią tego wszystkiego. Żałuję tylko... – Głos jej się załamał.

– Ja też żałuję, że nie ma z nami Aldricha – dokończyła za nią Louisa. – Bardzo mi go brakuje. Ale chciał, żebyś trafiła do naszego kolegium i uczyła się z ludźmi, którym ufał.

Taylor wiedziała, że Louisa ma rację. Była wdzięczna dziadkowi i chciała spełnić jego wolę, a także uratować Sachę.

Wyprostowała się na krześle.

– Kiedy zaczynamy? – zapytała mocnym, zdecydowanym głosem.

Louisa popatrzyła na nią z aprobatą.

– Jak najszybciej. Dziekan zadzwoni do twojej mamy, żeby ją poinformować. Chcemy zabrać cię stąd jeszcze dzisiaj. Dziekan wyjaśni, że powinnaś przyjechać wcześniej, ona zresztą także, żeby się

zająć rzeczami twojego dziadka. Naturalnie, będzie mogła przywieźć swoją młodszą siostrę.

Taylor nie dała tego po sobie poznać, ale poczuła się znacznie lepiej. Pomyślała, że byłoby wspaniale mieć przy sobie mamę i siostrę nieco dłużej.

Louisa z rozbawieniem uniosła brew.

– Skoro jesteś jedną z nas, chyba powinnam cię nauczyć naszego wyjątkowego uścisku dłoni i innych rytuałów.

– Możesz zrobić mi jeden ze swoich tatuaży. – Taylor wskazała palcem na jej rękę.

– To się da załatwić. – Louisa zerknęła na zegarek i szybko wstała, jednocześnie podnosząc torbę z podłogi. – Ale najpierw wrócisz do domu, żeby się spakować. Furgonetka przyjedzie za godzinę. Nie mamy czasu do stracenia. – Ruszyła do drzwi. – Wkrótce rozpoczniesz nowe życie. Będziesz walczyła ze złem i ratowała świat. Nie zapomnij zabrać szczoteczki do zębów.

Louisa i Taylor rozstały się na rogu ulicy, przed kawiarnią.

– Muszę pędzić do szkoły na spotkanie z Finlayem – wyjaśniła Louisa i wyciągnęła pięść, a Taylor nieporadnie przybiła z nią żółwika. – To nie potrwa długo. Będę u ciebie w domu, zanim przyjedzie furgonetka. Masz teraz okazję porozmawiać z mamą i siostrą. Przynajmniej nie musisz się krępować z mojego powodu.

Taylor zastanowiło, dlaczego Louisa zawsze znajduje wymówki, żeby nie spotkać się z jej rodziną. To jednak nie był dobry moment na takie pytania.

W drodze do domu intensywnie myślała. Było tyle do zrobienia – musiała spakować rzeczy, odpowiedzieć na nieuchronne pytania... Mama na pewno zechce się dowiedzieć, jak to możliwe, że Taylor

dostała się przedterminowo do kolegium, mimo że nie złożyła podania.

Poza tym powinna porozmawiać z Sachą. Nie odpowiedział na jej nagranie na poczcie głosowej, w którym poinformowała go o śmierci dziadka. Milczenie Sachy zaczynało budzić niepokój Taylor. Miała nadzieję, że jest bezpieczny w domu ciotki i po prostu zajął się ważnymi sprawami. Takie zniknięcie nie było w jego stylu.

Kiedy zbliżała się do skrzyżowania z ulicą prowadzącą do jej domu, słońce ukryło się za chmurą, pograżając miasto w cieniu. Zerwał się wiatr.

Nadciągała burza.

Taylor przyśpieszyła. Buty, które Sacha kupił jej w Paryżu, rytmicznie stukwały o chodnik, gdy skręcała w porośniętą drzewami ulicę. Dostrzegła na niej zaledwie kilkoro ludzi. Wszyscy chcieli jak najszybciej ukryć się przed wiatrem.

Gałęzie rozkołysały się nad jej głową, miotane coraz silniejszymi podmuchami. Wiatr podnosił żwir z drogi i boleśnie wbijał go w skórę Taylor. Była już prawie pod domem, kiedy usłyszała złowrogi pomruk i poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach. Odwróciła się błyskawicznie.

Trzy stwory w czarnych płaszczach jednocześnie wyszły zza rogu i sunęły ulicą prosto ku niej. Na ich twarzach malowały się uśmiechy.

„Nie mogą tu być – powiedziała do siebie Taylor, zbyt oszołomiona, żeby trzeźwo myśleć. – Wszędzie są ludzie...”

Zwiastuni nie zwracali jednak uwagi na otoczenie. Wyglądało na to, że nie obchodzi ich nikt ani nic poza Taylor.

– O Boże – wyszeptała i cofnęła się chwiejnie.

Walczyła z nimi poprzedniego dnia i przetrwała, jednak z wielkim trudem. Poza tym nie była wtedy sama.

Rzuciła się do panicznej ucieczki, myśląc tylko o tym, że ktoś będzie w jej domu, ktoś z kolegium. Ktoś, kto ją uratuje. Chciała biec, lecz nogi odmawiały jej współpracy, a przy każdym kroku odgłosy skandowania się nasilały. Miała wrażenie, że jej stopy robią się coraz cięższe, jakby ktoś obłożył je cegłami. Poruszała się z ogromnym wysiłkiem.

Po kilku krokach przystanęła i choć miotła się w panice, nie była w stanie iść dalej. Utknęła w pułapce.

Zwiastuni okrążyli Taylor. Spoglądali na nią pustym, bezdusznym wzrokiem, odrażająco uśmiechnięci, a w pewnym momencie jak na komendę unieśli dłonie i znowu zaczęli skandować. Miała wrażenie, że wszyscy trzej ją miażdżą. Dusili ją, nie mogła złapać tchu ani zebrać myśli. Czuła, jak pchają ją na chodnik, przygniatają sobą. Rzęziła, usiłując oddychać.

Poprzednim razem było inaczej. Teraz ich rozumiała, wiedziała, co myślą, choć nie pojmowała znaczenia słów, które wypowiadali.

- Rozerwiemy cię na strzępy.
- Skosztujemy twojego mięsa.
- Rozszarpiemy cię.

Po drugiej stronie ulicy spacerował mężczyzna w średnim wieku. To był sąsiad Taylor pan Elstead. Często machał jej na powitanie, kiedy szła do szkoły.

- Pomocy! - wrzasnęła. - Proszę pana, niech mi pan pomoże!
- Nawet na nią nie spojrział, zupełnie jakby nie istniała.
- Proszę, niech mi ktoś pomoże - zaszlochała.

Ohydne twarze zwiastunów zawisły tuż nad nią. Taylor zamknęła oczy i odniosła wrażenie, że trafiła do innego, niezwykłego świata. Otaczała ją moc, która tym razem nie objawiła się wyłącznie w postaci

złocistych pasm. Taylor widziała teraz zieleń, błękit i czerwień. Żywe barwy płynęły wokół niej strumieniami. Dostrzegła także zwiastunów, mroczne cienie wyglądające niczym czarne dziury, które chłoneły z otoczenia i przyswajały kolorową moc.

„Do mnie”, poleciała mocy. Nie miała pojęcia, skąd się wzięła ta myśl, po prostu nagle znalazła się w jej głowie. Taylor wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń.

„Do mnie”.

Smugi mocy skierowały się ku niej niczym wielobarwna woda. Wypełniły ją, wzmocniły jej wolę walki. Taylor wyprostowała się powoli.

Jej odporność najwyraźniej zaskoczyła zwiastunów. Skandowanie przybrało na sile. Taylor czuła, jak miotają w nią energią, rażą ją niczym strzałami. Uniosła rękę ku stworom.

„Dość”.

Najbliższy cofnął się, jakby go uderzyła. Skandowanie osłabło, choć tylko na chwilę.

Taylor wstrzymała oddech, gdy dotarło do niej, że może zrobić im krzywdę. Ta świadomość była krzepiąca, ale istoty podwoiły wysiłki i teraz recytowały głośniej, z większą determinacją i zaciętością.

Miała wrażenie, że ktoś zaciska palce na jej szyi, dusi ją bezlitośnie. Musiała walczyć o każdy oddech, a jej serce boleśnie tłukło się o żebra. Mimo to pozwoliła sobie na lęk, gdyż dzięki temu moc pojawiła się błyskawicznie i narosła wprost proporcjonalnie do wściekłości Taylor.

– Dość!

Usłyszała swój ryk, który w niczym nie przypominał jej głosu, a napastnicy odskoczyli jak po silnym ciosie.

Skandowanie ucichło i zapadła ogłuszająca cisza.

Taylor cofnęła się o krok, potem o jeszcze jeden, ale zanim zdążyła rzucić się do ucieczki, stwory doszły do siebie i ponownie uniosły ręce. Tym razem skandowały inaczej, jednostajnie, piskliwie i jeszcze głośniej. Ten dźwięk palił ją niczym ogień, ranił jej skórę jak ostry nóż.

Wrzasnęła i w tym samym momencie dotarł do niej inny hałas, donośny i mechaniczny. Coraz bliższy i silniejszy, przedarł się do jej mózgu przez mgłę bólu.

Zwiastuni też go usłyszeli. Nowy dźwięk na moment wybił ich z rytmu i zdekoncentrował, a Taylor bez wahania skorzystała z okazji i rzuciła się do ucieczki.

Wtedy ujrzała motocykl, który z rykiem silnika zmierzał prosto ku niej i stworom. Kierowca jechał nisko pochylony, z głową ukrytą pod srebrnym kaskiem, ale Taylor czuła, że rozmyślnie kierował się do miejsca walki.

Zwiastuni nadal recytowali zaklęcia, skupieni na Taylor, kiedy motor wbił się w nich i wyrzucił ich w powietrze. Skandowanie ustało, a motocyklista jednym szarpnięciem ściągnął kask z głowy, odsłaniając złocistobrązowe włosy i błękitne oczy.

- Sacha? - Taylor wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.
- Taylor! Nic ci nie jest? - Zeskoczył z motoru i podbiegł do niej.
- Co tu robisz? - zapytała ze zdumieniem.
- Odsłuchałem twoje nagranie - odparł.

Nie zdołał dodać nic więcej, bo zwiastuni ponownie zmierzali w ich kierunku. Sacha zamarł, a Taylor dostrzegła w jego oczach strach.

- Szybko - powiedział nerwowo. Panika sprawiła, że jego francuski akcent stał się wyraźniejszy. - Musimy uciekać. Nie damy im rady.

Zachłusnęła się powietrzem, kiedy chwycił ją za rękę. W tym samym momencie jej moc zakłębiła się niczym rwący strumień. Taylor kipiała energią, tryskała nią, nie potrafiła zapanować nad jej falą. Moc już nie płynęła wokoło, teraz wypełniała ciało i umysł dziewczyny.

Taylor nie potrafiła tego wyjaśnić, ale przy Sachy czuła się potężniejsza. Włosy unosiły się wokół jej twarzy, tworząc złocistą chmurę. Dobrze wiedziała, co musi zrobić.

– Razem damy im radę – usłyszała swój głos.

Sacha popatrzył na nią dziwnie, jakby dostrzegł, że zaszła w niej zmiana, ale nadal nie wydawał się przekonany.

– Są zbyt silni – zaproponował.

– Ufasz mi? – Spojrzała mu w oczy.

– Tak – odparł bez wahania.

– Więc nie puszczaj mojej dłoni.

Zwiastuni zdążyli się pozbierać, ale ich recytacje zdawały się teraz dobiegać z oddali.

Taylor nie cierpiała tych istot, pragnęła ich śmierci. Nienawiść całkowicie zawładnęła jej umysłem. Należało ich zgładzić, a teraz była w stanie tego dokonać.

Odwróciła się do najbliższego, uniosła rękę i wycelowała w niego wewnątrz dłoni.

„Giń”.

Stwór eksplodował.

Fala energii sprawiła, że szczątki istoty, twarde okruchy, które wyglądały jak kości, wystrzeliły na wszystkie strony.

Sacha zaklął i pociągnął Taylor ku sobie, osłaniając ją własnym ciałem przed fruwającymi odłamkami.

– Co jest, do cholery? – spytał.

- Udało się nam. – Spojrzała na niego, oszołomiona własną mocą.
- Ale jak...? – Nie odrywał od niej wzroku.
- Sama nie wiem – przyznała. – Po prostu... nie puszczaj mojej dłoni.

Uściskał jej palce tak mocno, że aż ją zabolęły.

- Bez obaw – mruknął.

Dwaj pozostali zwiastuni popatrzyli po sobie, a następnie szybko się odwrócili i jednocześnie skierowali do Taylor i Sachy. Wysoki podążał przodem – jego oczy zdawały się płonąć z wściekłości, a bijąca od niego nienawiść parzyła Taylor niczym ściana ognia.

Stwór spojrzął na Sachę i uniósł dłoń. Taylor poczuła, że chłopak stęzał w oczekiwaniu na cios, ale nie cofnął się nawet o krok.

- Nie!

Ledwie rozpoznała własny głos, który zdawał się dobiegać zewsząd: z nieba, z drzew, z otoczenia. Przez ułamek sekundy krzyżowała spojrzenia z najwyższym zwiastunem i zauważyła, że ze zdumienia szeroko otworzył czarne oczy. Patrzył, jak Taylor z największym skupieniem gromadzi moc, a następnie wyciąga przed siebie lewą rękę i otwiera dłoń.

W tej samej chwili obaj zwiastuni stanęli w ogniu.

Taylor i Sacha ze zgrozą obserwowali płonących zwiastunów, kręcących się na ulicy niczym wirujący derwisze. Skandowanie stworów przeobraziło się we wrzask, a potem w żałosny pisk. W końcu obie istoty ucichły.

Szary popiół roznoszony przez wiatr pachniał wilgotną ziemią i zgnilizną.

„Udało się”, pomyślała Taylor, a potem zrobiło się jej niedobrze. Czowała, że za moment zwymiotuje. Puściła dłoń Sachy, a wówczas nogi

odmówiły jej posłuszeństwa.

Zdążył ją podtrzymać, zanim osunęła się na ziemię. Sprawiał wrażenie równie oszołomionego jak ona.

– Co się stało? – zapytał.

Odetchnęła niepewnie, usiłując zapanować nad dudniącym sercem.

– Chyba właśnie się dowiedzieliśmy, dlaczego zwiastuni nie chcieli dopuścić do naszego spotkania – odparła.

43

– Gdzie oni są? Musimy się stąd zabierać, i to natychmiast – podkreślił Finlay nosowym głosem.

Wydawał się bardzo przejęty.

– Nikt nie twierdzi, że mamy tu tkwić – zauważyła cierpliwie Louisa. – Już jadą. Dziekan właśnie rozmawia z matką Taylor i upewnia się, że wszystko zostało załatwione. – Uniosła obie dłonie w uspokajającym geście. – Jeszcze pięć minut. Postaraj się... wytrzymać.

Wyglądała tak niezwykle z błyszczącymi niebieskimi włosami, tatuażami i w glanach, że Sacha z miejsca ją polubił.

Zebrali się w salonie w domu Taylor. Sacha siedział obok niej na sofie i przysłuchiwał się sprzeczce Louisy z niejakim Finlayem, który nerwowo krążył po pokoju, od okien do sofy i z powrotem. Jego zachowanie sprawiało, że Sachy kręciło się w głowie.

– Nie mamy czasu. Musimy działać szybko – podkreślił Finlay. – Zabicie zwiastunów jest bezprecedensowe. Z pewnością czekają nas kłopoty, i to już wkrótce.

– Zabicie zwiastunów... – Louisa była pod wrażeniem. – Kto by pomyślał.

Finlay się zatrzymał, a na jego szczupłej twarzy po raz pierwszy zagościł uśmiech.

– To niewiarygodne – przyznał.

Dotarli na miejsce, kiedy ognie już wygasły. Pierwsza przybyła Louisa, zaczerwieniona i bez tchu, w chwili gdy wiatr rozwiewał

resztki prochów zwiastunów. Finlay zjawił się kilka minut później, biały jak kreda.

Wezwała ich Taylor, z trudem wystukawszy numer drżącymi palcami.

- Oni są tacy jak ja - wyjaśniła Sachy.

Sacha zauważył, że Finlay i Louisa nie mogli uwierzyć w to, co się zdarzyło, i dopiero dowody rzeczowe ostatecznie ich przekonały.

- Możecie pozbierać resztki z chodnika - powiedziała zdumiona Louisa do telefonu. - Zwiastuni nie mogliby być bardziej martwi.

Sacha nadal usiłował oswoić się z tym, co zaszło. Gdy jego dłoń zetknęła się z dłonią Taylor, doświadczył czegoś w rodzaju wstrząsu elektrycznego. Ona jednak odebrała to znacznie silniej, do tego stopnia, że zauważył zmianę, która w niej zaszła. Wygięła się w łuk, jej włosy stanęły dęba, a ubranie załopotało na wietrze, którego Sacha nie poczuł. Wyczuł za to przepływającą przez nią moc, która od niej promieniowała.

- To tak, jakby Sacha wzmacniał moją energię - wyjaśniła Taylor, kiedy później rozmawiała o tym z pozostałymi. - Przy nim jestem znacznie silniejsza.

Sacha słuchał teraz, jak niebieskowłosa Louisa i chudy Finlay rozmawiają o jakiejś książce, a także o tym, że muszą jak najszybciej coś w niej sprawdzić. Wcześniej twierdzili, że zwiastuni dla kogoś pracują - kogoś naprawdę niebezpiecznego, kto może przybyć w każdej chwili, chcąc się zemścić.

Sacha zerknął na Taylor, która siedziała obok niego i wyraźnie przejęta patrzyła na Louise i Finlaya.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptał.

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego. Jej włosy się splątały, nie miała na twarzy ani grama makijażu. Sacha nie był pewien, czy kiedykolwiek w życiu widział kogoś równie pięknego. I jeszcze te jej zielone oczy...

– Grunt, że żyję – odparła. – To dość niezwykle, biorąc pod uwagę okoliczności. – Przyjrzała mu się uważnie. – A ty? Przeraziliśmy cię na śmierć?

– Już nic mnie nie przeraża – oświadczył.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Skontaktowałeś się z mamą? – zapytała. – I co słyhać u twojej cioci?

Wcześniej opowiedział jej o tym, co się zdarzyło we Francji i jak trafił do Anglii, na co kazała mu natychmiast zatelefonować do bliskich.

Pokiwał głową. Nadal odczuwał olbrzymią ulgę.

– Jest w szpitalu, ale lekarze mówią, że przeżyje – odparł. – Chwała Bogu.

Uścisnęła jego dłoń, która znów nieświadomie znalazła się w jej dłoni.

– Dziękuję ci – westchnęła. – I to bardzo. Ryzykowałeś dla mnie życie.

– Nie zapominaj, że nie mogę umrzeć – zauważył. – A poza tym, gdzie indziej mógłbym być?

– Słyszałam, że Wyspy Bahama są urocze – oświadczyła.

– Nie ma tam zwiastunów? – Kąciki jego ust drgnęły.

– Białe, piaszczyste plaże, całkowicie wolne od zwiastunów – zapewniła go.

– Psiakość. – Strzelił palcami. – Trzeba było tam pojechać.

Taylor znowu spoważniała.

– Louisa chce, żebyś został w Oksfordzie... – Zawahała się. – Ich zdaniem oboje będziemy tam bezpieczniejsi i może... uda się nam znaleźć jakieś wyjście. No wiesz, wspólnie. – Popatrzyła mu w oczy. – Ale nie musisz. Może chcesz teraz wrócić do domu, do rodziny. Jeśli tak wolisz, nie ma sprawy. Chodzi tylko o to, że... powinieneś o tym wiedzieć.

„Chcę być tam, gdzie ty”.

Sam do końca nie wiedział, dlaczego ta myśl przyszła mu do głowy. Wiedział za to doskonale, że nie zostawi Taylor. Tylko razem mogli zwyciężyć w tej bitwie. Przekonał się o tym kilka godzin temu.

Poza tym jego tata uwielbiał Oksford i wielokrotnie o nim opowiadał, kiedy Sacha był dzieckiem. Teraz mógł iść w ślady ojca. Pomyślał, że w kolegium będzie bliżej niego.

– Oksford... To brzmi obiecująco – odparł. – Jedźmy tam.

Taylor od razu się rozpromieniła.

– No, wreszcie. – Louisa odbiegła od okna, zza którego obserwowała ulicę, i zatrzymała się przy drzwiach. – Samochód jest na miejscu. Uwaga wszyscy, zabieramy swoje klamoty. Jedziemy do domu.

Nieoznakowana biała furgonetka z włączonym silnikiem stała przed domem Taylor.

Gdy szli do auta, drzwi się otworzyły i ze środka wyskoczyło trzech młodych mężczyzn, mniej więcej w wieku Louisy. Dwóch miało na sobie podkoszulki i dżinsy, jeden szorty do kolan i sandały. Niczym się nie wyróżniali, ale Taylor wiedziała, że to urodzeni alchemicy, tacy sami jak ona.

No, może niezupełnie tacy sami.

- No dobra - odezwała się Louisa. - Taylor, Sacha, poznajcie Shahida, Sama i Alastaira.

Wszyscy trzej wpatrywali się w nich z żywym zainteresowaniem.

- Naprawdę to zrobili? - Shahid popatrzył na Louise. - Poważnie?

Louisa upuściła torbę, sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej coś błyszczącego, co przypominało kamień o barwie kości słoniowej.

- To największy szczątek zwiastuna, jaki udało mi się znaleźć - oznajmiła.

Chłopcy kolejno obejrzelili fragment, a jeden z nich gwizdnął cicho.

- Niewiarygodne - wyszeptał blondyn, ważąc przedmiot w dłoni.

Wszyscy ponownie wbili wzrok w Sachę i Taylor, która poruszyła się niepewnie, spłoszona ich zainteresowaniem. Z kolei Francuz nie okazywał emocji, tylko patrzył na nich chłodnymi niebieskimi oczami, jakby prowokował ich do komentarza, który mu się nie spodoba.

Finlay przerwał krępującą ciszę.

- Koniec guzdrania się. - Klasnął w dłonie. - Do roboty.

Chłopak w szortach chwycił torbę Taylor i wrzucił ją do auta, a potem do niego wsiadł. Louisa i Finlay rozmawiali z blondynem, który trzymał kluczyki.

Motocykl Sachy stał tam, gdzie wcześniej. Patrząc na niego, Taylor nagle uświadomiła sobie, że nie będą podróżowali razem. Sacha najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. Przez chwilę oboje niepewnie tkwili na krawężniku.

Wszystko rozgrywało się w zawrotnym tempie. Taylor wyjeżdżała bez pożegnania z mamą, choć ostatnio tak dużo się wydarzyło. Pragnęła ją tylko przytulić i sprawdzić, czy dobrze się czuje. Poza tym nie chciała zostawiać Sachy, nawet na czas kilkugodzinnej podróży. Przez to, co się stało ze zwiastunami i co zaszło między nią a Sachą

w trakcie starcia, czuła się z nim związana. Potrzeba towarzyszenia mu była równie obezwładniająca jak strach.

Sacha chyba wyczuł, że coś jest nie tak, bo zerknął na nią pytająco. Louisa ruchem głowy wskazała furgonetkę.

– Wskakuj, dzieciaku – mruknęła. – Sacha za nami pojedzie. – Spojrzała na niego. – Wiesz, jak trafić na miejsce, prawda?

Sacha nie odrywał jednak wzroku od Taylor.

– Przywiozłem drugi kask – powiedział. – Jeśli miałabyś ochotę na przejażdżkę ze mną...

Jej serce mocniej zabiło.

– Poważnie? – spytała z nadzieją. – Mogłabym?

Sacha przeniósł spojrzenie na Louise.

– Taylor pojedzie ze mną – oświadczył.

– Co takiego? Na tym czymś? – Louisa oskarżycielskim gestem wycelowała palec w motor. – Śmiem wątpić...

Sacha ją zignorował.

– Jeśli tego chce. – Skierował wzrok na Taylor. – Chcesz?

– Tak. – Z zapałem pokiwała głową. – Zdecydowanie tak.

– Taylor... – wycodziła Louisa ostrzegawczo.

– Nic mi się nie stanie – zapewniła ją Taylor.

Sacha wręczył jej kask, a Louisa wsiadła do furgonetki i mamrocząc pod nosem, zamknęła drzwi.

Sacha pierwszy usiadł na motocyklu i pokazał Taylor, gdzie powinna opierać stopy. Usiadła za nim. Na niebezpiecznej, rozkołysanej maszynie poczuła się dziwnie, ale doszła do wniosku, że całkiem się jej to podoba. Z wahaniem położyła dłonie na pasie Sachy. Nie wiedziała, jak powinna się go trzymać.

Przekręcił kluczyk i silnik zawarkotał. Taylor miała wrażenie, że motor ożył. Sacha odwrócił ku niej głowę. Miał osłoniętą twarz i widziała tylko jego błękitne oczy.

– Musisz trzymać się mocniej – uprzedził ją.

Zacisnęła ręce, a wtedy poczuła jego żebra i napięte mięśnie brzucha.

Sacha dodał gazu i motocykl nagle wystrzelił do przodu. Woodbury wkrótce zostało w tyle.

Czekał na nich Oksford.

EPILOG

Biała furgonetka wtoczyła się przez wysoką średniowieczną bramę i powoli podjechała wąskim podjazdem do imponującej gotyckiej budowli. Za samochodem, przy wtórze złowrogiego warkotu, sunął lśniący czarny motocykl z dwiema osobami.

Wysoko w górze sztandar Kolegium Świętego Wilfreda szeleścił i łopotał na wietrze.

Dziekan Jonathan Wentworth-Jones czekał na frontowych schodkach budynku administracji. U boku dziekana stał jego zastępca oraz kierownik prac badawczych Alec Milford. Obaj z uwagą obserwowali przybycie pojazdów.

Przypadkowy przechodzień miałby trudności z rozszyfrowaniem miny dziekana, ale znajomi od razu dostrzegliby napięcie na jego arystokratycznym obliczu. Zwróciliby też uwagę na to, jak nerwowo zaciska i rozluźnia opuszczone pięści.

Za dziekanem i jego zastępcą wznosił się czterystuletni wapienny gmach zwieńczony strzelistymi iglicami. Z okapów na wysokości czterech pięter łypały wychylone kamienne maszkarony o szeroko otwartych pyskach.

Sklepiony otwór wejściowy, w którym stali, otaczały tajemnicze geometryczne symbole, kręgi, sześcioramienne gwiazdy, krzywizny oraz trójkąty wpisane jeden w drugi. Każda płaskorzeźba była potężnym alchemicznym znakiem, starannie opracowanym przed wiekami, żeby chronić kolegium i znajdujące się w nim osoby.

Wszystkie te symbole zawiodły w dniu śmierci Aldricha Montclaira.

– Myślisz, że to prawda? – Milford zerknął na przełożonego. – Twoim zdaniem naprawdę zabiła zwiastunów?

Dziekan nie odrywał wzroku od motocykla. Jadąca na nim dwójka ludzi ukryła głowy pod identycznymi srebrnymi kaskami, ale wiedział, kim są motocykliści. Szczupły chłopiec za kierownicą, w dzinsach i czarnej koszulce, miał na imię Sacha. Błada dziewczyna w krótkiej czarnej spódniczce nazywała się Taylor Montclair.

Było jasne, dlaczego Milford o to pyta. Ze wszystkich zgromadzonych w kolegium ksiązek, z całej historii uczelni wynikało, że zwiastunów nie da się zabić. Można było ich odpędzić, czy też odstraszyć, ale nikomu nie udało się zgładzić ani jednego z nich.

Serce dziekana zabiło szybciej, gdy pomyślał, że ktoś jednak tego dokonał. Nadal nie mógł w to uwierzyć.

– Finlay i Louisa nie mają wątpliwości. – Kiedy mówił, ledwie poruszał ustami, ale Milford świetnie go słyszał. – Zebrali szczątki do analizy laboratoryjnej. – Przeniósł wzrok na zastępcę. – Mało prawdopodobne, żeby się mylili.

Rozmawiali o tym, odkąd Finlay kilka godzin wcześniej zawiadomił ich o przebiegu wydarzeń. Postanowili przekazać szczegóły informacji bardzo wąskiej grupie osób. Woleli poczekać i obejrzeć dowody, by zyskać niezachwianą pewność, że nie doszło do pomyłki.

– Czy to znaczy...? – Milford nie mógł się zdobyć na to, żeby dokończyć myśl.

Dziekan posłał mu surowe spojrzenie.

– Że potrafią tego dokonać? – dopowiedział. – Że tych dwoje dzieci zdoła rzucić wyzwanie najpotężniejszemu od wieków mrocznemu

wyznawcy, jaki stanął nam na drodze? Że są w stanie nas uratować?

Furgonetka dotarła do końca alejki, zatrzymała się, a kierowca zgasił silnik. Potężny motocykl ucichł tuż przed schodami.

Chłopak pierwszy zdjął kask, odsłaniając gęstwinę jedwabistych brązowych włosów. Gdy dziewczyna poszła za jego przykładem, jej jasne loki rozsypały się na ramiona. Zsiedli z maszyny i stojąc obok siebie, podnieśli wzrok na dziekanów, nadal czekających na szczycie schodów.

Zwykły człowiek nie zauważyłby niczego szczególnego, ale dziekan nawet z tej odległości wyczuwał bijącą od nich moc. Szczególnie niezwykła wydawała się dziewczyna – jeszcze nigdy nie napotkał nikogo tak potężnego.

Moc nie emanowała z Taylor strumieniami, jak to zazwyczaj bywało. Biła od niej na wszystkie strony, niczym od pulsara.

Dziekan miał wrażenie, że wpatruje się w słońce. Zamiast odpowiedzieć samemu sobie na pytanie, wyciągnął rękę.

– Witajcie w Kolegium Świętego Wilfreda – powiedział.

PODZIĘKOWANIA C.J.

To, co w życiu cudowne, musi rozpocząć się w Paryżu, podczas rozmowy przy kawie. Nie inaczej było z historią tej książki. Po trzygodzinnej sesji rozdawania autografów na targach książki wymknęłam się z Cariną, żeby odzyskać siły i rozprostować palce. Od niechcienia poruszyliśmy temat wspólnej książki, zarazem romantycznej i emocjonującej. Potem wróciłam do Anglii, żeby zająć się pracą nad serią o Nocnej Szkole. Mijały miesiące, aż wreszcie pewnej deszczowej soboty odebrałam od Cariny mail z informacją: „Mam kilka pomysłów dotyczących naszej książki”.

Dlatego przede wszystkim dziękuję właśnie Carinie, która nie dość, że wykazała się odwagą i postanowiła pisać po angielsku, to jeszcze podjęła ryzyko współpracy ze mną. Obie wyruszyliśmy w fascynującą podróż, a każdy jej etap okazał się cudowny.

Wielkie podziękowania należą się Karen Ball i Sarah Castleton z Atom Books, które z miejsca zachwyciły się historią Sachy oraz Taylor i aktywnie uczestniczyły w narodzinach książki o nich, dostrzegły jej potencjał, podobnie jak my polubiły bohaterów i pomogły w eksponowaniu tego, co w tej historii najlepsze. Jestem wam ogromnie wdzięczna za cierpliwość i umiejętności.

Dziękuję także naszej cudownej agentce Madeleine Milburn, która otrzymawszy ode mnie mail ze słowami: „Chcę napisać książkę razem z pewną francuską pisarką, którą właśnie poznałam...”, nie uciekła, gdzie pieprz rośnie, tylko zażądała: „Opowiedz mi, jaka historia wam chodzi po głowie”. A kiedy to zrobiłam, Madeleine oświadczyła: „Wróć,

jak napiszecie trzy rozdziały”. Wróciłam z sześcioma, a ona zdecydowała: „Piszcie tę książkę”. Maddy, dziękuję Ci za pokładaną w nas wiarę.

Chciałabym również bardzo podziękować Glennowi Tavennecowi z francuskiego wydawnictwa Robert Laffont, który przedstawił mnie Carinie na targach książki Salon du Livre, wypowiadając prorocze słowa: „Myślę, że przypadniecie sobie do gustu”. Niespełna rok później pisałyśmy razem książkę. Merci beaucoup, Glenn!

Z całego serca dziękuję także Doris, Mai i Christinie z Oetinger w Niemczech, Monice z Wydawnictwa Otwartego w Polsce, Oliverowi i całej reszcie z Bookouture oraz pozostałym zagranicznym wydawcom Tajemnego ognia. Jesteśmy Wam niezwykle wdzięczne za zapal i wiarę w nową historię.

Dziękuję też Holly Bourne i Alexii Casale za to, że nam kibicowały, i za to, jakie są wspaniałe. Co ja bym bez Was zrobiła?

Dziękuję autorom z YAT za to, że ze mną wytrzymujecie. Jesteście pierwszą grupą, do której dołączyłam na ochotnika w 1991 roku. Przy Was niemal przestaję być introwertyczką. Niemal.

Na koniec, jak zawsze, dziękuję Jackowi, który nigdy nie wątpił, że nam się uda. Wierzysz we mnie o wiele bardziej, niż ja w siebie. Dzięki Tobie wszystko jest niezwykle.

PODZIĘKOWANIA CARINY

Nie doszłoby do tej niesamowitej przygody, gdyby nie cudowna C.J. Daugherty. Pomysł napisania razem powieści powstał podczas paryskich targów książki i z początku wydawał się zupełnie szalony. Cóż, niezwykłym osiągnięciom zawsze towarzyszy odrobina szaleństwa. Tak czy owak, udało się. Połączyłyśmy nasze odmienne style, żeby stworzyć coś wspaniałego. Nasza powieść jest niczym podróż dla Taylor i Sacy, ale także dla nas. Chciałabym podziękować C.J. za to, że jest niezwykłą pisarką i przyjaciółką, równie szaloną jak ja. Dziękuję Ci za te niepowtarzalne miesiące przy klawiaturze. To była znakomita zabawa i fascynujące przeżycie. Cieszę się, że mamy przed sobą jeszcze jedną książkę do napisania.

Chciałabym też podziękować Atom Books, mojemu nowemu wydawcy w Anglii, a w szczególności Karen Ball i Sarah Castleton, za to, że uwierzyły we mnie, a raczej w nas, a także w tę książkę. Obie odważyłyście kawał dobrej roboty, dzięki czemu nasze wspólne dzieło nie mogłoby być lepsze.

Słowa wdzięczności kieruję również pod adresem mojej agentki Madeleine Milburn, która z miejsca dostrzegła potencjał Tajemnego ognia, uwierzyła w nas i w perspektywę tej niezwykłej współpracy. To moje pierwsze próby pisania po angielsku i zaistnienia na rynku brytyjskim. Mam nadzieję, że Madeleine wie, ile szczęśliwych chwil mi zapewniła.

Serdeczne podziękowania ślę też Glennowi Tavenecowi z wydawnictwa Robert Laffont we Francji. Poznałam C.J., bo to właśnie

on wpadł na genialny pomysł posadzenia nas obok siebie na targach książki. Był pewien, że znajdziemy wspólny język i ani trochę się nie mylił! Glenn jest ojcem chrzestnym tej powieści.

Dziękuję wszystkim wydawcom na całym świecie, którzy już uwierzyli w Tajemny ogień. Mam wielką chęć poznać Was wszystkich i współpracować z Wami.

Na koniec przesyłam gorące ucałowania Leo, mojemu ukochanemu synowi, a także rodzicom, którzy zawsze mnie wspierali i wierzyli we mnie przy każdym wyzwaniu. Bez nich nie osiągnęłabym tyle w życiu.

C.J. Daugherty

Niegdyś reporterka kryminalna i dziennikarka śledcza, dziś autorka międzynarodowych bestsellerów z serii Wybrani. Pierwszą ofiarę zbrodni widziała w wieku dwudziestu dwóch lat i od tamtej pory ma obsesję na punkcie ciemnej strony ludzkiej natury. Jej książki o Akademii Cimmeria, osadzone w realiach elitarniej angielskiej szkoły z internatem, wskoczyły na szczyty list bestsellerów i zagościły w sercach młodych czytelników z całego świata. Serię przetłumaczono na dwadzieścia dwa języki. C.J. urodziła się w Teksasie, lecz od lat mieszka w Anglii, gdzie obecnie pracuje nad nową powieścią. Więcej dowiedzieć się pod adresem: www.cjdaugherty.com.

Carina R ozenfeld

Jako dziewięciolatka zasiadła do pisania pierwszej powieści, gdyż już nie wystarczały jej marzenia we śnie. Później podjęła pracę we francuskich pismach młodzieżowych, ale wieczorami nadal pisała książki. Pełnoetatową autorką została po tym, jak we Francji opublikowano jej pierwsze powieści. Do dzisiaj napisała już prawie dwadzieścia poczytnych książek, w tym *Les Clefs de Babel* i bestsellerową trylogię *La quête des Livres-Monde*. Carina znana jest także z serii powieści young adult *Phoenix* i *La symphonie des Abysses*. Ma na koncie ponad dwadzieścia nagród literackich, mieszka w Paryżu, a teraz pracuje nad książkami science fiction i fantasy.

¹ Idę do parku. Park jest blisko jeziora. Spotkasz się ze mną w parku? (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

²Arrete! (fr.) – Stój!

³Bisous (fr.) – całuję.

Tytuł oryginału: The Secret Fire

Copyright © 2015 by C.J. Daugherty and Carina Rozenfeld

Copyright © for the translation by Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Projekt okładki: © Design by LBBG – Sian Wilson

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Korekta: Magdalena Kędzierska-Zaporowska / dzd.pl,

Anna Woś / dzd.pl

ISBN 978-83-751-5760-4



www.moondrive.pl

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. (12).

427 12 00

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com